

**Pat Cadigan**

# **Głupcy**

**Przełożył Dariusz Kopociński**



**2010**

**Tytuł oryginału:**

*Fools*

**Solaris 2010**

**Wydanie I**

ISBN 978-83-7590-045-3

**Projekt i opracowanie graficzne**

Grzegorz „Aspius” Kmin

**Przełożył**

Dariusz Kopociński

**Agencja „Solaris”**

11-034 Stawiguda, ul. Warszawska 25 A

tel./fax(89)541 31 17

e-mail: [agencja@solarisnet.pl](mailto:agencja@solarisnet.pl)

sprzedaż wysyłkowa:

[www.solarisnet.pl](http://www.solarisnet.pl)

# Część I

## **Głupcem, kto pamięta**

Rozglądając się po wnętrzu „Skrytki Davy’ego Jonesa”, wszędzie widziałam siebie albo ludzi, którzy chcieli być mną. A klub nie zapełnił się jeszcze nawet do połowy. Wiedziałam, że sława to jest to!

Holoryba pływająca w głębokiej, błękitnej holowodzie zamigotała, znikła i pojawiła się znowu w soczystszych kolorach. Mieliśmy ze sobą coś wspólnego: czułam się, jakby moje istnienie rozpoczęło się przed chwilą. Krótkotrwałe utraty pamięci to niska cena za sławę. Zdarzały się zawsze po dostrojeniu systemu, więc nie przejmowałam się nimi za bardzo. Wystarczyło odczekać parę minut, żeby zorientować się w otoczeniu, wziąć kilka głębokich oddechów i wszystko się przypominało. Zawsze.

Zauważyłam swojego nowego menadżera na drugim końcu sali, zajętego rozmową z pracownikami lokalu. Pomachałam mu z werwą, aby się nie domyślił, że chwilowo nie pamiętam jego imienia. Z powodu amnezji po psychogierkach można się czasem najeść wstydu.

Zamarł w bezruchu, nim dokończyłam gest pozdrowienia. Z rękami wyciągniętymi do mnie gapił się, jakby zobaczył dwugłowego stwora. O raju, pomyślałam, a temu co nie pasuje? Czyżbym pojawiła się za wcześnie? Powinnam być jeszcze na zapleczu? Nakładać na twarz warstwę pudru przed swoim wielkim wejściem, *La Grande Entrance*?

Przesadnym ruchem wzruszyłam ramionami – coś w stylu Constanzii, w której rolę niedawno się wcieliłam w „Teatryku sir Larry’ego”. Pewnie Constanzia w tej sytuacji też popełniłaby falstart. Może powinnam po prostu zwalić winę na przeciek? Bo wyglądało to właśnie na klasyczny przeciek. Menadżer postąpił krok w moją stronę, lecz jedna z pracowniczek pociągnęła go za rękaw. Z satysfakcją zauważyłam, że została przemodelowana zgodnie z moim wzorcem, choć wątpiłam, czy kupiła u promotora pełen pakiet. Roznoszenie zakąsek w klubie, nawet ekskluzywnym, nie byłoby raczej moją pasją.

Powiedziała coś do menadżera i wskazała zaplecze. Targały nim wątpliwości. Jego długie, siwe włosy kołysały się, kiedy kierował wzrok to na nią, to na mnie. Dałam mu znak, żeby się mną nie przejmował, i ruszyłam na obchód lokalu podziwiać dekoracje. Wpadałam tu już wiele razy, lecz dziś, gdy wynajęto klub na mój debiut, byłam w nim królową. Menadżer chyba dobrze znał mój gust. Musiałam tylko wziąć się w garść, bo ciągle uciekało mi z głowy jego nazwisko. Byłoby obciachem go nie znać.

W klubie powoli zaczynało brakować miejsc, lecz z nieznanymi mi przyczynami nikt nie zwracał na mnie uwagi, gdy przechadzałam się tu i tam. Może dlatego, że nie miałam na sobie nic wystrzałowego, tylko zwykłe codzienne ciuchy – tak bardzo przeciętne, że w tłumie mało kto mnie zauważał. No cóż, łudziłam się nadzieją, że ktoś – na przykład menadżer lub moi asystenci (lub wszyscy razem) – w dogodnej chwili zaprowadzą mnie z powrotem do garderoby. Bo na co komu sława, jeśli musi zajmować się wszystkimi duperelami, którymi powinni martwić się inni?

Na drugim końcu głównej sali działało już krzywe zwierciadło, które zaczęło przyciągać ciekawskich. I ja postanowiłam rzucić okiem z bliska. Kiedy przyjęcie rozkręci się na dobre, ludzie będą się cisnąć jak wariaci i włączyć sobie na łeb, żeby stanąć na chwilę przed lustrem.

Przedemną na ziemi wyłoniła się z niebytu ławica ostryg. Mieniające się klejnotami muszle otwierały się i wypływały perły na złocisty piasek. To skądinąd malownicze widowisko oglądałam już milion razy. Perły były wielkie jak kasztany. Wydawało mi się, że nie zasługuję na tak ograne atrakcje. Przeszłam ostrożnie między ostrygami, żeby nie zepsuć efektu. Trochę kultury nikomu nie zaszkodzi.

W odległości trzech kroków od lustra naszła mnie ochota, żeby się odwrócić i popędzić co sił w nogach do najbliższego wyjścia. Ochota to mało powiedziane: zupełnie jakby wył we mnie dzwonek alarmowy. Raju, pomyślałam, chyba nie mam tych nieznośnych problemów ze swoim odbiciem, które objawiają się strachem przed lustrami i głodzeniem się na śmierć?! Słyszałam, że to się czasem przytrafia ludziom, którzy stali się sławni; oglądając swoją twarz w tyłu różnych miejscach, zaczynają czuć niechęć do siebie. Dotąd mi się wydawało, że kogoś jak kogoś, ale mnie na pewno nie spotka nic takiego.

Aż nagle dostrzegłam bardziej prawdopodobny powód tego napadu lęku, mianowicie Em-Cate we własnej szkaradnej osobie. Mizdryła się do lustra, zachwycona swoim odbiciem, które miało kształt srebrzystobiałego rekina. Typowe, pomyślałam ze złością. Po jakie licha tu przylazła? Przecież dobrze wiedziała, że zaproszenie było tylko pustym, grzecznościowym gestem. Em-Cate z pewnością nie była w stanie życzyć mi wszystkiego najlepszego w tych – ani jakichkolwiek innych – okolicznościach. Już w „Teatryku sir Larry’ego” nie przepadałyśmy za sobą, a teraz, kiedy ja miałam być sławna, a ona nie, zerwała z pozorami i otwarcie okazywała mi pogardę.

Prawdę mówiąc, wszystko można było o wiele lepiej zgrać w czasie. Szkoda, że mój menadżer nie kazał promotorowi wstrzymać się z oficjalną prezentacją, póki „Teatryk sir Larry’ego” nie przestanie wystawiać sztuki, w której grałam. W teatrze obiecałam, że kontrakt z promotorem nie będzie kolidować z występami. Mimo to obawiałam się, że będę miała szczęście, jeśli po ostatnim przedstawieniu dadzą mi kwadrans na spakowanie walizek i wyniesienie się w diabły. Nie zdziwiłabym się, gdyby Em-Cate szła za mną krok w krok, sprawdzając, czy nie wynoszę czegoś z teatru. Tylko cóż by to miało być, na miłość boską? Słóiczek z podkładem?

Zazdrość zawodowa to najgorsze bydlę. Miałam nadzieję, że nigdy mnie nie dopadnie. Wmawiałam sobie, że gdyby zamiast mnie wybrali Em-Cate, umiałabym nad sobą zapanować, zagryźć zęby, zrobić dobrą minę i powiedzieć: Gratuluję. A przynajmniej: Żegnaj, życzę szczęścia. No dobra: Żegnaj.

Taka z niej była bzdziągwa, że – słowo daję! – wolałaby się rzucić na pysk z najwyższego budynku w „Kanionie Handlowym”, niż wziąć udział w przyjęciu zorganizowanym na moją cześć. Pracownicy „Teatryku sir Larryego” dostali grupowe zaproszenie, nie bawiłam się w grzeczności. Prawie wszyscy mówili, że chcą przyjść, tylko dyrektor teatryku odmówił, tłumacząc się różnicą zdań na tle artystycznym. Można się było tego spodziewać po człowieku, który promował Fosse’a. Ale cóż, przynajmniej Bayles nie był hipokrytą.

Czyżby Em-Cate liczyła na to, że swoją obecnością zepsuje mi wieczór? Niech zwinie w trąbkę swój scenariusz i wsadzi go sobie w oko! Przysunęłam się do niej i powiedziałam:

– Dobrze się bawisz, Em-Cate?

Odwróciła się od lustra i popatrzyła na mnie, mrużąc oczy. Nienawidziła mnie również dlatego, że byłam od niej wyższa. Pewnie dzisiaj zapomniła szpilek, w których sięgała mi mniej więcej do nosa.

– Że co?

– Pytałam, czy dobrze się bawisz.

Jeszcze bardziej przymrużyła oczy. Bayles za wszelką cenę próbował wykorzenić z niej ten nawyk, bo przeciekał do granych przez nią postaci.

– Tak... To znaczy... tak, dzięki. – Zbyła mnie niepewnym uśmiechem i wróciła do podziwiania rekina.

O raju, pomyślałam. Jej zazdrość sięgała pułapów absurdu. Udawała, że mnie nie zna! Trochę jej współczułam. Przynajmniej w tej chwili.

Na prawo od niej Twill Carstairs – jasne, że wymyślił sobie tę ksywkę – przyglądał się z uwielbieniem swojemu odbiciu: ogończy z muszką zawiązaną na kolcu. Teraz popatrzył na mnie z ciekawością. Zawsze się jakoś dogadywaliśmy, choć wiedziałam, że nie pochwała tego, co robię, i na moim miejscu odrzuciłby ofertę. A szkoda, bo dzięki odpowiedniej kampanii reklamowej chciałyby nim być tabuny ludzi.

– No to mamy jeszcze jednego zadowolonego klienta. – Mówiąc to, zerknął na Em-Cate.

Miał na myśli ją czy może siebie?

– Widać nie zapomniałam, jak zabawiać ludzi – odparłam. – Nawet gdy tylko pomagam im się bawić.

Na jego szerokiej twarzy pojawił się podejrzliwy wyraz, jakbym palnęła niebywałą gafę. Może Em-Cate tak mnie obsmarowała swoim kłamliwym ozorem, że w końcu uznał mnie za jakąś lafiryndę? Albo przed imprezą odwiedzili chemiczny bufet i pochrzańiło im się w łepetynach?

Uśmiechnęłam się i odwróciłam do lustra.

O, bardzo śmieszne! Zamiast rekina, ogończy czy innej ryby zobaczyłam akwarium z egzotyczną drobnicą. Em-Cate i Twill wpatrywali się w nie z zaciekawieniem.

– Jeśli wyobrażacie sobie małą rybkę w wielkim stawie, pamiętajcie, że to mój staw. – Zasalutowałam im na pożegnanie i odeszłam.

– Czy to... no wiesz?... – usłyszałam jeszcze strzęp pytania Em-Cate.

– Jeśli tak, nie podoba mi się, że daje od siebie tak dużo – odpowiedział Twill.

Nie doszukałam się w tym ani odrobiny sensu. Może nawet nie czekali na chemiczny bufet i naszprycowali się jakimś tanim draństwem w drodze do lokalu? Rozsądek podpowiadał, że powinnam wrócić do garderoby i nie pchać się w kłopoty. Rozejrzałam się za menadżerem – do licha, jak mu było?! – lecz nie dostrzegłam ani jego, ani pracowników lokalu, z którymi przedtem rozmawiał. Z każdą minutą pęczniały tłumy; niewykluczone, że szukał mnie tak samo rozpaczliwie, jak ja jego.

– Myślałem, że odesłali cię do domu.

Odwróciłam się. Błada twarz Sovaya kapąła się we wszystkich odcieniach błękitu. Zdawało się, że emituje światło.

– Żartujesz sobie? Miałabym wracać do domu? Przegapić własny debiut?

Nieufność widoczna w jego rysach ustąpiła zdumieniu.

– Raju! – powiedziałam zmęczonym głosem. – Czy wszyscy tu jadą na jakimś nowym koksie, który sprawia, że moje słowa wywołują zdziwienie?

– Tak, raj... – wycedził wolno Sovay. – Moje największe zdziwienie budzi to, co jeden człowiek może zrobić drugiemu w pogoni za pieniądzem.

Biorąc pod uwagę nasze wyczyny w przeszłości, chyba miał prawo prawić mi morały. Jednak spotkanie psychy w psychę nie oznaczało, że stoję niżej od niego – czy na deskach teatru, czy w życiu osobistym. Bądź co bądź był nieodwracalnie żonaty, co zresztą nieraz podkreślał.

– Nie rozumiem, jak mogłam swoją decyzją wyrządzić szkodę tobie lub komukolwiek z teatru. Zamiast robić karierę na scenie, postanowiłam spróbować swoich sił u promotora, wielkie mi mecyje! Czy kogoś namawiałam, żeby szedł w moje ślady? Nie polecałam nawet nikogo agentowi, chociaż gdybym mu powiedziała, że jesteś zainteresowany niezobowiązującą rozmową, na pewno chętnie umówiłby się na spotkanie. To świetny menadżer i zna się na rekrutacji.

– Jak ci się zdaje, kim jesteś? – Wybielona, delikatna cera Sovaya mocno się pomarszczyła w wyrazie troski. Nim dał się przepigmentować, mógł sobie nałożyć częściową blokadę zapobiegającą nadwyrazistości. Chyba że z jakiegoś powodu chciał mieć twarz o fakturze pomiętego papieru.

– Dobra, dobra, kapuję – powiedziałam. – Zauważasz maleńkie przebłyski Constanzii, co? Nie jest to nawet przeciek, tylko drobny przebłysk, zupełnie normalny, niemający nic wspólnego z programami promotorów. Dzieje się tak dlatego, że to moja najświeższa rola i,

nie będę ukrywać, ulubiona. – Rozłożyłam ręce i poruszyłam palcami, jakbym chciała kogoś pogilgotać. – Kręci mnie to, że w każdej sytuacji mogę wyskoczyć z jakimś wielkim gestem.

Sovay chciał włożyć palec do ust, ale się zreflektował i zamiast tego podrapał się po brodzie.

– Czy wiesz, że łaskotanie jest znęcaniem się?

Wywróciłam oczy.

– Nawet jeśli łaskoczę sama siebie?

– Wtedy nie odczujesz łaskotek.

Długo przypatrywaliśmy się sobie w milczeniu. Amnezja po psychozabawie nie zatarła wspomnienia o tym, jak go odbierałam w czasie spotkania psycha w psychę i jak on odbierał mnie. Jego zaskoczenie równało się mojemu: Sovay, człowiek o żelaznych, niezachwianych zasadach moralnych, oddany swojej otyłej, nudnej żonce, nagle odkrył miłość od pierwszego kontaktu.

Nie było chwili na zastanowienie; kiedy siedzi się psycha w psychę w systemie, myśli gazują tak, że w porównaniu z nimi prędkość światła wydaje się żółtym tempem. Gdyby starczyło czasu na refleksję, mogłyby we mnie wziąć górę szlachetne odruchy, a tak oboje byliśmy skazani. Osobiście uważałam, że pod każdym względem postąpiliśmy słusznie. Pewne rzeczy lepiej z siebie wyrzucić. Kiedy to zrobiliśmy, można już było budować relacje między postaciami; z nikim nie miałam tak udanej sesji.

Dzięki Bogu sumienie rozwrzeszczało się w nim dopiero wtedy, gdy się rozłączyliśmy. Nie dałabym rady wziąć na siebie takiego ciężaru. Powtarzałam mu do znudzenia, że jego żona nie musi o niczym wiedzieć, że nie zdradził jej czynem. Przecież fantazjowanie we dwoje nie różni się od fantazjowania w pojedynkę. On jednak nie przyjmował moich argumentów. Chciał samodzielnie poradzić sobie z tym problemem i chyba mu się udało. Nie miałam pewności, bo od tamtej pory nie zaglądaliśmy już sobie do głowy, nie wracaliśmy również do tematu.

A jednak, choć na pozór odzyskał równowagę ducha, czasami chwytalam jego spojrzenie, gdy patrzył na mnie z dziwną miną, wręcz z podejrzliwością, jakby się zastanawiał, czy aby to, co myślę, nie jest dla niego jakimś zagrożeniem. Prawdopodobnie bał się, że jeśli spotkam się z kimś innym psycha w psychę, cała ta paskudna historia ujrzy światło dzienne na scenie przed publicznością. Pragnęłam go uspokoić – powiedzieć, że umiem dotrzymywać tajemnicy, a w trakcie spotkania psycha w psychę wcale nie trzeba się całkiem odsłaniać. Ale jakoś nigdy nie zebrałam się na odwagę, żeby przerwać milczenie. Całą swoją istotą, którą przecież poznałam lepiej, niż planowałam, ostrzegał mnie, żebym już tego nie rozgrzebywała.

Być może obawiał się teraz, że pewnego dnia ktoś zaczepi go na ulicy, pałając ogniem mentalnego pożądania, i będzie domagał się udziału we wszystkich wspomnieniach.

Biedny głuptasek. Z jednej strony chciałam rozwiązać jego obawy... ale coś mi równocześnie mówiło: niech się męczy. To, że nie rozumiał mnie tak dobrze, jak ja jego, o



czymś przecież świadczyło.

– Słuchaj – powiedziałam po chwili – gdybyś spróbował, tylko spróbował podejść do tego na chłodno, bez emocji, zaraz byś poczuł się lepiej. Ale póki wleczesz za sobą te wszystkie smutki, nie jestem ci w stanie pomóc. Sam sobie też nie pomożesz.

– Mówi się trudno. Ale może ja pomogę tobie?

Roześmiałam się i ruszyłam w stronę, jak mi się zdawało, garderoby. Sovay miałby mi w czymś pomagać: doprawdy, rewolucja! Facet był w porządku, dopóki udawał, lecz w prawdziwym świecie, nawet jeśli ta prawdziwość mieszała się ze światem istniejącym w głowie, zawsze dawał ciała.

Jasnożółta ryba, cała pokryta kolcami, przepłynęła koło mnie i zawróciła, żeby zbliżyć się jeszcze raz. Z przerażeniem zauważyłam, że i ona dostała mój wzorzec. Raju, pracownicy klubu to jedno, ale żeby włączać w to dekoracje? Kto wpadł na ten przewspaniały pomysł? Klub czy mój menadżer? Cóż, cena sławy... Ręką dałam znak: a kysz! Miałam nadzieję, że ten, kto obsługuje sterowanie hologramów, zwrócił na to uwagę i odegna rybę lub ją zgasi. Będę musiała rozmówić się z menadżerem. Kontrakt kontraktem, lecz ta ryba wydawała się trochę nie na miejscu.

Ryba tymczasem znieruchomiła w powietrzu i zapatrzyła się na mnie swoimi wynaturzonymi ludzkimi oczami. Posłała mi całusa. Do góry pofrunęły bąbelki w kształcie serca. Roześmiałam się spontanicznie – nikt mi nie zarzuci, że nie znam się na żartach! – i rozejrzałam się, ciekawa, czy ktoś jeszcze obserwuje to komiczne zdarzenie.

Jedynie Sovay, który odprowadzał mnie wzrokiem ze smętną, współczującą miną. O raj! Nie ma się nad kim rozżalać!

A może rozżalał się nad sobą? – pomyślałam, patrząc, jak ryba puszcza w moją stronę następne serduszka. Jej twarz jeszcze bardziej upodobniła się do ludzkiej. Cofnęłam się o krok; kręciło mi się w głowie, gdy musiałam skupiać na niej wzrok z bliskiej odległości. Miałam nadzieję, że moje oczy nie zastrajkują akurat w tej chwili. Do prezentacji pozostało ledwie kilka minut, więc nie chciałam, żeby oczy latały mi jak rozkołysane paciorki. Musiałam odnaleźć garderobę i menadżera, i to szybko!

Po drugiej stronie sali powstało drobne zamieszanie. Dostrzegłam zatrudnioną tu osobę, tę z moimi rysami twarzy, w otoczeniu innych pracowników. O coś się piekliła. Pochylał się nad nią mój menadżer; kiedy się lekko przesunął, zrozumiałam, że to nie pracowniczka lokalu, ale ktoś obcy, komu dano rysy mojej twarzy. Czyżby promotor już dziś kręcił interesy na terenie klubu? W dość śmiały sposób wyrażał wotum zaufania dla swojego produktu.

Skoro już szli na całego, mogli przynajmniej ubrać ją po ludzku. Wyglądała, jakby przez tydzień obracała się w towarzystwie szmaciarzy i tępicielei najnowszych trendów w modzie i w końcu im uległa. W takim przyodziewku też bym się wściekała.

Mimo podwodnych efektów dźwiękowych, włączonych nie wiadomo kiedy, docierały do mnie niewyraźne strzępy rozmowy.

– ...ciuchy... – mówiła ona. – ...zda ukradła mi ciuchy!

Trudno było powstrzymać się od śmiechu. Jeśli tęczyciele mody zawezmą się na człowieka, prędzej czy później go dopadną, choćby uważał na każdym kroku. Sytuacja była komiczna, choć oczywiście babce nie było za wesoło.

– ...nie można... jej przegonić... nie... wykasować do zera... – Menadżer próbował ją unieszkodliwić, a ona o mało rąk sobie nie połamala, żeby mu się wyrwać.

– ...mną... zumiesz tego?...myśli... mną!

Menadżer objął ją wpół i próbował zaciągnąć na zaplecze. O nie, w tym nie maczali palców tęczyciele mody, pomyślałam ze zgrozą. Pewnie promotor spaprał robotę. Co za kanał! I jeszcze w takim momencie. Jeśli ucierpi na tym mój wizerunek, oskubię wszystkich do cna w sądach, łącznie z beztroskim menadżerem, który nie nosił przy sobie środków uspokajających!

Naciągało mnie od samego patrzenia, więc odwróciłam się... i zobaczyłam rybę, która podpłynęła do mnie jeszcze bliżej. Miała na tyle ludzką fizjonomię, że ogarnęło mnie dziwne wrażenie, jakbym znowu była na drugim końcu sali i patrzyła na odbicie w krzywym zwierciadle.

Pomyślałam, że ta twarz z całą pewnością nie znajduje się na swoim miejscu. Coraz mocniej kręciło mi się w głowie.

\* \* \*

No dobrze. Ostatnią rzeczą, którą pamiętam, jest zepchnięcie kogoś z urwiska.

Stoję na dnie basenu z holowodą, fikuśnymi holorybami i tłumem duszyczek, które w przeciwieństwie do mnie bawią się setnie, bo w większości pamiętają, jak tu dojechały, a te, co nie pamiętają, mają to gdzieś.

Kaprave życie, kaprave szczęście, kiepski towar: mówi się, że taki jest los wspomnieniowych ćpunów. Wiem, że nie mam prawa tłumaczyć się złą karmą, ale kto przy zdrowych zmysłach chce zostać wspomnieniowym ćpunem? Codziennie dziesięć tysięcy ludzi bezkarnie kupuje wspomnienia, ale ty, niefartowna luzaro, zaćpana, oćpana ćpunko, ty musisz walić się kilofem w łeb. Zwariowane efekty uboczne dają ci tylko dodatkową frajdę. Ale kichać na to! Zawsze twierdzą, że każdemu normalnemu człowiekowi zdarza się czasem odwalić ciemnię.

Światło w basenie o podwodnym odcieniu indygo jest nastrojowo przyciemnione, lecz moje oczy wszystko doskonale widzą, a to oznacza, że znajduję się tu już od dłuższego czasu. Udając znudzenie, rozglądam się, żeby wyczuć klimat w najbliższym otoczeniu. Wszystko wskazuje na to, że nie rozdawałam bez opamiętania pieniędzy, propozycji matrymonialnych i ciosów pięścią, bo nikt na mnie nie patrzy z wyjątkiem dziwacznej, nadętej ryby, całej w kolcach, która unosi się przede mną i błyszczy niby

napromieniowane żółte widmo. Wyłupiaste gały przysłonięte są niewiarygodnie długimi rzęsami, a w miejscu zwykłego rybiego pyska czerwienią naszminowane cherubinkowe usta. Z ust strzelają do mnie banieczki w kształcie serca. Uuu! Można się zdziwić, gdy za przynętą ciągnie taka potwora! Ale najgorsze jest to, że twarz ma znajome rysy.

Dziwadło rusza na mnie z kopyta. Zamiast pozwolić, żeby przepłynęło przez moją głowę, uskakuje w bok. Odpływa w dal, kiwając płetwą ogonową. Nic by mi się nie stało, to jasne, po prostu nie miałam na to ochoty.

W odległości kilku kroków napotykam spojrzenie faceta, który ma rybi wyraz twarzy, jakby nie pochwalał mojego zachowania, ale był zbyt sztywny, żeby się do mnie odezwać. Nosi lżejszy od powietrza workowy garnitur z rodzaju tych, co to się wydymają przy najlżejszym poruszeniu. Można odnieść wrażenie, że faktycznie znajduje się pod wodą. Jego cera jest wyprana z kolorów, przygotowana do nałożenia pigmentu, o czym świadczą jaskrawe, niebieskie refleksy na twarzy. Włosy opadające na kark tworzą wokół głowy plamę o ciemniejszym odcieniu błękitu. Nie znam go. Być może kumuluje się z rybą. Niech się nadyma...

Nagle zdaję sobie sprawę, że coś się dzieje za moimi plecami i że to właśnie przyciągnęło jego uwagę. Taa, to już ma jakiś sens. Nie jestem na tyle ważną figurą, żeby ktoś śledził moje zachowanie. Z drugiej strony nie wiadomo, co się nawyrabiało na świecie, kiedy byłam w ciemni.

Cokolwiek stanowi atrakcję wieczoru, przyciąga tam ludzi i holoryby z całego basenu. Skalary przepływają przeze mnie i nie nadążam z uskakiwaniem, co strasznie mnie wpienia. Przypominam sobie historie o takich właśnie imprezach w nadmieściu: jeśli jesteś uznanym, pierwszoligowym celebrytą, walą na ciebie wszystkie dekoracje, żebyś mógł zrobić *La Grande Entrance*. Zadaję sobie dwa palące pytania: kim jest ta szychy i czemu w tym uczestniczę?

W tłumie ludzi, szukających dla siebie najlepszego miejsca. powstaje wyrwa i wreszcie ją widzę. To ta kopana całuśna ryba! A raczej osoba, która była dla niej modelem. Na pewno jest sławna. Ciekawe, czy wie, na co tu nakładają jej bużkę. Bużkę jak marzenie; gdybym miała tak szlachetnie zarysowane policzki, też bym wszędzie nimi szpanowała. Ale najeżka to już lekkie przegięcie. Dobrze, że nie przenieśli na nią owłosienia! Pewnie ryba z grzywką byłaby trudna do strawienia nawet dla pokręconych wesołków, którzy kierują tą budą. Kimkolwiek są.

Ludziska dwoją się i troją, żeby raczyła zwrócić na nich uwagę, zaś w jej zachowaniu czuć niepewność, jakby wcale nie była w siódmym niebie. Jedna kobieta, cała omotana chustami kołysze się przed nią, jakby tańczyła. Kurde, słyszałam niejedno o profesjonalnych chwastach, ale nigdy nie widziałam żadnego w akcji. Gdyby to mnie bruździła, wyprowadziłabym ją z jawy w sen i zrobiła z jej tyłka

podnózek, lecz panna sławna jest chyba zbyt przygaszona, żeby wybuchnąć. Widzę gościa w stroju kucharza i wędkarę w woderach ze spinningówką. Ktoś się przedzierzgnął w nadwornego trefnisia, są dwie madonny, prerafaelicka i postmodernistyczna, a także żywa pochodnia z holograficznymi płomieniami cierpiącymi na ciągle iskrzenie, najgłupiej wyglądający samuraj, jakiego widziałam w życiu, słowem o wiele więcej końskich dup niż koni. Mam zwariowaną zajawkę, że z wyjątkiem mnie i panny sławnej wszyscy tu są hologramami jak te ryby.

Aż nagle myśl: Nie, to jakieś inne miejsce. Ale niech mnie kule biją, jeśli wiem jakie. Jestem już prawie na tropie, mam to na końcu mózgu. A może odbija mi się, niby zepsutym chili, dawnymi wspomnieniami, które kupiłam, żeby ugasić apetyt nałogowej bestii?

Panna sławna odwraca się, dostrzega mnie i po minie na jej wychuchanej buzi od razu można poznać, że widzi znajomą osobę. Dobrze sobie! Któżby sławny znał mnie lub ludzi mojego pokroju? Ja jej nie znam, to pewne. Nie wiem, jak się nazywa, a nawet tego, czym się wślawiła. Cokolwiek to było, nie mogłam mieć z tym nic wspólnego.

Dobra, to co ja tu robię?

Niespodziewanie odżywa we mnie wspomnienie urwiska. Spoglądam nad skrajem przepaści, a w dole zamglona pustka... Na pewno jej tam nie zepchnęłam, chyba że potrafi latać bez pomocy samolotu.

Wysoki facet ze śnieżnobiałymi włosami nachyla się nad jej ramieniem i mówi coś, co jego zdaniem ma wielkie znaczenie. Tak, tego znam... i na tym koniec. Nie wiem, czy go lubię, czy nie cierpię, czy wiszę mu kasę, czy jeszcze coś gorszego, więc chowam się za ogromną podwodną rośliną. Wspomnieniowy ćpun musi być zawsze ostrożny.

Zatrzymuje się przed nią mężczyzna w fioletowym, satynowym smokingu i, śmieszna sprawa, wewnętrzny głos mi radzi, żebym czym prędzej zmiatała do podmieścia, gdzie moje miejsce. Nie bardzo wiem, w jakiej okolicy znajduje się ten lokal, ale patrząc na tłum, przypuszczam, że jeśli zwieje mi ostatni autobus, czeka mnie długi, długi marsz.

Muszę opowiedzieć o wszystkim Anwarowi. Pewnie mi nie uwierzy. Dojdzie do wniosku, że znowu karmię bestię, i zacznie mi prawić kazania, jak to powinnam wreszcie zacząć myśleć o spłacaniu długów.

Oczywiście jeśli pokręcę się tu dłużej, będę mogła uzbierać trochę wspomnień i odnieść je do lombardu. Za towar z pierwszej ręki każdy mi dobrze zapłaci. Wszystkich długów raczej nie spłacam, ale może odsunę od siebie ostrze gilotyny.

Ponownie spoglądam na sławną. Zjawiała się w pełnym rynsztunku agentki psychopolicji: szara bluza mundurowa i kalesiaki, czapka z daszkiem przesunięta na

tył głowy, nawet zestaw uspokajaczy przypięty do pasa. Holender, że też wcześniej nie zauważyłam! Wszystkich chyba bawił ten dowcip, ale mnie jakoś nie skręcało ze śmiechu.

Cóż, i tak zbierałam się do wyjścia. Odwracam się i prawie wpadam na faceta w workowym garniturze. Z jego miny wnoszę, że dobrze go oceniłam: rzeczywiście coś mu się we mnie nie podoba. Zastanawiam się, czy przypadkiem nie chce odciąć mi drogi. Może jednak dziwaczny strój agentki psychopolicji nie jest żartem? Kiedy kieruję spojrzenie w jej stronę, okazuje się, że już go na sobie nie ma. Nosi teraz jakieś wstrętne markowe łachy, które w zamierzeniu mają przypominać szmaty wygrzebane z kubła. Normalka. Tym, którzy odziali cesarza w nowe szatki, dziś także się nieźle powodzi.

No, niewesoło. Nie dość, że zepchnęłam kogoś z urwiska, to jeszcze nurzam się w wodzie, gdzie roi mi się psychopolicja. Nawet jeśli to tylko holowoda, wszystko wydaje się jakimś kosmicznym karmoskopem.

Odsuwam się od faceta w workowym garniturze i szukam wzrokiem wyjścia. Strasznie wolno mi idzie, bo stale pałętają się przede mną jakieś morskie stwory i inne formy życia, z którymi wolałabym nie wchodzić w interakcję. Docieram na drugi koniec sali, gdzie też kłębią się tłumy. Ludzie tu stoją przeważnie koło siebie, inni zaś próbują się między nich wciskać. Czyżby jakaś durna zabawa nadzianych i sławnych? Łążę tam i z powrotem, chcąc się przebić na drugą stronę, gdy raptem jakiś baran w szortach z norek – nagrzmocony tak, że upodobnione do kamieni księżycowych gały wirują mu w przeciwnych kierunkach – łapie mnie za rękę i mówi:

– Niech no ci się lepiej przyjrzę, pogrywajko!

Już mam dać mu w pysk i powiedzieć, że nie jestem pogrywajką, lecz nagle widzę, co jest grane. Cała ściana robi za krzywe zwierciadło, najmodniejszą zabawkę nadpsutych dorobkiewiczów. Ktokolwiek dziś siedzi w kontrolce, musi znać tych ludzi, bo w każdym odbiciu widać jakąś aluzję. Z jednej kobiety zrobiono rekina: strzał w dziesiątkę. Inna przepoczwarzyła się w ośmiornicę – i tu znać rodzinne podobieństwo. Pewien gość zamienił się w gąbkę, a ten, który trzyma mnie za rękę, jest czymś w rodzaju węzowej mureny. Widzę kilka węgorzy, jeszcze jedną gąbkę, ogończę z muszką na ogonie, olbrzymiego konika morskiego z nabijaną ćwiekami uzdą i wędzidłem (ciekawe, jak lubi spędzać wolny czas?) oraz homara z jedną parą szczypiec. Teoretycznie każdy powinien mieć ubaw po pachy, ale z jakiegoś powodu za wszelką cenę wolałabym teraz nie patrzeć w lustro. Jednak Szorty z Norek pchają mnie do przodu i ryczą:

– Ośmiornica! Zobaczysz! Ośmiornica!

W życiu bym nie powiedziała, że jestem w typie ośmiornicy, ale widzę coś, co jest normalnie jakimś nieporozumieniem. Moje odbicie wygląda jak akwarium z

najrozmaitszymi rybami o nieznanym mi nazwach. I to ma być dowcipne?

Wszyscy się na mnie gapią. Wtem na lewo i prawo ode mnie widzę dwa nowe odbicia. Tym razem nie ryby, lecz ludzie w identycznym ubraniu. Odwracam się, żeby na nich popatrzeć; może operator lustra zna się na żartach i okaże się, że wiszą koło mnie dwie holoryby? Nic z tych rzeczy. Po tej stronie lustra też są ludzie, a ich wdzianka są mundurami, nie zaś ostatnim krzykiem ordynarnej mody. Przynajmniej nie mam do czynienia z psychopolicją, tylko ochroniarzami, którzy zajmują się zwykłymi czynnościami porządkowymi.

– Czas się zbierać, proszę pani – mówi fen z prawej strony.

Przypuszczałam, że powie coś takiego, choć nie liczyłam na „proszę pani”. Dobra wróżba.

Idąc do wyjścia, mijam faceta w workowym garniturze. Chyba ma zadowoloną minę.

\* \* \*

Kiedy wychodzimy na zewnątrz, okazuje się, że jestem na dachu Royale Building w „Kanionie (litości!) Handlowym”. Wyrzucono mnie z legendarnej „Skrytki Davy’ego Jonesa”. Właściwie powinnam była zajarzyć, że tam właśnie jestem. Gdzieżby indziej wszyscy nad sobą mieli holowodę? Staroświecka kartka na sztaludze informuje piśmienną część populacji świata, że w lokalu odbywa się zamknięta impreza. Holender, co ja robię w tych sferach? Kiedy odwałam ciemnię, odwałam ją ostro i z wykopem.

Ochroniarze odprowadzają mnie do strefy przewozowej i pytają, co wolę: przystanek autobusowy, latającą taksówkę czy firmowy parking dla posiadaczy prywatnych pojazdów.

– A jak wam się zdaje? – odpowiadam.

Zabierają mnie więc na lądowisko autobusów, sadzają na ławce i gną się w służalczych ukłonach. Udaję, że jestem pod wrażeniem – to zamiast napiwku. „Skrytka Davy’ego Jonesa” to niewiarygodnie ekskluzywny klub. Tu się daje napiwki nawet ochroniarzom, gdy cię wyrzucają. Pewnie zapuszczałam żurawia, żeby kupić garść wspomnień, ale nie trafiłam na nikogo, kto miałby coś do opchnięcia. W sumie nic dziwnego: wątpię, by klienci klubu musieli reperować budżet sprzedawaniem wspomnień. A nawet gdyby, to raczej nie byłoby mnie stać.

I nagle, zupełnie jakby moja kapryśna karma włączyła całą wstecz, wsuwam dłoń do kieszeni i czuję pod palcami gruby zwitek banknotów – forszę, o jakiej pewnie nawet mi się nie śniło.

Przerąbane! I nie koniec na tym! Drugą kieszeń wypchano mi w ten sam sposób.

Całe szczęście, bo inaczej miałabym boczny przechyl.

W tym miejscu nie powinnam raczej przeprowadzać audytu, ale chcę z grubsza wycenić swoje skarby, dlatego wyciągam kilka banknotów z wierzchu i zerkam na liczbę zer. W świetle reflektora nie ma wątpliwości: stowa.

W mojej głowie już huczy Sousowski marsz zwycięstwa na trąbkach. Podwijam kciukiem róg banknotu, ciekawa, czy zobaczę pod spodem tę samą piękną sumkę. Moje przypuszczenia się nie sprawdzają. Nie ma stowy. Jest tysiąc dolarów.

Przesuwam się na sam koniec ławki, do cienia, i próbuję zebrać myśli. Loterie nie płacą w gotówce, a gdybym odziedziczyła majątek po krewnym (w ogóle mi nieznanym), nie wywalono by mnie z lokalu. A więc kogo zabiłam?

Wspomnienie urwiska rozkwita w mojej pamięci niczym mlecz, który na szybkim przewijaniu zmienia się w dmuchawca. Dostrzegam kępy traw na skraju i mglistą przestrzeń w dole. Gdybym jeszcze mogła nieco powiększyć ten obraz, może dowiedziałabym się, kogo zepchnęłam w przepaść.

Nagła nadzieja upaja mnie jak krótki odlot. Jestem wspomnieniową ćpunką, taa! Może jednak karmiłam bestię i teraz dręczą mnie czyjeś wspomnienia? Dwie sekundy później jest już po odlocie. Niemożliwe, żebym przejęła to od kogoś innego, bo nie czuję żadnej podjarki. Jedyne wspomnienia, które mnie jarają, pochodzą od innych osób... choćby były nudne jak flaki z olejem. Czyjeś wakacje na wybrzeżu, czyjś ślub, czyjaś wycieczka do skurkowanego spożywcza i jestem nabita, zgrzana i przegrzana. Ale dzień, w którym to ja kogoś zabiłam – ha, ha, ha – nie daje mi nawet głupiego dreszczyku.

Naprzeciwko mnie rozświetla się zawieszona w powietrzu szyna i słyhać, niby buczenie znudzonego trzmiela, zbliżający się autobus. Lepiej popędzę do domu i sprawdzę, czy aby nie schowałam pod prysznicem okrwawionego ubrania. Zresztą kto powiedział, że to moje pierwsze zabójstwo? Może, jak skończona kretynka, załapałam gdzieś głód mordowania?

Autobus zatrzymuje się, a tych kilku gagatków, którzy zezują na mnie przez szybę, w odróżnieniu ode mnie wygląda na autentycznych morderców. Nawet drążkowy przypomina bandziora, a przecież to tylko hologram – pomysłowy kosmetyczny zabieg, dzięki któremu człowiek ma odnosić wrażenie, że może liczyć na czułą obsługę ze strony nieczułych automatów.

Taa! A kto inny jeździłby autobusem o tak późnej porze, świadkowie zdrowego mózgu? Ktokolwiek wsiada na przystanku przy Royale, musi być bogaty – nie trzeba być jasnowidzem, żeby to wiedzieć. Zanim dotrzemy do górnego śródmieścia, oskubią mnie do kości.

A zatem nie wsiadam, tylko idę na postój latających taksówek. Mam świadomość, że wszyscy pasażerowie odprowadzają mnie mściwym wzrokiem, źli, bo przeze mnie

autobus niepotrzebnie się zatrzymywał. Ale nas, zabójców, coś takiego nie rusza, ha, ha, ha – myślę sobie i ta myśl sprawia, że ściska mi pierś znajome przecucie zbliżającego się niebezpieczeństwa. Anwar zawsze powtarza, że to się bierze z niedoboru potasu i że najlepszym na to lekarstwem jest codzienne jedzenie bananów. Ha, ha, ha. Może to i racja... chyba że przecucie zbliżającego się niebezpieczeństwa ma pokrycie w rzeczywistości, a bywa i tak. Anwar zawsze zatyka uszy, kiedy mu to mówię.

Autobus oddała się z buczeniem. W chłodnym nocnym powietrzu czuję się superowo... co skłania mnie do przyjrzenia się ubraniu. Teoretycznie wiatr na dachu powinien przewiać cienkie ciuszki i zmrozić mnie do szpiku kości.

Uuu! Te rzeczy na pewno nie wyszły z automatu! Tak mnie, kurka, przyćmiło odkrycie forsy, że nie zwróciłam uwagi na jakość kieszeni! Muszę przystanąć, na kilka sekund zamknąć oczy i spojrzeć ponownie, aby się upewnić, że nie są to omamy jak wtedy, gdy zobaczyłam mundur psychopolicjantki.

Próżne obawy. Mam na sobie to, czym prawdziwi ludzie okrywają prawdziwe ciało. Skrojony na miarę czarny żakiet, podobny w dotyku do atlasu, pod spodem srebrzysta koszula z napisem PRZYWRÓCIĆ ŁACINĘ oraz czarne luzackie spodnie w takim rozmiarze, że zmieściłby się w nich każdy mieszkaniec kuli ziemskiej. Buty to zwykłe dziadodasy, ale przynajmniej nówki. Dopiero teraz czuję, że koszula jednak ciut mnie uciska pod pachami, a żakiet ma przykrótkie rękawy... ale holender, kto by się czepiał szczegółów! Na moim grzbiecie to ubranie już nie jest ubraniem: staje się przebraniem.

A więc za kogo jestem przebrana?

Za kogoś, kto nie zabija, za kogóż by innego? – podpowiada mi ów wewnętrzny głos, który wszystkim ludziom przypomina, jakimi są głupcami. Taa, to wdzianko powinno zmylić tych, których zamierzałam zmylić. Nawet siebie zmyliłam, czyż nie?

– Przepraszam! – odzywa się czyjś uprzejmy, wzmocniony głos. O mało nie umieram z głupiego zaskoczenia. – Tu, wyżej – dodaje.

W przeszklonej budce na miejscu postojowym taksówek siedzi kobieta. I nie żaden hologram, a człowiek z krwi i kości. Tak się to robi w nadmieście: prawdziwi ludzie usługują prawdziwym ludziom.

– Halo! – wołam do niej z dołu.

– Nie trzeba krzyczeć, wszystko słyszę. Czy wezwać taksówkę, proszę pani?

Wkładam ręce do kieszeni i kurczowo chwytam zwitki banknotów. Sprawdzam, czy jeszcze tam są.

– Taa! Pewnie! – I dodaję w myślach: Dawaj ją tu zaraz! A najlepiej, kurka, ze dwie, żebym jedną miała w zapasie!

– Nocą w tym rejonie latają tylko taksówki z kierowcami. Czy nie ma pani nic



przeciwko temu?

Chodzi oczywiście o stawki, lecz po raz pierwszy nie jest to moje największe zmartwienie.

– Właśnie taką bym chciała – mówię z nutą ekstrawagancji.

– Z rozkładu ruchu wynika, że trzeba poczekać od pięciu do ośmiu minut. – Kobieta patrzy na coś, co ma przed sobą. Widzę tylko, jak na jej twarz pada blask ekranu. – Wydawanie przekąsek już się zakończyło, ale napoje są dostępne w automatach ściennych na lewo od pani. Oczywiście za darmo, co tylko pani sobie życzy.

Co tylko sobie życzę. Nowość dla mnie, ale można przywyknąć. Żegnam się machnięciem ręki i idę sprawdzić, co wytworna klientela dostaje za friko.

Żadnych fajerwerków, o czym informują tablice na ścianie. Trzy rodzaje kawy, sześć herbat, napoje bezalkoholowe, witaminizowana woda, mikstury na kaca, ale wszystko z markowymi nalepkami. Z każdą chwilą wzrasta mój zachwyty.

Postanawiam zbadać, czy darmowa brazylijska kawa z automatu w ścianie jest więcej warta niż świństwo, którym się zwykle truję. Po naciśnięciu tablicy zapala się przede mną ekran i pokazuje się krótki filmik reklamowy: antyczny srebrny dzbanek przechyla się i wlewa kawę do plastikowego kubka. Chwilę potem otwiera się wnęka pod ekranem i wyczuwam upojną woń. Kubek niczym nie różni się od tego z reklamy. Mały drobiazg, a cieszy.

Na ekranie wyświetla się napis: **JAK NAJCZĘŚCIEJ ROZKOSZUJ SIĘ NASZĄ SPRAWDZONĄ MIESZANKĄ! ZAPRASZAMY PONOWNIE!**

– Spadajcie! – ironizuję... i wtedy kosztuję kawę. I myślę: pieprzyć to! Odwołam taksówkę i zamieszkać tu, dokładnie tutaj, na postoju taksówek. Może zatrudnię się w budce: będę zamawiała taryfę dla bogaczy i kulturalnie informowała, że autem kieruje człowiek. Bo my, zabójcy, też umiemy się zdobyć na uprzejmość.

Na lądowisko opada taksówka, która jeszcze powiększa mój zachwyty. Porusza się w trybie niskosumowym, żeby hałas nie przeszkadzał bogaczom. Kierowca podnosi tylne drzwi. Gramolę się do środka. W jednej ręce trzymam kubek, z drugiej nie wypuszczam zwitku banknotów.

I tu małe rozczarowanie, ponieważ wewnątrz taksówki jest ździebko wyświechtane. Bogacze nie pieszczą się ze swoimi zabawkami. Przeźroczysta plastikowa przegroda między kierowcą a pasażerem jest otwarta. Podejrzewam, że wśród bogaczy nie ma zbyt wielu speców od napadów z bronią, przynajmniej w tej części „Kanionu Handlowego”.

– Cel podróży poproszę – odzywa się grzecznie kierowca. Taa, do tego z pewnością można przywyknąć. Bez namysłu podaję mu swój adres.

Odwraca się i przeszywa mnie takim spojrzeniem, że się boję. Może jestem

mordercą poszukiwanym w środkach masowego przekazu, a moje imię, adres i rysopis krążą po Dataline?

– To adres w podmieściu – mówi takim tonem, jakby chciał mi dać do zrozumienia, że mu wniosłam gówna na butach. Ja tylko siedzę i myślę, że to ma sens: porządni ludzie nie zapuszczają się do podmieścia.

Z westchnieniem zdejmuje swoją fantazyjnie ozdobioną firmową czapeczkę. Pod spodem ukazują się czarne włosy, ułożone w zawile jodelki, teraz w większości przyklepane.

– W podmieściu jest tylko osiem lądowisk na dachach, przystosowanych dla latających taksówek – mówi powolutku, jakbym w przeciwnym razie mogła nie zrozumieć co trzeciego słowa. – Po dwa na każdy kwadrant. Cztery blisko siebie w okolicach centrum, cztery rozrzucone na obrzeżach. Jeśli będę wiedział, dokąd właściwie lecimy, wysadzę panią na najbliższym lądowisku.

– Aha. – Niby powinnam to wiedzieć, ale dotychczas leżało to poza sferą moich zainteresowań. – Kwadrant północnozachodni. Znaczy... wewnętrzny.

Nadal nie spuszcza ze mnie wzroku. Staram się udobruchać go uprzejmym uśmiechem, ale najwyraźniej czeka na coś innego.

– Musimy się umówić na półtorej stawki – mówi oschle – bo będę wracał stamtąd pusty.

– Aha – powtarzam. Taa. Normalka. Trudno sobie wyobrazić, żeby natknął się na gromadkę bogaczy, chcących wrócić do nadmieścia po upodleniu się w terenie. Dopijam kawę i wrzucam kubek do wsysacza. – Półtorej stawki, nie ma sprawy. Niech będzie jak należy.

Mierzy mnie od stóp do głów, czeka jeszcze chwilę, jakby chciał zadać pytanie, lecz tylko wzrusza ramionami i odwraca głowę. Gdy się podrywamy w górę, przegroda się domyka. Może się boi, że po raz pierwszy władowała mu się na tylne siedzenie specjalistka od napadów z bronią. Spoko, wiesz tylko zabójcę. Mam wrażenie, że jestem bogatym dzieciakiem w dniu Narodowego Święta Prezentów; normalnie pofruwać mogę tylko wtedy, gdy pakują mnie na więźniarkę i wiozą do sądu. Ale teraz to zupełnie inna bajka.

Obraca pojazd, kierując się w stronę przydzielonego mu korytarza powietrznego, a ja przez tylną szybę podziwiam pożegnalny widok Royale.

W tym momencie kilka osób wyskakuje ze „Skrytki Davy’ego Jonesa” i biegnie po dachu na postój taksówek. Ktoś pokazuje nas palcem i wszyscy zadzierają głowy. Pewnie myślą, że sprzątnęłam im taryfę. Kiedy odwracają się w stronę przeszklonej budki, taksówka unosi się wyżej i wyrównuje lot. Widzę już tylko barwny, migotliwy wierzchołek „Kanionu Handlowego”, malejący w oddali.

\* \* \*

– ...jazdy. Jesteśmy na miejscu. Hej! Powtarzam: koniec jazdy!

Kierowca stuka w przegrodę. Musiałam się zdrzemnąć nie wiadomo kiedy. Jestem trochę skołowana. Grzebię w pliku banknotów, aż znajduję w środku niższy nominał, który wciskam do otworu na pieniądze. Co mu wcale nie poprawia humoru.

– Co to ma być? – pyta.

– Niby co? – Nie otrząsnęłam się jeszcze z resztek zakręconego snu o staruszku, który wypada z podniebnej wyspy.

– Pani co za jedna? Na zlecenie obrabia pani banki? Przyjmuję bony taksówkowe i karty chipowe. Co to za pieniądze?

Czyżby w czasie, kiedy spałam, zdarzył się jakiś przewrót finansowy?

– A co z nimi nie tak?

– Chce pani kupić buty, w porządku, ale moja kasa fiskalna w życiu tego nie przełknie.

Zaczynam się trząść ze strachu, aż ni z tego, ni z owego ogarnia mnie dziwny spokój. Gada mi tu o kasie fiskalnej, jakby od tego zależało moje życie!

– Guzik mnie obchodzą pańskie kasy, płacę półtorej stawki. Ja płacę, pan niech kombinuje.

Robi minę, jakbym napłuła mu na tapicerkę. Kiedy już się wydaje, że otworzy przegrodę i da mi w twarz, przyjmuje pieniądze.

– Same straty na takim kursie.

– To trzeba sobie lepszą kasę wstawić – odcinam się i bez jego pomocy wyskakuję z auta.

– Zaraz, chwila! – krzyczy, ale ja już idę w swoją stronę.

Szyb zjazdowy do ulicy nie działa, więc będę musiała pofatygować się zewnętrznymi schodami, ale dziesięć pięterek to jeszcze żaden dramat. Poza tym sama myśl o utknięciu w szybie może sprawić, że będę miała problemy z oddychaniem. Kiedy dochodzę do schodów z imitacji żeliwa, taksówka odlatuje. Środek nocy, dachy podmieścia – facet wolał nie przeciągać struny. Może się boi, że go zabiję? Po nas, którzy szastamy gotówką, można się chyba spodziewać wszystkiego.

Jestem już w połowie drogi na ulicę, kiedy wreszcie zadaję sobie pytanie, dokąd idę. A pytanie to jest tak doniosłe, że muszę usiąść na schodach i wymyślić godną odpowiedź. Wracaj do domu, pewnie, wleż na futon i nasuń koc na głowę z nadzieją, że po przebudzeniu będziesz wiedzieć wszystko i jeszcze trochę. Problem w tym, że nie chcę zostać sam na sam ze swoimi zwidami. Teraz, skoro nie jestem już w klubie, tylko na starych śmieciach w podmieściu, mam wrażenie, że zbliża się chwila, kiedy braknie mi oddechu. Że zbliża się niebezpieczeństwo. A nie mam pod ręką banana...

A, walić to! Wstaję i schodzę do samej ulicy. Po prostu pójdę do Anwara. Mieszka praktycznie jedną przecnicę stąd. Wszystko mu powiem, to da mi banana, a przynajmniej pozwoli u siebie przenocować. Ja w tym czasie spróbuję przemyśleć to i owo, żeby sobie przypomnieć, kogo straciłam w przepaść, a także kiedy i dlaczego.

Oczywiście nasuwa się kopane pytanie: czy naprawdę chcę się tego dowiedzieć?

Holender, tłukę łbem o swój łeb i nic. Ha, ha, ha.

\* \* \*

W połowie drogi do Anwara mijam całodobowy lombard. Czas na krótką przerwę. Chciałabym jak najszybciej zmyć się z ulicy, ale wiem, że zaglądałam tu w interesach. Mogły tu jeszcze zostać na stanie moje przedmioty, a przynajmniej dysponuję środkami, żeby je wykupić.

Myślę, czy nie wstąpić by... i tak myślę i myślę... a kiedy przytomnieję, ledwo się trzymam parkometru, o włos od zsunięcia się z krawężnika do rynsztoka. Na litość boską, jeszcze omdlenia! Robię się niebezpieczną zawalidrogą. Mam na tyle przytomności umysłu – ha, ha, ha – żeby dać sobie spokój z lombardem i pokłusować do Anwara; znaleźć bezpieczny kąć, nim odwalę totalne zaciemnienie i obudzę się w powielarni lub gorzej.

Ale przyszła myśl druga: walić to! Skoro już tu jestem, czemu by nie wejść? Po co robić dwa razy tę samą drogę?

Za ladą właścicielka lombardu unosi brwi i nie przestaje rozczesywać białych włosów.

– Co rusz cię tu niesie – mówi. – Powiesz mi czarodziejskie słówko?

Gdzieś w zakamarkach mojego umysłu coś przeskakuje i słyszę cichy głosik: powiedz.

Powiedz? Ale co? Przez chwilę mam wrażenie, że ktoś mi napchał siana do głowy.

– Kiepska noc, co?

Słuszniej byłoby powiedzieć: kiepskie życie. Ale przynajmniej przypomniałam sobie jej imię.

– Masz coś mojego, Ofra?

Przypatruje mi się dłuższą chwilę, nim przesuwa dłoń nad ekranem stojącego obok komputera. W czasie gdy sprawdza listę towarów, jej oczy o wyglądzie księżycowych kamieni wędrują z boku na bok, a potem wywracają się do góry. Powoli tracę cierpliwość.

– Nie mam nic, wszystko poszło.

– Do kogo?

Z jej miny można wnosić, że odkąd po raz pierwszy wyciągnięto oczy, świat nie

widział takiej świruski. Zamierzam włożyć rękę do kieszeni, lecz coś mi stanowczo mówi, że próżne moje nadzieje. Ona mi nie powie, kto wyniósł stąd moje rzeczy, kiedy balowałam za siedmioma górami.

Zauważa moje zawahanie i wargi jej drżą.

– Znowu na zerze?

Otwieram już usta, by powiedzieć, że nie, że właśnie wygrałam na loterii, ale znowu coś mnie powstrzymuje. Wzruszając ramionami, wyciągam rękę z kieszeni.

– Nawet bogacze z nadmieścia czasem z trudem wiążą koniec z końcem.

– Bogacze mają zdolność kredytową, a ty nie pamiętasz nawet czarodziejskiego słówka.

Wypowiadam więc niecenzuralne słówko, zastanawiając się, czy nie wchodzę już we wczesne stadium nieuleczalnej choroby psychicznej. Jakaś blokada nie pozwala mi mówić, że choć raz posiadam więcej szmału niż wspomnień. Mam ochotę zapytać, co powiedziałam ostatnim razem, co robiłam, jak się zachowywałam i czemu nie wybrałam opcji priorytetowego wykupu, lecz przeczucie mi mówi, że ona nie piśnie słówka, choćbym błagała na kolanach. Będzie tylko patrzeć na mnie ze znudzoną miną.

Odwracam się, żeby wyjść, i dostrzegam tuż za drzwiami dwie łyse głowy. Super, tego jeszcze brakowało. Dwójka cebulopałów cierpiących na bezsenność szuka frajera, którego można oskarżyć o naruszenie przestrzeni małżeńskiej i sprać na krwawą miazgę. Pewnie szli za mną krok w krok, odkąd wyszłam z taksówki na dachu. Cebulopały często tak robią dla zabicia czasu.

Widzą mnie i szczerzą zęby do siebie. Taa, już się szykują. Nie wejdą do środka, żeby mnie dorwać, ponieważ nie mogą nic mi zarzucić w miejscu publicznym o powierzchni mniejszej niż dziesięć tysięcy stóp kwadratowych. Tak stanowi prawo. Odwracam się do Ofry.

– Czy mogę wyjść tylnymi drzwiami? – pytam pokornie.

Patrząc na cebulopały, Ofra śmieje się półgębkiem.

– Taa, nie ma sprawy. Za darmo, jak dla ciebie. Nie musisz mi nawet mówić czarodziejskiego słówka. – Ruchem głowy wskazuje kotarę za swoimi plecami. – Bierz nogi za pas. Cebulopały mają dobrą pamięć... w przeciwieństwie do ciebie. I wróc, kiedy przypomnisz sobie czarodziejskie słówko.

Wsadź je sobie, Ofra. Tytułem pożegnania rzucam jeszcze jedno niecenzuralne słówko. Zaraz za kotarą jest wyjście do zaułka. Biorę nogi za pas, jakby mnie wilki goniły. Cała wygłodniała wataha.

\* \* \*

– O, rany! – mówi Anwar. – Robisz to, bo lubisz się nade mną znęcać, czy jesteś może praktykującym psycholem? – Na małym ekranie domofonu jego twarz przypomina niepościelone łóżko, co wynika po części z tego, że wyrwałam go ze snu, a po części z niskiej rozdzielczości. Ale słyhać brzęczenie i mogę wejść.

Kiedy wchodzę do mieszkania, czeka już na mnie z filiżanką kawy. Założmy, że to kawa; po skosztowaniu ekskluzywnej brazylijki wyczuwam wszystkie chemiczne dodatki, którymi nasączono rozpuszczalne kostki. Ale liczy się dobra wola.

– Bo jesteś prawdziwy – odpowiadam, popijając kawę bez grymasu obrzydzenia.  
– Jesteś najprawdziwszy z prawdziwych. Najprawdziwszy, jakiego znam.

Drapie się przez szlafrok.

– Taa, ale... – ziewa – ...to ostatni raz, Marceline. Ostatni raz, cholera. Albo się poddasz, albo się tu więcej nie pokazuj, bo nie chcę się pakować w kłopoty. – Znowu ziewa i ciężko siada koło mnie na porzrzucanych poduszkach, które udają łóżko.

Można się załamać. W tej sytuacji napastujące mnie wspomnienie urwiska oznacza ni mniej, ni więcej, że jestem znanym zabójcą.

– Może powinnam rzucić to na amnezję? – mówię. – Albo zaciemnienie? Traktują cię wtedy ulgowo, nie?

Szesuje z czoła czarne włosy i przygląda mi się z przymrużonymi powiekami.

– Kto? Kto cię potraktuje ulgowo? Bateau nie daje roboty półgłówkom, więc chyba jesteś psycholem.

Nieruchomieję przy połykaniu kolejnej porcji trucizny.

– Bateau?

Anwar podnosi ręce i z klaśnięciem łączy je przy twarzy.

– Matko Boska, ona zapomniała, że pracuje dla Bateau! Cholera, lepiej już zapomnę o spaniu. Gdybym się teraz położył, mógłbym się rano nie obudzić. Jak mogłaś mi to zrobić? – Wstaje i maszeruje do sypialni. – Pij prędko! – woła przez ramię. – Idziemy na randkę w węźle wspomnień.

Holender, to wygląda coraz gorzej, myślę z przerażeniem, wylewając końcówkę kawy do zlewozmywaka w kuchence. Pracuję dla Bateau. Widzę znowu urwisko i wiem już, na czym polega mój fach. Boję się, że wyhaftuję wnętrzności. Anwar wychodzi z sypialni, dopinając bladopomarańczową koszulę, i zastaje mnie nad zlewem, gdzie wypluwam resztki wymiocin.

– O, w mordę... – mówi. – Chciałbym ci powiedzieć, że nie jest tak źle, ale oboje wiemy, że to nieprawda. A raczej będziemy wiedzieli, kiedy dojdiesz do ładu w swojej głowie.

– Długi wpędziły mnie na samo dno, co? – Wycieram usta rękawem, zapominając, że mam na sobie drogie ciuchy. Chwytam ścierkę leżącą na blacie i próbuję zetrzeć plamę. – Długi urosły i musiałam szukać roboty w usługach eskortowych, tak było?

Anwar wzdycha.

– Marzenia ściętej głowy.

Kurka, chyba zapaćkałam na amen ten rękaw.

– Jak to?

– Możesz sobie pomarzyć, że eskortujesz dla Bateau. Że nadal dla niego eskortujesz. – Podchodzi i muska dłonią klapę mojego żakietu. – Nie stroiłaś się w takie łaszki tydzień temu, zanim zaginęłaś.

– Wcale nie zaginęłam – mówię, choć nie wiem, jak było naprawdę. Mam wrażenie, że kłamię, ale to wciąż tylko wrażenie. Przerąbane...

– A co, byczyłaś się na Tahiti? A może imprezowałaś nad morzem? Przez cały tydzień nie dawałaś znaku życia, a kiedy ktoś po robocie znika na długo, Bateau zakłada najgorszy scenariusz.

Przełykam ślinę i pytam:

– Najgorszy, czyli jaki?

Anwar przewierca mnie wzrokiem w świetle kuchennej lampy.

– Ty pytasz poważnie – mówi. – Pytasz poważnie, cholera, najpoważniej jak się da, bo naprawdę, cholera, nie wiesz! Niech to chuj jasny strzeli!

– Skoro nie wiedziałam, że pracuję dla Bateau, skąd miałabym wiedzieć, co byłoby najgorsze? – Logiczne pytanie.

– Weź no popatrz na siebie! – Chwyta żakiet i potrząsa mną. – Jesteś ubrana jak... jak... zasrany podatnik, jak jakiś zakichany bogacz na dziennym etacie! Klienci dają napiwki, ale nie w postaci takich fatalaszków, a nie uciulasz tyle, żeby cię było stać na coś takiego. No chyba że zaczniesz brać fuchy.

Zanosi się na to, że mnie uderzy, lecz robi coś o wiele dziwniejszego. Obejmuje mnie mocno ramionami.

Słysząc jakieś piknięcie. Początkowo myślę, że pękły mi bębenki czy coś w tym stylu od tego ściskania, ale zaraz rozlega się drugie piknięcie. Wiem już, że to u niego. Trzymając mnie jedną ręką, drugą sięga do pasa i przy czymś gmera.

– Co to? – pytam z nosem przy jego piersi. – System wczesnego powiadamiania? Bateau już po mnie leci?

– Nie, to tylko pompa. Zamknij się.

– Pompa? Czemu pika?

– Stan bliski przepełnienia. Musiałem ją wyłączyć. Zamkniesz się wreszcie?

Udaje mi się od niego oderwać i wziąć głębszy oddech.

– Słuchaj no, ja naprawdę nie wiedziałam, że zaginęłam. Nie wiedziałam, że mam się gdzieś stawić. Skoro nie było mnie przez tydzień, to znaczy, że ktoś mnie gdzieś siłą przetrzymywał. I po jakiego czorta nosisz ze sobą tę pompę?

– Jeśli chcesz, żeby Bateau ci uwierzył, pakuj swoje kopane dupsko do węzła

wspomnień i poszukaj zdobyczy wojennych. Lepiej, żebyś je znalazła. Niejeden przywłaszczał sobie fanty, a potem opowiadał pierdy o porwaniu i utracie pamięci, to wymówka stara jak świat. Bateau od lat czegoś takiego nie łyknął.

– A jeśli to nie wymówka? – pytam, myśląc o forsie w kieszeniach. Jezu, jeśli w ten sposób ją zdobyłam, to rzeczywiście muszę być psycholem i nic dziwnego, że figę pamiętam.

– To masz podwójnie przejebane. Zakłada najgorszy scenariusz, to nie żart. Pakuj się do węzła wspomnień, pozbieraj do kupy wszystko, co pamiętasz, i podaj mu to na srebrnej tacy. I tak odemknie ci czachę, żeby się rozejrzeć. Nie będzie to twój najlepszy dzień w życiu. Ale przynajmniej w miarę bezboleśnie wydobędzie z ciebie wszystkie informacje.

Uprzedza mnie, że Bateau będzie łąził w gumiakach po moich neuronach. Nie mogę w to uwierzyć. Nie chcę w to wierzyć, a nawet o tym myśleć. Cofam się kilka klatek.

– Na co ci pompa?

Teraz się wkurza jak niektóre znane mi cebulopały.

– Na co mi pompa, ona pyta! A po co ludzie noszą pompy?

– Wiem, cholera, do czego służy pompa! Chcę wiedzieć, co wypompowujesz?

Wydaje z siebie odgłos, który mógł być śmiechem w jego poprzednim życiu.

– Ciebie – odpowiada. – Ciebie wypompowuję. I za każdym razem, kiedy spotykamy się twarzą w twarz, skurwielowi brakuje skali i muszę go wyłączać.

Ciągle jeszcze próbuję połapać się w tym wszystkim, kiedy wywleka mnie z mieszkania.

\* \* \*

W podmieściu tuż przed świtem panuje martwota. Miejsca parkingowe przy krawężniku są nieprzepisowo wypełnione przez parki i trójki, przeważnie kogucików i gońców. Później zostaną zwolnione, gdy parkingowi wywiozą delikwentów więźniarkami za poważne przestępstwo niezmieszczenia się w dwugodzinnym limicie czasu. Parkingowi nie powinni tego robić, tylko usuwać ich na bieżąco, lecz dostają dolę od wystawionych kar, więc opłaca im się odczekać parę godzin. Pewnie dzięki temu ich zaszrane parkingowe życie zyskuje nową jakość. Winowajcy przed udaniem się na rozprawę mogą za darmo wyspać się i dokonać więziennych ablucji. Kto wie, może w ten sposób każdy każdemu wyświadcza przysługę?

Zresztą też mi się znalazła krytykantka! Eskortant raczej nie ma prawa wymagać od innych poszanowania zasad moralnych. Ja nawet nie mam prawa krytykować samego eskortowania. Wcale się nie dziwię, że się w to wpakowałam. Nie umiałabym



wskazać żadnego uzależnionego, dosłownie ani jednego, który nie zrobiłby w końcu czegoś szalonego, żeby wykarmić bestię. Trudno o coś bardziej szalonego niż eskortowanie i nawet jeśli tego wcześniej nie wiedziałam, to teraz, kurka, już wiem... bo świadczy o tym fakt, że mam do cna spraną pamięć. Jakbym celowo się jej pozbyła.

Co byłoby bardzo głupim posunięciem, biorąc pod uwagę istotę zleceń od Bateau. I to chyba moje najgorsze odkrycie, odkąd sięgam pamięcią – ha, ha, ha – choć zaraz na drugim miejscu plasuje się wiadomość, że właśnie ukazałam się światu po tygodniowym zaginięciu. Nie pojmuję, co mi strzeliło do głowy, żeby tak się załatwić, ale, cholera, mam nadzieję, że utracone dane są do odzyskania, że czekają gdzieś na mnie bezpieczne i nienaruszone. Bo nawet najbardziej wielkoduszny alfons, zwący się szumnie agentem, wywlecze mi mózg nosem za dorabianie na boku.

A skoro jesteśmy już przy temacie złych wiadomości, to zastanawiam się, czy mówić Anwarowi, że powinniśmy się wystrzegać nisko przelatujących eskadr cebulopałów. Lepiej nie: po co dołować go jeszcze bardziej? I tak już zawsze będzie mi wytykał, że zapomniałam o tej jego pompie. Łudzę się, że to zapomnienie było przypadkowe, wynikające z ogólnych czystek w pamięci, bo nie chciałabym być osobą, która rozmyślnie zapomina o czymś, co dla kogoś ma takie znaczenie. Ćpam, to prawda, ale nie jestem bez serca. Chociaż to, że on nosi pompę, a ja nie, nie uszło niczyjej uwagi, nawet jeśli o tym nie rozmawiamy.

Pompa musiała być pomysłem Bateau, ale to też pomijamy milczeniem. Nie czuję potrzeby, aby to roztrząsać. Co najlepiej świadczy o tym, jakie życie teraz prowadzę. Może kiedy odzyskam wspomnienia, zrozumieć, dlaczego zesłam na tę drogę.

Nie mam czasu nad tym debatować, bo jesteśmy już przy węźle wspomnień i Anwar popycha mnie do drzwi wejściowych.

\* \* \*

„Musisz To Sobie Przypomnieć” jest jednym z tych miejsc, które bogacze, jak się przechwalają, odwiedzają w trakcie upodlanek. Kiedyś faktycznie widziałam kilku wchodzących do poczekalni; ze sześciu poruszało się tak, jakby byli związani sznurem na podobieństwo jakiejś pokręconej cebulopałowej grupy małżeńskiej. Pewnie i byli. Rozejrzeli się i jeden z nich odezwał się głośno:

„Jeju, myślałem, że pod tym adresem jest bar”.

Wynieśli się po tych słowach. A przecież tu nie jest aż tak źle... wedle podmiejskich standardów.

W poczekalni ani żywej duszy. Ekrany ścienne są wygaszone z wyjątkiem jednego, na którym wyświetlają się ogólne wiadomości z Dataline. Facet obsługujący klientów pilnie ogląda coś na komputerze. Z pewnością się znamy; mam jego imię na końcu

języka i już, już bym je wypowiedziała... ale mi ucieka.

Na widok Anwara zeskakuje z krzesła z wyszczerzoną japońską. Interesy muszą iść wszawo.

– Masz kogoś do całościowej stymulacji? – Anwar wskazuje mnie kciukiem.

– A jak ci się wydaje? Przecież to węzeł wspomnień – odpowiada facet z nieprzerwanym uśmiechem. – Tych bez zapisu przyjmuje Sally.

W „Musisz To Sobie Przypomnieć” trzeba zapowiedzieć się z odpowiednim wyprzedzeniem. Aż dziw, że zrobili wyjątek. Spoglądam na siebie. Może zdecydowały markowe ciuchy, które mam na sobie?

Anwar chwyta mnie za rękę.

– Idź, ja funduję. Ten jeden ostatni raz. I wyjdź z fantami albo nie wychodź wcale.

Popycha mnie do drzwi, które facet już przede mną otworzył. Wchodzę do wąskiego, długiego korytarza, gdzie z najbliższych drzwi wyściubia głowę kobieta.

– Stymulacja? – pyta.

– Tak trudno się domyślić?

Nie poznaję jej. Ma lśniące czarne włosy, złocistą cerę i onyksowe oczy. Efekt niesfornej księżniczki. Aż nagle kto inny zbliża się do mnie korytarzem i zapominam o księżniczce. Ta chyba chce się zagłodzić na śmierć. I nie jest to zwykła chudzina, po prostu skóra i kości. Na piersi nosi plakietkę, a na niej nazwisko czarnymi, wytłaczanymi literami: SALLY LASER. Kiedy kładzie na moje ramię patykowatą dłoń, mam idiotyczny przebłysk, że mnie eskortuje, a reszta to halucynacje. Jej dłoń wydaje się prawdziwa, ale my, narąbańcy, dobrze wiemy, że sam dotyk nie wystarcza, by stwierdzić, że coś jest prawdziwe.

Bez ceregieli prowadzi mnie do swojego gabinetu, przy czym trzyma mnie mocno, jakbym pod wpływem impulsu mogła jej się wyrwać... co daje do myślenia, bo może mam powód, w końcu widzę kanapki.

W zasadzie najpierw czuję ich zapach. Ma na biurku wielki kopany półmisek z kanapkami – nie takimi z jadalnego poliestru, ale prawdziwe żarcie. A takie zawsze poznaję po zapachu. Gdybym zamknęła oczy, mogłabym sobie wyobrazić, że jestem w delikatesach. Ona zachowuje się tak, jakby ich nie było, a puszcza mnie dopiero wtedy, gdy siedzę na szeszlunku po drugiej stronie gabinetu, obok jej systemu.

– Wyciągniesz sama oczy czy mam cię wyręczyć? To darmowa usługa.

Wykładam nogi na grubaśną poduchę, nim mi w tym pomoże. Szeszlunek porusza się pode mną i przez chwilę mam stracha, że usiadłam na żywym ustrojstwie, które dopasowuje się do każdego kształtu, ale na szczęście to tylko zwykły mebel z samoregulacją. Swoją drogą ciekawe, dlaczego Sally Laser pracuje na tym wygwizdowie, skoro pieniądzom lub układom zawdzięcza takie wyposażenie.

I oto niesie mi okrągłą łyżkę z długą rączką.

– Niech pani z tym nie podchodzi – mówię i wyłuskuję lewe oko. Podsuwa mi już pojemnik z płynem, a ja śpieszę się z drugim okiem, bo jeszcze pomyśli, że oddaję sprawę w jej ręce. Tylko po co ta gonitwa? Czyżby naprawdę czekali już następni klienci, czy może chudzielcy muszą poruszać się chyżo, gdyż spodziewają się, że stracą jeszcze trochę wagi i znikną?

Przewody od jej systemu są nowiuteńkie, co stwierdzam, gdy gładko, bez jakichkolwiek szarpnięć, wpinają się do nerwów wzrokowych. Czy jestem pierwsza, która ich używa? Korci mnie, żeby spytać, lecz odcięto mnie od wrażeń zmysłowych... i bardzo dobrze, bo zapach kanapek zaczynał już przyprawiać mnie o mdłości.

Ćwiczenie relaksacyjne to powtarzająca się zonglerka kolorami, prostsza niż to, do czego przywykłam, ale nie chcę wybrzydzać. W ciągu ostatnich godzin stałam się potulna jak owieczka w stadzie. Jeszcze chwila i zacznę przeżuwać trawę.

Zastanawiam się najwyżej przez ćwierć chwili, czy będę tego żałować. Momentalnie przenoszę się do systemu, gdzie towarzyszy mi tylko chyża Sally Laser.

\* \* \*

To znowu „Skrytka Davy’ego Jonesa”, tyle że bez ryb i ludzi. W nastrojowo przyciemnionym podwodnym świetle jestem tylko ja i lustro. Tylko ja i lustro, dosłownie, nawet nie mam jeszcze odbicia. Zaczynam się obawiać, że to był o wiele gorszy pomysł, niż się wydawało, gdy po raz pierwszy ujrzałam kopaną Sally Laser.

A skoro o tym mowa, to gdzie ona się, kurka, podziewa? Macham ręką przed lustrem w nadziei, że uda mi się wywołać jakiś obraz. W lustrze nic się nie dzieje, ale odnoszę dziwne, niejasne wrażenie, że w dali coś się porusza w odpowiedzi na mój gest. Czyżby Sally dawała mi znaki? Może jej umysł jest tak samo wychudzony jak ciało? Niewykluczone, że wniosłam tu z zewnątrz to odczucie, ale też możliwe, że ona naprawdę się głodzi.

Spotykając się z kimkolwiek psycha w psychę w systemie – nawet najprostszym, okrojonym do jednej funkcji – można się otrzeć o strzępy osobowości, fragmenty wewnętrznych przeżyć drugiej osoby. Ale kopana Sally Laser spieprzyła mi nie wiem gdzie. Przypomina uproszczoną osobowość maskującą w systemie, przydatną do testów, a poza tym prawie niewidoczną.

Trudno tu mierzyć upływ czasu. W systemie czas przypomina błotnisty potok, miejscami gęsty i ślamazarny, miejscami lekki i rwący. Wszystko podlega subiektywnej ocenie i tylko leszcze, co to jeszcze wczoraj jechały na wozie z rzepą, wierzą w bajkę o narąbańcu, który umarł ze starości w ciągu trzech godzin zegarowych.

Sally Laser – no tak, już samo nazwisko dowodzi, że stworzono ją do podróży z

prędkością światła, ale musiałaby być maszyną, żeby za każdym razem pracować w tym samym tempie, a nawet kontrolować własny czas. Może nie umie się ze mną zsynchronizować i to nas od siebie oddała? Czekam, aż coś wykombinuje, żebyśmy mogły tu istnieć jedna przy drugiej. Za wszystko płaci Anwar, ale gdybym wiedziała, że spotkam tu tak niekumatą istotę, kazałabym sobie zapłacić.

*Czekam na sygnał Sally...*

Zero odpowiedzi.

*Sally?*

Strojenie fochów zwykle nie popłaca, jeśli jest się na łasce i niełasce czyjegoś systemu, ale można zdechnąć z nudów, i to zdechnąć w męczarniach, kiedy nie ma co robić w masakrycznie skąpym graficznym otoczeniu.

Ostro już kombinuję, czy nie wyobrazić sobie wyjścia i nie spylić stąd w diabły, gdy nagle zaczyna mnie ogarniać dziwne uczucie, jakby osiadała na mnie chmura kurzu. Początkowo sądzę, że to resztki moich rozmyślań o przeobrażaniu się w owcę; czasem takie cudactwa wracają jak bumerang. Ale to nie ja, to Sally. Czyżby... coś przeżuwała?

Żuje, a jakże. Nie je, tylko żuje.

Hej, weź się opanuj: zwierzęta hodowlane nie walczą w wadze szkietetowopiórkowej. Nagle z siłą huraganu atakuje mnie delikatesowy smak i zapach, ostro i z wykopem. Sally żuje i żuje, żuje sobie w najlepsze, a mnie instynkt mówi, że to jest właśnie jej zajęcie. Każdy bez wyjątku ma swojego konika, a konikiem Sally jest żucie.

Nie mogę otrząsnąć się z kopanego wrażenia, że sforsowała własne zapory i naprawdę coś zre. Przed wejściem do systemu, żeby nie lunatykować, należy wyłączyć ruchy ciała w rzeczywistym świecie, lecz Sally zajmuje się żuciem niezwykle sugestywnie i mogłabym przysiąc, że gdybym w tym momencie wetknęła sobie oczy, zobaczyłabym, jak siedzi przy biurku i z niewidzącym spojrzeniem, z kablami zwisającymi spod półprzymkniętych powiek... je kanapkę.

Mój żołądek wszczyna bunt. Nie dość, że smak jest ohydny, bo zbyt silny, żeby go lubić, to jeszcze ona dobija mnie tym swoim nieprzełykaniem. Żuć i przełykać, oto naturalny porządek rzeczy, ale Sally tylko żuje i koniec.

W ten sposób nigdy się nie utuczy. Ha, ha, ha. Szkoda, że to mnie nie śmieszy. Próbuję się skupić na przełykaniu: jeszcze pożałuje, że po połączeniu się ze mną wciskała mi na chamca swojego kopanego konika. Ale Sally niczego nie zauważa. Nic jej nie rusza, kiedy trwa w swojej szczytowej nirwanie.

Koncentruję wzrok na lustrze. Do licha, coś tam się wreszcie musi pokazać!  
*Dobra, Sally, zobaczmy, co z ciebie za ziółko...*

Lustro zachodzi mgłą, powoli wyłania się obraz. Widać jakiś gabinet... ale czy ktoś kiedykolwiek pracował w takim wnętrzu? Pełno w nim masywnych mebli: są

wytapicerowane do przesady krzesła, które wyglądają tak, jakby walczyły ze sobą o przestrzeń, jest staroświeckie biurko z przedziwnymi wypukłymi bokami, nawet lampy mają kształt kuli z fakturą przypominającą fałdy tłuszczu.

Chyba trafiłam do tajemniczej Sallylandii. Nie wróżę jej przyszłości w tym biznesie, jeśli będzie wciskała klientom swojego konika – nawet tu, w podmieściu. Może jest eks-fetyszerką, która nie może zerwać ze starymi nawykami? Fetyszerzy to po prostu marni handlarze neurozą bez zahamowań w swej działalności misyjnej. Gdybym wiedziała, że to jedna z nich, żadną forsą nie zaciągnęłaby mnie na szeslong. Anwar funduje, wolne żarty...

I wreszcie ją dostrzegam: czai się między tymi wszystkimi opasłymi krzesłami, zajęta czymś do tego stopnia, że nie zauważa mojej obecności. Pipa jedna!

Ruszam w jej stronę, szykując się na starcie, gdy raptem w lustrze między nami pojawia się nowa postać i zasłania mi Sally.

To ona! Ta sławna – ta, która użyczyła twarzy rybie. Co jest, kurka?!

Mylę się, to jednak nie ona, lecz ktoś zupełnie inny.

Nie, teraz się myślę. Właściwie to nie myślę się, tylko nie do końca mam rację. Cholera jasna, co tu się wyrabia? Czemu ciągle wchodzę do gówna?

Czekaj no, mówi w lustrze ta druga kobieta. Tego właśnie szukasz. Skinieniem ręki każe mi podejść bliżej. W jej dłoni coś błyszczy.

\* \* \*

A więc zabiłam. Trudno, bywa i tak. Sam się o to prosił.

Tak się to kończy, kiedy przy stole z ruletką kładziesz na szalę własne życie i przegrywasz.

Oto co pamiętam:

Staroświecka ruletka na podniebnej wyspie. Podniebna wyspa... Jeśli Royale to wyżyny, podniebna wyspa musi być samym niebem. Wszyscy tam paradują w ubiorach z dawnych epok, kiedy ludzie uwielbiali paradne stroje, a poruszali się jak gdyby w zwolnieniu. Zresztą jak tu się szybciej ruszać pod zwałami brokatów, jedwabi i koronek?

Facet miał na sobie sztywne czarne ubranie: koszulę ze śmiesznym stójkowym kołnierzem, śmieszny krawat i marynarkę rozdzieloną dołem na dwie części; nazywał to frakiem. Skóra koloru jasnego szlachetnego drewna, ale tylko tutaj, na podniebnej wyspie. Gdzie indziej wyglądał jak kupa ciemnego popiołu i rurek wyrastających ze wszystkich naturalnych otworów ciała oraz kilku takich, których dawniej nie było.

*Atak szybko postępującej progerii, tak mi powiedział. Zdarza się, kiedy organizm przeszedł zbyt wiele kuracji odmładzających. Komórki reagują na leki*

*przyśpieszeniem procesów starzenia.* Można powiedzieć, że natura zezwala człowiekowi na określoną liczbę operacji, a potem wali w przycisk szybkiego przewijania.

Ale w największym kasynie na podniebnej wyspie był z niego istny okaz zdrowia, gdy kąpał się w złotym świetle, wpadającym ukośnie przez okna rozmieszczone naokoło sali. Po jednej stronie można było zobaczyć słońce zawieszony nad pasem obłoków. Czekają. Po przeciwnej stronie niebo pociemniało, powoli nadchodził wieczór. I on czekał.

A koło ruletki obracało się z odgłosem szybkiego tykania, kulka przetaczała się nad przedziałkami i przy każdym podskoku zmieniała kolor z czerwonego na biały, czarny i z powrotem. Koło było staroświeckie, lecz kulka odpowiadała najnowszym standardom. Te stare nigdy nie zmieniały koloru. Miał te swoje zamienniki pieniędzy (nazywał je żetonami) i przed każdym zakręceniem kołem kładł kilka z nich na jeden numer. Gdy koło się zatrzymywało, stosik żetonów czasem topniał, a czasem się powiększał. Tylko on grał, bo nikt więcej nie miał żetonów. Wszyscy inni, nie wyłączając mnie, patrzyli i czekali – tak samo jak z jednej strony czekało słońce, a z drugiej czekała noc.

Oto co pamiętam:

Nic mu nie brakowało do szczęścia. Powiem więcej: naprawdę istniało siódme niebo i on się w nim znajdował.

*W swoim życiu wypróbowałem wiele niebanalnych sposobów uszczęśliwiania i unieszczęśliwiania, wygrywania i przegrywania, mówił, lecz ostatecznie wszystko się sprowadza do stosunkowo prostej rzeczy: stołu z ruletką.*

Niewiele wiedziałam o tych sprawach, a i on nie rozwijał tematu, choć nie omieszkał dodać, że prędzej czy później fortuna przestaje sprzyjać człowiekowi.

Zauważyłam tę chwilę, kiedy szczęście się od niego, odwróciło. Koło kręciło się niby zwyczajnie, lecz stosik żetonów nie urósł już ani razu. Po trochu malał i malał, aż został mu ledwie jeden żeton. Tyle numerów i tylko jeden żeton. Podniósł go i przytrzymał w dwóch palcach na wysokości oczu. Tym razem to ja wybierałam numer.

To było nieuniknione, do tego właśnie dążył. Wzięłam żeton i położyłam go na najbliższym numerze. Nagle wydało mi się to najpiękniejszą rzeczą na świecie – to, jak ten żeton leżał na polu dającym przegraną.

*Spośród tylu zawilóści, powstałych z samego trwania, oto co mnie i każdemu w końcu pozostaje: poczucie piękna... i straty.*

Koło się zakręciło, kulka podskakiwała, zmieniając kolory, aż spoczęła na liczbie, której wcześniej nawet nie zauważyłam: podwójne zero.

*Kasyno inkasuje. Wszyscy przegrywają.*

Wszyscy, ale nie ja. Na stole nie leżały przecież moje żetony.

Okna po słonecznej stronie wyspy rozwarły się na oścież. Do środka wpadł wicher, targnął koronkami i jedwabiami i zanim ucichł, rozrzucił wszystkie żetony. Mężczyzna wstał od stołu i podał mi ramię.

*Teraz już możesz mnie... eskortować, powiedział.*

Ramię w ramię podeszliśmy do otwartego okna. Gdy wspinał się na parapet, na sali panowała grobowa cisza. Przez pewien czas patrzył na równy ocean chmur, potem odwrócił się i wyciągnął rękę, żeby pomóc mi wejść. Nie miałam nic przeciwko, tam mogłam mu jeszcze towarzyszyć. Suknia, którą na mnie włożył, była ciężka i kłująca, ale jakoś zdołałam stanąć koło niego.

Słońce jeszcze czekało.

*Cieszyłem się każdą chwilą.* Odsunął się od ościeżnicy. Trzymając się mnie, balansował na wąskim parapecie. Uchwyciłam się mocno okna. Oderwał stopę od parapetu. Wydawało się, że stanie na puchowej chmurze i oddali się spacerowym krokiem.

*Każdą chwilą życia,* powtórzył, a ja wiedziałam, że to mnie przyjdzie puścić jego rękę. Chciałby to zrobić sam, ale nie mógł się zdobyć na odwagę. Jak wielu w jego sytuacji. Głównie dlatego wynajmowano eskortantów.

*Dalej nie idę,* ostrzegłam.

*Podwójne zero,* powiedział. *Wszyscy przegrywają.*

Wszyscy, którzy mają na stole żetony.

Do tego też już przywykłam. W dziewięciu przypadkach na dziesięć tak się to kończyło. Przyzwyczajali się do towarzystwa i zapominali, że o tej ostatniej chwili powinni mówić w pierwszej osobie liczby pojedynczej. Nie przeszkadzało mi to, że muszę go trzymać. Łącząca nas więź ujawniała wszystko, co chciałam wiedzieć. Również ten moment, kiedy powinnam puścić jego dłoń.

Nie było zawahania się czy krótkiego pożegnania. Najzwyczajniej w świecie runął plecami w chmury i tyle go widziałam.

W mgnieniu oka znalazłam się we wnętrzu. Pozostali ustawili się pod oknem w uporządkowanym szeregu. Jeden po drugim wyskakiwali i spadali, nadal jakby w zwolnieniu.

Wszyscy uwierzyli, że świat się kończy wraz z nimi. Nawet ci, którzy mieli w tej kwestii inne zdanie. Takie właśnie powstawało wrażenie – że to bezapelacyjnie kończy...

\* \* \*

...kwestię?

Przystojniak w paradnym stroju, umazany grubym makijażem, podaje mi jakiś

cienki maszynopis. Przedobrzył z makijażem i strojem do tego stopnia, że nie od razu dostrzegam w nim faceta ze „Skrytki Davy’ego Jonesa” – pierwszą osobę, którą tam zobaczyłam po odzyskaniu przytomności. *Chcesz sprawdzić kwestię? Chcesz sprawdzić...?*

Kwestię? Nie. Wiem, jak brzmi. A może mi się zdaje? Ale ktoś wie. Wspomnieniowy ćpun to turysta zwiedzający cudze życie. Nie można doszczętnie wyczyścić żadnego wspomnienia, ono zawsze zostawia ślady, skojarzenia. A skojarzenia mogą się ponownie łączyć.

*...nakarm bestię...*

A ta Sally wciąż żuje i żuje. Rzuciła mi kosteczkę do poobgryzania, ale mnie nie jarają własne wspomnienia. Nie starczyłoby tego nawet na jeden kęs.

*Co tam jeszcze masz, Sally?*

Ta druga kobieta nie jest w stanie odwrócić jej uwagi. Sally kieruje na mnie spojrzenie z szybkością atakującej kobry i wiem już ponad wszelką wątpliwość, że zadzieranie z nią jest kopanym błędem. Franca żuje, żuje i żuje z debilnie wypchanymi policzkami, jakby chciała się skoncentrować wyłącznie na ustach, jakby obchodziło ją tylko ich wnętrze, tutaj i na zewnątrz.

Wyczuwa, o czym myślę, i smak w jej ustach robi się wstrętny. Już wcześniej miałam mdłości, teraz ciężko wytrzymać. Zbliżam się, żeby sprawdzić, co robi. Holender, pracuje nad moją utraconą pamięcią, a ja nawet nie poczułam, że się do niej dobrała. I nadal nie czuję. Równie dobrze mogłaby zajmować się teraz kimś innym.

Chociaż niekoniecznie, bo odkąd to sobie uświadomiłam, zaczynają przychodzić nowe wspomnienia. Niektóre mają sens, inne nie. Obrazy napływają w przebłyskach...

*...sprawdzić kwestię?*

...idę krętą, ubitą dróżką, okolica jest pusta, na końcu czeka urwisko. Nie jestem sama, ale podobnie jak w głupich, prymitywnych snach nie mogę odwrócić głowy, żeby zobaczyć, kto za mną idzie i ilu ich jest. Wiem tylko, że kiedy już dotrzemy do urwiska, jedno z nas spadnie w przepaść.

A Sally żuje i żuje w takt uderzeń mojego serca. Lub czyjegoś serca.

*Chcesz sprawdzić kwestię?*

Nie, jeszcze nie teraz. Urwisko tuż, tuż. Ktoś z nas spadnie w przepaść, co jest tak samo pewne jak to, że Bóg stworzył małe, szare komórki mózgu. A skoro o tym mowa, to kim jest Bóg? Bóg...

Żuje. Resztki jedzenia świecą się na wargach. Chyba zaraz wypluję z siebie kopanego wielobarwnego pawia.

*Zobaczysz w lustrze niezwykle efekty.*

Skurkowana baba żuje mi prosto w twarz, próbuje zasłonić lustro. Ale ja jestem



wspomnieniową ćpunką: biorę w ciemno każde, byle nie swoje. To moje życie i to moje życie, i to...

Żuje. Krawędź urwiska jest poszarpana, jak gdyby olbrzymia łapa chwyciła ją i wyłamała kawałek. I tylko tyle widać, tylko...

*...kwestię?* Wczepił się w mój mózg jak wędkarski haczyk, jakby był tam naprawdę, jedno więcej dyndające włókno wśród tyłu luźnych nici...

*...głęboko pod wodą, właściwie holowodą, co wydaje się jakimś kosmicznym karmoskopem. To wybielenie, co poznaję po tym, jak skóra wchłania i odbija przyćmione niebieskie światło. I ten czarny kleks włosów...*

*Jak gobelin, z którego powychodziły nici. Jego głos ma w sobie ciepło i namacalną fakturę, dzięki czemu można owinąć się nim niby kocem. Nie zaginęła żadna z nici, lecz obraz się rozsypał. Wystarczy, że uszyjesz z nich to, co było na początku. Możesz też stworzyć zupełnie nowy obraz.*

Wspomnienie uśmiechu jest jak błogosławieństwo.

Taa... Cudze wspomnienia o cudzym facecie. Czyżby tak się wsławiła? A jeśli jeszcze nie, to już niedługo tak, skoro to właśnie otrzymają wytworni klienci, kiedy przyjdą i powiedzą, że też chcą być sławni, więc jazda z tym koksem...

Czy on wie, że go zachowała? Czy wie, jak łatwo zastartować i że żyje tylko dlatego, że ustawiła lustro, kiedy to robili?

*Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że prawda jest taka, jaką sama tworzysz. Staraj się o tym nie zapominać.*

Nie musisz tego mówić wspomnieniowej ćpunce, kochasiu.

*Chciałaś sprawdzić kwestię?*

Stoimy nad samą przepaścią. Długi marsz zakończony, kres podróży, przysłowiowa chwila prawdy na wyciągnięcie ręki... mojej ręki. Tym się właśnie zajmuję. Każdy bez wyjątku ma swojego konika. Sally żuje, a ja robię to i...

Koniec.

Skok w przepaść i koniec. To właśnie zawiera się w tej kwestii, jej ostatnim fragmencie. Zaskakujące pożegnanie.

Sally żuje. Wstaje i podchodzi do mnie z taką miną, jakby żuła truciznę. Jej badawcze spojrzenie pomału przesuwa się z boku na bok. Wyczuwam zachodzący w niej proces: weryfikację rzeczywistości. Z góry znam wynik. Moja rzeczywistość nie pokrywa się z jej rzeczywistością, czy raczej na odwrót.

Żuje. Jej kopany konik był sygnałem. Dla kogo?

Dla kogoś innego. Nie ja powinnam była patrzeć na nią w tym lustrze...

Nagle ktoś się odzywa wesołym głosem:

*Jak brzmi czarodziejskie stówko?* Zeszłej nocy dwukrotnie odwiedziłam lombard, ale byłam sobą tylko za drugim razem. Za pierwszym razem...

Tyle że ja nią nie jestem. Pomyłona tożsamość. Tyle że nie pomyłona. Jestem nią, ponieważ zrzuciłam z urwiska kogoś, kto nie chciał skakać. Kogoś, kto zaproponował mi jedyną rzecz, która mogła wstrzymać długi upadek i zaskakujące pożegnanie. I ktoś inny – ta, która na początku wezwała mnie nad urwisko, żebym strąciła w przepaść tego kogoś... Gdy się dowiedziała, co się dzieje, było już za późno. A więc teraz to ja jestem nią.

Mam ćwierć chwili, by pomyśleć, że Sally jest jedną z tych cichych psychopatek, które na zewnątrz z pozoru niczym się nie wyróżniają. Jestem nią, czyli kim? Na kogo ona czeka? Na neo-Jezusa? Czy po prostu na swoją wielką miłość?

Lustro robi się puste. Nie muszę już sprawdzać kwestii. Wiem, co teraz nastąpi. Coś głupiego, obrzydliwego i nieuniknionego.

Po tej przygodzie będę czuła jeszcze większy wstręt do ust.

Zanim to się stanie, wreszcie pojmuję, że już nie stoję przed lustrem, ale w lustrze. Sally odwraca głowę i pluje.

\* \* \*

Wiadomo, że zapowiada się kiepski dzień, kiedy po obudzeniu się w zaplutej podmiejskiej norze człowiek zobaczy nad sobą fankę głodu – jednego z czterech jeźdźców Apokalipsy na czasach – a w poczekalni będzie tupał nogą flejtuch, którego ledwo pamięta. Poczuje się jeszcze gorzej, gdy uświadomi sobie, że fanka głodu trzyma przewody wypięte właśnie z jego oczodołów. Raz po raz, niczym mantrę, powtarzałam w myślach słowo: Raju!

– To byłoby na tyle. – Owijała przewody wokół patykowatej dłoni. Ten kościotrup dotykał moich oczu!

O raju! – pomyślałam. Bo się zaraz porzygam!

Z rozbawieniem i wdziękiem wycierała paluszkami kąciaki ust, jakby właśnie zjadła suty posiłek. Chryste, czym się obżerała? Wolałam o tym nie myśleć, wkurzona, że naiwnie pozwoliłam komuś takiemu buszować w mojej głowie.

Oczywiście wtedy to nie byłam ja. Aktor metodyczny naraża się na wiele niebezpieczeństw. Może niepostrzeżenie wpaść w postać i narozrabiać – zwłaszcza gdy zbliża się czas przedstawienia, bo wtedy postać jest bliska zastartowania.

Niektórzy pracownicy „Teatryku sir Larry’ego” pełnili funkcję kowbojów, wyciągających nas z powrotem do rzeczywistości lassem, czyli umówionym hasłem, gdyby postać chciała się wyrwać spod kontroli. Ostatnio w teatrze zwracano na to szczególną uwagę, odkąd odtwarzana przez Em-Cate pogrywajka uzyskała prędkość ucieczki i na trzy tygodnie zaszyła się nad morzem. Gdy ją wreszcie znaleźli, prowadziła dom uciech o nienajlepszej reputacji, odpowiedzialny za wzrost przestępczości w samym środku sezonu wakacyjnego. Jakaż potworna wrzawa się podniosła! Uśmiechnęłam się na to wspomnienie, choć nie

powinam: gdyby oficjalna skarga trafiła do sądu, „Teatrzyk sir Larry’ego” zamknięto by na trzy spusty. Takie przygody nie przydarzały się normalnym ludziom, tylko wrednym pipom jak Em-Cate.

W takim razie, co się stało z kowbojem, który powinien był mieć na mnie oko? I co porabiałam ostatniego wieczoru? Miałam na sobie wyjściowe ciuchy, więc musiałam się wybrać na imprezę. Ale ostatnią rzeczą, którą pamiętałam, było...

*...zrzucenie kogoś z urwiska...*

Skrzywiłam się ze złością. Debilne skojarzenia mogą wywołać przecieki z postaci.

– Coś poszło nie tak? – zapytała fanka głodu.

– Jeśli naprawdę zamierzałaś zabełtać mi w mózgu, to nie – odpowiedziałam napastliwie.

– Będziesz miała dziury przez godzinę, dwie, póki stymulacja się nie przyjmie – powiedziała, wkładając końcówki przewodów do górnej części systemu. – Nie ma sensu się szarpać, żeby coś przyspieszyć. Kiedy skojarzenia się ustabilizują, wspomnienia zaczną wracać samorzutnie.

– O, kamień z serca – powiedziałam. – Wobec tego pozwolisz, że posiedzę tu jeszcze trochę, aż zaczną się pojawiać.

Chyba uznała to za żart.

– Wiesz, mamy tu tylne wyjście.

– Roztropnie.

Zaśmiała się.

– Nie ty pierwsza odzyskujesz tu pamięć i upierasz się, że nie wyjdiesz tą samą drogą, którą weszłaś. Idź korytarzem do końca i skręć w lewo. Ale jeśli znowu zmienisz zdanie, będziesz musiała wejść od frontu, bo drzwi na tyłach otwierają się tylko od środka.

Ruszyłam do wyjścia na turbodoładowaniu, obiegając biurko z pustawym półmiskiem.

– Do zobaczenia na oddziale! – krzyknęła za mną. Jedno z tych dowcipnych pożegnań. Wzdrygnęłam się na myśl, że zaglądała do mojego umysłu. Fani głodu byli chyba najbardziej oblesnymi stworzeniami na ziemskim padole, a rozmnażali się tylko w krainach miodem i mlekiem płynących. Boże, pomyślałam, wyskakując na wąską uliczkę, nie zmuszaj mnie, żebym wróciła tu kiedyś z prośbą o szczegóły diety.

Przyprowadził mnie tu narąbaniec, któremu chciałam się wymknąć. Właściwie nie mnie, a moją postać. Tyle wiedziałam z przecieku, ale niewiele więcej. Niestety, nie wyglądał mi na osobnika, który spokojnie odejdzie po słowie „spierdzielaj”. Nawet jeśli mu udowodnię, że osoba, za którą mnie uważa, jest tylko postacią ze sztuki teatralnej. A może tym bardziej nie chciałby się odczepić?...

*Wypompowuję ciebie. I za każdym razem, kiedy spotykamy się twarzą w twarz, skurwielowi brakuje skali i muszę go wyłączać.*

To musiała być kwestia ze scenariusza. Raju, miałam taką nadzieję.

*Chcesz sprawdzić?*

W moim umyśle wyświeciła się postać Sovaya. Nie wiedziałam, czemu mój mózg uparł się, żeby to jemu powierzyć rolę dyrygenta moich skojarzeń. Choć w zasadzie wiedziałam; byłam tylko zaskoczona, nawet teraz, czemu akurat on pozostał.

Raju, pomyślałam nagle, oglądając się na drzwi, którymi właśnie wyszłam. Chyba nie zrobiłam tego z tym narąbańcem? No dobra, nie ja, tylko postać. To byłoby w stylu Marceline, ale mizerny przeciek nie dawał mi żadnej pewności. Ileż musiałam znieść w imię sztuki...

Uliczka biegła wzdłuż drogi i dochodziła do jej mniejszej przecznicy. Nie bardzo orientowałam się w okolicy, poza tym była obrzydliwie wczesna godzina poranna. Czy ja nigdy nie śpiam, gdy jestem w postaci?

Pogrzebałam w kieszeniach. Trefny szmal się nie ulotnił, co za ulga! A więc będę mogła wrócić taksówką do „Teatryku sir Larry’ego”. I na miejscu przygrzmocić komuś z pancerfausta. Przynajmniej jeden kowboj będzie przed lunchem szukał nowej pracy, a pewnego dyrektora czekają nieprzespane noce, gdy zawisnie nad nim widmo pozwu.

Myśl o lunchu podrażniła pusty żołądek. W dodatku odczuwałam lekkie pieczenie po wypiciu trutki w postaci kawy w kostkach. A ponieważ zwróciłam uwagę na żołądek, lekkie pieczenie natychmiast przerodziło się w koszarne bóle, w głównej mierze spowodowane głodem. Dzięki Bogu nie sprawiało mi to przyjemności, co znaczyło, że nie przejęłam zamiłowania do głodu od tej wstrętnej baby.

Zdecydowałam, że teraz przede wszystkim trzeba znaleźć ką, gdzie można spokojnie usiąść, dostać coś do jedzenia i poczekać, aż dziurawe wspomnienia wreszcie się połatają. Potem wrócę do teatru i z pozycji osoby doinformowanej wygarnę im prawdę w oczy. Po dłuższym zastanowieniu doszłam do przekonania, że gnanie na łeb, na szyję byłoby kiepskim pomysłem. I tak nie zrobią przedstawienia beze mnie (miałam to w kontrakcie), a moja przedłużająca się nieobecność napędzi porządnego stracha temu i owemu.

Tak naprawdę cierpiałam na małą amnezję po charakteryzacji. Niektórzy, jak panikarz Twill, który po każdym przedstawieniu korygował rzeczywistość, lub Sovay, który nawet w moim odczuciu przesadzał z powagą, wpadliby w popłoch, gdyby ocknęli się w podmiejskiej norze narąbańców z olbrzymią wyrwą w pamięci. Ale ja zawsze powtarzałam, że jeśli ktoś zajmuje się na serio aktorstwem metodycznym, nie powinien trząść portkami przed taką drobnostką jak urwany film. Czego nie pamiętał aktor, pamiętała zapewne postać, wystarczyło tylko odblokować przeciek.

Jednak zawsze towarzyszyło temu dziwne uczucie. A rzadko czułam się dziwniej niż w tej chwili. W dodatku głód utrudniał myślenie. Przeszłam kawałek drogi, kierując się do miejsca, gdzie – pamiętałam to jak przez mgłę – wstępowałam kiedyś do salonu wideo i pączkarni, ale gdy dotarłam – zdawałoby się – na właściwe miejsce, ujrzałam fabrykę snów. Na razie była zamknięta, ale przed wejściem testowano holograficzną ekspozycję. Na chodniku pojawiały się i gasły migotliwe jednorożce, gryfy, dziny i egzotyczne tancerki.

Przystanąłam, żeby popatrzeć. Szczerze mówiąc, widziałam podobne rzeczy ze sto milionów razy i niezmiernie rzadko spotykało się coś oryginalnego. Raju, gdyby nadużywanie złotych szponów było przestępstwem, wielu odsiadywałoby dożywocie bez możliwości warunkowego zwolnienia. Mimo to odprężyłam się na widok całego katalogu atrakcji. Obiecywano wszelkiego rodzaju natchnione wizje, prorocze znaki i inne cuda-wianki. W rzeczywistości do dostania były jedynie własne podrasowane sny. Kto polował na prawdziwe wizje, znaki i tak dalej, podpinał się pod ładowarkę snów i bulił prawdziwe pieniądze za prawdziwą jakość. Lecz w podmieściu mało kto mógł sobie pozwolić na taką jazdę; kto mógł, ten myślał o zmianie adresu zamieszkania.

Zauważyłam, że moje myśli nareszcie biegną innym torem. Oglądanie chodnikowego przedstawienia pomagało rozluźnić umysł i odblokować przeciek. W sumie tego mnie właśnie uczono: *kierujesz uwagę na coś, co cię interesuje, lecz nie przeciąża szarych komórek, a tryby pamięci zaraz się zazębiają*. A jeśli moje tryby okażą się odporne, pomyślałam zgryźliwie, „Teatryk sir Larry’ego” będzie musiał wyskrobać ostatniego centa, żeby mnie pozszywać. Zwykle skąpił na takie cele, ale tym razem nie ucieknie przed konsekwencjami.

– Ludki?

Wzdrygnęłam się. Alfons zmaterializował się tuż przy mnie, jakby i on był hologramem. Przez chwilę nawet myślałam, że nim jest. Był chudym człowieczkiem we wściekle zielonym futrze ze sztucznej angory o tak naelektryzowanym włosiu, że powinno wrywać ludziom z rąk balony.

– Pytałem, czy milutki. – Kiwnięciem głowy wskazał wystawę.

Spojrzałam na gryfa, który wdziczył się do mnie na tylnych łapach.

– Z moich doświadczeń wynika, że gryfy nie są milutkie – odparłam. – Ale ten chyba jest w porządku.

Odsunęłam się gwałtownie, gdy dotknął mojego ramienia. Najchętniej wytarłabym miejsce, na którym spoczęła jego dłoń.

– Nie miałem na myśli gryfa, tylko prawdziwe zwierzę. Poczekaj chwilę, zaraz się pojawi. O, jest! Nie przegap okazji.

Mocno zbudowany egzotyczny tancerz, ubrany (duże słowo) jak Herkules z jakimś badziwnym złotkiem we włosach i niezgorszymi umiejętnościami tanecznymi, obrócił się w obszarze projekcji, strasząc zdjęciem przepaski biodrowej.

Alfons szturchnął mnie, więc odsunęłam się jeszcze bardziej. Przylepiłam się do ściany.

– I jak? Milutki?

– Milszy od gryfa – odpowiedziałam. – Spadaj, splukałam się na cacy.

– Akurat. – Chwycił w dwa palce mój żakiet. – Dlatego nosisz ciuszki z nadmieścia i szukasz przygód w podmieściu? Daj spokój, skosztuj lepszego życia. Nie spóźnij się na ten pociąg.

– Przecież mówię, że jestem splukana. Nie żartuję. Przewaliłam kasę z funduszu

powierniczego w Mieście Wrażeń. Wracam do domu, może wyblagam pożyczkę od rodziców. – Moja postać rozprawiłaby się z nim w trymiga, ale jakoś nigdy nie umiałam w nią wejść, kiedy mogłabym mieć z tego największą korzyść. Czyli poza teatrem.

– Pewnie płacisz zabójcze podatki. Zrób sobie odliczenie. Koszty reprezentacyjne.

Strząsnęłam jego rękę i odeszłam. Herkules zatańczył przede mną, więc go zwinnie ominęłam, choć nie stałoby się nic straszego, gdybym przeszła przez niego lub on przeze mnie, Ale jakoś zawsze się tym brzydziłam. Czułam się wtedy jak duch.

– Przed spaniem pożałujesz, że tego nie zrobiłaś! – dogoniło mnie wołanie alfonsa.

Oczywiście miał rację. Zawsze po wyjściu z postaci łatwo ulegałam sugestiom.

Dostrzegłam z daleka salon wideo połączony z pączkarnią. Obok sklep ze ścieżkami dźwiękowymi proponował „...milion wspaniałych melodii, które uprzyjemnią ci weekend lub zwykły, szary dzień. Na zamówienie skomponujemy twój »perfekcyjny utwór« na podstawie prawdziwych analogowych nagrań wirtuozów muzyki!!!”. Dziś w ofercie specjalnej z rozbawieniem dostrzegłam Bernsteina, Mozarta i Elfmana.

No tak, pewnie po cichu trzymali sztamę z kliniką leczenia zaburzeń obsesyjno-kompulsyjnych. *Panie doktorze, ta przekłeta melodia ciągle brzęczy mi w głowie! W porządku, proszę się nie ruszać, to nie będzie bolało, tysiąc dolarów proszę. Następny!*

Kiedy przechodziłam obok salonu, słyszałam utwór Elfmana. Wpadał w ucho, to pewne.

Aromat pączków powitał mnie jak lewy sierpowy. Chwilę później dostałam takiego ślinotoku, że gruczoły ledwie nadążały z produkcją. Można byłoby złożyć skargę. Prawo zabraniało puszczenia gazu pobudzającego apetyt w lokalach, gdzie zapewniano atrakcje rozrywkowe, choćby zwykłe wideo. Jeśli klient miał zostać i coś zjeść, mógł być do tego zachęcony jedynie ofertą rozrywkową. A nawet gdyby dopuszczano napędzanie interesów gazem, tutaj jego stężenie kilka razy przekraczało dopuszczalne normy. Boże, pomyślałam, czasem życie w podmieściu przypomina biwak na polu minowym pod ostrzałem wroga.

Tak czy owak podeszłam do lady pączkarni. Gaz zdążył mnie już zniewolić, więc gdybym tu nic nie zjadła, musiałabym gdzie indziej wrębać obiad dla ośmiu albo jeszcze coś gorszego!

Wyciągnęłam tacę z automatu i stanęłam w kolejce za miejscową fleją, ubraną w jeden z tych pikowanych tęczowych kostiumów, jakie wszyscy nosili w zeszłym roku. Kolory przesuwwały się niezauważenie; wypadałoby je doładować, lecz mało kto się tym zajmował, ponieważ pokazywanie się w pikowanych łachach było strasznym obciachem.

Jakbym nie miała większych problemów. Ale cóż, w trakcie oczekiwania na utrwalenie się stymulacji umysł lubi mieć jakieś zajęcie.

Stary, dobry karbo-ekspres pewnie będzie tym, czego potrzebuję. Przynajmniej tak mi się wydawało. Wybrałam z lady sześć różnych zapychaczy arterii, z których trzy ociekały nadzieją. Zmusiłam się też, żeby wziąć jedno jadalne poli. Przeklęty gaz!

Bez wyciągania na wierzch pliku banknotów wygrzebałam kilka niskich nominałów i

podeszłam do automatycznej kasy, szukając otworu na pieniądze.

– Wygrałaś na loterii, co?

Fleja w pikowanym żakiecie wpatrywała się w banknoty z bladym uśmiechem, który przypominał grymas porażenia nerwowego. Mruknęłam coś pod nosem, żeby nie wyjść na gbura, i wsunęłam pieniądze do górnego otworu.

– Przecież on nie daje reszty. – Szesała z czoła słomiane włosy o odcieniu sosu do kurczaków (do licha z tym gazem!).

– Nie daje? Nie wydaje?

– Nie mają drobnych dla gotówkarzy i życiowych niedorajdów. Dzięki temu obniżają koszty i stać ich na ten pieprzony gaz. Dziwię się, że nie wiesz. – Skierowała wzrok na swoją tackę, a potem na moją. Wzięła tylko jednego pączka.

– Gdybym wiedziała, wzięłabym jeszcze trzy z nadzieją. Zaraz tam pójde i sobie dobiore.

– Nic z tego. – Chwyła mnie za rękę. – Jeśli tam pójdziesz, policzą cię od nowa. Musiałaś pójść na całość. – Ujęła w dwa palce rękaw mojego żakietu. – Widzę, że się opłaciło.

– Dzięki za radę.

Wyrwałam jej się. Starając się nie wykonywać gwałtownych ruchów, szybkim krokiem ruszyłam na tyły sali, gdzie wysoki, chudy mężczyzna w poplamionym fartuchu wycierał pusty stolik. Wsunęłam się na jedno z dwóch krzeseł i włączyłam stolikowy ekran.

– Bonusia?

Znieruchomiałam z pączkiem w połowie drogi do wypełnionych śliną ust i spojrzałam na niego ze zmarszczonym czołem.

– Co?

Zatknał koniec ścierki pod opaskę na ręce i wyciągnął dłoń.

– Bonusia. Bon. Niezależna firma. Właściciele syfnych żarłodajni oszczędzają na porządnej obsłudze. Dajże mi bonusia, malec potrzebuje nowych filtrów do nosa.

– Co? – powtórzyłam.

Odwrócił się i dał komuś znak. Chłopiec w wieku mniej więcej ośmiu lat podszedł do niego i przytulił się mocno. Też miał ścierkę.

– Najmłodszy w rodzinie. Filtry do nosa niedługo wysiądą, a bez nich w rodzinnym biznesie długo nie pociągnie. Zobacz. – Odchylił do tyłu głowę chłopca i pokazał mi nozdrza.  
– Dostanie świra, będzie jadł do rozpuku...

Podsuwałam mu już mały banknot o hojnym nominale.

– Proszę. Dzięki za obsługę, kup małemu normalne jedzenie.

Mężczyzna wziął pieniądze i przyjrzał im się tak, jakby nigdy w życiu nie widział podobnego cudactwa.

– Jasny gwint, ona nie ma bonów. – Wręczył banknot chłopcu. – Powiedz mamie, niech

schowa, spróbujemy wymienić kiedy indziej. A ty – dodał, pochylony nade mną – ty lepiej wracaj do domu. Tu się nie szasta gotówką.

Dzieciak pobiegł do osłoniętego stolika w rogu sali, gdzie kobieta i czworo dzieci najwidoczniej mieszkały na stałe. Chłopiec powiedział coś kobiecie, która popatrzyła na mnie z wyrazem dezaprobaty na steranej twarzy. Zobaczyłam, jak inny chłopiec, wyciągając ścierkę z tylnej kieszeni, gna do zwolnionego przed chwilą stolika.

– No to co? – burknął mężczyzna, jakbym coś powiedziała. – Życzę szczęścia. Mógłby kiedyś być tobą. – Odszedł, lustrując salę w poszukiwaniu klientów zbierających się do wyjścia.

– Szczęście szczyrzy się do ciebie całą gębą. – Fleja w pikowanym kostiumie rozsiała się przy moim stoliku i wymownie skrzyżowała ręce.

Przełożyłam dwa pączki na jej tackę.

– Może być? A teraz zostaw mnie w spokoju z łaski swojej.

Pokręciła głową, widząc mój szczodry gest, i zaśmiała się cicho.

– Wiem, co wyryją na twoim nagrobku: „Wielkie jaja, mały móźdzek”. Wpadam na chwilę i dostaję wyzerkę na cały rok. – Wzięła jeden z darowanych pączków i odgryzła wielki kawałek.

Skrzywiłam się, gdy po jej palcach spłynęło nadzienie. Nie chciałam się rozstawać z tymi bogatszymi.

Odwrociłam się do ekranu i ze złością stwierdziłam, że zaklinował się w trybie szybkiego przeglądania. Normalka. Nikomu nie zależało, żeby pojedzony gość blokował stolik, bo chciał obejrzeć do końca jakiś program.

– A więc teraz, kiedy jesteś panią swoich wrażeń i dreszczy, skąd będziesz zarządzać swoją stajnią, z nadmieścia?

Nie odwracałam wzroku od serwisu informacyjnego.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Jasne, że nie możesz nim zarządzać stąd... no chyba że organizujesz krwawy zamach na koronowaną głowę.

– Słuchaj – powiedziałam zmęczonym głosem – za mną ciężka noc i jeszcze gorszy poranek. Zjem pączki i zmywam się do domu. Zostawisz mnie wreszcie w spokoju?

– Oj, Marceline, Marceline – zaśpiewała, kiwając palcem przed moim nosem. – Nie udawaj niewiniątka.

Ściągnęłam brwi. Skąd znała imię postaci? No tak, pomyślałam z niepokojem, odpowiedź narzucała się sama. Prawdopodobnie była kolejną osobą, z którą skumała się Marceline, gdy brykała na wolności. Coś mi się zdawało, że kiedy wreszcie złączą się przecieki, prędko zechcą znowu o wszystkim zapomnieć.

– Wiesz, Marceline, co twój agent mówi o tobie?

– Rozmawiałaś z moim agentem? – zdumiałam się.



– A co? Jest też moim agentem.

O raj, pomyślałam. Tej możliwości nie brałam pod uwagę. Nie była zwykłą psiapsiółką Marceline, tylko aktorką.

– Nasz agent twierdzi, że nie żyjesz od tygodnia.

Nie mogłam się powstrzymać od gorzkiego śmiechu.

– Wcale mnie to nie dziwi. Z trudem przypomina sobie moje imię. Zwłaszcza gdy rozmawia z kierownikami castingu. A więc i ty z nim trzymasz? W którym teatrze pracujesz? W „Teatryku sir Larry’ego” raczej się nie spotkałyśmy.

– Teatr... – Jej bladą twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. – A to ci się, kurna, udało. Robi się sztukę, a więc jest teatr. Jasne, że też sama na to nie wpadłam. Znalazłaby się robota u twojego Larry’ego? Może ja też oleję naszego agenta.

– Chwilowo trupa nie wymaga uzupełnień – odparłam z wahaniem – ale bez agenta nie zaproszą cię na przesłuchanie.

– Nie? Znaczący... bawisz się w kłusownika? Najlepszy tekst, jaki słyszałam, a słyszałam już w życiu niejedno. Miejmy nadzieję, że przydzielili ci ochronę, bo Bateau mówi, że skoro nie żyjesz, masz siedzieć cicho i się nie wychylać.

– Przykro mi, ale zupełnie się pogubiłam.

– Taa, widzę. Bateau też jest przykro.

– Jakiemu znowu Bateau? Nie mam zielonego pojęcia, o kim mówisz.

Jej twarz rozjaśniła się jeszcze bardziej.

– Cholera! Naprawdę! Jesteś skasowana!

– To tylko mała amnezja po charakteryzacji. Nie kasowano mi pamięci. Tak naprawdę dopiero co miałam stymulację i gdy tylko właściwe skojarzenia połączą się ze sobą, wszystko wróci do normy.

Kołysała głową na boki.

– Doping sprawdza się góra dwa razy, jeśli cię przyciśnie. Potem żarty się kończą. Myślałam, że wiesz.

– Doping?

– Wyciąganie wspomnień i wkładanie ich z powrotem. Żeby mieć podjarzę. Jak przetoczenie krwi: wypompowujesz i wpompowujesz. Czujesz się po tym jak super-hiper-ninja. Dziwię się, bo po ciężkim tygodniu nie musiałaś nigdy tego robić.

Bezradnie rozłożyłam ręce.

– Na pewno pomyliłaś mnie z postacią. Nie jestem tym, za kogo mnie bierzesz.

– Tak? A kim?

– Naprawdę mam na imię Marva. I nie ja jestem wspomnieniową ćpunką, tylko ona.

– Kto?

– Marceline – tłumaczyłam cierpliwie. – Wygląda na to, że zawsze spotykałaś się z nią, nie ze mną. Ja jestem Marva, zaś Marceline to postać, rozumiesz? Marceline jest postacią w

sztuce teatralnej.

Zaklaskała w dłonie, aż powstał obłok cukru pudru.

– Ha! Teraz rozumiem! Pewni bardzo fajni ludzie! Są naprawdę świetni: potrafią namówić wspomnieniową ćpunkę do pójścia na całość! A niech mnie! No, ale dobra. – Wytarła usta rękawem i usiadła prosto. – No więc jak... Marva, fajnie być sławnym?

Strzepałam serwetką cukier puder z zakietu.

– Sławna jeszcze nie jestem, chociaż wysłałam życiorysy do kilku agencji promotorskich i był pewien odzew. Na razie brak konkretnych ofert, zresztą muszę się jeszcze nad tym długo i poważnie zastanowić... – Mówiłam coraz ciszej, aż zamilkłam. Z jakiegoś powodu te słowa wydawały mi się nieprawdziwe. Dziura w pamięci rozrosła się do rozmiarów bezdennej otchłani, ale mimo wytężonych wysiłków nie potrafiłam do niej zajrzeć. Choć odkąd wspomniałam o agencjach promotorskich, nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że odgrywają w tym wszystkim ważną rolę.

To podejrzenie rozplenilo się w moich myślach niby trujący chwast. Czyżbym związała się z promotorem, kiedy byłam Marceline? Intuicja wrzeszczała we mnie: tak! Tylko który szanujący się promotor robi interesy z kimś, kto nie jest sobą?

– Ciągłe się głowisz? – zapytała kobieta wesołym tonem. – To chyba jazda testowa, co? Jak ci się podoba? Zresztą głupie pytanie; nawet nie wiesz, czy ci się podoba. Bo myślisz, że jesteś prawdziwa.

*Bo jesteś prawdziwy... Najprawdziwszy, jakiego znam. Jeszcze jedna kwestia ze scenariusza? Pamiętałam, że komuś to mówiłam...*

*Chcesz sprawdzić kwestię?*

– Chcę sprawdzić mózg – mruknełam.

– Sprawdzisz mózg przy wejściu, kiedy zobaczysz Bateau. Tak będzie najprościej, bo przynajmniej nie wywlecze ci go przez nos. – Wstała. – Dzięki za pączki. I spróbuj zapamiętać, że na moim miejscu postąpiłabyś tak samo, nawet wobec przyjaciela. – Krążąc wśród stolików, odpłynęła do wyjścia.

Odprowadziłam ją przymglonym wzrokiem.

Teatr absurdu, pomyślałam z zadowoleniem, bo wreszcie miałam spokój. Gaz nie działał już na mnie z pełną mocą, więc ostatnie dwa pączki zjadłam bez pośpiechu.

Na ekranie jakiś obojnak w ciszy gestykulował z przejęciem przed olbrzymią mapą produktów stanu Wisconsin. Nacisnęłam przycisk, żeby pogłośnić – daremnie. Normalka. Spośród tylu stolików musiałam wybrać akurat ten z uszkodzonym monitorem! W tej chwili wolnych już nie było. Zresztą mniejsza z tym. Twill uważał, że Dataline jest dziewięć razy fajniejsze z wyłączonym dźwiękiem.

Obojnak wachlował już rękami z dziką zajadłością; obawiałam się, że za chwilę zdemoluje sprzęt. U dołu ekranu pojawiło się krótkie wyjaśnienie: „Producenci serów przyłączają się do strajku mleczarzy”. Zaczynałam żałować, że biorąc pączki, nie pomyślałam

o kawie.

Wgryzłam się w jadalny poliester, gdy nagle włączył mi się odruch wykrztuśny. Przekłęta fanka głodu! Ale zanim wściekłam się na dobre, obraz znikł: przeglądarka przegrzebała programy... i oto patrzyłam na swoją twarz.

O raju! Nie pamiętałam chwili pozowania do tego ujęcia. Gdy tak gapiłam się na ekran, ręczna kamera odjechała do tyłu, więc zamiast samej głowy widać było trzy czwarte ciała. Postać zaczęła fikać różne pozy i płynnie, jak w animacji, pojawiać się w coraz to nowych kostiumach: był to przegląd wszystkich ról, które zagrałam w „Teatryku sir Larry’ego”. Widziałam już w życiu wiele takich rewii, wiedziałam więc, że to reklama agencji promotorskiej... choć nie wiedziałam której.

Cholera! Walnęłam w przycisk głośności i nawet w głośnik, ale nic to nie dało. Zamiast mnie pojawił się bysio w stroju szefa kuchni, który gibał się zabawnie i podrzucał naleśnik na patelni. Czemu na ekranie nie wyświetlały się napisy, do jasnej cholery?! Próbowałam wywołać menu, lecz wyświetlił się komunikat informujący, że w trybie szybkiego przeglądania menu jest niedostępne.

Parszywe tanie publiczne ekrany! Przywalałam mu jeszcze raz i pojawiło się silne śnieżenie.

– Super... – mruknęłam. Wyprostowałam się i rozejrzałam. Sala wcale nie była pełna ludzi, których mogłabym bez skrępowania prosić o miejsce przy stoliku i ekranie.

A, do diabła z tym! – pomyślałam. Pora wracać do domu. I jak najprędzej wycząić, w co się wpakowałam. Albo w co mnie wpakowała Marceline.

*Chcesz sprawdzić kwestię?*

A jakże, chciałam sprawdzić tę zasraną kwestię.

Najmłodsza pociecha chudego właściciela zaczęła sprzątać ze stołu, nim do końca odsunęłam krzesło.

\* \* \*

– Sovay? Na próbie.

Najwyraźniej dzisiaj zarażałam złą karmą przedmioty martwe. Na śnieżącym ekranie telefonu odznaczały się jedynie upodobnione do pereł brązowe bioklejnoty Rowan. Jeśli dobrze widziałam, zareagowała z tradycyjną obojętnością, jakbyśmy się w ogóle nie znały. Jak to ona: zawsze oziębła i zblazowana. Moim zdaniem dlatego, że w głębi serca nie pochwalala zawodowego zaangażowania Sovaya i innych osób z jego otoczenia, aczkolwiek ktoś mi powiedział – może Twill, może Sovay – że wszystkich traktuje w ten sposób. Dziw nad dziwy, że spiknęła się akurat z Sovayem, nie wspominając już o wychodzeniu za mąż.

– Dasz mi numer do „Teatryku sir Larry’ego”? – zapytałam, próbując przebić wzrokiem śnieżenie. – Nie mam go przy sobie, a pamięć mi szwankuje.

– Hm... – odpowiedziała Rowan.

Czekałam z nadzieją, że szuka numeru.

– Nie wypisuj go na ekranie – poprosiłam. – Mam z tej strony śnieżycę.

– Co? Ja ciebie świetnie widzę, ale nie zamierzałam nic pisać. Uważam, że lepiej teraz nie przeszkadzać Sovayowi. Jeśli chcesz nagrać wiadomość, dam mu ją odsłuchać, gdy tylko wróci do domu.

Omal nie wygryzłam sobie dziury w wardze. To ci dopiero popis arogancji! Może jednak powiedział jej, co między nami zaszło? Musiałby upaść na głowę, chyba że był miłośnikiem domowych awantur. A może jej wrogość wynikała z tego, że sprzedałam się promotorowi? Jeśli to w ogóle prawda, choć wszystko na to wskazywało. Żaden promotor, choćby największy łapserdak, nie odważy się reklamować osoby, do której nie kupił sobie praw. Już ja się tym zajmę. Mogą sobie udawać niewiniątka, wymyślać głupie wymówki, ale jeśli Marceline mnie sprzedała, kontrakt zostanie unieważniony.

– Jeśli to coś pilnego – dodała Rowan – możesz dać mi swój numer, a ja zadzwonię do Sovaya. Zobaczymy, może od razu do ciebie oddzwoni. – Zawahała się. – Skąd wiedziałaś, że będzie w teatrze o tak wczesnej porze?

– Bo znam rozkład zajęć w „Teatryku sir Larry’ego” – odparłam, próbując przezwyciężyć zniecierpliwienie. – Przechodzimy właśnie od wczesnej produkcji do normalnych prób. W ciągu ostatnich tygodni przygotowywałam się do roli i byłam raczej nieuchwytna. Daj mi numer wewnętrzny sali prób i przestanę ci się naprzykrzać.

Zmrużyła oczy.

– Do roli?

– Wyluzuj, Rowan – warknęłam, co nią wyraźnie wstrząsnęło. Może Jej Księżęca Mość nie była przyzwyczajona do takiej bezpośredniości? – Mam dzisiaj, że tak powiem, nie najlepszy dzień i nie spałam ani minuty, więc oszczędź mi nerwów. Nie nachodziłabym cię w domu, gdyby sprawa nie była dla mnie ważna.

Śnieżenie nasiliło się do tego stopnia, że obraz znikł całkowicie i nie byłam pewna, czy nie przerwała połączenia. Aż nagle w lewym dolnym rogu ekranu zamrugało czerwone światełko, co znaczyło, że zawartość bufora telefonu została nagrana do późniejszego odsłuchania. Niech się wypcha! Może jej zachowanie da do myślenia Sovayowi. Jednak jej obraz przebił się przez zakłócenia i ku swojemu zdumieniu dostałam numer do „Teatryku sir Larry’ego”.

– Dzięki, Rowan.

Skrzywiła się, kiedy wypowiedziałam jej imię. Raju, co się tak nabzdyczyła? Spotykałyśmy się ze sto razy, zawsze zwracałam się do niej po imieniu i jakoś nie było problemu. Może durny Sovay wszystko jej opowiedział?

– Cz... czy zostawisz mi numer, pod którym będziesz dostępna? – zapytała.

Raju, co poruszyło naszą Królową Śniegu, że zaczęła się tak jąkać? Może nie miało to

wcale związku ze mną? A jeśli Sovay dostał telefon – taki, o którym marzą wszyscy, telefon od jakiejś szychy? *W ostatniej roli, mój drogi, byłeś niesamowity. Nie spróbowałabys sił w firmie państwowej?* Taa, gdybym usłyszała takie słowa, sama dostałabym trzęsawki.

– Numer się nie zmienił – odpowiedziałam – ale na razie nie zamierzam tam iść. Jeśli zdarzy się tak, że w „Teatryku sir Larry’ego” nikt nie będzie odbierał, powiedz Sovayowi, że posprawdzam tablice ogłoszeń i komunikatory. Jeszcze raz dzięki, Rowan. – Wyciągnęłam rękę do przycisku zakończenia rozmowy.

– Zaczekaj. – Zbliżyła twarz do ekranu. – Nie wiem, jakim numerem ostatnio się posługiwałaś. Podasz mi go?

– Sovay zna numer.

– Mógł go zapomnieć lub zgubić.

Czekała, a ja znowu traciłam cierpliwość. Traktując mnie jak obcą osobę, nie zmieni przecież niczego, co zaszło między mną a Sovayem, więc na co liczyła? A może po prostu chciała się wyładować? Może pod jej oschłością krył się element zdziecinnienia wielki jak pół księżycy? Wzruszyłam ramionami i podałam jej numer domowy.

– Do zobaczenia w teatrze – dodałam. Nim się rozłączyłam, mimo zakłóceń dostrzegłam jej rozdziawione usta.

Za pierwszym razem, gdy próbowałam dodzwonić się do „Teatryku sir Larry’ego”, zostałam wtrącona w otchłań oczekiwania. Ktoś blokował linię, pewnie rozmawiał z agentem. Za drugim razem automatyczna sekretarka podała mi skrócony repertuar i poinformowała, w jakich godzinach można rezerwować bilety. Rowan – ta pipa! – nie dała mi numeru do sali prób, lecz taki, który mogłam sobie sama znaleźć. Tak się wpieniłam, że po odłożeniu telefonu przez pięć minut dyszałam żądzą zemsty, nim zadzwoniłam ponownie i wstukałam swój prywatny kod. Przypuszczałam, że w biurze nikogo nie zastanę i będę musiała zostawić wiadomość.

Tym razem nie było śnieżenia. Słowa wyświetliły się bardzo czytelnie: WPIS NIEPRAWIDŁOWY. PROSZĘ POWTÓRZYĆ.

Miałam ochotę wrzeszczeć. Parszywy tani aparat telefoniczny nie chrzanił już obrazu, ale przekreślał cyfry. Spróbowałam od nowa. Komunikat o nieprawidłowym wpisie wyświetlił się jeszcze dwukrotnie, a potem „Teatryk sir Larry’ ego” zaczął odrzucać połączenie.

Spróbowałam z innego aparatu i znów kicha. Skierowałam się do trzeciego, lecz dałam za wygraną. Być może mieli jakieś problemy techniczne w centralce, pomyślałam z niepokojem. A może mój kod rzeczywiście został unieważniony?

Wolałam tego nie wiedzieć. Dzwonienie po taryfę byłoby zwyczajnym marnowaniem czasu, więc uniosłam osłonę i odsunęłam się od aparatu. Lepiej sama złapię taksówkę i pojedę prosto do „Teatryku sir Larry’ego” uprzątnąć ten bajzel.

W punkcie informacyjnym zaczynały się już pojawiać typy spod ciemnej gwiazdy, mniej zainteresowane telefonami i tablicami ogłoszeń niż tymi, którzy z nich korzystali. Jedna laska

używała nielegalnego liniogryza, żeby zainkasować kredyty pozostałe po poprzednich klientach. Robiła to na bezczelnego w miejscu, gdzie każdy mógł ją zobaczyć. Taa, oto całe podmieście! Jakże mi ulży, gdy wrócę do nadmieścia, gdzie moje miejsce.

Musiał mnie wypatrzeć, ledwie wyszłam na chodnik. Nim się rozejrzałam za taksówką, wyrósł koło mnie jak spod ziemi. Kącikiem ust wypluwał maleńkie błyszczące gwiazdki. Podmiejscy uliczni naciągacze mieli takie zwyczaje, lecz tego ranka zbierało mi się na mdłości.

– Ej! Masz...oję? – zapytał, opryskując mi ramię deszczykiem gwiazdek.

– Nie mam ognia. Spływaj! jeśli chcesz napiwek, gadaj, gdzie tu znajdę taksówkę.

– Nie ogień, tylko paranoję. – Chichrając się, znów bluznął gwiazdkami. – Masz porządną paranoję?

Przyjrzałam mu się uważniej, krzywiąc się na widok jego cuchnącego skórzanego pancerza.

– Taa, dziś mi już lepszej nie potrzeba. A teraz spływaj.

– Heja, jeszcze młoda godzina. Bardzo młoda. Skąd wiesz, że nie dorwą cię przed lunchem? Lepiej zrób coś, póki możesz. Oni wiedzą o tobie wszystko, nie chciałabyś dowiedzieć się czegoś o nich?

Jęknęłam. W sznurze coraz liczniejszych pojazdów nie było ani jednej taksówki.

– Wołałabym dowiedzieć się czegoś o taksówkach. Czemu nigdy ich nie ma, gdy są potrzebne? Jeszcze gdyby łało, to bym zrozumiała.

Chwycił mnie nad łokciem swoją brudną ręką.

– Oni zabrali wszystkie taksówki. Gdybyś miała paranoję, wiedziałabyś dokąd. I dlaczego. – Poruszył znacząco krzaczastymi brwiami i wypluł kolejny potok gwiazdek. Mój żołądek szykował się do wywrotki. – Co się dygasz? To dla ciebie najlepsza opcja. Wiesz, że coś się dzieje, tylko nie potrafisz wyczuć co. Kup ode mnie trochę paranoi, a tak ci się wzrok wyostri, że będziesz czytać przyszłość z ruchu drogowego, jak naiwni idioci czytają codzienne wiadomości. Bierz życie na gorąco, sztywni gryzą ziemię. Co ty na to?

Wyszarpnęłam mu się. Zrobił krok w moją stronę i odskoczył. Trzymałam w dłoni stalowy grzebień, naostrzone szpikulce celowały w jego twarz. Uniósł ręce pojednawczo, posłał mi gwiazdkowego całusa i odszedł szybkim krokiem.

Nie mógł być nawet w połowie tak zdziwiony jak ja. Przypatrzyłam się grzebieniowi. Wszystko toczyło się tak szybko, że przestałam się kontrolować. Prawdopodobnie grzebień wyskoczył z moich włosów. Tyle że ja nigdy nie nosiłam grzebieni, moje włosy były...

Dostrzegłam swoje odbicie w przybarwionym oknie punktu informacyjnego i nagle przezabawny przebłysk sprawił, że widziałam przed sobą nie okno, a krzywe zwierciadło. Podeszłam bliżej, ignorując meneli, którzy z drugiej strony robili do mnie głupie miny. Raju, uliczny handlarz miał rację, nie miałam porządnej paranoi. Co gorsza – tu dotknęłam okrągłej twarzy i brązowych kudłów, przypominających ptasie gniazdo – byłam totalnym bezgłuskiem.

Amnezja po charakteryzacji swoją drogą, ale jak mogłam zapomnieć, że wbiłam się już w pełen kostium? Druga sprawa, że zawsze powstrzymywałam się od włożenia pełnego kostiumu do chwili ukończenia prac nad postacią. Przed tygodniem do planowanego rozpoczęcia produkcji spece w „Teatryku sir Larry’ego” nie chcieli nawet oglądać szkiców projektów, a tym bardziej zajmować się modelowaniem.

Co to wszystko znaczyło? Czyżbym zaliczyła falstart z jakichś zapomnianych powodów? A tu jeszcze tak rozległe zmiany. Raju, nic dziwnego, że Rowan okazywała mi taką nieufność. Byłam absolutnie nie do rozpoznania.

Znowu czyjaś dłoń spoczęła na moim ramieniu. Odwróciłam się od okna i machnęłam grzebieniem.

– Mówiłam, spły...

Zielone palce przechwyciły grzebień, poobracały nim jak rekwizytem magika i sprawiły, że znikł pod równie zielonym rękawem.

– Niebezpieczna zabawka – odezwał się zielony mężczyzna. Nie puszczał mojej ręki, przy czym trzymał ją tak mocno, że pewnie zmiażdżyłby mi kość, gdyby tylko chciał. – Ciągle powtarzam, żeby nie dawać ci przedmiotów z ostrymi końcami, Mar, ale nikt mnie nie słucha.

Spróbowałam podważyć jego palce, lecz w odpowiedzi ścisnął mnie jeszcze silniej, aż poczułam ogień w mięśniach.

– A, a, a. – Uśmiechnął się szeroko. Jego zęby miały jaśniejszy odcień zieleni, kojarzący się ze szmaragdami i lasem deszczowym. Zapisałam sobie w pamięci, żeby nie barwić zębów, jeśli kiedyś stanę się koloropatką. – Umówiłaś się na spotkanie i kamień w wodę. Nie przeginaj pały.

– Pomyliłeś przyjęcia. Ja tylko tędy przechodzę...

Chwycił drugą rękę i przyjrzał się uważnie koniuszkom palców, nim złapał mnie za brodę i równie uważnie spojrział mi w oczy. Miał telemikro, bardzo drogi gadżet. Byłam pod wrażeniem, no i poczułam ulgę. Z linii papilarnych i siatkówek oczu szybko wywnioskuję, że zmyliło go przypadkowe podobieństwo, i na tym sprawa się skończy.

Wydawało się, że upłynęły wieki, nim powtórnie skupił wzrok na mojej twarzy.

– Znowu wlałaś w błoto, Mar? Idziemy.

– Chwila, moment! – warknęłam, kiedy ruszył chodnikiem, ciągnąc mnie za sobą.

Roześmiał się i szedł dalej, co nie wywołało niczyjego oburzenia, tylko moje. Gońcy, korzystający z jednego miejsca parkingowego i jednej flaszki, ledwie na mnie spojrzeli. Bądź co bądź byliśmy w podmieściu, gdzie uprowadzanie i napastowanie ludzi jest na porządku dziennym. Musiałam zdrowo przebierać nogami, żeby nie rymnąć na chodnik i się nie poobijać.

– Przestań, to boli...

Zakreślił mną jak w tańcu i dostrzegłam bok podjeżdżającego vana. Zamknęłam oczy,

szykując się na potrącenie, lecz w ostatniej chwili ktoś mnie złapał.

– Naprawdę dałaś dupy, Mar, gdy wybiegłaś tylnym wyjściem.

Otworzyłam oczy. Mój przyjaciel maniak, który zabrał mnie do węzła wspomnień dziś rano tysiąc lat temu. Przypomniało mi się jego imię: Anwar.

– Ciebie też nie znam – powiedziałam bez przekonania.

Kopniakiem rozsunał boczne drzwi auta i wepchnął mnie do środka.

– To jakaś pomyłka! – zwróciłam się do wyłożonej dywanikiem, podłogi, kiedy zielony gość odbijał od krawężnika. Anwar siedział mi na plecach. – Nie wiem, za kogo mnie bierzecie, ale jestem kimś innym. Inaczej bym wiedziała, naprawdę...

– Powiedziane jest: nie będziesz sobie jaj robić – rzucił ze śmiechem Zabazgrany z fotela kierowcy. – A jeśli już, to nie przesadzaj.

– Ale ja wcale...

Anwar palnął mnie z otwartej w głowę.

– Nie zalewaj, Mar, dobra? Po śniadaniu kupiłem bajeczkę o amnezji, ale już się zbliża pora lunchu. Nikt nie zwiewa tylnym wyjściem z węzła wspomnień dlatego, że nic nie pamięta. Gdybyśmy się zamienili miejscami, też byś mi nie wierzyła i dobrze o tym wiesz. A więc bądź tak miła i przestań sadyć pierdoły, bo już chce mi się rzygać. Choćby w ramach podziękowania za kawę.

W mojej pamięci odżyło blade wspomnienie filiżanki chemikaliów o smaku kawy, którą wypiałam w nocy, gdy byłam w postaci.

– Za taką kawę? Nigdy.

Po raz drugi mnie palnął. Samochód przyspieszył.

\* \* \*

Nie jechaliśmy długo. Van podskoczył na garbie i zaczął zjeżdżać w dół. Światło wpadające przez szyby przygasło, wewnątrz praktycznie pograżyło się w ciemnościach. Wmawiałam sobie, że to dobry znak, bo im wcześniej przybędziemy na miejsce, tym szybciej dowiedzą się, że Zabazgranemu nawala telemikro. Dadzą mi kopa w tyłek i koniec zmartwień.

Kiedy się zatrzymaliśmy, jeszcze żyłam złudzeniami. Ale gdy Zabazgrany wysiadł i zbliżył się do bocznych drzwi, doszłam do wniosku, że lepiej wdrożyć plan B: gdy tylko mnie wywlecze, dam mu z buta w jaja i gazu!

Drzwi się rozsunały, a ja czekałam, spięta, aż mnie Anwar podniesie. Coś dotknęło moich pleców i ogarnął mnie chłód: rozszedł się na ramiona, szyję i wreszcie dotarł do twarzy. Ledwie poczułam pierwsze rozczarowanie, do roboty wzięła się witamina Q z przezskórnego plastra, który nalepił mi Anwar.

Q-racja i relaksacja, jak to mówią, a milion zaprawionych w bojach narąbańców nie może



się mylić. Zrelaksowałam się tak, że zaczęło mi wisieć, co robię i gdzie jestem. Chodziły ploty, że w razie potrzeby można siłą woli powstrzymać działanie witaminy, ale ja już dawno włożyłam to między farmaceutyczne bajki. A nawet jeśli było w nich trochę prawdy, dostałam końską dawkę, z którą moja wola po prostu nie miała się co mierzyć.

Odzyskałam kontakt ze światem, kiedy po wyjściu z windy (nie miałam pojęcia, czy przemieszczaliśmy się w górę, w dół, czy w bok) znaleźliśmy się w olbrzymiej, widnej hali z wgłębieniem pośrodku. Nisko wpadnięte pokoje były w zeszłym roku hitem mody retro, pomyślałam bez większego zainteresowania, ciągle przygaszona witaminą Q. Nie chciałam jednak mieszkać w przystosowanym do mieszkania basenie. Przy okazji coś mi się przypomniało, choć z jakiegoś powodu mogłam myśleć jedynie o rybie i lince z haczykiem...

– No, no, kogo my tu mamy – odezwał się ktoś na drugim końcu pomieszczenia.

Gdzieś w moich myślach kryło się przeświadczenie, że powinnam wpaść w panikę. Równocześnie próbowałam odłożyć to nieokreślone uczucie do ewentualnego wykorzystania w przyszłości. Nie można oddzielić kobiety od aktorstwa metodycznego ani wykorzystanie aktorstwa metodycznego z kobiety.

Na wyższym poziomie po drugiej stronie wgłębienia stał za biurkiem niewysoki mężczyzna w białej piżamie. Zdawkowym ruchem wskazał kanapę ustawioną nad wgłębieniem.

Gdy tylko stanęłam na dywanie, zrozumiałam, że jestem jeszcze mocno przyćpana, bo normalnie żadna siła na ziemi nie zmusiłaby mnie do chodzenia po nim. Wijące się, półżywe włosie miało cudownie odprężyć stopy, chociaż zawsze twierdziłam, że ludzie kupują te dywany po to, żeby się na nich seksić. W tamtym roku pewien pokrecony reżyser wybulił szmal, żeby się seksić nie tyle na nim, co z nim...

Pan Piżama wolnym krokiem odszedł gdzieś w bok, poza mój próg peryferyjnego widzenia. Gapiąc się na włókna dywanu, suwałam po nim butami, żeby się podniecił. Bezskutecznie.

– To nie był mój pomysł – powiedział Zabazgrany.

– Bałem się, że wpadnie w popłoch i będzie się wrywać – odparł na swoją obronę Anwar. – Wołałem dać jej coś na wyluzowanie.

– Nic złego się nie stało – stwierdził pogodnie pan Piżama. – Uważam, że postąpiłeś słusznie, Anwar. – Nie zauważyłam, kiedy zszedł na dół, aż nagle pochylał się nade mną i zaglądał mi w oczy. – To mi się nawet podoba. Nie będzie wyskakiwać z durnymi argumentami. – Podniósł wzrok i popatrzył w bok. – Chociaż nie sądzę, żeby w tym stanie miała na ciebie jeszcze jakiś wpływ, co? A może się mylę?

Głęboko w moich myślach coś się poruszyło, jakby witamina Q nie wszystko przytępiła. Poruszenie nie wywoływało żadnych skojarzeń. Pełne napięcia wyczekiwanie było uczuciem dziwnie wyizolowanym, niczym bańka wody wędrująca z głębin ku powierzchni.

Nagle całe otoczenie jakby się zatrzęsło i coś się stało z moim lewym okiem. W zasadzie

nie z okiem, tylko lewą częścią pola widzenia. Zupełnie jakbym patrzyła przez okno pęknięte z góry na dół. Przez okno... lub lustro, w którym obrazy po obu stronach pęknięcia są jakby niezgodne, nieco przesunięte względem siebie.

Ciekawe. Czyżbym wchodziła w postać? A może po prostu miałam udar? Nadal byłam przyćpana i nie przykładałam do tego zbyt dużej wagi.

Pan Pizama chwycił mnie za brodę i z pochmurną miną uniósł moją twarz.

– Co jest? – zapytał Anwar.

Pan Pizama przyglądał mi się wnikliwie.

– Coś tam się właśnie wydarzyło. – Puścił mnie, lecz nie odsunęłam głowy; niespecjalnie miałam ochotę patrzeć na niego, ale też nie chciało mi się ruszać. – Nie będę już nigdy przyjmował do roboty wspomnieniowych ćpunów. Oni są nieobliczalni.

– Nie sądzę... – zaczął Anwar, ten jednak przerwał mu stanowczym gestem.

– I dobrze, Anwar, bo nie za to ci płacę.

Lewa część pola widzenia stała się nienaturalnie wyostrzona. Wyczuwałam coś na podobieństwo usilnych poszukiwań, rozglądania się w mroku, jakbym usiłowała coś sobie przypomnieć. Co przecież było nieprawdą.

Pewnie to kosmici, pomyślałam. Bombardują mi łeb promieniami wpływającymi na pracę mózgu. A zatem schizofrenia. I znowu to wrażenie, jakby ktoś myślał za mnie. Może to naprawdę schizofrenia?

– ...żadnych niespodzianek – mówił pan Pizama. – To mi się właśnie w tobie najbardziej podobało, Marceline. W ciągu tych sześciu miesięcy, odkąd cię zatrudniłem, ani razu mnie nie zaskoczyłaś. Do teraz. Przez co czuję się... – zrobił zbolalą minę – niepokieszony. – Chwycił moje dłonie i przytrzymał je. – No dobra. Muszę odebrać to, co do mnie należy, złotko. Grzeczna dziewczynka, którą kiedyś byłaś, na pewno by to zrozumiała.

Marceline... I wszystko stało się jasne. Postać zerwała się ze smyczy, uzyskała prędkość ucieczki, bez mojej zgody i wiedzy weszła w konszachty z nieznanymi ludźmi. Wolałam sobie nie wyobrażać, w co się wplątała...

Miałam paskudne wrażenie, że gdzieś pomiędzy jednym a drugim zdaniem pana Pizamy Bóg przepuścił mnie przez maszynkę do mielenia mięsa. Sześć miesięcy? Sześć... miesięcy?!

Nieosiągalne. Nigdy tak długo nie pracowałam nad postacią, nie mówiąc o noszeniu pełnego kostiumu.

Chyba że Marceline zdołała wziąć rozbrat z moim życiem. Ale to by znaczyło, że przez pół roku byłam osobą zaginioną i nikt mnie nie szukał. Co wydawało się jeszcze bardziej nieprawdopodobne. Nawet jeśli reszta trupy nienawidziła mnie tak samo jak Em-Cate, nie czekałoby z założonymi rękami, choćbym wsiąkła tylko na sześć dni. Odszkodowanie za niedopełnienie obowiązków położyłoby mnie na obie łopatki. Ci wszyscy ludzie – Zabazgrany, Anwar, pan Pizama – musieli być szaleńcami albo ktoś majstrował w ich głowach.

Ależ tak, tak, pomyślałam. Każdemu z nas majstrowano w głowie. To musiało być ćwiczenie z improwizacji, długie i wyczerpujące, ale tylko ćwiczenie. Pewnie zdarzenie w węźle wspomnień znajdowało się w scenariuszu, a ja świetnie wczuwałam się w rolę, póki nie wypadłam z postaci z winy pewnej niezdarnej fanki głodu.

Anwar musiał mnie nawitaminować, żeby postać z powrotem doszła do głosu. Niestety, przedawkował i zamienił mnie w zombie. W sumie żadna tragedia, bo witamina Q powoli przestawała działać. Pełne napięcia wyczekiwanie nasiliło się, choć nadal wydawało się dziwnie oderwane... jakby witamina odpuszczała sobie ciało... lecz nie mnie. Ale czy i to nie było niemożliwe? Trzeba by się popytać...

*Chcesz sprawdzić kwestię?*

*Sprawdzić rzeczywistość, Sovay, pomyślałam.*

Pan Piżama puścił moje ręce. Opadły bezwładnie na kolana. Anwar z pomocą Zabazgranego dźwignął mnie na równe nogi. Przewyższałam pana Piżamę przynajmniej o głowę. Skrzyżował ramiona i popatrzył na mnie z niezmiennym wyrazem żalu.

– Mimo swoich wad, Marceline, byłaś naprawdę zajebistą eskortantką. Będzie mi ciebie brakować. Twoja technika to... – Cmoknął wymownie w koniuszki palców.

Amatorszczyzna, dokończyłam w myślach. Miałam ochotę wybuchnąć gromkim śmiechem, co nigdy nie wróżyło nic dobrego. Jeśli się nie rozejdziemy w ciągu najbliższych minut, będę musiała obedrzeć ich ze złudzeń i wytłumaczyć, że jeszcze nie jestem w postaci. Pewnie dostaną zbiorowego amoku, kiedy się okaże, że tyle czasu i wysiłku poszło na marne, ale byłoby nie w porządku z mojej strony, gdybym dalej to ciągnęła mimo błędnych reakcji. Poza postacią byłam fatalną improwizatorką.

Skupiłam się na poruszaniu ustami, żeby wypowiedzieć słowa: Koniec przedstawienia. Powtarzałam je wiele razy w myślach. Odchrząknęłam, lecz mój głos zabrzmiał grubo i szorstko, jakbym puściła odtwarzanie w zwolnionym tempie:

– Onie przyławni...  
Pan Piżama zmrużył oczy.

– Że co?

– Że co?

Raju, pomyślałam, zdruzgotana. Nasilił się efekt rozdwojonego pola widzenia. Cokolwiek go wywołało, poraziło również mój ośrodek mowy. Będę musiała ostrzec Anwara, żeby w przyszłości nie dawał mi takiej dawki witaminy Q.

Przełknęłam ślinę i odchrząknęłam przed drugim podejściem. Zanim przeszło mi przez gardło pierwsze słowo, lewa strona pola widzenia śmiesznie się zatrzęsła i nagle zapomniałam, jak się mówi. Pomimo to rozległ się głos:

– Ona była winą – usłyszałam. – Ona była gliną. Agentką psychopolicji w głębokim utajnieniu.

Pan Piżama spojrział na Anwara i Zabazgranego, potem znowu na mnie.

– Co ty wygadujesz?

Chciałam powiedzieć, że to nie ja gadam, lecz mój głos żył własnym życiem:

– Ta ostatnia frajerka... Klientka. Aktorka. Była agentką psychopolicji w głębokim utajeniu. Dlatego chciała eskortę. Żeby zabić glinę. Zabiliśmy glinę.

Pan Pizama cofnął się o krok, jakby w ten sposób mógł mnie lepiej widzieć.

– Pozwól, że ci odświeżę szwankującą pamięć. Klientką jest durna aktorka teatralna, która nie umiała się pozbyć beznadziejnej postaci, opracowanej na potrzeby jakiegoś chałturniczego, marnego przedstawienia.

O raju! Ten zafajdany aktorzyzna tak się zamotał w swojej improwizacji, że był gotów, o święta naiwności, podpiąć wszystkie moje słowa pod scenariusz.

– Tak powiedziała tobie – ciągnęłam obcym głosem – i mnie. W rzeczywistości była działającą potajemnie agentką Psychopolicji. Gliny zorganizowały jej nowe życie, a jeśli siedziało w niej zbyt wiele osobowości, kto by się doliczył jednej więcej? Nawet ona nie powinna była jej odkryć. No, ale odkryła. A raczej jej kochanek. Dowiedziałam się wszystkiego, gdy zepchnęłam agentkę z urwiska.

Pan Pizama przyglądał mi się podejrzliwie.

– Wszyscy ci głupi aktorzy sceniczni uprawiają aktorstwo metodyczne i mają wieloskładnikową osobowość. Każdy wierzy, że jest tym, kogo gra. Nie nasz problem, chyba że sama zaczniesz wierzyć w coś takiego.

Moja głowa pokiwała się z boku na bok.

– Agentka była prawdziwa i...

*...i ciągle tu jest.*

W końcu udało mi się poskromić rozbiegany język, lecz niewypowiedziana myśl paliła mnie niczym zastrzyk stężonej prawdy. Już się w tym wszystkim gubiłam. Postać była wspomnieniową ćpunką, ale jeśli nie naniesiono większych poprawek do tekstu, gdy byłam nieprzytomna, w scenariuszu nie pojawiał się wątek usług eskortowych i psychopolicji. No, chyba że Marceline...

Ale to by oznaczało, że nie jest to improwizacja. Pytanie, jak bardzo sprawy wymknęły się spod kontroli?

– To jakieś pierdoły – mówił Zabazgrany. – Debilne złudzenia. Ta durna wspomnieniowa ćpunka ma nasrane w bani. Lubi uchodzić za kogoś innego, może nawet wierzy, że w dni parzyste jest Bogiem.

Pan Pizama spojrzał na niego surowo.

– Dziś mamy parzysty dzień miesiąca. – Zmierzył mnie nieprzyjemnym spojrzeniem i odszedł na górny poziom, żeby pogrzebać w biurku. – Hm... Zmienił się adres pocztowy klientki. Nie jest to już obskurny teatrzyk, tylko pewni bardzo fajni ludzie. Lansuje się w świecie. Może Souse miała rację i nasza dziewczynka po prostu wpakowała się w osobowościowy kogel-mogel. – Zachichotał. – Kochana Souse. Dałbym jej podwyżkę, ale nie chcę, żeby sodowa uderzyła jej do głowy. Zresztą i tak roztrwonilaby wszystko na

dziadowskie pączki.

– Mamy skoczyć po frajerkę? – zapytał Zabazgrany.

Pan Piżama powoli rozcierał dłonie, jakby gniótł w nich owada.

– Taa – odpowiedział, schodząc na dół. Znowu stanął przede mną. – Trzeba zamienić z nią dwa słowa. Może to tylko jakaś głupia postać, a może naszej dziewczynce wszystko się poplątało i ma zwidy po nakładce osobowości. A może to coś naprawdę poważnego. Nie dowiemy się tego, póki nie przyjrzymy się bliżej frajerce. Może nam powie, gdzie nasza dziewczynka przebywała przez tydzień.

– A co w tym czasie zrobimy z... naszą dziewczynką? – Zabazgrany dał mi kuksańca.

– Zatrzymamy ją do późniejszego wykorzystania, oczywiście. Chcę je tu mieć razem. Jeśli frajerka faktycznie wmanewrowała naszą dziewczynkę w wywalenie agentki, to siedzą tutaj ciekawe informacje. – Popukał palcem w moje czoło. – Zapuszkujcie ją i ustawcie trzy czwarte zdolności. Silniczek będzie chodził na luzie i nic się przedwcześnie nie zatrze. Starczy takich ustawić na siedemdziesiąt pięć procent, a nie wiedzą, że są w systemie. Potem złóżcie wizytę pewnym bardzo fajnym ludziom i przywieźcie aktorkę. Żywą. Ale się śpieszcie. Jeśli to coś poważnego, na spokojnie przekartkuję jej wspomnienia. Nie zamierzam beknąć za zabicie gliny. – Uszczypnął mnie w policzek. – W najgorszym razie znajdziemy sobie kozła ofiarnego. – Odprawił swoich goryli krótkim gestem.

Na próżno czekałam, aż wszyscy wyrwą się z postaci. Anwar i Zabazgrany wywlekli mnie z wgłębienia i zaciągnęli do windy. To tylko koniec improwizacji, trochę przydługi i rozbudowany, pomyślałam z rozpaczliwą nadzieją. Nie zamierzają przecież kłaść mnie na kozetce, wyjmować mi oczu i wpinać mnie do systemu... Na pewno?

Drzwi się zamknęły. Kiedy winda ruszyła w lewo, Anwar chwycił moją dłoń. Zaczęłam się trząść. Witamina Q już prawie przestała działać i wiedziałam, że to nie improwizacja.

– O! – odezwał się Zabazgrany. – Czułe pożegnanko? A myślałem, Anwar, że się z tego otrząsnąłeś. Może powinniśmy zatrzymać się pod magazynem i wybrać ci większą pompę co? Żebyś nam się tu nie zbiesił.

– Niezła myśl – odparł Anwar. – Coś mi się zdaje, że ta nie działa jak należy, szybko się zapelnia.

Zabazgrany zachichotał.

– Zanim zrobisz coś, czego wszyscy będą żałować, należałoby zneutralizować tę wredną chemię w twoim mózgu, która każe ci myśleć, że jesteś zakochany. Może powinieneś pójść na całość i wymienić krew? – Odwrócił się do panelu sterowniczego.

Chciałam coś powiedzieć, lecz Anwar mocno mnie popchnął. Nim się obejrzałam, Zabazgrany leżał na ziemi z twarzą we krwi ciekącej z rozbitego czoła: Anwar musiał uderzyć nim o ścianę.

– Dzięki temu zyskasz dwie, no, może pięć minut – szepnął i pociągnął mnie do rogu windy, która zaczęła zjeżdżać. – Jest z ciebie, Mar, cholerny wrzód na dupie, ale nie pozwolę,

żeby ci to zrobili. Magazyn znajduje się na tym samym poziomie co wyjście. Tam nas wywalisz z windy i pojedziesz dalej do głównego wyjścia. Wymyślę jakąś bajeczkę, a ty zmykaj jak zając.

– Dokąd? – Czułam się bezradna.

– A skąd mam wiedzieć? Zaszyj się tam, gdzie byłaś przez tydzień, to moja najlepsza rada.

Winda się zatrzymała, otworzyły się drzwi. Anwar dźwignął Zabazgranego i wyrzucił go na korytarz. Odwrócił się do mnie i wskazał podbródek.

– A teraz... ze wszystkich sił.

Nie załapałam.

– Walnij mnie, do cholery!

Nigdy jeszcze nikomu nie przywalałam. Moje doświadczenia w walce wręcz ograniczały się do obliczonych na pokaz scenicznych bójek, po których nikomu nawet nie rozmazał się puder. Aż nagle śmieszny obraz z lewej strony wzdał się, objął również prawą i poczułam, że...

\* \* \*

...niestety, to wszystko do dupy i nie jest to nawet moja wina, choć może nie trzeba było brać tej roboty. Ale nie miałam wielkiego wyboru, ponieważ Bateau nie pozwala nam przebierać w klientach jak w ulęgawkach. Chcę powiedzieć Anwarowi, żeby nie rozstawał się z pompą, bo w tym biznesie świadomość, że nie można pozwolić, by coś się komuś stało, jest cholerną kulą u nogi. Lepiej niech już odpompowuje tę śmieszoną substancję, która każe mu myśleć, że mnie kocha. I chcę mu powiedzieć, że przykro mi, ale ja nie potrzebuję takiej pompy – może dlatego, że ćpanie tak na mnie działa, a może z powodu jakiejś fatalnej w skutkach ułomności, przez którą stałam się wspomnieniową ćpunką. Teraz to bez różnicy. Choć niewykлучzone, że samo współczucie coś znaczy. Być może to, że jest mi przykro, czyni ze mnie wartościowszego człowieka niż ktoś, komu wszystko zwisa.

A jest mi przykro głównie z powodu tego, że dostanie ode mnie akurat on, a nie ktoś inny. Jeśli zaś człowiek wbrew sobie stale krzywdzi osobę, której nie chciałby skrzywdzić, może to oznacza, że ją ko...

\* \* \*

Chwiejąc się na nogach, wyszedł tyłem z windy. Nim drzwi się domknęły, zauważyłam jeszcze, że przewraca się na Zabazgranego. Nie ucichło jeszcze echo myśli, które przed chwilą snuły się po mojej głowie, ale nie mogłam już uchwycić ich wątku. Bezwiednie

pacnęłam guzik z symbolem wyjścia i winda ruszyła w dalszą drogę.

Co dwa rozumy, to nie jeden, pomyślałam z konsternacją i zatkałam usta. Zbierało mi się na płacz albo na śmiech, lecz gdybym wybuchła, pewnie bym się nie uspokoiła, dopóki pan Pizama nie dorwałby mnie i nie wykończył. Może nie uspokoiłabym się nawet wtedy...

Co dwa rozumy... No, niezupełnie. Już nie. Śmieszny efekt rozdwojonego widzenia już znikł, zastąpiony dziwnym uczuciem zachwianej równowagi. O mało nie zwariowałam ze strachu, że lada chwila pan Pizama poinformuje mnie przez ukryte głośniki o czekającym na mnie komitecie powitalnym. Winda jednak sunęła w ciszy. W końcu zaczęła zwalniać i znów się wystraszyłam, ale na szczęście na panelu sterowniczym wyświetlił się napis: WYJŚCIE NA ULICĘ. Przylepiłam się do ściany przy drzwiach i wstrzymałam oddech.

Drzwi się rozsunęły. Nikt nie władował się do środka, żeby mnie schwytać. Wyrzłam chyłkiem na zewnątrz. Mały, zamknięty hol był pusty, a proste, szare drzwi z jasnozielonym napisem CZYNNE na panelu dostępowym wydawały się tak niewinne, że nasuwało się pytanie, czy przypadkiem ostatnie wydarzenia nie rozegrały się wyłącznie w mojej chorej, wybujałej wyobraźni.

O, nie. Ręka, którą zdzieliłam Anwara, za bardzo mnie bolała, żeby mogło to być tylko złudzenie. Rzuciłam się w stronę wyjścia.

– Żeby wejść ponownie, będziesz potrzebować klucza paskowego.

Obróciłam się gwałtownie i rozplaszczyłam pod drzwiami, lecz hol nadal świecił pustką.

– Z prognozą pogody i aktualnym rozkładem ruchu drogowego zapoznasz się przy ściennej konsolce na lewo od drzwi wyjściowych – dodał grzecznie ten sam głos. Zdałam sobie sprawę, że to standardowa wiadomość, i rozejrzałam się za konsoletą.

Wbudowany w ścianę ekran wyświetlał krótkie menu i żadnej informacji na mój temat. Oglądając się nerwowo na windę – która była nadal otwarta, jakby oczekiwała, że zmienię zdanie i wsiądę – stuknęłam w panel dostępowy.

– Żeby wejść ponownie, będziesz potrzebować klucza paskowego – przypomniał mi po raz ostatni nagrany głos. Drzwi otworzyły się bezszelestnie.

Zmykaj jak zając...

Próbowałam, ale ręka dokuczała mi tak bardzo, że mogłam tylko sadzić lekkim, zrywnym klusem. Ale przynajmniej złapałam taksówkę, nim do reszty opuściły mnie siły.

\* \* \*

Taksiarka zażądała półtorej stawki, bo nie posiadała licencji na zabieranie pasażerów wyżej niż w dolnym śródmieściu i musiała wracać pusta. Spodziewałam się tego, co wcale nie znaczy, że byłam zadowolona. Ograniczenia w kwestii zabierania pasażerów w założeniu miały być korzystne dla ludności i taksówek naziemnych, uniemożliwiać kierowcom wchodzenie sobie w paradę i zapewnić równomierny dostęp do usług w całym mieście.

Tymczasem ludzie rzadko kazali się wozić w obrębie jednego rejonu, więc za przejazd między odległymi dzielnicami trzeba było płacić o połowę drożej.

Nie byłam w nastroju do narzekania. Po prostu zapłaciłam haracz, dodałam skąpy napiwek i wysiadłam. Widok „Teatryku sir Larry’ego” dodałby mi otuchy, gdybym nie była taka wypompowana. Nie zamierzałam już nawet nikogo żywcem obdzierać ze skóry. Żeby wrócić do normalnego życia (lub nie), potrzebowałam odpowiedzi na kilka istotnych pytań i dwudziestu czterech godzin w nieprzerwanej śpiączce.

Zamierzałam już wstukać kod wejściowy, kiedy wpadła mi w oko maleńka wywieszka na drzwiach frontowych. Repertuar na ten sezon przesuwiał się ślimaczym tempem, aby nikt nie miał kłopotów z czytaniem, lecz moją uwagę przykuła data i godzina, wyświetlająca się naprzemiennie z numerem telefonu kasy biletowej. Przyglądałam się dacie pięć razy, by mieć pewność, że nie rozwinął się we mnie wtórny analfabetyzm. Data była podana z tygodniowym wyprzedzeniem.

*Zaszyj się tam, gdzie byłeś przez tydzień.* Przypomniałam sobie, że automatyczna sekretarka odrzuciła mój prywatny kod.

– Cholera! – mruknęłam i tak czy owak spróbowałam wstukać kod wejściowy. Miałam nadzieję, że nie okaże się przestarzały. Do licha z węzłem wspomnień, do licha z fanką głodu! Pewnie tak mi zabełtano w mózgu, że będę musiała pójść do lekarza.

Chyba stał się cud, bo kod wejściowy wciąż był prawidłowy. Przeszłam przez pusty hol i stanęłam w otwartych drzwiach, prowadzących do teatru. Na dużej, arenowej scenie przebywała garstka osób. A więc odbywała się próba.

Pierwsza wypatrzyła mnie Em-Cate: oderwała się od reszty i stanęła na skraju sceny, gdy tymczasem ja zbliżałam się głównym przejściem. Miała włosy w kolorze światła stopu, a może powinnam je przyrównać do krwawiących arterii? Jej policzki płonęły czerwonym rumieńcem gniewu. Em-Cate nie znosiła, gdy jej przerywano – bardziej jeszcze niż tego, że nazywano ją czasem Catey. Pozostali też kierowali na mnie spojrzenie, lecz jedyną osobą, która chyba mnie rozpoznała, był Sovay. Miał doskonale wybieloną skórę, która w żółtym świetle lamp do złudzenia przypominała mocz. A to ma pecha, pomyślałam.

– Przesyłki od tyłu! – warknęła Em-Cate z pięściami na biodrach. – Ile razy trzeba wam to powtarzać, ludzie?! A tak w ogóle, to kto ci dał kod wejściowy?

Mimo wszystko nie mogłam się powstrzymać od chichotu.

– Nie przyjechałam tu z przesyłką.

Twill stanął przy niej i po cichu coś jej powiedział. Dosłyszałam tylko słowa: „Davy’ego Jonesa”. Em-Cate obrzuciła go zdumionym spojrzeniem i odwróciła się do mnie.

– Nie wiem, za kogo się uważasz, ale niestety mamy pełną trupeę, nie przyjmujemy nikogo do składu.

– Ciekawie to ujęłaś, Em-Cate. – Wskoczyłam na scenę. – Zależy mi przede wszystkim, choć nie tylko, na nowym kodzie do telefonu, żebym następnym razem mogła zadzwonić po



taksówkę. Taryfa z podmieścia kosztowała mnie fortunę i jeszcze trochę.

Odwróciła się do pozostałych, którzy byli wyraźnie zmieszani. Szczerze mówiąc, też byłam skonsternowana. Jeśli nie liczyć jej, Twilla i Sovaya, pozostałych słabo pamiętałam, a jednej kobiety nie kojarzyłam ani trochę. Zaczynałam się zastanawiać, czy „Teatryk sir Larry’ego” zwróci mi koszty przemodelowania.

– Tak, Sovay, niezła kaszana! – powiedziała Em-Cate. – I wszystko przez ciebie! Twierdziłeś, że to tylko przejściowe i że jeśli zostanie wyjęta z kontekstu, więcej się to nie powtórzy. No i proszę, zjawia się na scenie i bezczelnie żąda swojej roli. Co ty na to, Sovay? Co mamy teraz zrobić, zorganizować dla niej przyjęcie powitalne?

Raju, pomyślałam, czyżbym całkiem zesłała na psy? Zawaliłam przedstawienie i mnie wylali?

– Em-Cate! – ostrzegł ją Sovay.

Zmierzyła go jadowitym spojrzeniem.

– Mówię ci, kaszana. Ciekawa jestem, jak z tego wybrniesz, Eisensteinie.

– Einsteinie – mruknął Twill.

Em-Cate szturchnęła go w bok.

– Mówię o Eisensteinie, tym znanym reżyserze. Sovay myśli chyba, że jest równie dobry.

– Stul pysk! – Przyglądał mi się z widoczną na twarzy udręką.

Nagle uświadomiłam sobie, że obgryzam paznokcie.

– Najwidoczniej przytrafiła mi się poważna awaria – powiedziałam. – Na razie tylko chcę wiedzieć, czemu pozwoliliście mi błąkać się po mieście, żyć nieswoim życiem, zamiast mnie ratować i leczyć? Domyślam się, że konkurencja nie przebiera w środkach.

Udręka Sovaya jeszcze się powiększyła. Raju, pomyślałam, naprawdę zostałam wyrzucona. Wyrzucona i – tu zerknęłam na nieznaną mi kobietę – zastąpiona. Kobieta odwróciła wzrok, a ja spostrzegłam, że znów obgryzam paznokcie. Cóż to za odrażający nawyk! Może przeciek od postaci? Oto moje poronione szczęście: kiedy wreszcie zaczęłam od niej przejmować pewne rzeczy, okazało się, że to coś nieużytecznego, gorzej, wstrętnego!

– Pamiętasz swój wczorajszy pobyt w „Skrytce Davy’ego Jonesa”? – zapytał mnie Sovay. – I to, że cię wywalili?

– Wywalili, tak? – Prychnęłam gorzkim śmiechem i chwyciłam w garść końce swoich katastrofalnych włosów. – Z takim wyglądem nic dziwnego, że się do mnie doczepili. Ale że nikt z was, bardzo fajnych ludzi, nie raczył powiedzieć bramkarzom, że to kostium?

Nastąpiła krótka, pełna napięcia cisza.

– To było zamknięte przyjęcie – wyjaśniła Em-Cate z zadartym nosem. – Zorganizowane dla pewnych bardzo fajnych ludzi, nie dla nas. Są jeszcze tacy, którzy nie zaprzędają duszy, żeby do nich dołączyć.

– Uspokój się! – rzekł Sovay. – Nie widzisz, że ona niczego nie kapuje? Dla niej to tylko puste słowa.

– Do niej nigdy nic nie trafiało – odcięła się Em-Cate. – Zawsze latała za okazją, żeby się wybić, żeby wreszcie ktoś powiedział o niej coś dobrego. Gdy pojawiła się szansa, momentalnie prysła i przyłączyła się do pewnych bardzo...

– Zamknij się, dobra?! – zgromił ją Sovay.

Pewni bardzo fajni ludzie... Nagle wszystko zaczęło się układać w zrozumiałą całość.

– Proszę cię. – Postąpiłam krok w jego stronę. Wyglądał tak, jakby się chciał przede mną cofnąć. Gdyby to zrobił, chyba bym się załamała. – Mam wrażenie, że ta postać wpędziła mnie w poważne tarapaty, ale nic nie pamiętam. Obudziłam się dziś rano w węzle wspomnień w podmieściu i zauważyłam, że uciekł mi gdzieś cały tydzień. Potem zobaczyłam swoją reklamę w Dataline... – Zniżyłam głos, co i tak zrekompensowała świetna akustyka. – Chyba reklamie agencji promotorskiej. Wydaje mi się, że coś zrobiłam, że podpisałam kontrakt czy coś takiego, gdy byłam postacią. I myślę, że postać naprawdę narozrabiała, bo jakiś zielony facet do spółki z jeszcze jednym porwali mnie, wrzucili do vana i zawieźli do...

– Przestań – przerwał mi Sovay.

Wyciągnęłam palce z ust i wytarłam je o szorty.

– Przepraszam, jakoś same...

– Chodzi o to, żebyś nic już nie mówiła. Po prostu milcz. Nie szukam kłopotów. Moja rada jest taka: wróć do węzła wspomnień, w którym się obudziłaś, i pozwól im skończyć robotę.

Wytrzeszczyłam oczy. Doprawdy bardzo kiepski dowcip... tyle że on nie żartował.

– Na rozum ci padło? A może to ja mam problemy z rozumowaniem?

– Dobrze pytanie, nie sądzisz? – Em-Cate stała tuż za mną. – Ktoś stracił rozum. A znalezione nie kradzione, co?

Sovay westchnął przeciągle.

– Nie możemy jej tak zostawić...

– Możemy, możemy – powiedziała Em-Cate. – Nie z naszej winy to się stało, nie nasz interes i nie zamierzam maczać palców w tej sprawie. – Patrzyła na mnie twardo. – Obojętnie komu się dostanie.

– Popieram – odezwał się Twill. – Dajmy się w to wmieszać, a wszyscy skończymy w vanie. Jeśli ktoś chce ryzykować, jego sprawa, ja dziękuję.

– Ja też. – Em-Cate porywczo odwróciła się ode mnie. – Próba przełożona. Wychodzimy z basenu.

Wszyscy zeskoczyli ze sceny i popędzili ku drzwiom do garderoby, jakby goniło ich... hm... to, przed czym ja uciekałam. Z wyjątkiem Sovaya. Em-Cate obejrzała się na niego, pokręciła głową i poszła za innymi.

Czekałam, aż Sovay coś zrobi lub powie, ale on tylko stał z tym swoim wyrazem udręki na bezbarwnej twarzy, jakby to on miał kłopoty.

– No cóż – powiedziałam z nieszczerym śmiechem – chyba mogę założyć, że mnie

wylano. Jakbym nie miała dość innych problemów.

– Chryste, tak mi przykro – wyrzucił z siebie z taką mocą, jakby spowiadał się ze wstydliwego grzechu, którego nie mógł już w sobie tłumić ani chwili dłużej. – Żal mi ciebie i siebie. Z powodu wszystkiego, co zaszło. Wolałbym nie znać... Wolałbym cię nie znać.

– Doprawdy niebanalne wyrażenie współczucia – stwierdziłam po dłuższym milczeniu. – Dzięki! Nie wiem, gdzie bym dziś była bez twojej przyjaźni i wsparcia.

– Dokąd idziesz? – rzucił za mną.

– Zastanówmy się. Chyba najpierw powinnam się przejść na bezrobocie. Zakładam, że przygotowano dla mnie stosowne wypowiedzenie. Ułożę więc życiorys, zapiszę się na przyszłoroczne przesłuchania... – Udałam, że intensywnie myślę, i pstryknęłam palcami. – Taa! Uderzę do kliniki, żeby się pozbyć tego fatalnego kostiumu, który przyciąga porywaczy.

Złapał mnie za ramię, nim zeskoczyłam ze sceny.

– Słuchaj, Mar... – Milczenie. – Marva. Nie mogę się nadziwić. To naprawdę ty! Ty, co? – Jego mina wyrażała bezgraniczne zdumienie.

– O to właśnie chodzi? Em-Cate, Twill i cała reszta... Czy oni mnie nie poznali?

Skrzywił się, jakby miał się rozpłakać. Koleś umiał lawirować między skrajnymi uczuciami.

– Ja ciebie poznaję... Pamiętam... – Wzruszenie odebrało mu głos.

– Taa, ja też co nieco pamiętam. – Wzruszyłam ramionami. – Choć więcej zapomniałam. I nie jest to raczej dzieło przypadku.

– Nie, nie jest. – Wziął głęboki oddech. – Gdybym znalazł jakiś sposób, żeby ci pomóc... żeby pomóc tobie, Marva... zrobiłbym to bez wahania. Tęsknię za tobą.

To wyznanie dzieliły lata świetlne i jeszcze trochę od biadolenia typu: „nigdy więcej, kocham żonę...” – które zawsze słyszałam. Tak bardzo mnie to zaskoczyło, że prawie mi umknął dziwny nacisk, jaki położył na moim imieniu. *Pomóc tobie, Marva...* O co mu chodziło, do licha?

– Wciąż mi zależy – ciągnął z zażenowaniem. – Nie mogłem pozwolić, żeby to trwało. Nie dlatego że mi nie zależało, wręcz przeciwnie.

Machnęłam ręką lekceważąco.

– Chcesz pomóc mnie jako Marvie, czyli nie mnie... jako komu? Jako komu, Sovay? Nie mnie jako postaci? Nie mnie jako Marceline?

– Marceline nie...

Urwał tak nagle, że nawet nie złapał oddechu, ale reszta zdania brzmiała w mojej głowie tak wyraźnie, że nie byłam pewna, czy go jednak nie dokończył.

*Marceline nie jest postacią.*

Dopała mnie przerąbana myśl, że w rzeczywistości nie uciekłam panu Pizamie, że mój umysł telepie się gdzieś w puszcze, przykręcony do trzech czwartych swoich możliwości.

*Marceline nie jest postacią.*

Niczym drugi zastrzyk stężonej prawdy, wbity bezpośrednio do mózgu...

*...agentka ciągle tu jest.*

*Marceline nie jest postacią...*

*...agentka ciągle tu jest.*

*Chcesz sprawdzić kwestię?*

*Marceline nie jest agentką...*

*... i agentka nie jest postacią...*

*...i Marceline ciągle tu jest...*

Głowa mi pękała od głosów, hałasów i bezsensownej gmatwaniny widoków. Sovay, „Teatryk sir Larry’ego”, „Skrytka Davy’ego Jonesa”, podmieście o trzeciej nad ranem, Anwar. Widoki kręciły się, wirowały jak liście w podmuchach cyklonu, rozmazywały się i przetapiały w nowy, obcy mi obraz, choć bogaty w szczegóły i niezaprzeczalnie mój:

Krawędź urwiska, a w dole ogromna, zamglona czeluść. Poczułam przebłysk czegoś podobnego do agorafobii, choć ten lęk na pewno miał inne podłoże. Bałam się nie tyle bezkresnej, otwartej przestrzeni, co nicości, nieistnienia...

Czyjaś dłoń zacisnęła się na moim ramieniu dokładnie w tym miejscu, gdzie niedawno zaciskały się palce zielonego mężczyzny. Na starych sińcach powstały nowe. Gdy ból przywrócił mi zdolność widzenia, kołysałam się na skraju sceny.

– Spokojnie. – Sovay odciągnął mnie kilka kroków od krawędzi. – Wyglądało na to, że mi tu odleczysz.

– Niby że zemdleję? Owszem, miałam coś zrobić, ale na pewno nie zemdleć. – Gapiłam się na skraj sceny i widziałam nakładający się na niego brzeg urwiska.

– O, marnotrawna córka wróciła!

Podniosłam wzrok. Mężczyzna, idący głównym przejściem, miał na ustach tysiącwatowy uśmiech, ale gdy podszedł bliżej, zauważyłam, że jakoś nie jest mu z nim do twarzy. Miał pociągłą, kościstą twarz otoczoną drutami białych włosów, niezwykle wysuszonych – aż się bałam, że zapalą się od jego pachnącego papierosa. Drogie ubranie też źle na nim leżało, jakby w wielkim pośpiechu wrzucił na grzbiet co popadło. Z pewnością skądś go znałam... Coś się stało zeszłej nocy, chyba w „Skrytce Davy’ego Jonesa”...

Idąca za nim kobieta też mi nie rozjaśniła sytuacji. Maskowała się kapeluszem z oklapłym rondem i wielkimi okularami słonecznymi, które zasłaniały praktycznie całą górną część twarzy.

Jakaś szychą, pomyślałam, w komplecie z panią szychą, a może jakaś szychą w komplecie z panem szychą. Przyszli do „Teatryku sir Larry’ego”, żeby jednemu z aktorów dać szansę życia, o jakiej wszyscy marzą. Popatrzyłam na Sovaya. Śledził każdy krok faceta, gdy ten wchodził na scenę, jakby był jej właścicielem.

– Tu nie wolno palić – powiedział niepewnie Sovay.

– Przepraszam. – Facet rzucił papierosa na deski i zdusił go obcasem. – Nie masz pojęcia,

jaka to dla nas radość, że możemy się z tobą znowu spotkać. Zeszłej nocy... straszne nieporozumienie...

Mówił do mnie. Przypomniała mi się reklama, którą oglądałam w salonie wideo. Ciągłe uśmiechnięty, zbliżył rękę do mojego ramienia. Odsunęłam się, chroniąc obolałe miejsce.

Spiorunował Sovaya morderczym wzrokiem.

– Nic jej nie mówiłem – zastrzegł się aktor. – Porozmawiaj z nią, a sam się przekonasz.

Potałam posiniaczony biceps.

– To pan wypuścił tę reklamę?

– Reklamę? – Facet próbował jednocześnie uśmiechać się do mnie i karcieć wzrokiem Sovaya.

– O tym już się mówi – powiedział Sovaya. Podeszedł do miejsca, gdzie kobieta czekała z łokciem na skraju sceny i brodą wspartą na dłoni, ostentacyjnie znudzona. Miała w sobie coś dziwnie znajomego. – Wiesz, sam chętnie wysłucham twoich wyjaśnień.

Nie zaszczyciła go ani jednym spojrzeniem. A skoro wspomiano o wyjaśnieniach, to chętnie posłuchałabym czegoś na temat ich wzajemnych relacji, z pewnością dość burzliwych. Najwyraźniej zasady moralne Sovaya nie dorównywały stali nierdzewnej, jak próbował wmówić światu.

– Chyba już się wszystkiego domyślam. – Podeszłam do Sovaya. – Podpisaliście ze mną, przyjaciele, umowę promotorską, a w zasadzie z kimś, kogo wzięliście za mnie. Tymczasem negocjowaliście z jedną z moich postaci. Być może was wykolegowała albo sami się wykolegowaliście, w każdym razie to bez znaczenia, bo kontrakt jest nieważny.

– Aha. Tak uważasz? – Zerknął na kobietę.

– Zniszczycie kontrakt i umówimy się, że to była zwyczajna pomyłka – ciągnęłam. – Obędzie się bez pozwów i opłat. Nawet zwrócę pięćdziesiąt procent tego, co daliście mi tytułem zaliczki. Pozostałe pięćdziesiąt potraktujcie jako koszt wypożyczenia.

– Cóż za wspaniałomyślność – stwierdził.

– Jestem z natury wspaniałomyślna, ale nie zamierzam być własnością promotora.

– Na pewno wiesz, co mówisz? Może powinnaś najpierw przeczytać kontrakt, który podpisałaś. Bardzo przepraszam, który ona podpisała. Nieźle się obłowiłaś.

– Spodziewam się, ale to nie dla mnie, wielkie dzięki. Zawsze chciałam grać na deskach tradycyjnego teatru.

– To się nazywa powołanie. Ale skoro nalegasz. Wybierz się z nami do biura, załatwimy wszystko od ręki.

– Dzięki, ale możecie mi podesłać netem dokumenty. Ufam wam.

Mężczyzna zawahał się i popatrzył znów na kobietę.

– Zostawiłaś u nas coś, co do ciebie należy. Chcielibyśmy ci to zwrócić.

– Przyślijcie pocztą, aż tak mi nie zależy. Jeśli chcecie, zapłacę za kuriera.

– To wbrew naszym zasadom. Musimy ci to oddać do rąk własnych.

– W takim razie wy wynajmijcie kuriera.

Starał się ze wszystkich sił opanować zniecierpliwienie i coraz trudniej mu to przychodziło.

– Słuchaj, migiem się uwiniemy.

– Rób, co mówi! – wtrącił się nagle Sovay. Celowo nie patrzył na kobietę, choć nadal nad nią stał. Raju, musiała kryć się za tym ciekawa historia. – Jedź z nimi, oni się wszystkim zajmą. Nie mają wyjścia, jest świadek.

Nie podobał mi się ten pomysł i chyba było to widać, bo nieoczekiwanie Sovay na krótko wziął mnie w objęcia.

– Jedź śmiało – szepnął – potem będziesz wszystko pamiętać.

– A nie poszedłbyś za mnie? Uwierzę ci na słowo.

– Nie mogę – odpowiedział z naciskiem. – Ja o niczym nie wiem. – Spojrzał z góry na kobietę. – O niczym nie wiem, w porządku?

Nie patrząc na niego, pokiwała głową.

– Taa, przecież słyszę. – Bezsprzecznie mówiła znajomym głosem, ale jak zwykle miałam dziurę w pamięci. Wariactwo i tyle!

– Dobra – zwróciłam się do białowłosego faceta. – Ale chcę tu jeszcze wrócić.

– Zabierzemy cię wszędzie, gdzie tylko sobie zażyczysz.

Zbliżyłam się do skraju sceny, a ten jak mnie nie capnie za obolałe ramię! Chciałam się wyrwać, ale uparciuch i tak mi pomógł. Kobieta oddalała się już w pośpiechu.

W drzwiach obejrzałam się jeszcze za siebie. Sovay stał na pustej scenie i odprowadzał nas wzrokiem. Nas albo ją... tyle że jej już nie było. Chciałam krzyknąć, że wrócę, ale białowłosey wyciągał mnie już do holu.

Przy krawężniku buczała mała prywatna limuzyna z prawdziwym kierowcą. Trochę się ociągałam, szukając w myślach wymówki, która pozwoliłaby mi wrócić do teatru, ale facet wepchnął mnie na tył auta. Kobieta rozsiadła się na końcu siedzenia zwróconego w kierunku jazdy, skąd obserwowała ruch na drodze, jakby w życiu nie widziała piękniejszych pejzaży. Facet usadowił mnie naprzeciwko niej, wciąż zakleszczony na moim ramieniu; pewnie się bał, że prysnę drugimi drzwiami.

Pochyliłam się i skierowałam spojrzenie na wejście do teatru z idiotyczną nadzieją, że Sovay wybiegnie na ulicę, krzycząc, abyśmy poczekali.

Taa. Marzenia świętej głowy! Facet zamknął drzwi i rozległ się szum pachnącego, odświeżonego powietrza, wdmuchiwanego do wnętrza pojazdu. Nagle się przestraszyłam, że gdy tylko wzbijemy się w powietrze, zmoże mnie senność.

Na szczęście obyło się bez tego. Nie wydarzyło się zresztą nic szczególnego... no, chyba tylko to, że gość wreszcie puścił moją rękę. Kobieta nawet nie zdjęła okularów.

\* \* \*

Aż się prosiło, żeby stworzyć tu salę prób. Pomieszczenie było dwa razy większe niż sala rozgrzewek w „Teatryku sir Larry’ego”, wyposażone w mnóstwo mat do ćwiczeń na ziemi, przenośne drążki baletowe oraz łazienkę z wieloma bajerami, których nie umiałam nawet zidentyfikować.

– Fajna? – zapytał białowłosey, gdy się rozglądałam.

– Taa. – Cofnęłam głowę i zasunęłam drzwi łazienki. – Nie wiedziałam, że są pulsatory, które można nastawić na pięć różnych prędkości.

– Dla naszych ludzi to podstawa. W całym budynku zainstalowano ich dwadzieścia kilka, żeby nikt nie marnował czasu w kolejce.

– Ładnie z waszej strony. – Odsunęłam się od niego. – Dzięki za oprowadzenie, ale miejmy to już za sobą. Nie zależy mi na sławie i nie zależałoby, choćby zainstalowano po trzydzieści łazienek na piętro. Nie chcę, żeby ludzie łazili po świecie i myśleli, że są mną.

– Może wcale nie łążą? – Kobieta zjawiała się przy mnie bezszelestnie i stanęła tak blisko, że zobaczyłam swoje bliźniacze odbicia w jej wielkich, głupich, czarnych okularach. Z uśmiechem zdjęła oklapnięty kapelusz i nałożyła mi go na głowę.

Strąciłam go, wkurzona.

– Może wcale nie myślą, że są tobą? – Zdjęła okulary.

Upłynęło pięć sekund, zanim zrozumiałam, że patrzę na swoją twarz. Na swoją oryginalną twarz.

Stopklatka...

\* \* \*

To urwisko ciągle na mnie gdzieś czeka. Czeka na kogoś. Jeśli umieścimy urwisko na początku pierwszego aktu, pod koniec drugiego ktoś musi spaść w przepaść. Strzelba Czechowa się kłania, czyż nie tak? Nawet lepiej sprawdza się tu w środku niż tam, na deskach teatru.

Tu w środku... Dziwnie o tym myśleć w ten sposób. Czasem ta dziwność zrywa się, żeby przyłożyć mi między oczy. Tylko w moim zawodzie umysł przywiązuje taką wagę do miejsca. W moim zawodzie i Marvy. I chyba w zawodzie Marceline, ale jej nie znam za dobrze. Na razie.

Jednak Marva... ta dopiero ma samobójcze zapędy. Ha, ha, ha, jak powiedziała by Marceline. Ostatnio rzadko dochodzi do głosu. Trochę mnie gryzie sumienie, choć, szczerze mówiąc, nie miałam wyboru, jeśli chciałam ujść z życiem. Nie miałam wyboru, a teraz ona nie ma szans. Mam przewagę liczebną.

Ale nie ma czasu na roztrząsanie moralnych dylematów, nawet tak ważkich jak ten. Za chwilę kurtyna pójdzie w górę i będziemy musiały zagrać jak nigdy w życiu...

Musimy wyjść z tego bez szwanku, nim zadecydujemy, co zrobić ze skradzionym życiem Marceline.

Swoją drogą nie nazwałabym jej niewinnym obserwatorem. Bądź co bądź przyszła mnie zabić. Nawet gdy już zrozumiała, kim jestem, była gotowa dokończyć dzieło, zepchnąć mnie z urwiska. Z urwiska Marvy.

Powinna była przewidzieć, że Marva jest dla niej za dobra... zbyt prawdziwa. Niebezpieczeństwa związane z posiadaniem wieloskładnikowej osobowości czasami dystansują najbardziej rygorystyczne szkolenia psychopolicji. Tak czy owak powinnam była to przewidzieć, przygotować się na to.

W tradycyjnym teatrze są na to przygotowani: na zagrożenie wynikające z aktorstwa metodycznego, zwane uzyskaniem prędkości ucieczki, co kojarzy się z jakimś niebywałym, budzącym zachwyty osiągnięciem. Czy to właśnie napędza sprzedaż biletów: rewia dziwołagów? Dalej, przychodźcie, zobaczycie dziewczynę, która tak mocno marzyła o zostaniu motylem, że wyrosły jej skrzydła i zaczęła latać!

W dawnych czasach aktorstwo metodyczne nie miało nic wspólnego z wieloskładnikową osobowością. Przynajmniej na pierwszy rzut oka. Bo w dawnych czasach aktorzy dzielili się na dwie grupy: tych, którzy rozpływali się w swoich rolach, i tych, w których rozpływały się role. W późniejszym czasie różnice zaczęły się zacierać.

Marva odkryła prawdę. Teoretycznie nie powinna i nie doszłoby do tego, gdyby nie Sovay, który nakrył mnie w kryjówce. Może to nie Marva była za dobra, ale on: mistrz w rozgrzebywaniu warstw osobowości i tożsamości? Był za dobry, a Marva za bardzo go pragnęła.

Działając w głębokim utajeniu, miałam ograniczone pole manewru. Musiała żyć tak, jak jej się podobało, jeśli chciałam uchwycić przyczółek w walce z piractwem. Oto co uważałam za największe zagrożenie dla siebie: że w trakcie szperania w jej głowie piraci natkną się na to odgrodzone pomieszczenie, o którym nic nie wiedziała i do którego nie miała dostępu, i dowiedzą się, że jest tajnym agentem psychopolicji. W życiu bym nie pomyślała, że moją obecność odkryje jej kochanek i wszystko jej wyśpiewa.

Chyba nie zrobił tego specjalnie. Od tamtej chwili nic nie wskazywało, że taki był jego zamiar. Ale gdy tylko się dowiedział, dowiedziała się ona: bądź co bądź byli złączeni psycha w psychę. Nie powinni do tego dopuścić, biorąc pod uwagę płomień jej namiętności i jego własne zauroczenie. Lepiej, żeby ludzie, którzy tak silnie się pragną, nie mieli o sobie zbyt wielu informacji. W tym przypadku on nabawił się urazu psychicznego, ona zaś... miała niewspółmiernie gorsze przeżycia.

Teoretycznie nie powinna być w stanie dokonać rozdzielenia, ale jak już wspomniałam, była za dobra. Zdążyła już uzyskać prędkość ucieczki, była Marwą i



czuła się świetnie. Pragnęła pozostać Marwą, zamiast wieść żywot niewydarzonej agentki psychopolicji.

Dlatego oddzieliła swoją nową, bardziej świadomą jaźń od starej postaci Marvy i gdyby tego nie zrobiła, byłabym dziś nieżywa, daleko poza granicami oddzielającymi życie od śmierci. A wszystko za sprawą eskortantki, którą wynajęła właśnie w tym celu: do przeprowadzenia mnie przez granicę.

Jednak sam fakt, że uzyskała prędkość ucieczki, nie stawiał jej na równi z oryginałem. Oryginał był ciągle mną, zawsze mną, a ja pragnęłam żyć o wiele bardziej, niż ona pragnęła, bym umarła.

Czasem gdy patrzę na nią łaskawszym okiem, podziwiam ją za ten błyskotliwy pomysł z wynajęciem eskorty, żeby się mnie pozbyć. To było rozwiązanie żywcem wzięte z aktorstwa metodycznego: jeśli postać wierzy, że żyje, to uwierzy również, że może umrzeć.

Ale jest jeszcze coś, czego nie brała pod uwagę: istnieje życie po śmierci dla tego, kto mocno go pragnie.

Kurtyna idzie w górę. Pora na przedstawienie.

\* \* \*

Przedstawienie musi trwać.

Leżałam na brzuchu na scenie „Teatryku sir Larry’ego”... który jak gdyby nie był ten, co przedtem. Pewne drobiazgi wyglądały inaczej lub gdzieś się zagubiły. Z małych kolorystycznych niezgodności wnioskowałam, że bez pytania pozbawiono mnie oczu, nie tylko stanu świadomości.

Właściwie powinnam być zdenerwowana, lecz z jakiegoś powodu generator uczuć nie mógł zstartować. I nie był to wcale skutek środków, którymi mnie nafaszerowano, żebym odleciała, ponieważ czułam, że przestają działać. To wrażenie docierało do mnie z daleka niczym szmer wody spływającej do zlewu w innym pomieszczeniu. Powinnam raczej odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego leżę na deskach sceny... a w zasadzie dlaczego mnie na nią rzucono.

*Jest ci cieplej.*

Te słowa nie były ani głosem, ani myślą. Prędzej już czymś, co sobie przypominałam – czymś wyraźnym, lecz z pewnością należącym do przeszłości. Informacją na wyciągnięcie ręki. Jakbym przypominała sobie kwestie, choć tym razem nie było dla mnie żadnych kwestii. Nie leżałam plackiem na scenie, sama byłam sceną...

Nie, byłam całą tą cholerną budą, łącznie ze sceną.

Em-Cate byłaby wniebowzięta, mogąc mnie zdeptać przed zagraniem roli.

*Em-Cate nie jest twoją rywalką*, powiedziało wspomnienie, jeśli faktycznie to było

wspomnienie.

W takim razie kto?

A oto ja. Nie, nie ja, lecz kobieta z moją twarzą.

Pewni bardzo fajni ludzie...

Pewni Bardzo Fajni Ludzie.

No jasne. Trochę eufemistyczne określenie agencji promotorskiej, ale zgłaszający się do promotorów uwielbiają tanie, chwytliwe slogany. Między innymi dlatego rajcują ich nakładki osobowości. Na aktorów zapewne działał jeszcze inny magnes, który kazał im gonić za sławą, to znaczy sprzedawać się promotorom, ale nie miałam pojęcia, co mogłoby nim być. Osobiście nigdy nie marzyłam o sławie. Chciałam tylko...

*...w dalszym ciągu istnieć. Życ.*

No tak, trudno zaprzeczyć. Nie ma to jak cofnąć się do samego początku.

*Kto rywalizuje z tobą o istnienie? Pomyśl.*

Kobieta z moją twarzą zaczęła przechadzać się wokół sceny, wykonywać ćwiczenia rozgrzewające, które rozpoznałam jako swoje: tu trochę jogi, tam trochę tai chi, do tego balet i jeszcze trochę grochu z kapustą. Mogłam ją sobie oglądać ze wszystkich stron i pod każdym kątem – złodzieja chwającego się łupem.

Nareszcie zajarzyłam! Ona tu naprawdę była. Nie miałam do czynienia z obrazem ani wspomnieniem: spotkałyśmy się psycha w psychę. Nie wiedziała, że zdaję sobie sprawę z jej obecności, bo teoretycznie nie powinnam. Powinnam...

...stać na skraju urwiska.

Jako eskortantka/ćpunka odwalać swoją robotę. Tym razem dość niezwykłą: eskortanci nie dostawali setek telefonów od aktorów chcących się pozbyć kłopotliwej osobowości. Ale palicho, zlecenie to zlecenie. Bez wgłębiania się w temat, byle ktoś umarł.

Nie! Po raz milionowy – nie. To dotyczyło Marceline: postaci, którą opracowywałam. Tytuł sztuki i główny wątek gdzieś mi uleciały, lecz trudno, to tylko drobna luka w pamięci. Prawdopodobnie pojawiła się w zasranym węzle wspomnień z winy głupiej fanki głodu, która nawet w pracy miała usta pełne jedzenia. Nieważne: jeszcze chwila i odzyskam pamięć, dowiem się wszystkiego o Marceline...

*Marceline nie jest postacią.*

Marceline zaczęła się pojawiać na scenie: wyglądała identycznie jak ja w obecnym kostiumie. Ale skoro nie była postacią, czy mógł to być kostium?

Uświadomiłam sobie, że materializuje się w odpowiedzi na ruchy kobiety z moją twarzą. Przypominało to czarodziejską sztuczkę.

Lub tworzenie postaci do sztuki, tyle że postać była kimś, kto naprawdę istniał, a sztuka – moim życiem... moim nowym życiem...

A więc nie stałam się własnością agencji promotorskiej: ukradziono mi ciało!

Czy aby na pewno? Zdesperowana wspomnieniowa ćpunka z chrapką na coś więcej niż

nakładka osobowości. *Dajcie mi całkiem nowe życie, dajcie mi czyjeś życie, bo mam potąd swojego! Dajcie mi jej życie, tak, tej tam. Tej aktorki. Wezmę ją. Będę nią.*

Dali jej nakładkę z moją osobowością, potem mój wygląd, a mnie przemodelowali, żebym ją przypominała, i wyposażyli w makietę z...

Nim dokończyłam myśl, wiedziałam, że to niezupełnie prawda. O łowcach ciał chodziły słuchy, owszem. Po świecie szwendało się wielu smutasów, którzy chcieli zawłaszczyć cudze życie, skończyć ze swoją szarą egzystencją, przy czym korekty wyglądu zwykle nie przerastały ich możliwości finansowych.

Ale żeby chirurgicznie zmieniać drugą osobę? Nie do tego stopnia. Prościej było wysrać umysł, pochachmęcić siatkówki i linie papilarne, a resztę ciepnąć do cyfrowego getta.

Urwisko ukazało się tym razem z trzema kobietami. Skoncentrowałam uwagę na tej w środku – tej, którą eskortantka miała zabić.

To ja?

Wyglądała podobnie, ale widoczne były także różnice.

Na środku sceny malował się nowy obraz: jedna z nas – ja? porywaczka? – stoi w półmrocznym wnętrzu „Skrytki Davy’ego Jonesa” w mundurze agentki psychopolicji. Czy to ja? Czy postać, którą stworzyłam i o której zapomniałam?

Wspomnienie unosiło się w powietrzu zaraz za krawędzią urwiska. Gdybym chciała po nie sięgnąć, musiałabym skoczyć.

Odwrociłam się. Przede mną stało teraz krzywe zwierciadło ze „Skrytki Davy’ego Jonesa”, tyle że milion razy dłuższe od prawdziwego. Ciągnęło się w siną dal w obu kierunkach, daleko poza horyzont. Byłam sama, lecz lustro zaludniały odbicia ustawione jedno obok drugiego, jedno obok drugiego – odbicia bez tych, którzy się odbijają, odbicia czekające, aż ktoś je osiągnie. Lub na kogoś, kogo można osiąść...

Odbicie, które uważałam za swoje, odwróciło się do mnie. *Lustro jest w oczach tego, kto się w nim odbija.*

Co takiego?

*Przekonamy się, jaką naprawdę jesteś aktorką, powiedziała. W dawnych czasach nie kreowano postaci z zastosowaniem makiet. Ludzie po prostu wczuwali się w rolę i usiłovali wypaść przekonująco. A jak przekonująca możesz być ty?*

Przekonująca jako kto?

Wskazała sąsiedni obraz, przedstawiający osobę mającą mój obecny wygląd, oryginalną powierzchowność eskortantki.

Skróciła się perspektywa, dzięki czemu wyraźnie zobaczyłam nieatrakcyjne rysy jej okrągłej twarzy, otoczonej paskudnymi kudłami w kolorze wyblakłego brązu. Niezgrabne ciało oblekło się badziewnymi ciuchami, mocno już złachmanionymi. Silniejsi, szybsi szmaciarze odrzucali takie dziady.

*Możesz ich przekonać, że jesteś nią? Bo jeśli ci się nie uda, naprawdę nią będziesz. I nikt*

*już nigdy nie uwierzy, że jest inaczej. Możesz ich przekonać? Możesz ją przekonać?*

Co? Tu w środku? Odbicie eskortantki ustawiało się dokładnie naprzeciwko mnie. Nie mogłam się ruszyć.

*Tutaj, tam... wszędzie. Ona nie może być z tobą w kontakcie, gdy ta przejmuje kontrolę. To dla niej zbyt ryzykowne. Mogłybyście przez to zostać pomyłone. Musisz ją powstrzymać od przejęcia kontroli, a później je przekonać, że to zrobiła. Wtedy cię puszcza.*

O, tylko tyle? A jak miałam dokonać tego drobnego cudu? Mieli tu gdzieś przybornik cudotwórcy?

Raptownie przeniosłam się z powrotem do „Teatryku sir Larry’ego” – ba, sama znów nim byłam! Na środku sceny stał obraz eskortantki, marionetka bez sznurków. Gdzieś w teatrze, czyli we mnie, znajdował się obsługujący ją pilot. Rozszerzyłam pole swojej świadomości, co przypominało kompleksowe ćwiczenia relaksacyjne, wymagające skupienia się na każdej części ciała...

Znalazłam go. Wraz z kontrolą przyszła spora garść informacji, nazwisk, twarzy, miejsc, a także przebłysk: moja własna twarz zbliżająca się pędem do niej, wyciągnięta jakąś magnetyczną siłą z pustej przestrzeni za krawędzią urwiska tuż przed samym upadkiem.

Falami napływały kolejne pejzaże, widoki z tych rejonów podmieścia, gdzie robiłam badania środowiskowe, potrzebne do wykonania charakteryzacji. Ona znała je wszystkie, jakby oglądała je moimi oczami... albo jakbym to ja patrzyła na nie jej oczami...

Cebulopały, koguciki, uliczni handlarze neurozą, rozbrykane chodnikowe hologramy naganiające ludzi do fabryk snów po tanią działkę REM-owych zwidów oraz spartańsko urządzona klitka, którą wynajmowałam na krótki czas. Kanciarze wciskający bądziejne fiksacje i kompulsje jako pełnowartościowe neurozy, sieczkarnie ukryte pod przykrywką fabryk snów, gdzie sprzedawano kradzione wspomnienia i marne resztki wyspanych umysłów wygłodniałym wspomnieniowym ćpunom (takim jak ja?). Anwar, któremu przydarzył się niespodziewany atak czegoś w rodzaju przyzwoitości. Bateau wysyłający chyba mnie na kolejne zlecenie z nakazem: wróć z czymś użytecznym, wróć z czymś, co będę mógł wykorzystać, od tego cię mam; wróć, a wypakuję ci głowę tym wszystkim, czego ci zawsze mało i czego nie możesz mieć w rzeczywistości, ale przede wszystkim wróć. Wróć.

*Taa, wróć, nawet jeśli będę musiała przejść przez ścianę ognia, nawet jeśli będę musiała je pozabijać, zamiast tylko przyprowadzić je nad krawędź i puścić. A wszystko, co pozostaje z ich życia, zatrzymuję dla siebie, przynajmniej dopóki Bateau mi tego nie odbierze. Czasem nie nazywam go agentem, tylko alfonsem, ale nie jestem dziunią z nadmieścia na dziennym etacie. Zarabiam psie pieniądze, lecz wspomnienia ludzi wynagradzają mi to z nawiązką. Bo kto je tu w środku odróżni od rzeczywistości?*

Od przebywania jednocześnie w dwóch miejscach dostawałam strasznej kręcioły. Korciło mnie, żeby to przerwać i skorzystać z umiejętności metodycznych, lecz coś mnie powstrzymywało, aż oswoiłam się z tym, co robię. Czułam się bardzo dziwnie. Jak ci aktorzy

w dawnych czasach mogli się stawać innymi ludźmi i wiedzieć, że nimi nie są?

\* \* \*

Pieką mnie oczodoły, więc wiem, że nie siedzę już w systemie, ale tego, gdzie naprawdę jestem, chciałabym się dowiedzieć bez niczyjej pomocy. Dokuczają mi to zwariowane wspomnienie o Bateau – o tym, jak mu związałam – ale to była chyba jakaś delirka...

Cholera, niech szlag trafi węzeł wspomnień, do którego zaprowadził mnie Anwar! Ta chuda szkapa musiała mi wstrzyknąć jakieś świństwo. Zrobiła ze mnie śmietnik, wymiotła najniebezpieczniejsze odpady z sieczkarni, której przykrywką był węzeł wspomnień, a kiedy szajs, który mi dała, ruszył w tango, straciłam przytomność. Bóg jeden wie, za kogo się podawałam. Moja pamięć jest pochrzaniona. Pamiętam coś o teatrze, jakimś Sovayu i jeszcze jednym facecie z białymi włosami...

I ją też pamiętam, klientkę. Zresztą pieprzyć górnolotne sformułowania Bateau: frajerkę! Tak, to znacznie lepsze słowo. Była zdecydowanie frajerką, wszyscy na końcu wychodzą na frajerów. Zwłaszcza u kresu drogi, gdzie próbują pociągnąć cię ze sobą. Nic na to nie poradzą; tonący robią to samo. Ale to nie mój problem. Ja muszę kombinować, jak uciec od wrażeń i dreszczy z życiem i w jednym kawałku. To dopiero wyzwanie.

Cóż, jestem żywa, ale w ilu kawałkach, tego nie wiem. Przyjęcie tej roboty było moją największą pomyłką. Próbowałam skłonić Bateau, żeby pozwolił mi odejść, ale on się ciągle podniecał. Co się łamiesz, idź, zabij dla niej tę osobowość, a przy okazji, kiedy będziesz w środku, zgarnij wszystkie łupy. Zobaczymy, co nam wpadnie w ręce, póki klientka żyje i można coś jeszcze z niej wycisnąć.

I co się okazało? Że nie miała zbyt wiele – w każdym razie nie ta, która mnie wynajęła. To właśnie ta druga – ta, którą chciała zabić – miała wszystkie wartościowe rzeczy, bo w sumie to ona rządziła. Zaskakujące pożegnanie i zaraz zaskakujące powitanie. Zgarnęłam więcej, niżby ktoś przypuścił, i teraz muszę to z siebie zrzucić, ale tak, żeby nie zostać z samym dreszczem. Gdyby Bateau wiedział, że była agentką...

*Onie przyławinią...*

Cholera, czyżbym to ja powiedziała? I czy on w to wierzy?

*Agentka ciągle tu jest.*

On tego jeszcze nie wie, ale jeśli znowu dostanie mnie w swoje łapy, dowie się wszystkiego i zgotuje mi dreszcz życia.

W takim razie wmówię mu, że to było tylko niesforne wspomnienie. I dam mu coś od agentki. Musiała mieć od groma fajnych rzeczy, kiedy wbijała we mnie swój czekan i odrywała się od ściany urwiska. I pewnie nic się nie straciło...

– Już nie śpisz?

Jestem jeszcze zbyt przyćpana, żeby się poderwać. Frajerka nachyla się nade mną z miną współczującej mamusi i ja mam to łyknąć.

– Jeśli chcesz dłużej pospać, proszę bardzo – dodaje przesłodkim tonem. – Operacja się powiodła, pacjent umarł i na świecie panuje porządek.

Kapuję. Mam przyjąć do wiadomości, że to, co się stało tydzień temu, stało się i tyle. Mam przyjąć do wiadomości, że temat się wyczerpał. Zabawa skończona, zbieram klocki i wracam do domu, czyli pakuję się prosto do Bateau mniej więcej z tygodniowym opóźnieniem. On bierze otwieracz do mojej głowy i odtąd to ja mam kłopoty. Inni zaś pozbywają się kłopotów, bo razem ze mną pójdzie na stracenie agentka i nie będzie nikogo, kto mógłby cokolwiek wyśpiewać.

Cichutki głosik w mojej głowie mówi: *Sovay*.

Przez chwilę myślę go z Anwarem i nie pamiętam, która z nas miała kogo i, skoro już, w jaki sposób. Czy i on tam był? Czy był tam, patrząc z bezpiecznej odległości, kiedy my chwiałyśmy się nad przepaścią?

Nie. Wiem z całą pewnością, że nie mógł się schować przede mną. Ale na pewno odwiedzał tamto miejsce. Zostawił ślady. Mógł się zarzekać na wszystkie świętości, że nic nie wie, ale gdy Bateau zabierze się za mnie z otwieraczem, dowie się, gdzie był i co wiedział. I nawet jeśli o tym zapomniał, Bateau dopilnuje, żeby nigdy już sobie tego nie przypomniał. Tak na wszelki wypadek.

Muszę stąd spadać. Może zdołam powiedzieć temu Sovayowi, że wpakował się w kłopoty. Sam już powinien o tym wiedzieć, skoro ją zna, ale pewnie nie wie. Gdyby miał trochę oleju w głowie, załatwiłby sobie pompę – jak Anwar.

Siadam z myślą o wyjściu i zamieram w bezruchu. Mam znowu na sobie stare szmaty. Skoro znikły moje odjazdowe ciuchy, to razem z nimi pewnie forsa. Jasna cholera, aż takie z nich sknerusy?

– Jeśli wszystko załatwione, wezwiecie mi teraz taksówkę. Tylko najpierw mi zapłacicie.

Ha, ha, ha – nikt nie będzie mówił, że nie umiem ściemniać. Tego się nie spodziewała. Patrzy w bok i zaraz podchodzi do nas facet z białymi włosami. Aż mnie zatyka, bo to sam Coney Loe w nadmiejskich łaskach.

Teraz już wszystko kapuję. Jeśli Coney Loe jest w to zamieszany, można śmiało mówić o piractwie, porywaniu ciał i innych machlojach. Każdy, kto chce się babrać piractwem i porywaniem ciał, musi mieć łącznika w podmieściu, a trudno o lepszego niż informacjożerny Coney Loe. Żyje po to, żeby o wszystkim się dowiedzieć i o wszystkim paplać. Trzeba przyznać, że prezentuje się nieźle w eleganckim ubraniu. Kurka, wygląda niemalże naturalnie, mimo że ostatnią naturalną rzeczą, jaką zrobił, był pierwszy oddech.

Na jej znak Coney przynosi garść pieniędzy. Nie jest tego tyle, ile miałam przy sobie, gdy ocknęłam się w „Skrytce Davy’ego Jonesa”. Najpierw bogactwo, zaraz potem finansowa ruina. Chciałabym wszystko odzyskać, ale co mogę zrobić?

– Masz. – Wkłada mi do ręki plik banknotów i zaciska na nich moje palce. – Twoja dola i napiwek, za który możesz się najebać.

Kobieta patrzy na niego z niesmakiem.

– Trzeba popracować nad twoim meliniarskim językiem.

– Zadzwoń po taryfę! – nakazuje, kiwając szorstko głową. Przez kilka sekund mierzą się złowrogim spojrzeniem, po czym ona dumnym krokiem wychodzi. – Ma baba charakterek – zwraca się do mnie. – Wiesz, jakie są te aktorki. Nigdy im nie dogodzisz.

Przerzucam nogi z łóżka na ziemię. Uderzyłabym go, gdyby się nie odsunął. Gdy tylko moje stopy dotykają podłogi, mam to przedziwne, cholerne wrażenie, to przewstrętne uczucie, że to nie ja się poruszam. Czuję się sterowana, wykorzystywana.

Bywa, że człowiek załapie gdzieś kiepskie wspomnienie, po którym myśli ze strachem, że ktoś nim kieruje. Robi sobie wycieczkę na miejsce czyjejś zbrodni, bo pamięta, co i gdzie się wydarzyło. Jakby wspomnienie wiedziało, że znajduje się w niewłaściwej głowie, i chciało dostać się tam, gdzie jego początek.

Chcę się wyłączyć, odsapnąć i wykombinować, co to za wspomnienie, ale popędzająca mnie siła nie daje mi ani chwili spoczynku.

– Coś nie tak? – Coney patrzy na mnie podejrzliwie.

– Mam kaca – odpowiadam ochryple. Co mu się będę tłumaczyć?

Kobieta wraca ze swoim wielkim, kopanym uśmiechem.

– Pozwoliłam sobie zadzwonić po twojego agenta, zamiast po taksówkę. Już wysłał po ciebie vana. Lepszy darmowy przejazd niż taksówka za półtorej stawki, nie?

Adrenalina skacze we mnie tak, że czuję się, jakby mi ktoś przyłożył pięścią w brzuch.

– Jesteś pewna, że nic ci nie jest? – pyta Coney i przez chwilę wydaje mi się, że faktycznie chciałby się dowiedzieć.

– Mam kaca – powtarzam. – Pokażcie mi, gdzie wyjście, poczekam na zewnątrz. – Jeśli znajdę się na chodniku, nim przybędzie auto od Bateau, spróbuję dać nogę.

– Tędy – mówi kobieta i kiwa na mnie palcem.

Idę za nią przez wielkie, puste pomieszczenie, na środku którego jest łazienka, aż wchodzimy do windy, która jest niczym innym jak klatką na łańcuchu przewiniętym przez bloczek. Poruszanie się przychodzi mi ze śmieszną nieporadnością, jakby moje ciało było egzoszkieletem, do tego źle dopasowanym.

Winda wlecze się, że skonać można. Zaanektowałam róg, podczas gdy kobieta stoi przy panelu sterowniczym, jakby w obawie, że się na nią rzucę. Co mi przypomina, że

w swojej delirce byłam u Bateau. Teraz pamiętam, jak się od niego uwolniłam. Biedny Anwar. Przywalałam mu ze wszystkich sił i na pewno go to zabolalo. Wątpię, czy będę miała drugą szansę.

W dodatku pamiętam, co Bateau wcześniej powiedział u siebie w biurze. *Przywieźcie aktorkę. Żywą. Ale się śpieszcie.*

O, kurde. Bateau pewnie zlał się w majty ze śmiechu, kiedy zadzwoniła, żeby po mnie podjechał. Mam jej powiedzieć, że zabierzemy się razem, czy raczej poczekać z niespodzianką?

– Co znowu? – pyta i nagle zauważam, że się na nią gapię. – Nikt niczego nie udowodni – dodaje. – Odeszła, a razem z nią jej wspomnienia. Jeszcze tylko wymażę pamięć o tym, że w ogóle istniała, i będę szczęśliwa i wolna jak ptaszek.

Wiem, i to wiem na sto procent, że ma na myśli agentkę – tę, którą miała w głowie lub myślała, że ma ją w głowie. Walić ją! Niech Bateau wypróbuj na niej wszystkie swoje zabawki! W końcu czy miałam jakiś wybór? Nikt się nas nie pytał o zdanie. Niech ją wsadzą do puszki, a ja dla odmiany będę szczęśliwa i wolna jak ptaszek. Bateau zobaczy, jak sprawy stoją, i nie mnie, ale ją rozłoży na części pierwsze.

– Lepiej wymaż wspomnienia, jak już zerwiesz z tymi ludźmi – radzi. – Nie ryzykuj, że cię z nimi znajdą, kiedy dostaną nakaz rewizji. A na pewno będą jej szukać, jeśli nie wróci z raportem. Gdy nie znajdą śladu, będą musieli się poddać i dadzą nam wszystkim święty spokój. Wtedy będę mogła żyć, jak mi się podoba. Mam nadzieję, że twój alfons potrafi ukryć bazę danych, inaczej będzie po tobie.

Baza danych. Otóż to. Ją właśnie będzie chciał zdobyć Bateau, kiedy się dowie, że istnieje. Każdy agent psychopolicji ma w głowie taką bazę, a w niej wszystko, co powinien wiedzieć, choć może z niej skorzystać tylko w razie wyjątkowej potrzeby. Kłopot w tym, że ja już jej nie mam. Kiedyś miałam. Nawet prawie pamiętam, co w niej było, ale gdzieś ją umieściłam i niech skonam, jeśli wiem gdzie...

I znikąd: żucie.

Rany, czyżby ona? Dałam ją tej chudej pipie w węźle wspomnień? Czy może zwyczajnie się poczęstowała, jakbym pieprznięła na półmisek kanapki z delikatesów?

Zresztą czy to ważne? Ważne jest to, żebym ją odzyskała. To jedyna rzecz, jaką mogę sprezentować Bateau, by uwierzył, że nie wyszłam z szeregu.

– Powiedz mi – pyta – czy trudno jest wam, wspomnieniowym ćpunom, zapomnieć? A może jesteście przyzwyczajeni do tego, że jedno wspomnienie przychodzi, inne odchodzą?

Ma postawę osoby napastliwej i wszystkowiedzącej, wyżej postawionej w tym świecie. Tę chęć triumfowania przypłaci kiedyś życiem.

– Fakt, przychodzą i odchodzą. Jeśli chcesz mieć podjarę, każde się nada.

Winda zatrzymuje się z hukiem, otwierają się zgrzytające drzwi. Jesteśmy na



samym końcu dużego, przestronnego, oszklonego holu i ludzi tu jak mrówek. Kobieta chce ruszyć przed siebie, lecz ja się ociągam. Wysoki facet w srebrzystym uniformie podchodzi spacerowym krokiem i puszcza do mnie oko.

– Nie przejmuj się – mówi kobieta z taką miną, jakby nie wiedziała, czy się roześmiać, czy mnie walnąć. – On jest z katalogu. Wszyscy to hologramy.

Teraz i ja to widzę. Wysoki facet nie patrzy wprost na mnie, tylko trochę na lewo, choć oprogramowanie naprowadzające mieści się w granicach normy. Tak czy owak to świetny hologram: zero smużenia, mimo że jesteśmy pod dachem, i prawdziwa nieprzeźroczystość; nic za nim nie widać, jeżeli nie podejdziesz się bardzo blisko lub z drugiej strony nie pojawi się silne źródło światła.

– Czy to wam nie psuje interesów? – pytam.

Próbuje wyciągnąć mnie z windy.

– Nie bądź śmieszna. Po to tu wszyscy przychodzą.

Lgnę do drzwi i próbuję zobaczyć, czy na zewnątrz przy krawężniku nie parkuje van. Tylko skąd wiadomo, że Bateau podeśle ten sam van i że w ogóle będzie to van? Może nawet nie zleci tego Anwarowi. Może się domyślił, co zrobił Anwar, i Anwar kibluje już w puszcze?

– Jest tu inne wyjście? – pytam. – Na zapleczu? W podziemiach?

Wzdycha z ledwie hamowaną złością.

– Słuchaj no, czemu po prostu nie wrócisz do swojego życia? Nie jesteś mną i nigdy mną nie będziesz. Gdybym wiedziała, że jesteś tak pojętnym uczniem, nigdy bym...

Trach! – i ni stąd, ni zowąd, ku mojemu zaskoczeniu, zaciskam ręce na jej gardle. Ktoś wrzeszczy...

\* \* \*

– Wiem, co się stało, ty zawszona suko! – wrzasnęłam jej prosto w twarz, moją skradzioną twarz. Maskę Marceline rozpadła się jak domek z kart. Precz z tą szopką! – To jest moje życie i ty mi je ukradłaś! – Grzmotnęłam nią o ścianę. – Ty pojedziesz do tego alfonsa, nie ja! Ty jesteś eskortantką...

Charczała i szarpała moimi nadgarstkami. Zdałam sobie sprawę, że jeśli tak dalej pójdzie, wycisnę z niej ostatni oddech. Byłam teraz większa i cięższa, mogłabym ją zabić w staroświecki brutalny sposób i naprawdę miałam na to ochotę. Niech się przekona, jak to jest: stanąć nad samym skrajem przepaści i zostać zepchniętym w dół...

*Nie odejdzie po dobroci.*

Wspomnienie dopadło mnie z taką siłą, że natychmiast przeniosłam się do innego miejsca: urwiska, gdzie wszystko się rozegrało...

*Od tego właśnie jesteś, dlatego do ciebie dzwoniłam. Ona jest tylko postacią, bezużyteczną postacią, która zapuściła zbyt wiele korzeni i teraz uważa, że istnieje naprawdę. Do niczego mi się już nie przyda, w dodatku stale próbuje przejąć kontrolę.*

Przypomniałam sobie. Przypomniałam sobie, że to właśnie powiedziałam. Ale jeśli ja to powiedziałam... to kogo właściwie dusiłam?

Zrobiła się czerwona jak burak. Puściłam ją, zaszokowana tym widokiem i własnym zachowaniem. Krztusząc się, cofnęła się chwiejnie. Akurat rozsuwały się frontowe drzwi. Wmieszałam się w tłum hologramów. Do środka wmaszerował zielony facet; jedyną barwną odmianę stanowił biały bandaż na głowie. Tuż za nim szedł Anwar. Załatwił sobie większą pompę.

Hycnęłam za hologram kobiety ubranej w rozwiane chusty. Kiwała się w przód i w tył z rozłożonymi ramionami, tańcząc w miejscu w rytm muzyki, którą słyszała, gdy ją skanowano. Z tyłu była ściana, więc nic przez nią nie prześwitywało. Tymczasem porywaczka, krztusząc się z rękami na szyi, przetoczyła się przez podobiznę mężczyzny w połyskliwym pseudowojskowym mundurze, bezdźwięcznie wymachującego pejczem, i wpadła prosto na Zabazgranego.

– Gdzie ona jest? – Chwyił ją za włosy i mocno pociągnął.

Jakiś smutnooki klaun w stroju kloszarda wybuchnął niemym śmiechem i pokazał ją palcem, trzymając się za brzuch. Była w stanie tylko kaszleć i potrząsać głową.

– Gdzie? – krzyknął Zabazgrany i ogarnął spojrzeniem hologramy. – Rozejrzyj się! – warknął do Anwara. – Miej oczy otwarte!

Tańcząca kobieta nagle wykonała mały skok w lewo. Skacząc razem z nią, rozkładałam ramiona za jej ramionami i starałam się jak najlepiej naśladować jej ruchy. Projekcja miała tak wysoką rozdzielczość, że mało co widziałam przez głowę, gdy Anwar kierował się na środek holu. Różnorakie postacie przechodziły przez niego, gdy przeglądał wystawę.

Kobieta skoczyła w drugą stronę, a mnie i tym razem udało się nie zostać w tyle. Długa, zwiewna chusta oderwała się od jej szyi i przeniknęła moją głowę. Nic nie czułam; hologram przechodzący przez człowieka oddziałuje na niego słabiej niż padający cień. Bałam się tylko, że zakłócenia zniekształcą obraz. Na szczęście nic się nie stało, co najwyżej lekkie smuzenie, nawet kiedy nieoczekiwanie cofnęła się o krok i jej obraz nałożył się na mnie jak zbroja. Pasowało mi to, ponieważ zdążyłam już rozpracować jej choreografię. Teraz mogłam tylko ruszać się jak ona, z nadzieją, że nie nastąpią żadne nagłe, rewolucyjne zmiany. Gdyby zrobiła choćby jeden akrobatyczny wyglup, byłabym spalona.

Anwar wciąż powoli przechadzał się po holu. Kołysałam się w miejscu, kiedy zatrzymał się dwa kroki ode mnie i odwrócił się w stronę hologramu. Z trudem nad sobą panowałam, gdyż miałam chęć wyskoczyć ze swojej holograficznej skóry i pognać do drzwi. Z tak bliska musiał mnie zobaczyć. Przynajmniej widział, że coś rusza się w obrazie, jakby dwa ujęcia nie były ze sobą dobrze zgrane.

Myślałam, że zwariuję, kiedy tak stał i gapił się na mnie. Wydawało mi się, że zatapia spojrzenie w moich oczach. Poruszałam się razem z hologramem, spodziewając się, że zaraz wyciągnie rękę i wywlecze mnie stamtąd.

Zamiast tego sięgnął do pasa i wyłączył pompę, gdy ta zaczęła pikać. Opuściłam rękę, zrezygnowana, i nie skoczyłam w lewo razem z hologramem, lecz on akurat się odwrócił.

– Musiała wybiec tuż przed naszym przyjściem.

Zabazgrany ciągnął porywaczkę do wyjścia.

– Chodź, może zdybiemy ją na ulicy.

Kobieta się szamotała, próbowała się wyrwać z jego morderczego uścisku. Zrobiło mi się jej żal. Zabazgrany bez certolenia się zakręcił nią i dał jej porządnie w twarz. Upadła z zakrwawionymi ustami. Usłyszałam nieprzyjemne stuknięcie, gdy jej głowa uderzyła o ziemię.

– Chryste! – zawołał Anwar. – Nie mogłeś poczekać, aż nałożę jej plaster? – Zerknął mniej więcej w moją stronę.

Doskoczyłam do hologramu i znów zaczęłam tańczyć.

Zabazgrany podniósł kobietę i zarzucił ją sobie na ramię.

– Nie, nie mogłem. Bateau nie będzie przejmował się urazem głowy.

Anwar ruszył za nim, lecz nim wyszedł, obejrzał się na mnie. Gdy zobaczyłam, że van odbił od krawężnika, zawrócił i odjechał, przetańczyłam z hologramem jeszcze całą serię trzydziestu ruchów.

Dopiero po przejściu trzech przecznic uświadomiłam sobie, że facet z góry nawet nie pisnął w czasie tego zdarzenia. Coney jakiś tam. Pamiętam, że kiedyś znałam jego nazwisko, lecz teraz mi umknęło. Zresztą nie miałam czasu zaprzętać sobie nim głowy.

\* \* \*

Na ekranie twarz Sovaya wydawała się, o dziwo, jeszcze bledsza.

– Nie, nie wracaj do teatru – powiedział, pochylając się do przodu. – To pierwsze miejsce, gdzie pokażą się twoi kumple z usług eskortowych po złożeniu wizyty Pewnym Bardzo Fajnym Ludziom. – Zamilkł ze zboląłą miną. – Akurat muszę gdzieś wyjść. Spotkajmy się za godzinę u mnie w domu. – Dał mi swój adres i rozłączył się, nim zdążyłam mu powiedzieć, że już go znam.

Podniosłam osłonę i rozejrzałam się czujnie po stacji metra. Oprócz kilku maruderów, będących pozostałością po tłumach, jakie się tędy przewalały po południu, znużonej strażniczki strącającej pałką ze ściany karaluchy oraz zagubionego narąbańca, który chyba nie umiał poradzić sobie z nudą, nikt się tu nie kręcił.

Obojętnie jak wysoko w nadmieście się było, stacje metra wszędzie wyglądały tak samo; każda z nich stanowiła drobne odgałęzienie życia toczącego się w podmieście. Jediną różnicą

było to, że w nadmieście stacje zamykano o północy, a straż pakowała włóczykiów na ostatni pociąg do podmieścia.

Dojazd metrem do Sovaya trwał krócej niż godzinę – mieszkał w dolnej części czegoś, co oficjalnie nazywano dzielnicą nadmiejską, choć ceny nieruchomości wskazywały raczej na śródmieście – ale nie chciałam się tu wałęsać, aż zacznie się pojawiać wieczorna klientela.

Wyszłam z budki telefonicznej i udałam się na peron, mając wrażenie, że wszyscy się na mnie oglądają. Strażniczka obrzuciła mnie krótkim spojrzeniem, ale chyba uznała, że nie jestem tak interesująca jak porażony prądem karaluch. Narąbaniec wyłożył się na ławce; spał z otwartymi oczami albo miał jakieś odjechane wizje. Nic mnie nie obchodził.

Oparłam się o glazurowany filar i spróbowałam przyjąć postawę spokojnej czujności. Nie bardzo wiedziałam, co robić do spotkania z Sovayem. Na razie Marceline znów spała, i to twardo. Może jej sny docierały do mnie jako wspomnienia? – rozmyślałam dla zabicia czasu. Może na pewnym poziomie świadomości pragnęła odzyskać swoje życie tak mocno, jak ja swoje? Zastanawiałam się, jak chce dopiąć celu. Nakładki osobowości, kupowane w agencjach promotorских, wbrew zapewnieniom promotorów nie dają głębokich, trwałych skutków. Z czasem należy je odświeżać. Ale skoro wypadłam z obiegu, Pewni Bardzo Fajni Ludzie nie byli w stanie tego robić: oryginał wzmacnia poczucie zmian i rozwoju, bez czego nie ma przekonania o ciągłości istnienia. I nie zastąpi tego żaden szablon, choćby zapisano w nim sztuczną rzeczywistość najbardziej bogatą w szczegóły. A więc jak chcieli podtrzymywać moje osobowości?

Lustro, pomyślałam. Musiała przejąć lustro, kiedy mnie porwała.

Ale lustro miało się nijak do oryginału. A może Pewni Bardzo Fajni Ludzie wcale się tym nie przejmowali? Może po prostu zamierzali ją wykorzystać, pobierać od niej osobowości, które sama wyprodukuje, nawet jeśli niekoniecznie będą z górnej półki? Pewnie ekipa, kradnąca ludzkie życie, nie troszczyła się o najwyższe standardy jakości, pomyślałam z ponurą miną. Po prostu chciała firmować swoje dzieło imieniem „Marva” – niekoniecznie za moim przyzwoleniem.

Mój wzrok przykuło jakieś drobne poruszenie. Ktoś przypatrywał mi się zza sąsiedniego filaru: chudy obszarpaniec z twarzą łotrzyka chorego na progerię. Śmiało spojrzałam na niego. Coś mi mówiło, że to on jest bardziej skrepowany moją obecnością niż na odwrót. To, że i ja jestem w stanie kogoś onieśmielić, dawało mi jakąś gorzką satysfakcję.

Okrażył filar, rozglądając się strachliwie, i przeczesał ręką szopę płowych włosów, opadających na czoło. Odwróciłam się i zapatrzyłam w ciemny wylot tunelu metra.

Czemu to porwanie tak się udało? Czemu eskortantka z taką łatwością przejęła moją osobowość? Dlaczego nie starała się już ze mnie brać? I czemu nie była nigdy zdezorientowana, zmieszana? Nawet klienci zaopatrujący się w najdoskonalsze nakładki osobowościowe w czołowych firmach, takich jak Wpływowi Ludzie, miewali kłopoty z określeniem swojej tożsamości.

Ponownie spojrzałam w stronę szybko starzejącego się menela, żeby sprawdzić, czy nie skrada się w moją stronę. Stał odwrócony do mnie plecami i z zacięciem mazał filar flamastrem. Zatkaną usta, żeby nie parsknąć śmiechem. A mówiono: epoka szybkiej wymiany informacji. Szczyt rozwoju społecznego (pod względem technologicznym) z miliardem sieci, które udźwigną prawie każdą formę komunikacji i środków wyrazu, począwszy od kaligraficznych faksymiliów, a skończywszy na wysokiej jakości hologramach, które zmyliłyby matkę (lub obstawę alfonsa), a mimo to odwiecznej żądz bazgrania po murach jeszcze nic nie wyparło. Wirtualne hasła nie dorastały do pięt ściennym bohomazom.

Gdy z szumem i silnym podmuchem na stację wjechał pociąg, menel odwrócił się z przestraszeniem. Przemknął obok mnie i wskoczył do ostatniego wagonu. Przeszłam się po peronie do następnego, żeby po drodze obejrzeć sobie to, co z takim zaangażowaniem gryzmolił.

Litery były trochę rozchwiane, jakby dziecko uczyło się pisać. *Jerry Wirerammer żyje!*

Samo nazwisko nic mi nie mówiło, lecz poczułam nagły, silny przypływ empatii.

Ja też, Jerry. Ja też.

\* \* \*

– To nie jest piractwo ani porywanie ciał – powiedział z ociąganiem Sovay, kładąc się na rozrzuconej stercie poduszek.

W skąpo oświetlonym salonie – zakładałam, że to salon – poduszki pełniły funkcję mebli.

– W takim razie co? – Ugniotłam poduszkę, by zrobić dla siebie podparcie.

– Marva opowiadała mi o tym do znudzenia, aż kazałam jej przestać. – Z uporem maniaka mówił o mnie w trzeciej osobie, co zaczynało już działać mi na nerwy, ale się nie skarżyłam. Byłam gotowa urwać mu głowę, byle najpierw wyjawiał, jakie absurdalne kity mu wciskano. Popatrzył na swoje wybielone dłonie. Skóra wyglądała bardzo delikatnie. – Rano mam wizytę u kolorysty. Potrzeba kilku dni, żeby pigment rozproszony się równo.

– Fascynująca historia. A teraz mi powiesz, co mówiła ta Marva?

Nie zwrócił uwagi na ironię.

– Podobno odkryła, że w jej charakterystyce zagnieździła się... dysfunkcyjna osobowość. Nie powiedziała, skąd to wie i czy robiła już coś w tej sprawie. Wyjaśniła tylko, jak zamierza się jej pozbyć.

Westchnęłam ze zniecierpliwieniem.

– No więc co wymyśliła?

Popatrzył na mnie.

– Że wynajmie ciebie. To znaczy eskortę. Przypadkiem padło na ciebie, ty zaś, przypadkiem, okazałaś się... pojętnym uczniem.

Usiadłam prosto i założyłam ręce za plecy.

– Mógłbyś jaśniej, bo nie bardzo rozumiem?

– Twoja makieta szybko się przyjmuje. I muszę przyznać, że efekt robi wrażenie. Przejęłaś po niej nawyki, sposób wypowiedzania słów, nawet gesty i pozy, dosłownie wszystko. To kompletne wcielenie się w postać. Pewnie byłaby z ciebie fantastyczna aktorka. Nie wiem, kim naprawdę jesteś... poza tym, że jesteś eskortantką.

Przejechałam rękami po twarzy.

– To wygląda na doskonale wcielenie się tylko dlatego, że nim nie jest. Ona zamieniła się ze mną miejscami.

Sovay zaśmiał się drwiąco.

– Nikomu się to jeszcze nie udało. Taka zamiana jest chyba niemożliwa, wszyscy eksperci tak twierdzą.

– Bo mówią o czym innym. Nie o takiej zamianie, kiedy nadają ci wygląd osobowości, a potem twój wygląd dostaje oryginał. To właśnie zrobiła z pomocą Pewnych Bardzo Fajnych Ludzi. Potem próbowała wyprawić mnie w świat z makieta maskującą i przejąć moje życie, ale najwidoczniej makieta się nie przyjęła, więc znowu mnie schwytali i... – Przerwałam. Po jego minie poznałam, że podejrzewa mnie o nurzanie się w jakichś nędznych omamach, które opchnął mi chociażby uliczny naciągacz w cuchnącym skórzanym pancerzu, z ustami pełnymi świecidełek.

– Myślisz, że byłoby ją stać? Eskortanci trzepią niezłą kasę, ale niewiele im zostaje, bo większość zgarniają alfonsi. Żeby porwać się na takie przedsięwzięcie, musiałaby odłożyć całą pulę z dziesięciu zleceń. Skąd wzięła taką kupę forsy, co?

– Wyłożyli ją Pewni Bardzo Fajni Ludzie pod warunkiem, że od tej pory będzie dla nich pracować – odpowiedziałam. – Kiedy mnie porwała, w jej ręce wpadło lustro. Zamierza tłuc kiepskie osobowości i w ten sposób zwrócić pożyczkę na zabiegi chirurgiczne. No wiesz, ordynarna masówka, popłuczyny popłuczyn, kiczowate odbitki. Do czegoś takiego nie potrzeba talentu. I przyzwyczaiła się żyć na kredyt. Od dawna wisi kasę swojemu alfonsowi. Z powodu uzależnienia od wspomnień zadłużyła się po uszy. Handel wspomnieniami to jeden z jego dochodowych interesów, ten gość jest jak konsorcjum.

Sovay zmrużył oczy.

– Nikt z moich znajomych nie mówi: „lustro”, tylko Marva.

– Wiem, przecież Marva to ja.

– Ale Marva sprzedała się Pewnym Bardzo Fajnym Ludziom, zanim dowiedziała się o dysfunkcyjnej osobowości. – Pokręcił głową. – Gdy byliśmy z próbami mniej więcej na półmetku, oznajmiła nagle, że zamierza przyjąć propozycję Pewnych Bardzo Fajnych Ludzi i zostać wzorcem osobowości. Powinienem był z miejsca odsunąć ją od przedstawienia, ale tego nie zrobiłem. – Obrzucił mnie dziwnym, badawczym spojrzeniem. – Lubilem Marwę, ot co. Bardzo ją lubilem i miałem nadzieję, że gdy wciągnie ją sztuka, zapomni o swoich planach. – Przez chwilę milczał. – Chwytałem się wszystkiego, żeby zmieniła zdanie.

– Zmieniło się coś więcej niż zdanie – zauważyłam z przekąsem.

– Rozmawiam z tobą tylko z jednego powodu. – Znów westchnął. – Ciągłe się łudzę, że jest w tobie coś więcej niż tylko makieta Marvy. Zachowujesz się dokładnie jak ona, nim Pewni Bardzo Fajni Ludzie omotali ją wizją bogactwa. Chyba zawsze były w niej dwie natury: jedna kochała sztukę, druga goniła za kasą. W końcu wygrała ta, która marzyła o pieniądzach. Tobie wszczepiono tę drugą naturę.

Najchętniej rozszarpałabym mu gardło, ale się opanowałam.

– Ja jestem Marwą, i to całą, nie jakąś jej częścią. A może myślisz, że jestem tą dysfunkcyjną osobowością, której chciała się pozbyć z pomocą eskorty?

– Nie. Wiem, że to był ktoś inny. Przekonałem się o tym... osobiście. Marva powiedziała, że ją załatwiłaś. Wtedy oświadczyłem, że nie chcę już o tym nic wiedzieć i najlepiej, żeby dała sobie spokój z teatrem. Na co ona, że wcale nie zamierza wracać, ale wyskoczył problem z eskortantką. Mały problem związany z czyimiś złudzeniami.

– Czyli?

Spojrzał na mnie twardo.

– Eskortantka chyba uwierzyła, że to ona jest Marwą. Mimo wysiłków Marvy i Pewnych Bardzo Fajnych Ludzi złudzenie nie chciało ustąpić. Nie usunął go nawet tydzień prania chemicznego.

Mrowie przeszło mi po grzbiecie, ale je zignorowałam.

– No i co zrobili z eskortantką?

Wzruszył ramionami.

– Pojęcia nie mam, zerwaliśmy znajomość. Strasznie się rozczarowałem i zniesmaczyłem, ale największy niesmak miałem wtedy, gdy zobaczyłem cię w „Skrytce Davy’ego Jonesa”. Pewni Bardzo Fajni Ludzie przywieźli cię tam razem z Marwą. Sądzę, że chcieli ci dać makietę. Tamtego wieczoru debiutowali ze swoim najnowszym wzorcem osobowości i nie mogli tego odkładać na później. Pewnie postanowili zademonstrować na twoim przykładzie możliwości swojego najnowszego nabytku. Nie potrafili uwolnić cię od złudzenia, więc zrobili z ciebie żywą reklamę. Tylko sobie wyobraź: „Patrzcie, ludzie! Nawet narąbaniec z podmieścia może zostać gwiazdą, oto kolejny zadowolony klient!”. Tyle że w pełni rozwinięte złudzenie nie przyjmie makiety. Wyszłaś z garderoby ubrana w jej ciuchy i zdawało ci się, że to rzeczywistość. Ale kiedy spotkałaś się twarzą w twarz z prawdziwą Marwą, pstryk i znowu byłaś eskortantką. W ten sposób złudzenie broni się przed prawdą. Zrobiłem to, co uważałem za stosowne, żeby cię od nich uwolnić: kazałem ochronie wywalić cię z lokalu.

– O, co za wspaniałomyślność!

– Współczułem ci. Byłaś taka... zagubiona. Myślałem, że jeśli wrócisz do domu we własnej osobie, złudzenie przestanie cię nękać i będziesz mogła żyć po staremu.

Próbowałam zebrać myśli. Wszystko to brzmiało groteskowo, ale cóż, takie były czasy.

– Nie wiem, jak ci udowodnić, kim jestem. Kim naprawdę jestem. Choć to akurat świadczy o tym, że jej się udało. To skomplikowane, ale popełniła zbrodnię doskonałą. Gdyby mnie znaleziono martwą lub wyczyszczoną, z poharataną twarzą, można byłoby wszcząć śledztwo. A ty mnie znałeś i mógłbyś skojarzyć ją ze mną.

Wydawał się skołowany. Nie winiłam go za to. Sama zaczynałam się w tym gubić.

– Ktoś mógłby skojarzyć eskortantkę porywaczkę z Marwą aktorką, nie rozumiesz tego? Dlatego eskortantka kazała przemodelować Marwę aktorkę, czyli mnie, żebym wyglądała jak ona. Potem z pomocą Bardzo Fajnych Ludzi odesłała mnie do podmieścia, żeby wkurzony alfons zrobił mi sieczkę z mózgu. Dowody przepadłyby raz na zawsze, bo nikt by sobie nie zawracał głowy jeszcze jednym śmieciopalem, który gryzie glebę. Ale teraz alfons ma ją zamiast mnie i karta się odwróciła. Kiedy wejdzie z butami do jej głowy, wszystko się wyda.

– Coś z tym zrobisz? – zapytał Sovay.

Roześmiałam się.

– A po co? Wróciła tam, gdzie jej miejsce, a ja mogę odzyskać swoje życie. Koniec gierek.

Uniósł brwi, ale powstrzymał się od komentarza.

– A co ty byś zrobił na moim miejscu? – zapytałam.

Bąknął coś o policji.

– No to sam do nich zadzwoń. Przecież mi nie wierzysz. Łatwiej uwierzyć, że jestem pazerną, wredną cipą... która rezygnuje z kariery w tradycyjnym teatrze... i z ciebie, żeby robić kokosy w agencji promotorskiej.

Ponownie wbił wzrok w swoje delikatne dłonie. Może się zastanawiał, jak długo będzie rozprawdzał się pigment.

– Kiedyś byliśmy kochankami – powiedziałam. – Tak jakby kochankami. Czymś więcej niż kochankami. Czy to pasuje do osoby, którą znałeś?

Podniósł wzrok.

– Do jednej z osób, które znałem – powiedział spokojnie.

– Celny strzał. – Westchnęłam. – No to skończyły mi się pomysły.

– A co powiesz na taki: Dawno temu był sobie aktor, człowiek żonaty, który zakochał się w aktorce z trupy. Umiał poskromić swoją namiętność, aż pewnego razu aktor i aktorka mieli zagrać zakochaną parę i stworzyć postacie do sztuki, o której dziś lepiej zapomnieć. Aktor i aktorka zrozumieli, że ich wzajemne zauroczenie utrudnia proces tworzenia postaci i postanowili uporać się ze swoimi uczuciami w rzeczywistym świecie, żeby można było dalej pracować nad sztuką. W dodatku ona chciała zrobić coś głupiego, zmarnować swój talent, więc on pomyślał, że zdoła nakłonić ją do zmiany zdania. No więc sprzęgli się psycha w psychę... – Odetchnął głęboko. – To nie był najlepszy pomysł. Okazało się, że ma do czynienia z zupełnie inną osobą... o czym, niestety, dowiedziała się również ona. Bo widzisz, postępowała zgodnie z odgórnym nakazem. Jej wariacki pomysł rezygnacji z teatru stanowił



część planu, który nie miał nic wspólnego z aktorem ani z jego uczuciami. Jego ingerencja wywołała potworny zamęt, bo narzucił się z własnymi wyobrażeniami co do jej osoby. Doszło w niej do rozdarcia, konfliktu między osobą, którą była naprawdę, a tą, za którą chciała uchodzić. – Zaśmiał się sztucznie. – Pogubiłaś się, co?

– Prawie. A zresztą, co będę ściemniać! Nic już nie kapuję.

– Nie dziwię się. – Znów się zaśmiał. – Czasem wszystko się tak zabawnie układa. Można kogoś odnaleźć i dlatego go stracić. – Skrzywił się. – Dobra, w skrócie wygląda to tak: Marva była czyjąś podłożoną osobowością. Niechcący pomogłem jej uzyskać prędkość ucieczki. W tym samym czasie jej... lustro... stworzyło odbicie tego, co w niej zobaczyłem. Tę właśnie funkcję tam pełniło: tworzyło postacie. Skończyło się więc tak, że zamiast jednej dysfunkcyjnej osobowości należało wyrzucić za burtę dwie. Jedną z nich jesteś ty. A raczej ta, o której myślisz, że nią jesteś.

– A ta druga? – zapytałam podejrzliwie.

– To ona.

W drzwiach stała Rowan z torbą z zakupami. Lekko przytyła, odkąd widziałam ją po raz ostatni, a zmarszczki na jej twarzy, choć nieliczne, nieco się pogłębiły. Przygotowałam się na ostrą konfrontację, lecz zaraz przypomniałam sobie, że nie rozpozna we mnie Marvy.

– To ta, o której ci opowiadałam. – Podeszła do Sovaya. – To ona zadzwoniła i zostawiła numer Marvy.

– Nic się nie stało – odparł Sovay. – Znam ją.

– Ale kim ona jest? I skąd mnie zna?

Prychnęłam.

– Nie próbuj się tłumaczyć, to na nic.

Rowan zrobiła wściekłą minę.

– Wiedziała! Wiedziała, że do tego dojdzie! – Odwróciła się do Sovaya. – Co powinnam teraz zrobić? Ustalić twój harmonogram przyjęć, zamontować drzwi wahadłowe i wydzielić miejsce na poczekalnię? Ile z nich tu się pokwapi, jak myślisz? Dziesięć? Dwadzieścia? A może wszystkie się zlecą? To byłaby zabawa!

Sovay wstał i spróbował ją objąć, ale go odepchnęła.

– Marva sprzedała się do bębna osobowości i teraz każda marzycielka i narąbana idiotka dostanie razem z nakładką maleńki bonusik: możliwość zostania kochanką mojego męża! Powiedz Pewnym Bardzo Fajnym Ludziom, żeby reklamowali nową atrakcję sezonu: do każdej Marvy twój własny, osobisty sovayowy numer! Mógłbyś dostawać honoraria, może nawet by się opłacało! – Rzuciła w niego torbę, którą złapał w locie, ani przez chwilę nie spuszczać z niej wzroku. Długo stali nieruchomo, jakby w czasie przeciągania liny chwycił ich paraliż. Aż nagle uszło z niej powietrze i opuściła ramiona. – Przepraszam – powiedziała ze skruchą. Odwrócił się do mnie.

– Lepiej już idź.

– Zaryzykuję i zapytam: dokąd?

– Na twoim miejscu – powiedział powoli – gdyby deptali mi po piętach Pewni Bardzo Fajni Ludzie i przyjemniaczki z usług eskortowych, a przy mnie nikogo by nie było, dałbym sobie wyczyścić wspomnienia. Z nadzieją, że nigdy nie będę na tyle głupi, żeby próbować je odzyskać.

– Mam wybaczyć i zapomnieć? – zapytałam z sarkazmem.

– Najpierw zapomnieć. Wtedy nie trzeba będzie nic wybaczać.

\* \* \*

Po najdłuższym dniu w moim młodym życiu – w moim skradzionym młodym życiu – zapadał zmrok, a ja stałam na chodniku w dolnym nadmieście i nie wiedziałam, co ze sobą począć. *Hej tam, w środku, ma ktoś instynkt przetrwania?*

Zero odpowiedzi czy chociażby pytania: *Jaką jesteś aktorką?*

A co mi tam, pomyślałam, wracam do domu. Pewnie nikt tam się mnie nie spodziewa. Nawet pamiętałam adres. Wschodnie śródmieście znajdowało się co prawda nieprzyjemnie blisko podmieścia, lecz lepsze to, niż wałęsać się po ulicy, aż przy krawężniku zacumuje podejrzany van.

Okolica wydawała się znajoma, budynek wyglądał identycznie jak w moich wspomnieniach, a kod wejściowy zadziałał już w pierwszym podejściu, ale gdy tylko weszłam do mieszkania, zrobił mi się mętlik w głowie. Pewnie ta cholerna fanka głodu w węzle wspomnień wyzarła mi wszystko, co pamiętałam o domciu. Mdliło mnie na samą myśl o niej.

Stęchły zapach niewietrzonego pomieszczenia świadczył o tym, że co najmniej od tygodnia nikt tu nie zaglądał. Przez kwadrans szukałam sterowników, żeby ustawić wentylację. Potem zbadalam trzy pokoje, próbując wczuć się w swoje życie.

Nie mieszkałam w tak spartańskich warunkach jak Sovay: lubiłam meble, choć nie przesadzałam z nimi i nie wybierałam nic szczególnie drogiego. Oczywiście, pomyślałam, patrząc na wyblakłe obicie kanapy, a także niefortunnie dobrany kuchenny stół i krzesła z pchlego targu, aktor sceniczny zwykle nie zarabiał fortuny, żeby pozwolić sobie na autentyczny kredens z drewna wiśniowego lub komplet sypialniany z litego dębu.

Przynajmniej ubrania w szafie były lepsze niż nędzne łachmany, które miałam na sobie. Wpadłam na chwilę do łazienki. Po wyjściu stamtąd czułam się znowu sobą... póki nie zauważyłam, że ubranie źle na mnie leży.

Raju, pomyślałam i zalałam się łzami.

Co za debilizm! Tyle zniosłam, by w końcu rozkleić się nad bluzką! Czy w tym życiu cokolwiek trzyma się kupy?

Cóż, człowiek zawsze potyka się na drobiazgach. Po chwili wzięłam się w garść i

znalazłam dość obszerne kalesiaki, które były tylko trochę przykrótkie. Następnie przejrzałam sieciowe infobazy w poszukiwaniu kliniki, gdzie wykonuje się na poczekaniu zabiegi kosmetyczne. Znalazłam ich mnóstwo w spisach: o dziewiątej w recepcji, o dziesiątej na stole, o świcie na nogach, o ósmej na zewnątrz. Szukałam jednak przechowywanych przez siebie notatek na temat zabiegów upiększających. Nie znalazłam żadnej.

Pewnie trafię na coś w swoim osobistym katalogu, pomyślałam i wcisnęłam odpowiednie klawisze.

Okazało się, że katalog jest pusty. Z pochmurną miną wpatrywałam się w ekran. Pomyślałam, że to pomyłka, i spróbowałam ponownie. Wciąż nic.

Walnięty system. Pewnie sieciowa awaria usunęła wszystkie wpisy. Czasem tak się działo. Wstukałam domową historię, żeby sprawdzić, czy jeszcze coś nie zginęło.

Historia kontaktów z bankiem i przedsiębiorstwami usług komunalnych jasno pokazywała, że wprowadziłam się pół roku temu. Naprawdę? O raju, nic nie pamiętałam! Nie pamiętałam też poprzedniego adresu. Niech cholera weźmie tę fankę głodu! Zaskarżę ją tak, że zostanie w skarpetkach.

Pytanie o poprzedni adres nie dało rezultatu. Musiała się wydarzyć jakaś kopana awaria, pomyślałam z niepokojem, i poprosiłam o historię połączeń. Choćby cały mój świat odszedł w niebyt, historia połączeń z Dataline była niezniszczalna, na zawsze wypalona w systemie.

Nie znalazłam nic sprzed sześciu miesięcy.

Spróbowałam po raz kolejny i trafiłam w pustkę, potem znowu i znowu pustka. Albo wydarzył się jakiś ogólnokrajowy krach informatyczny, którego nie pamiętałam, albo... miałam dopiero sześć miesięcy.

Poczułam przytłumiony strach, gdy wyobraziłam sobie, jak leżę na stole u Pewnych Bardzo Fajnych Ludzi, a porywaczka próbuje mi wcisnąć makietę z osobowością eskortantki. Niby chciałam wpaść w histerię, ale coś mnie powstrzymywało. Może jednak wszystko zawdzięczałam pomyłce i po prostu wpisałam niewłaściwy kod identyfikacyjny? Może w czasie amnezji po ostatniej charakteryzacji wprowadziłam inne kody, a ta zagłodzona idiotka w węzle wspomnień odtworzyła właśnie je, zamiast tych prawdziwych? Może byłam tylko ofiarą potwornego pomieszania plików?

Nieźle się uśmiełam. Śmiejąc się, wertowałam infobazę, żeby znaleźć jakiegoś renomowanego psychografa, specjalizującego się w porządkowaniu zaplątanych wspomnień. Nadal się śmiałam, kiedy z drzwi wejściowych wyskoczył zamek i do salonu wrąbał się Zabazgrany z Anwarem. W tej sytuacji mogłam się już tylko śmiać...

\* \* \*

Kiedyś ostatnią rzeczą, którą pamiętałam, było strącenie kogoś w przepaść. Teraz jest nią to, jak stoję na dnies basenu z holowodą, fikuśnymi holorybami i dwiema

setkami ludu, który bawi się sto razy lepiej niż ja. Zalle-bista-luja! W końcu się udało: mam wspomnienie czyjejś wizyty w „Skrytce Davy’ego Jonesa”, lokalu wyłącznie dla bogaczy z nadmieścia lub przyjezdnych członków rodziny panującej... jeśli kogoś tam znali. Mój głód wspomnień wyrywa na najwyższych obrotach i już wiem, co z nim zrobię. Wycisnę je jak cytrynę, potem oddam do lombardu, a kiedy przyjdzie posucha, wykupię je i znowu się nimi najaram. Ofra zrobi to dla mnie; trzyma masę różności na wypadek nagłego głodu, który jest największym wrogiem każdego wspomnieniowego ćpuna.

No dobra, co my tu mamy? Taa, jest holowoda i jest holoryba, taa, można się zdziwić, gdy za przynętą ciągnie taka potwora. Aha, przerabialiśmy to już kiedyś. Tu uskoczyć w lewo, tu uskoczyć w prawo, zakołysać biodrami i podejść do kolegi w workowym garniturze lżejszym od powietrza. Nie wygląda mi na księcia parkietów.

Ale koleżka tańczący w ledwie widocznej przepasce biodrowej – no, ten chyba jest stworzony do zabawy. Choć teraz, gdy o tym myślę, wydaje mi się, że pomylił przyjęcia.

Jak na zawołanie znika, szarpiąc się ze swoją przepaską. Nikt nie zauważył jego obecności i teraz nikt nie zauważa, że znikł. Cóż, nie można mieszać dwóch rzeczywistości. Gdyby tak się miało dziać, nie musielibyśmy wszyscy być innymi ludźmi, ha, ha, ha...

Próbuję na szybkim przewijaniu skoczyć do momentu, kiedy widzę krzywe zwierciadło, ale coś sprawia, że wszystko się toczy w naturalnym tempie. Trochę mnie to wkurza, bo tu chodzi o moje wspomnienia; chciałabym się nimi bawić w dowolnej kolejności i z dowolną prędkością. Ale dobra; plum, plum, plum i oto lustro.

I znowu to się dzieje, pieprzą się rzeczywistości. Teoretycznie powinnam widzieć ryby: mureny, rekiny i tym podobne. Zamiast tego mam widownię w teatrze.

A co mi tam, kłaniam się w pas.

Ale gdy się odwracam, nadal jestem w „Skrytce Davy’ego Jonesa”. Byłabym w niej ponad wszelką wątpliwość, gdyby nie ta widownia. To wydaje się jakimś kosmicznym karmoskopem...

\* \* \*

Wiadomo, że zapowiada się kiepski dzień, kiedy budzisz się w powtórce.

*Jaką jesteś aktorką?*

Raju, oto rzecz, która zawsze mnie denerwuje: monotonia powtarzanych prób.

*Chcesz sprawdzić kwestię?*

Aż raptem wszystko się cofnęło na szybkim przewijaniu i potem równie szybko ruszyło do przodu. Wtedy zrozumiałam, że nic nie jest prawdziwe. Pan Piżama, czyli Bateau, trzymał

mnie w puszcze. Zastanawiałam się, jak długo w niej siedzę i ile zdołam wytrzymać.

\* \* \*

Gra na zwłokę, to widać. Na końcu wszyscy frajerzy próbują lawirować. Przepraszam, klienci. No cóż, mówią, nagle ocieźzali, i odgrzebują jakieś dawne, miłe wspomnienie, z którym nie chcą się rozstać. *Jak to się stało, że zostałam eskortantką? Powiedz, to musi być niesamowita historia.*

Niesamowita jak zabieg tracheotomii. Pewnego dnia obudziłam się z taką kupą długów, że odwiedził mnie poborca, który dał mi dwie opcje do wyboru. Opcja nr 1: zabierają mnie do sieczkarni i kroją na sztuki w starym stylu, z wszystkimi bajerami. Opcja nr 2: zgadzam się zabijać ludzi, którzy i tak chcą umrzeć, i plądruję ich głowy. No więc którą opcję byś wybrał? Powiedz, to musi być niesamowite.

Tak naprawdę najczęściej opowiadałam im o wierze w wolność wyboru i o tym, że jeśli człowiek czegoś chce, powinien do tego dążyć bez względu na przeszkody. I przez cały czas popycham ich lekko w stronę krawędzi.

Oczywiście wierzę w wolność wyboru. Żałuję, że sama jej nie mam. Eskortant nie podejmuje decyzji – ta zawsze należy do klienta. Obojętnie jak chce odejść – obojętnie jak chce opuścić ten padół łez, przejść do wieczności, wymeldować się stąd, kopnąć w kopany kalendarz, ja im to umożliwiam.

A jeśli ktoś twierdzi, że ludzie lubią wydziwiać w seksie, to mu powiem, że bez porównania bardziej wydziwiają ze śmiercią. W dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto mają zahamowania i muszę lekkim pchnięciem wyprawiać ich na drugą stronę. Wrzeszcząc i wymachując rękami, odchodzą w spokojną, cichą noc. Spokojna, cicha noc – ich własne słowa.

Ale ta aktorka... to dopiero było dziwadło. Wieloskładnikowa osobowość. Holender, cóż to za praca? Nie chciałam brać tego zlecenia, ale Bateau powiedział, że zlecenie to zlecenie, a tak w ogóle to robię u niego za eskortantkę i powinnam się pośpieszyć z decyzją, bo w sieczkarni mają wolne moce przerobowe, proporcjonalne do wielkości mojego zadłużenia. Najgorszą rzeczą, jaką zrobiłam w życiu, to wzięcie na kredyt karmy dla bestii, a drugą w kolejności zgoda na pracę w eskorcie dla Bateau w celu odpracowania długu.

Na początku wszystko wyglądało różowo. Eskortowanie daje okazję do zbierania wielu wspomnień. Bo ludzie w chwili śmierci, gdy życie przemyka im przed oczami, są jednym wielkim worem wspomnień. Oczywiście niewiele z tego mam: cała zdobycz trafia w ręce Bateau. Co mu się przyda, to sobie zatrzymuje, chociażby na sprzedaż. Mnie się dostają nędzne ochłapy, choć muszę za nie płacić. I tak się to kręci: swoją pracą nadgryzam wierzchołek długu, lecz nałóg pozostał, a działka nie tanieje.

Kiedy będę umierać, przed moimi oczami przewinie się życie wszystkich tych ludzi – ostatnia wielka podjarka przed wyciągnięciem kopyt. Bateau będzie czekał jak sęp, ba, pewnie to on przypieczętuje mój los. Gdy stanę się bezużyteczna, każe mnie posiekać. Dług, który nam się uzbiera, żyje po nas dalej, to zaś, co dobre – dobre w sensie materialnym – wstawia się do lombardu.

Jeśli mnie słuchasz, Bateau, wiedz, że nie chciałam jej tego wszystkiego mówić.

Coś się porusza. Dokładnie tak, jakbym była pod wodą (karmoskop) i jeszcze gdzieś indziej, a głębiny rozkołysuje gigantyczna łycha. Żeby sprawdzić, co wypłynie na wierzch.

Skoro raz znalazłam wyjście, znajdę je i teraz. Ale kiedy odwracam się do lustra, odbicie kiwa na mnie palcem. Widziałam już kiedyś obraz tej kobiety, to nie mogę być ja... Czy na pewno? Nie chcę przechodzić na tamtą stronę.

Kobieta w lustrze wskazuje, coś nad głową i w tym momencie pojawia się napis: WYJŚCIE.

Nie mogła tego powiedzieć, do licha? Podchodzę do lustra i dotykam go koniuszkami palców. Powierzchnia marszczy się niczym srebrzysta tafla wody. Moje dłonie wchodzi głębiej i już wiem, że znowu mnie wyratowano. To nie jest wyjście, a przynajmniej nie takie, na jakim mi zależało, ale za późno na odwrót. Coś mnie chwytą i wciąga do środka. W krótkim przeblysku widzę, że ktoś jest wypychany w miejsce, gdzie byłam przed chwilą.

\* \* \*

Przez ćwierć chwili istnieją w tym samym stanie, w połowie przed barierą i w połowie za nią. To powinno wystarczyć. Lustro jest kompletnym nagraniem; patrząc na nie z jednej strony, widzą tylko to, co już wcześniej widziały. W trakcie równoczesnego przejścia, gdy jedna wchodzi w stan uśpienia, druga w stan aktywności, zobaczą wszystko, co lustro nagrało, łącznie z moją prawie śmiercią. Lustro wszystko im powie. Z wyjątkiem tego, rzecz jasna, co mamy robić, skoro Bateau ma nas wszystkie w garści.

Nawet ja nie wiem, co robić w tej sytuacji, a służę w psychopolicji już blisko dziesięć lat.

Z drugiej strony transmigracja duszy przed śmiercią jest chyba czymś bezprecedensowym. Zakładając, że nadal będę wymykała się śmierci, nie mam pojęcia, jak się z tego wszystkiego przekonująco wytłumaczę – żeby potraktowano mnie poważnie, a nie wpakowano do chemicznej pralni.

\* \* \*

... jakbym to ja patrzyła na nie jej oczami...

Sally żuje.

Sally nie je, tylko żuje. Każdy bez wyjątku ma swojego konika, a konikiem Sally jest żucie.

*Chcesz sprawdzić kwestię?*

Nie, Sovay. Chcę tylko wiedzieć, co to za sztuka i jaka to postać w tej sztuce. Co ty na to?

*Dałbym sobie wyczyścić wspomnienia. Z nadzieją, że nigdy nie będę na tyle głupi, żeby próbować je odzyskać.*

*A więc zabiłam. Trudno, bywa i tak. Sam się o to prosił.*

*Dałam sobie wyczyścić wspomnienia...*

O raju! Nikogo nie zabiłam. Ktoś zabił mnie...

*...z nadzieją, że nigdy nie będę na tyle głupia...*

\* \* \*

...by obudzić się i zobaczyć, że Bateau trzyma moją dłoń.

Jego dotyk nigdy nie wróży nic dobrego. Jestem w stanie wiele znieść. Myśl, że do końca życia będę eskortantką... a ten czas nie wydaje mi się już taki długi. To, że ten facet zna zawartość mojej głowy lepiej niż ja sama. To, że umysł, który mam, jest moim umysłem dzięki jego przyzwoleniu. To, że on jest – akurat w moim przypadku – Bogiem. Jestem w stanie znieść to i sporo więcej, bylebym nie była narażona na autentyczny, fizyczny kontakt z jego ciałem.

Siedzi blisko kozetki i trzyma w dłoniach moją dłoń. Na twarzy maska zmartwienia.

– Miałaś niezłą przygodę, co? – mówi. – Moja biedna Marceline. Tak bardzo cię skołowano, że zapomniałaś o moim poleceniu, by o pomoc i radę zawsze zwracać się do mnie. – Kręci głową. – Kiedy widzę, jak cię potraktowano... – Kieruje wzrok na sufit. – Szok, no po prostu szok... że ktoś się odważył tak chamsko pograć z moim pracownikiem. Oj, trzeba będzie kogoś ukarać dla przykładu.

Patrzy teraz w bok i widzę ją, leżącą na sąsiedniej kozetce. Nadal jest podłączona do systemu i wszystko wyglądałoby normalnie, gdyby nie to, że brakuje pojemnika na oczy. Prawdopodobnie nie będzie ich już potrzebowała.

Sama nie wiem, kto bardziej zasługuje na litość: ona czy ja. Jej los jest już w zasadzie przesądzony. Co do mnie, to kto wie? Bateau jest nie tylko kopanym sukinsynem, jest kopanym chimerycznym sukinsynem. A więc niezła kaszana: w jego łańcuchu pokarmowym jestem zepsutą zabawką. Nikt nie wie, co się ze mną stanie, tylko Bateau, który może zmienić zdanie kilka razy, nim przejdzie do działania.

– Ale zanim się do tego zabierzemy – mówi wesołym tonem – muszę się dowiedzieć kilku rzeczy. Co zrobiłaś z forszą, którą od niej dostałaś?

Chcę namacać kieszenie ze zwitkami banknotów i przypominam sobie, że ze dwa razy zmieniałam ciuchy. Czyli kasa przepadła.

– Nie wiem – odpowiadam po chwili, patrząc z obrzydzeniem na wstrętną szmatę, udającą bluzkę. Miał to być chyba jakiś tartan z błyszczących kwadracików, lecz wszystko się pozdzierało. Łach z automatu, i to na pewno nie z automatu w nadmieściu. – Wstąpiłam do węzła wspomnień inaczej ubrana, wyszłam stamtąd w czymś takim.

Bateau udaje głębokie zamyślenie. Zjawia się obojnak niosący tacę ze staroświeckim srebrnym serwisem do kawy. Pamiętam, że widziałam coś podobnego, kiedy jakieś sto lat temu czekałam w Royale na latającą taksówkę. Obojnak kładzie tacę na nocnym stoliczku i zaczyna napełniać dwie filiżanki. Co za aromat! Jeśli nie jest to specjalna mieszanka z Royale, to na pewno coś równie dobrego.

– Weź głęboki oddech – mówi Bateau – i powiedz mi, co się z tobą działo przez ostatni tydzień.

Byłam całkowicie zdana na jego łaskę i niełaskę. Jeśli tylko zechce, jakimś staroświeckim sposobem wyciągnie informacje z mojego mózgu. Czemu tego jeszcze nie zrobił?

Może chce, żebym wyszła z tego cało? – pomyślałam, chwytając się tej złudnej nadziei. Wystarczy, że wyśpiewam wszystko, co wiem, a on wygrzebie ze mnie tylko to, czego nie pamiętam. Pewnie i tak skończę na stole operacyjnym.

Czuję taką ulgę, że chce mi się śmiać, ale to nie pora na histeryczne zachowania. Obojnak podaje Bateau filiżankę tak delikatną, jakby ulepiono ją z płatków róży. Przyjmuje ją, podsuwa sobie pod nos i wdycha zapach kawy, a następnie podaje mi ją. Siadam w pośpiechu i biorę ją od niego.

– Jak ci idzie z tym feralnym tygodniem? – pyta swobodnym tonem i bierze filiżankę podaną mu przez obojnika, który dyskretnie kłania się i wychodzi z pokoju. Jak mawia Bateau, dobra pomoc domowa to taka, na którą nie trzeba zwracać uwagi.

– Na razie kicha. – Popijam kawę, zdecydowanie lepszą niż brazylijka z automatu w nadmieściu.

– Trochę cię wyhuśtałem w puszcze, żeby zobaczyć, co można wytrząsnąć z twojego biednego, przepracowanego umysłu. – Przewrócił oczami. – Mogę powiedzieć tylko tyle, Marceline, że jesteś strasznie zamotanym narąbańcem. Nawet nie pamiętasz, że wpadłaś do mnie z wizytą, co? Chociaż nie byłaś wtedy całkiem sobą. Prawda?

Jego uśmiech harata jak nóż, lecz wrażenie trwa ledwie sekundę. Zarazem dostatecznie długo, bym się domyśliła, że nie wszystko wygląda tak pięknie, jak mi się zdawało kilka minut temu.



Dostatecznie długo, żebym się domyśliła... czegoś. Czegoś, co przydarzyło mi się w puszcze. Czegoś, co sobie przypominałam...

– Marceline? – Bateau wciąż się uśmiecha. Nóż został schowany, lecz wiem, że w każdej chwili może być wyciągnięty.

Uświadamiam sobie, że próbował wszystko ze mnie wycisnąć, a tymczasem mnie nawet nie znalazł. Dlatego wypiął mnie z systemu, żeby przy filiżance kawy krok po kroku uporządkować moje myśli. Potem znów wlezie do środka i przeświecili mnie na wylot.

Ale jak to się dzieje, że tak nagle mogę czytać w jego myślach? A jeśli nie znalazł mnie w mojej głowie, to kogo, do diabła, znalazł?

Widzę w wyobraźni krzywe zwierciadło. Musiało mu cholernie namącić w głowie, myślę sobie. Mnie też cholernie namąciło w głowie. Co w nim zobaczył?

Odpowiedź nasuwa się sama. Zobaczył imprezę w „Skrytce Davy’ego Jonesa” i nic więcej. Kilka rekinów, ośmiornicę, jakieś gąbki, murenę.

– Marceline? – odzywa się. – Jesteś jeszcze z nami?

– Chyba pamiętam, że cię odwiedziłam – mówię tylko po to, żeby coś powiedzieć.

– Byłam wtedy, no wiesz, zaciemniona czy coś w tym stylu.

– Czy coś w tym stylu. – Kiwa głową. – Lub ktoś. A pamiętasz, jak próbowałaś mi coś powiedzieć o agentce?

Jakby mi kto walnął między oczy. Agentka! Aktorka i agentka. Pozbyć się dysfunkcyjnej osobowości na zlecenie aktorki metodycznej, to było moje zadanie. Aktorka miała osobowość, której już nie potrzebowała, agentkę psychopolicy. Miałam wejść do środka i sprzątnąć ją raz, dwa. Tyle że to wcale nie była dysfunkcyjna osobowość, a prawdziwa osoba. Prawdziwa osoba nie chciała umierać, więc...

Kawa podchodzi mi z powrotem do gardła i znów ją przełykam. Kim więc naprawdę jestem, aktorką metodyczną czy agentką w głębokim utajnieniu? Czy w ogóle mam tu coś do gadania?

Patrzę na nią, jak leży z przewodami wychodzącymi spod zwiędniętych powiek. Taa, czy można mieć do niej pretensje za to, co zrobiła? Za to, że chciała się pozbyć agentki? Ja też nie chcę być agentką.

Nagle zdaję sobie sprawę, że kiedy tak dumam nad tymi rzeczami, myśli muszą wyświeślać się na mojej twarzy jak hologram w obcym języku.

Bateau siedzi rozparty na krześle; delektuje się kawą oraz przedstawieniem. Ogarnia mnie silne uczucie zmęczenia i wcale nie dlatego, że Bateau jest wyjątkowo męczącym typem (trzeba poświęcać mu całkowitą uwagę, inaczej można przegapić coś ważnego, jak na przykład wyrok śmierci).

On z pewnością poświęca mi teraz całkowitą uwagę. Odkłada filiżankę i zabiera moją. Właściwie to jej nie trzymałam; spoczywała między moimi dłońmi, skąd w

każdej chwili mogła się wysunąć i roztrzaskać.

– Zrozumiałem, że dzieje się coś dziwnego – mówi tonem swobodnej rozmowy, jakbym nie siedziała przed nim sparaliżowana – kiedy nie przyniosłaś mi żadnych zdobyczy. Wcześniej zawsze wracałaś obładowana zdobyczami. – Patrzy na mnie, jakbym coś mówiła, po czym teatralnym gestem uderza się dłonią w czoło. – Zresztą, mniejsza z tym! Przecież ty nie miałaś pojęcia o żadnych zdobyczach. Straszny ze mnie gaduła. – Krzywi się nieszczercze. – Przepraszam, Marceline.

Oj, niedobrze. Mogłam przypuszczać, że robię dla Bateau wiele rzeczy, o których nic nie wiem, lecz mądry pracownik nie wgłębia się w temat. Tu jakaś chwilka wycięta z kalendarza, tam druga, i co z tego? Kto chciałby pamiętać wszystkie drobne szczegóły? Na pewno nie ja. Każdemu normalnemu człowiekowi zdarza się czasem odwalić ciemnię.

Po co miałabym zapamiętywać swoje zdobycze? Bez sensu. A to, że mam kilka wspomnień, o których nie wiem, skąd się wzięły? Też mi dramat. Jestem ćpunką i nieważne skąd pochodzą wspomnienia; podstawa, żeby ich nie brakło. Nie muszę pamiętać, że włóczyłam się po podmieściu jak zombie, wstępując tu i tam po zwędzone to i owo, że zaglądałam do pewnej fetyszerii, fabryki snów i lombardu, skąd wychodziłam z głową wypchaną wspomnieniami. Kurna, nikt tam nie wie, że w gruncie rzeczy pracuję dla Bateau, czemu więc miałby wiedzieć, że jestem czymś więcej niż przyczepą, na którą wygodnie można wrzucić cały niechodliwy badziew? A że wszystko było przemielone ze wspomnieniami zabitych frajerów, nawet gdyby mnie aresztowano i przeszukano, psychopolicja nie poskładałaby rozsypanego abecadła w mojej głowie. Nawet ja się, cholera, w nim gubiłam.

Do dzisiaj. Bo dziś już nie jestem tylko sobą.

Dałam się głupio podejść i załatwiła mnie, kiedy zrzuciła ją z urwiska. Zamydliła mi oczy swoimi wspomnieniami, pytając: *Chcesz, żeby to się zmarnowało? Ty, rasowa ćpunka, która na gwałt musi się podjarać, a najlepiej za darmo?* Nie musiałam nawet odpowiadać twierdząco, wyręczył mnie nałóg. Bestia powiedziała: *Chcę jeść!* – no i dałyśmy jej jeść. Tyle że zjarła trochę więcej, niż potrzebowała, więc teraz tu wszystkie jesteśmy.

Bateau chwyta w dwa palce mój podbródek i odchyła mi głowę, żebym na niego popatrzyła. Ma nowe bioklejnoty, lapislazuli. Dopiero teraz je zauważyłam.

– Na pewno wiesz, co tu się zaraz wydarzy – mówi. – Nie mogę otaczać się ludźmi, którzy mają przede mną tajemnice, nawet jeśli są to, jak ty, lojalni, dobrzy pracownicy. Pierwsze, co trzeba było zrobić po odkryciu agentki, to wrócić od razu do mnie. Wiem, wiem, że cię przetrzymywali. Przetrzymywali cię Pewni Bardzo Fajni Ludzie, bo najwidoczniej miałaś złudzenie, że jesteś nią. – Na chwilę odwrócił moją twarz do aktorki. – Oni oczywiście źle zrobili, że cię z miejsca nie spakowali i nie

odesłali do domu, dlatego ona jest tu z nami. Zatrzymali sobie moją własność, więc ja postąpiłem podobnie. – Przygląda mi się w milczeniu spod przymrużonych powiek. – Myślę, że nadążasz, choć pewności nie mam. Ale to bez znaczenia, bo wszystko do ciebie dotrze, kiedy wrócisz do środka. Bo widzisz, nie możemy pozwolić, żeby straszyły nas dowody morderstwa agentki psychopolicji. Kary są... – Lekko drży. – Oto co zrobimy, Marceline, a w zasadzie co ty zrobisz. Będziesz eskortą dla tej pierdzielniętej wywłoki i raz na zawsze wyprawisz ją na tamten świat. Nie tylko postać, ale każdą osobowość. Kłopot w tym, oczywiście, że ona nie chce umierać, więc trzeba ją będzie delikatnie nakłonić, zmusić... – Wzrusza ramionami. – Ty tu jesteś eskortantką, na pewno coś wymyślisz. Jak zawsze. – Wstaje. – A potem... No wiesz, zobaczymy. Wszystko zależy od tego, co z niej wydusisz tuż przed jej sprząnięciem. I w jaki sposób ja będę musiał wydusić to z ciebie. Jeśli nie przestaniesz myśleć, że jesteś nią, prawdopodobnie będziemy musieli dać ci wycisk. – Śmieje się. – Z drugiej strony przekażesz mi bazę danych i będziemy kwita. O długi też zapomnimy. A to oznacza, że się z tego wykaraskasz. Co powiesz na taką zachętę? – Jego usta układają się w uśmiechu, który nie dociera na resztę twarzy.

Gdybym potrafiła znaleźć w sobie siłę do wyrażenia wątpliwości, zapytałabym, jak mam kogokolwiek eskortować przyćpana tym, co wsypał mi do kawy – super Q lub jakimś sprytnym wywarem, który sam upichcił. Ale nawet przyćmiony umysł jest w stanie jeszcze pracować. Nie pozwolą mi odejść. Pewnie nawet nie pozwolą mi wyjść z systemu. Po prostu weźmie mi z głowy to, co mu się spodoba, i poczeka, aż obydwie tu skiśniemy. Dwie za jednym zamachem. Aktorka umiera na atak serca. Niezidentyfikowana ćpunka znaleziona martwa. Dwie za jednym zamachem...

Usiłuję zamknąć oczy, bo nie chcę widzieć, jak sięga ręką, żeby je wyciągnąć... lecz nie mogę.

\* \* \*

Gdy tak idę długą, krętą dróżką, wiem już, kurna, czemu wtedy nie wyszło, czemu ona jeszcze żyje: nie tak chciała odejść. Człowiek w moim fachu nie stara się po prostu zabijać; woli przekonywać do śmierci.

Pewien facet umyślił sobie wyskoczyć z kasyna na podniebnej wyspie po roztrwonieniu resztek fortuny przy ruletce. I to się nazywa szczęśliwa śmierć. Był zadowolony, a później jeszcze bardziej zadowolony był Bateau, bo chwile, gdy facet przegrywał w ruletkę, obfitowały w informacje na temat akcji i nieruchomości. Ja się na tym nie znam, ale w ciągu następnych miesięcy giełda traktowała Bateau jak swojego najlepszego wychowanka.

Pewna kobieta rozwalila słońce. Taa, pełno jasnych światełek i wielki huk. Bateau

sprzedawał to potem sadopodglądaczom, którzy lubią patrzeć, jak ludzie stają w płomieniach i cierpią, nim wszystko wyleci w powietrze. Materiał zaklasyfikowany do kategorii XS: extra syf. Uwierzyłby kto, że miała się za spryciarza? Myślała, że dam się spalić razem z nią! Skupiła przy sobie duchy wszystkich przyjaciół i wrogów, ale gdy przyszło co do czego, nie umiała sobie wyobrazić, że są kimś więcej niż tylko duchami, w dodatku jej własnymi. W końcu zrozumiała, że odchodzi sama, i nie mogła się z tym pogodzić. Nie mogła się pogodzić z tym, że musi stanąć oko w oko z wielką niewiadomą i nie będzie jej towarzyszyć ani jedna osoba.

Ale wykonałam numer z eksplodującym słońcem. Pod pewnymi względami łatwiej przeprowadzić coś takiego, niż namówić kogoś do skoku z podniebnej wyspy. Lub w przepaść.

Przepaść. Jest tam przede mną, czeka. Tak samo jak ona czeka na jej krawędzi z osobowością, której nie potrzebuje. A jednak to się inaczej rozegrało. Rozegrało się mianowicie tak: szłyśmy we trójkę drogą nieuchronnie prowadzącą do celu. To była decyzja klienta, a klient ma zawsze ostatnie słowo. Tak to powinno wyglądać.

W tej sytuacji pojawił się jeden zgrzyt. Ofiarą nie miał być klient. Po raz pierwszy poszłam na taki układ.

Rosnące przy drodze drzewa szepczą między sobą, lecz posługują się obcym językiem i nie rozumiem, co mówią.

Coś każe mi spojrzeć za siebie. Gdy odwracam głowę, widzę je: lustro. Dostrzegam swoje oddalające się odbicie. A jednak, mimo że idę dalej, przestrzeń między mną a lustrem się nie powiększa.

Moje odbicie? Moje odbicie... ale nie ja. Także nie klientka. Niezupełnie ona...

\* \* \*

*Dałbym sobie wyczyścić wspomnienia. Z nadzieją, że nigdy nie będę na tyle głupi, żeby próbować je odzyskać.*

Ale to nie było moje wspomnienie. Ja tego nie zrobiłam.

*Chcesz sprawdzić kwestię?*

*Nie, Sovay. Chyba już wszystko pasuje.* Bałam się, gdy postanowiliśmy to zrobić, czyli spotkać się psycha w psychę i dokonać rozrachunku wzajemnych uczuć, bałam się, że zamiast dojść do porozumienia, rozpoczniemy coś, czego nie będziemy umieli zakończyć.

Bałam się też w inny sposób. Czułam obawę jak – powiedzmy – ktoś, kto po raz pierwszy wchodzi do czyjejś sypialni i widzi kajdanki przymocowane do wezglowia.

Taa, poznałam różne oblicza strachu, ale zapomniałam o lęku przed tym, co mogłam dowiedzieć się o samej sobie.

Jest to coś, co człowiekowi zawsze umyka, chyba że odbije się w oczach drugiego

człowieka.

Czy to wciąż kłamstwo, jeśli kłamie się nieświadomie? Nie wierzyłam, kiedy Sovay mi to pokazał. A raczej kiedy sama to zobaczyłam. I proszę bardzo, oto ona: cicha, wtulona w kokon, zakamuflowana za lustrem – za krzywym zwierciadłem w mojej głowie, które wykonywało dla mnie odbicia na zamówienie, postaci żyjące tak długo, jak długo nie wypadały z repertuaru sztuki, dla których je tworzono, postaci ginące w lustrze po ostatnim wywołaniu aktora przed kurtynę.

Jak mu się udało sięgnąć tak głęboko, aż do niej? Gdyby był we mnie zwyczajnie zadurzony, pobudziłby do istnienia jeszcze jedno odbicie: osobę, którą chciałby zobaczyć i która wybrałaby się z nim na miłosne wojaże. Raju, to nie byłaby ona, to nie byłabym nawet ja. A więc obie byłybyśmy bezpieczne. Zajmowałabym się tylko postacią, namiastką Sovaya potrzebną do realizacji zawartego w scenariuszu wątku miłosnego. A zatem, co się stało? Jak można dowiedzieć się o kimś prawdy, jeśli szuka się wyłącznie przyjemnej ułudy? *Chcesz sprawdzić kwestię?*

Czy samo to ją zastartowało? Cóż takiego było w tym pytaniu, że pozwoliło mu dotrzeć aż do niej?

Czyżbym naprawdę nie znała kwestii? A może po prostu zmieniłam zdanie?

\* \* \*

Przed zmianą zdania była zmiana w uczuciach; ludzie w chwilach słabości dają się podejść w ten sposób.

Musiła powiedzieć „tak” Pewnym Bardzo Fajnym Ludziom; czaiłam się miesiącami, wiedząc, że się zjawia. Agencje promotorskie utrzymują całe sztaby ludzi, którzy tylko węższą w teatrach i holograficznych salonach, gdzie szukają nowych talentów. I to nie byle jakich, ale tych głodnych wrażeń. Duże firmy, takie jak Wpływowi Ludzie, po prostu szukają nowych trendów; nowe talenty i tak się zlatują stadami, z których odstrzeliwuje się najlepsze sztuki do katalogów osobowości.

I tak dochodzimy do Pewnych Bardzo Fajnych Ludzi. Jeden ze sposobów na wytrzymanie rywalizacji z rekinami takimi jak Wpływowi Ludzie zakłada przebicie ich jakością, ale to praktycznie niemożliwe. Drugim sposobem jest piractwo. Zapach Miesiąca ma już kontrakt? Żaden problem: wyślij pracownika w przebraniu klienta, niech bierze makietę i dalej z nią na warsztat! Przed obiadem podróba już śmiga, że aż miło!

Mało tego, że śmiga: może jeszcze mieć ulepszenia, kilka dodatkowych bajerów, o których klientela piratów nie wie, że zostały przemycone z sieczkarni. Nie wie i nie chciałaby wiedzieć. Oczywiście z wyjątkiem tych, którzy wiedzą i tego właśnie szukają.

Żyjemy w skomplikowanych czasach, to prawda, więc musimy uciekać się do skomplikowanych działań i przeciwdziałali. Ale jej niczego nie komplikowałam. Istniała tylko po to, żeby odpowiedzieć na jeden godowy zew: Hej, mała, chcesz być sławna?

Jej kwestia zawierała się w jednym słowie, łatwym do zapamiętania: Tak. Kiedy już się zgodziła, miała zostać Pewnym Bardzo Fajnym Człowiekiem i nic więcej, zbierać informacje w trakcie produkowania osobowości. Po upływie określonego czasu powinien się zjawić klient z prośbą o specyficzną, skrojoną na zamówienie osobowość, którą tylko ona mogła stworzyć. Dla mnie byłby to sygnał, żeby wyjść z ukrycia, zadzwonić w gong i wszystkich zgarnąć.

Aż nagle przypałętał się Sovay i sprawił, że zmieniła zdanie. Czyli dokonał tego, na czym mu zależało. Albo uczyniłam ją zbyt porządną w policyjnym systemie, albo on chciał zobaczyć w niej zbyt wiele, teraz to już bez znaczenia. Zrobił to i tyle. Szukając jej, wywołał mnie.

*Chcesz sprawdzić kwestię?*

Czy to był ten sygnał? Nawet jeśli nie, brzmiał tak, jakby wymyślono go gdzieś w instytucji rządowej – ha, ha, ha, jak powiedziałyby Marceline. To pytanie miało większy sens dla mnie niż dla niej.

Może przeciek był zbyt duży? Może razem ze wszystkimi informacjami przejęłam również jej zauroczenie?

Za jego namową zmieniła zdanie w sprawie Pewnych Bardzo Fajnych Ludzi. Jedna noc w systemie z Sovayem i nie chciała już mieć z nimi nic wspólnego. Tyle że nie powinna była zmieniać swoich zapatrywań, bo sensem jej istnienia było spiknięcie się z nimi i zdobycie sławy. Rozwiązała swój dylemat w jedyny znany sobie sposób: w lustrze.

Jednak nowe odbicie pochodziło od niej. Nowe odbicie pragnęło być sławne. Ona je obdarzyła istnieniem, ja sensem istnienia, a Sovay jej istnienie obdarł ze złudzeń. Może tego właśnie potrzebowało odbicie, żeby uzyskać prędkość ucieczki z lustra i ode mnie: prawdy.

Nowe odbicie Marvy dobrze wiedziało, co robić. Skoro da się stworzyć osobowość, da się też ją usunąć. A jeśli samemu nie można, wynajmuje się zawodowca.

Pewni Bardzo Fajni Ludzie wiedzieli, gdzie takiego znaleźć.

\* \* \*

Taa, ale ja ich strącam i zatrzymuję sobie wspomnienia. Ona chciała, żebym strąciła ją razem ze wspomnieniami.

*Bo jeśli nie, ono odrośnie.*

E... że co? Cóż to znowu?

*Wszystko trzeba zniszczyć.*

Jeśli myślała, że pozwolę, by jej rewelacyjne wspomnienia poszły na spotkanie z Wielkim Przeznaczeniem... Kurna, żebym chociaż miała tu coś do powiedzenia! Może i bym miała, gdyby nie mój nałóg, ta wiecznie nienazarta bestia.

W ten sposób się mnie uczepiła. Ech, te cholerne chwile słabości... Człowiek stara się zachowywać czujność, a mimo to, zwykle długo po fakcie, okazuje się, że poległ.

Myślałam, że jakoś to będzie. Byłam nałogowcem, to prawda, ale też miałam doświadczenie. Wielu próbowało się mnie ucześcić. Często w ostatniej chwili zmieniają zdanie lub wydaje im się, że je zmieniają, uciekają się więc do najróżniejszych sztuczek. Sprytnie lawirują, wrzucają wsteczny bieg, a kiedy to nie pomaga, próbują mnie zmusić, żebym dotrzymała im towarzystwa. Najbardziej dobija ich właśnie to osamotnienie. Chcą, żebym wczuła się w ich problemy – żebym, gdy wyciągną do mnie rękę, wyciągnęła swoją i albo odsunęła ich od przepaści, albo skoczyła z nimi; w tym momencie jest im obojętne, co wybiorę, byle nie musieli wybierać się samotnie w ostatnią, wielką podróż.

Jednak nigdy w życiu nie spotkałam kogoś, kto lata. Jej wola życia była równie silna jak moja. Patrząc, jak utrzymuje się nad przepaścią, zrozumiałam, że mnie wyrolowano.

Nie wiedziałam, co począć. Ona nie miała być prawdziwa, miała być sztuczna, zwykła osobowość, maska z króciutką historią. W tym momencie odżył we mnie nałóg; bestia się przebudziła i rzekła: *Proszę nie pakować, zjem na miejscu!*

Nie przypominałam sobie – ha, ha, ha – żeby jakiemuś ćpunowi dostał się taki rarytas. I na tym by się skończyło, gdyby nie lustro. Krzywe zwierciadło... Co widzisz, to tworzysz, i co tworzysz, widzisz.

Mało tego, dwa lustra; jedno należało do agentki, drugie do aktorki metodycznej, stworzonej przez agentkę. Aktorka musiała mieć własne lustro, bo dzięki niemu mogła uprawiać aktorstwo metodyczne. A jeśli ustawi się dwa lustra naprzeciwko siebie... Co widzisz, tworzysz, i co tworzysz, widzisz, a co widzisz, tworzysz, a co tworzysz, widzisz i tak praktycznie w nieskończoność, jak piłka odbijająca się od ściany do ściany, a ja między nimi.

Ta, którą zrzuciłam z urwiska, zginęła, czyli w przekonaniu klientki w końcu się poddała i runęła w przepaść, jak teoretycznie powinno się stać. Myliła się. Była...

\* \* \*

...teraz kimś innym.

Kimś innym gdzieś indziej – tym, kim byłam, zanim znalazłam w lustrze zbyt wiele odbić i jedno z nich postanowiło pozbyć się paru z nich, żeby zachować swoje wymyślone życie i cieszyć się nim jak najdłużej. Jednak odbicia trwają wiecznie w dwóch lustrach, zwrócone ku sobie twarzą w twarz.

Oryginalna osoba i oryginalna osobowość, którą stworzyła z myślą o misji w głębokim utajnieniu, wielokrotnie się teraz odbijały w umyśle eskortantki. A eskortantka obudziła się jako ja. O raju!

Aktorka próbowała zlikwidować wspomnienia psychopolicjantki już po fakcie, to znaczy gdy przejęła je eskortantka, lecz aktorka nie rozumiała, że są dwa lustra i odbijają się wzajemnie. Zaledwie usunęła skojarzenia, odrodziły się dalej w szeregu, z lekka tylko przygaszone. A fanka głodu z węzła wspomnień, także w głębokim utajnieniu, rozpoznała mnie w systemie i próbowała nawiązać kontakt z agentką, lecz nie zapuściła się dość daleko, by odnaleźć w szeregu odbić to właściwe, i natknęła się na mnie. Pracowała nad lukami w mojej pamięci, nie w pamięci agentki psychopolicji, działającej ciągle w głębokim utajnieniu.

Głębokie utajnienie; tak bardzo głębokie, że nikt dotąd czegoś takiego nie doświadczył, a zarazem nie na tyle głębokie, żeby zatracić własną tożsamość i motywację. Oto żywe pragnienie życia i prosta natura nieskończoności: jeśli ktoś patrzy na cokolwiek dostatecznie wnikliwie, ujrzy swoją twarz. Nie wie, czy patrzy w górę, czy w dół, czy przed siebie, czy w głąb siebie, to bez znaczenia. Gdziekolwiek obróci wzrok, tam będzie on sam.

Zresztą kim jest, jeśli nie tym, jakim siebie zapamiętał?

\* \* \*

Ja pamiętam siebie wkurzoną jak diabli. Sprzątnij kogoś z psychopolicji i nie będzie dla ciebie litości. Jeśli zapukają z nakazem rewizji i znajdą dowody, czeka cię ośrodek resocjalizacji i zero odwołania. Resocjalizacja. Czasem widzę jakiegoś biedaka po resocjalizacji. Jest nikim, liczbą porządkową. Niczym się nie jara, niczym się nie podnieca i nic go nie rusza. Jest jak zegarek: odmierza czas, póki sprężyna nie zwiotczeje na dobre.

Pamiętam, jak przysięgałam sobie, że lepiej skoczyć w przepaść, niż przyjąć taki los. I pamiętam, jak później się zastanawiałam, czy aby nie przesadzam.

To śmieszne, że obojętnie ile razy człowiek jest o krok od śmierci, ani na chwilę nie opuszcza go pragnienie życia i strach przed końcem. Może to wystarczyło, żeby uratowała życie: pragnienie życia i lęk przed śmiercią.

No więc uratowałam jej życie. Wówczas ona je zainwestowała...

\* \* \*



Jej obecność objawiała się krótkim lśnieniem błyskawicy na połatany wewnętrznym krajobrazie. Mój kąt widzenia nagle się zmienił i mogłabym przysiąc, że bebechy mi się przewracają. Wyobrażałam sobie, jak Bateau stoi nad naszymi nieruchomymi ciałami gdzieś tam w rzeczywistym świecie, uśmiecha się ironicznie do niej, potem do mnie. Ten kontakt był inny, nie taki jak tamten u Pewnych Bardzo Fajnych Ludzi, kiedy ona po prostu zrobiła makietę i na tym się wszystko skończyło. Ten plan by wypalił, tyle że patrzyłam i wiedziałam, a wiedza to siła – siła na tyle duża, by wygrać z makietą.

Ale co wiedziałam teraz i jaką siłę mogłam z tego czerpać?

*Dałbym sobie wyczyścić wspomnienia. Z nadzieją, że nigdy nie będę na tyle głupi, żeby próbować je odzyskać.*

Chciałam spojrzeć na miejsce, gdzie nawiązywała kontakt, lecz coś uporczywie przyciągało mój wzrok z powrotem do lustra.

*Sally żuje.*

Wspomnienie było w lustrze: fanka głodu w dziwnym gabinecie z opasłymi meblami. Widziałam ją jakby oczami eskortantki w chwili, gdy się na nią natknęła. Eskortantka odkryła się przed nią z nadzieją na stymulację pamięci, ale to moją pamięć trzeba było stymulować. Postać metodyczna przyjmie każde fałszywe wspomnienie, jakie mu się poda, ale co będzie, jeśli to nie postać?

Fanka głodu gwałtownie odwraca głowę i dostrzega mnie.

*Sally żuje...*

I nagle pluje...

\* \* \*

I ja maszerowałam tą ubitą dróżką na skraj urwiska. Czasem szłam razem z nią, czasem mnie ciągnęła jak unieruchomioną agentkę, zamkniętą w klatce głębokiego utajnienia, nie mogącą się wydostać i uratować. Chciałam zostać i cieszyć się życiem tak samo jak ta druga Marva, ale miałam ambicję grać na deskach w trupie „Teatryku sir Larry’ego”, nie jako wzorzec osobowości na usługach agencji promotorskiej. To było również moje życie.

Cholernie fajne życie; na tyle dobre, że wyprowadziłam w pole psychografa i na tyle dobre, że wyprowadziłam w pole samą siebie – siebie w dwóch odsłonach: tą, jaką byłam wtedy, i tą, jaką byłam teraz. Ludziom się wydaje, że sztuczna rzeczywistość to bajkowe środowisko podobne do tych, jakie produkują firmy typu Realityville czy Mindscape, albo jakaś rozbudowana atrakcja, przeformatowana na potrzeby salonu marzycieli. Czasem to się zgadzało, innym razem to naprawdę było czyjeś życie. W tym przypadku moje...

W zasadzie nie było tak do końca sztuczne. Życie, które mi dała agentka, pod wieloma względami przypominało jej życie. Miło wiedzieć, że spory kawałek wspomnień nie został wyspany z palca. Byłam tym, kim byłaby ona, gdyby zamiast kariery w psychopolicji wybrała

teatr. Przez cały czas robiłam porządki w głowie, żeby wszystko układało się tak, jak powinno od samego początku. Miałam ustaloną przyszłość na długo przed swoim zaistnieniem, zmieniła się tylko moja przeszłość.

*Dalbym sobie wyczyścić wspomnienia. Z nadzieją, że nigdy nie będę na tyle głupi, żeby próbować je odzyskać.*

Nie tylko ja jestem na tyle głupia, że pamiętam. Ona powinna, jak zapowiadała, wywalić wspomnienia o tym, że kiedykolwiek była psychopolicjantką. Ale brakło jej czasu, czyż nie? Jak brzmi to stare porzekadło? Sztuka jest wieczna, życie krótkie? A pamięć jest...

\* \* \*

*...przeszłością, która się zmieniła.*

Nie mam czasu nawet się zastanowić, kim ona jest – ta kobieta, z którą stoję nad krawędzią urwiska, w miejscu gdzie wcześniej stała agentka, nim strąciłam ją w przepaść. Trawa pod nogami jest wysoka, bujna, lepsza niż badziewne trawniki, które można kupić w sklepie ogrodniczym do lilipuciego tarasu w nadmiejskim wysokościowcu.

Nagle stoję w otwartym oknie kasyna na podniebnej wyspie, wiele mil nad ziemią. Nie wieje najłżejszy wietrzyk, a staruszek doszedł do wniosku, że lepiej odfrunąć w siną dal, niż beczynnie czekać, aż zeżre go żywcem progeria.

Taa, to moje wspomnienie, to na moim podwórku jesteście, a ona rozgląda się jak osoba zagubiona. Mimo to próbuje zachować fason i zbliża się do ruletki... nie wiedząc, że przygotowałam dla niej małą niespodziankę. Tym razem nie zamierzam ryzykować: każde pole to podwójne zero. Kasyno inkasuje, a więc wszyscy przegrywają, wszyscy już są przegrani – łącznie z nią.

\* \* \*

Tym razem miałyśmy nad nią liczebną przewagę. Nad skrajem urwiska umiała grać w „kto pierwszy stchórzy”, lecz podniebna wyspa to inna para kaloszy. Obojętnie w jaką stronę się zwróciła, każdy krok zbliżał ją do okna: już ja się o to postarałam. Chyba miałam zadatki na dobrą eskortantkę... jeśli nie był to przeciek od Marceline. Nie było to moje wymarzone zajęcie, lecz agentka nie miała zbyt wielkiego wyboru. Albo Marceline, albo figa z makiem.

*Jaką jesteś aktorką?*

Hm, szło mi o niebo lepiej, gdy wiedziałam, w jakiej sztuce gram. Może improwizacja nie była moją mocną stroną, ale umiałam odebrać sygnał i nim się kierować...

Skierować się na nią...

Starczyło mi impetu, żeby razem z nią zatoczyć się do parapetu okna. Zamknęłam oczy,

żeby nie widzieć, jak spada.

Kiedy je otworzyłam, chwiałymy się na krawędzi urwiska.

\* \* \*

Człowiek nie może się uwolnić od pragnienia życia i strachu przed śmiercią. Czy nikt mnie nie słuchał? Czyżby uważała, że to będzie łatwizna? Że zwyczajnie wypchnie ją za burtę, zgotuje jej zaskakujące pożegnanie? Ja tu jestem eskortantką i znam się na tej robocie, nawet jeśli nie wiem, jak zabić kogoś, kto nie planował umrzeć. W sumie to nie wiadomo, czy mam eskortować, czy udawać wykidajkę.

I oto jesteśmy w „Skrytce Davy’ego Jonesa”. Wyczuwam ją, lecz jej nie widzę – agentki, która uchwyciła się mnie niby koła ratunkowego. Wyczuwam też resztę, lecz nikogo nie widzę. W lokalu jest tłoczno, są holoryby i imprezowicze, podwodne odgłosy, nawet głupia ławica ostryg, które wypluwają perły w tempie jednej na minutę z każdej grzebieniastej muszli. Taa, już tu kiedyś byłam.

I przychodzi podjarka, bo to nie jest moje wspomnienie. Taa, co za wrażenia: jakbym wkładała miękką, milutką rękawiczkę, która wsuwa się dalej, dalej i dalej, aż chowam się w niej zupełnie.

Naprawdę czuję się jak pod wodą: ciężar zerowy, gracia baletnicy. Wszystko staje się niewyraźne, łącznie ze mną, i przez chwilę bezwładnie dryfuję, jakby znosił mnie prąd.

\* \* \*

To nie było również tak całkiem moje wspomnienie. Tamtego wieczoru eskortantka opuściła garderobę z doczepioną do niej resztką makiety Marvy; nie mojej, choć też jestem Marwą, lecz tej nowej, ulepszonej Marvy – tej samej, która chciała dać kopa agentce i korzystać ze sławy. A ona doczepiła się do mnie? Osobowości nie zawsze rozdzielają się gładko i bez śladu, więc coś z niej musiało pozostać we mnie i na odwrót.

Em-Cate i Twill byli dokładnie tam, gdzie widziałam ich tamtego wieczora, podobni do kukiełkowych animacji. Odwróciłam się, żeby popatrzeć na ich odbicia w lustrze, lecz coś mnie blokowało.

*Nie teraz.*

Zupełnie jakby okno otworzyło się i zamknęło w przeciągu ułamka sekundy: przebłysk obecności agentki gasnący tak szybko, że nie zdążył się utrwalić. Odplynęłam od lustra do miejsca, gdzie kiedyś spotkałam Sovaya.

*Chcesz sprawdzić kwestię?*

Wiedziałałam, że jeszcze nie teraz. Otoczyła mnie ławica holoryb i porwała ze sobą.

Okrążyliśmy cały lokal, nim oderwałam się od nich i skierowałam w dół, ku znajomej twarzy.

\* \* \*

Można się zdziwić, gdy za przynętą płynie taka maskara...

Jestem po drugiej stronie tej łagodnej podjarki. Opadam spokojniutko i gdy ląduję, chciałoby się krzyknąć: życie jest piękne! Oddalam się zadowolona, że poznałam to nowe doświadczenie. A rzadko o czym można to powiedzieć ostatnimi czasy.

Ale można się zdziwić, gdy za przynętą płynie taka maskara... Jednak pamiętam – pamiętam i nie wynika z tego nic złego – jej twarz na lśniącej żółtej holorybie. Ryba z ludzką twarzą i woda nad moją głową; taa, to karmoskop, jeśli faktycznie istnieją takie rzeczy. Ale czy mój karmoskop?

Dobra, oto parszywy nałóg: pragnienie przejęcia cudzego nałogu... To jak prosić się o kłopoty. Ale czy to nie przypomina przejmowania czyichś wspomnień?

Coś mi mówi, żebym się tym nie przejmowała, bo jestem, jaka jestem nie z własnej woli. Jeśli odczuwam potrzebę, żeby coś mi zostało wybaczone, to trudno (choć osobiście uważam, że najgorszym nałogiem jest poczucie winy). A ryba wciąż czeka, żeby przepłynąć przez moją głowę.

Chcę zrobić unik jak wtedy, gdy to się naprawdę działo, lecz nie mogę. Zupełnie jakby mi wkręcono łeb w niewidzialne imadło. No i muszę...

...ją wpuścić.

\* \* \*

Wreszcie zrozumiałam, czemu u Bateau miałam rozdwojone pole widzenia. Ona była tam również i próbowała z nim rozmawiać. Teraz efekt jest wyraźniejszy, ale już nie tak przykry i niewygodny. Pewnie dlatego, że obie wiemy, co jest grane. Wyczuwam jej obecność i swoją, jak dwa połączone gatunki oliwy, które się nie mieszają – które nie chcą się wymieszać.

Jest niespójnym zlepkiem, kocem pozszywanym z wielu skrawków. Chociaż z jej życiem splotło się życie tylu innych ludzi, zachowała o dziwo wiele z siebie, nie rozpuściła się, nie wsiąkla bez reszty w kalejdoskop cudzych wspomnień.

Ale chyba nie może. Po prostu upija się nimi. Atak nostalgii; czyjaś nostalgia, jej atak. Potem rozpoczyna się odpływ i ona znowu jest sobą, pozostawiona na skalistym brzegu.

Czy o to właśnie chodzi? Żeby się upić?

\* \* \*

Jest za młoda, żeby mieć rozległe wspomnienia, a te, które ma, są poszatutowane jak kapusta. Siostra bliźniaczka nie zostawiła jej zbyt wiele, kiedy się wypuściła w plener i zapisała do cyrku. W tych resztkach nie ma prawie nic, co byłoby mi nieznanym, żadnych fajerwerków. Nie wiem, czy będzie się czym jarać, co musi, kurka, budzić zdziwienie, bo przecież tylko na tym mi zależy. Cokolwiek i w jakiegokolwiek postaci, byle była podjarka – jestem zainteresowana i wchodzę w ten interes.

Bo co jeszcze ma sens? Czy można dostać od ludzi coś innego, ale równie dobrego? Mogę się tutaj wyszaleć, więc czym jest dla mnie świat? Czym jestem ja dla świata?

\* \* \*

Boję się, bo nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Wobec tego na razie nie możemy nad urwiskiem sprzymierzyć się przeciwko niej.

Zresztą wszystko, co sobą reprezentuje, jest odpryskiem mojej osobowości, czy raczej na odwrót. Na ile zdążyłam się zorientować, ona była tu pierwsza, a ja pojawiłam się później jako osoba, którą zechciała się stać – wbrew sobie – pewna agentka. A jednak, raju, nie czuję tej zależności. Czuję się prawdziwa. Eskortantka mnie pamięta, agentka mnie pamięta i ona mnie pamięta, więc muszę być prawdziwa.

Sovay też mnie pamięta... i ja pamiętam jego...

\* \* \*

Teraz i ja go pamiętam: fajna podjarka z fajną fazą. Nie jest to moje wspomnienie, lecz Marvy – tej Marvy, której pragnął Sovay, kiedy sprzęgli się razem psycha w psychę, i tej, którą chciał mieć przy sobie w przyszłości. Marvy, która miała zostać z nim w teatrze, zamiast biec po sławę. A agentka nie mogła nic na to poradzić, ponieważ cudze pragnienia są cudze i tyle.

Oto odwieczny przedmiot moich pragnień: coś cudzego. To prawda, mogę wreszcie spojrzeć prawdzie w oczy. To nie musiały być wyłącznie wspomnienia, one po prostu stanowiły dla tego najlepsze opakowanie. Nie wiem nawet, czym dokładnie jest owo „to”, ale jeśli było czyjąś własnością, chciałam je mieć. Nowy początek, drugie podejście, a jeśli drugie nie wypali, to trzecie, czwarte i następne. Dwa lustra, niezmiernie liczba odbić, zero oczekiwania. Mogę to ciągnąć bez końca.

\* \* \*

Pierwszym razem, kiedy runęliśmy w przepaść, uratowała nas agentka. Tym

razem... czy ja mam to zrobić? O raju... Nie mogę. Potrzebne mi lustro; znajdzie się w nim jakaś inna postać, lepiej do tego przygotowana.

*Chcesz sprawdzić kwestię?*

Sovay. Raju, tak, chcę sprawdzić kwestię.

\* \* \*

To wredne zagranie, ale czasem nie ma innego wyjścia. Sovay to jedyna rzecz, co do której wszystkie się zgadzają. Jeśli więc jedna sprawdzi kwestię, zrobi to każda z nich. Akurat nie wiedzą, że zmieniłam jeden wiersz i teraz przeczytają: *Żegnaj. (Schodzi ze sceny). Kurtyna w dół.*

\* \* \*

A więc już schodzę?

Skoro tak jest napisane, to tak jest napisane. Czy jestem dobrą aktorką? Wystarczająco dobrą, żeby grać obie role. Oto istota aktorstwa metodycznego. Znam ją, mogę być nią.

I nadal nią jestem, kiedy spada w przepaść.

\* \* \*

O, o! Tego nie powinno tu być. To znaczy... coś tu powinno być. Albo ja powinnam...

Cholera! Nie pamiętam, jak to powinno wyglądać. To jest coś cudzego, lecz podjarka się skończyła. Czas spadać.

\* \* \*

Zawsze byłam skołowana, kiedy odzyskiwałam przytomność w pozycji siedzącej.

Nagle uderzył mnie znowu w policzek – ktoś, kogo nie znałam.

– Ruchy! Ruchy! – warknął i szarpnął mną tak mocno, że stanęłam na nogach. – Jeśli przyjdzie i cię tu zastanie, wyżre ci mózg łyżeczką!

Pociągnął mnie do otwartych drzwi. Miałam wrażenie, że gałki oczne latają mi jak kamiki. Chwyciłam się futryny, żeby znowu nie zemdleć.

– Pośpiesz się, do jasnej cholery!...

\* \* \*

Dałbym sobie wyczyścić wspomnienia. Z nadzieją, że nigdy nie będę na tyle głupi, żeby próbować je odzyskać.

Kto to powiedział?

– Ty to powiedziałaś. To pierwsza mądra rzecz, jaką od ciebie usłyszałem od... – Anwar pokręcił głową. – Odkąd sięgam pamięcią.

Nie, to na pewno nie ja. Ale jeśli będę mogła gdzieś usiąść i zebrać myśli, wszystko sobie przypomnę. Ktoś, kogo znam albo kiedyś znałam. Było ważne, żebym to zapamiętała.

*Musisz To Sobie Przypomnieć.*

Zmrużyłam oczy.

Uczucie déjà vu uderzyło mnie z siłą pięści. Pusta poczekalnia, facet za biurkiem...

Wydawało mi się, że z niewiadomej przyczyny usiłuję się wydostać. Pewnie jakiś wyrobiony odruch.

– Tylko na razie – wypowiadał prędko słowa. – Tylko na razie, na razie. Odnajdę cię znowu, kiedy sprawa przycichnie, a na razie mówię: do widzenia, powodzenia i o wszystkim zapomnij. Będę pamiętał za ciebie i za siebie, kiedy przyjdzie pora...

Cóż to za głupiec, myślałam, że wymyśla takie rzeczy? Wybacz, zapomnij i nie rób z tym nic więcej. Ot, mądra rada. Jeszcze mądrzej najpierw zapomnieć, bo wtedy nie trzeba nic wybaczać. Zaraz, kto mi to mówił?

\* \* \*

Rękaw kroplówki dożyłnej oznajmił pikaniem, że jest pusty, co mnie obudziło. Miałam bezładny, nielogiczny sen. Rzecz działa się w jakimś wielowyznaniowym kościele lub na dalekowschodnim bazarze, gdzie chuda kobieta sprzeczała się z drugą agentką psychopolicji na temat mojej tożsamości. Agentka, która wydawała mi się najzupełniej obca, twierdziła, że jestem teraz kimś innym. Chuda kobieta chyba argumentowała, że z powodu rozpowszechnionych zabiegów plastycznych prawie nikt już nie ma oryginalnej tkanki, więc biologiczne odczyty się nie liczą – aczkolwiek nie byłam pewna, bo gadała z pełnymi ustami i w ogóle nie przęłykała. Po pewnym czasie zjawił się filozof, żeby rozstrzygnąć spór. zaproponował, żeby przeciąć mnie na pół; jedną część oddać psychopolicji, drugą zrzucić z urwiska.

Właściwie to nie byłam wcale taka pewna, że rozmawiają o mnie, ponieważ miałam sen, ale w nim nie uczestniczyłam. Potem rękaw zaczął pikać i obudziłam się ze świadomością, że wszystko to kac umysłu po skorygowaniu rzeczywistości. sny po największej nawet bibie nie są w połowie tak wyraźne i ciekawe jak te w stanie śpiączki.

Zdjęłam rękaw i położyłam go na stoliku przy łóżku.

– Ty naprawdę nie lubisz jeść, co?

Skehan stał w nogach łóżka, gdzie kopiował informacje z aparatury monitorującej na swojego pendrive'a. Wyglądał jak Jezus albinos. Wiedziałam, że już się wcześniej widywaliśmy, lecz nie znałam szczegółów. Tylu rzeczy nie mogłam sobie przypomnieć...

– Lubię jeść, i to jak. Ale nie lubię zjadać...

Skehan westchnął współczująco.

– Desperacki krok, ale się opłaciło. Salazar była jedyną osobą, którą musiałś rozpoznać. Mieliśmy w tym względzie całkowitą pewność. Zniknęłaś nam z pola widzenia na trzy tygodnie, czyli mniej więcej od czasu, kiedy twoja osobowość Marva sprzedała się Pewnym Bardzo Fajnym Ludziom i przełączyła cię w stan permanentnego letargu.

Salazar. W mojej pamięci była dziura dopasowana do niej kształtem i rozmiarami i po prostu nie mogłam nic zrobić, żeby nie wpadła do środka. Kiedy wreszcie przypominałam ją sobie, to razem z wrażeniem czegoś niemiłego, co przytrafiło się eskortantce, ale nie powiedziałam tego Skehanowi. Pewnie chciałby mnie jeszcze raz przeświecić, a ja nie miałam już ochoty wpinać się do aparatury. Nie przyśpieszyłoby to procesu korygowania rzeczywistości.

– No dobra. – Skehan odłączył pendrive'a od monitora i przysunął sobie krzesło.

– Masz dziś jakieś pytania?

– Zależy o co pytałam wczoraj i czy dziś odpowiedź byłaby inna.

Zerknął na mikroskopijny wyświetlacz pendrive'a.

– O to co zwykle: co się stało z eskortantką, Anwarem i Bateau, czy w rezultacie twojej tajnej misji dokonaliśmy jakichś ważnych aresztowań i kiedy będziesz mogła stąd wyjść.

Pokiwałam głową. A więc żadnych niewygodnych kwestii w stylu: Czyje ciało mam na sobie? Jak myślisz, kim jestem?

– Aha, w takim razie pominąłeś coś istotnego: czemu nie pamiętam wszystkiego dzień po dniu?

Uśmiech na twarzy albinosa wyglądał groteskowo.

– Przy twoim urazie psychicznym poczucie ciągłości czasu wraca późno.

– Ale wraca?

– Najczęściej. – Przypatrywał mi się uważnie. – To znaczy prawie zawsze. Powiem więcej: nie wraca w tak nielicznych przypadkach, że w zasadzie nie bierzemy pod uwagę takiej możliwości. Z Korsakoffem uporaliśmy się już dawno temu. Jeśli dzisiaj ktoś ma ten problem, to dlatego, że chce.

To mi dało do myślenia. Uważałam, że nie jest to zbyt komfortowy stan, ale



bezsprzecznie miał swoje zalety.

– W porządku, wierzę ci na słowo. A co z resztą? Poczucie ciągłości czasu jeszcze nie wróciło.

Skehan przymrużył swoje rubinowe oczy.

– Nie udało się zebrać wiarygodnych dowodów, żeby postawić przed sądem Pewnych Bardzo Fajnych Ludzi i oskarżyć ich o podrabianie lub piracenie osobowości. Do tego zwinęli interes. Cokolwiek znalazłaś w głębokim utajnieniu, przepadło, kiedy eskortantka próbowała cię zabić. Dorwaliśmy za to Bateau i kilku ludzi z jego otoczenia. Wszyscy eskortanci prowadzili najzupełniej legalną działalność, więc nie mieliśmy na nich haka. Twoja eskortantka Marceline, nazwiska brak, pozostaje na liście osób zaginionych.

Zaginiona. Przejechałam dłońmi po twarzy i obejrzałam je wnikliwie, każdy palec.

– Widzę, że poddano mnie zabiegom operacyjnym, gdy byłam uśpiona.

Zawahał się.

– Odnowie. To była kosmetyczna odnowa. Oczywiście zajęliśmy się tym w pierwszym rządzie. O wiele łatwiej walczyć z fizycznymi zmianami.

– Kosmetyczna odnowa. – Parsknęłam śmiechem. – Eskortantkę uznano za zaginioną. A jak sądzicie, gdzie podziewa się Marva?

– Oryginalny szablon powinien być nadal w garderobie, chyba że przeprowadzono czystkę, o której nic nie wiem. – Skehan starannie dobierał słowa. – Jeśli masz na myśli swoją makietę, została skasowana. Uraz psychiczny to załatwił.

– Próbujesz mi wmówić, że nadałeś temu ciału mój pierwotny wygląd i nie natrafiłeś na żaden ślad eskortantki? – Znowu się roześmiałam. – Proszę bardzo, możesz sobie zrobić z tej bajeczki oficjalną wersję, ale ja tam byłam.

Skehan podrapał się przy kąciku oka i błysnął wystudiowanym uśmiechem.

– Nie wiemy, gdzie i kiedy zrobiono ci plastykę. Dzieło profesjonalisty, chociaż dziś każdy, kto zaopatrzy się w przyzwoite narzędzia i odpowiedni zapas tkanki, odstawi robotę, która zmyli twoją matkę.

Pochyliłam się ku niemu.

– To ciało zostało zmienione?

– Owszem, twoje ciało zostało zmienione. – Położył delikatny nacisk na słowo „twoje”. – Zero oryginalnej, ale to normalka u każdego, kto choć raz pracował w głębokim utajnieniu. Jak inaczej wyjaśnić zmiany w twoim wyglądzie? W czasie misji zmieniono ci cały kostium. Wspomnienie tej szczególnej chwili należy akurat do tych, które bezpowrotnie przepadły. – Pogmerał przy pendrivie i przez chwilę wpatrywał się w wyświetlacz. – No tak, bezpowrotnie przepadło. Ale jeśli ujawni się jakimś cudem, powiadomisz przełożonego, prawda?

– Daj spokój. Jest w kostnicy jakaś bezimienna denatka, która przypomina do

złudzenia aktorkę o imieniu Marva?

– Mamy całkiem sporo takich bezimiennych, czy raczej mieliśmy. Ale ty jesteś tu od dwóch tygodni. Wszyscy, których wtedy przywieziono, dawno zostali zutyliizowani, całą tkankę pocięto... – Wzruszył ramionami. – Wszyscy, po których nikt się nie zgłosił. Zresztą, nie siedzę w temacie. Sprawy kostnicy to nie moja broszka.

Usiadłam.

– A więc oficjalna wersja brzmi tak: kiedy Salazar mnie z tego wyciągnęła, miałam zmienione ciało, a eskortantka... zaginęła w akcji?

Skehan zatrzaskał wieczko pendrive'a.

– Druga wersja nie istnieje i nie ma sensu jej szukać. Nie wyobrażam sobie innego wytłumaczenia. – Wstał z uśmiechem. – A wracając do twojego drugiego pytania, powiem ci, że jutro wychodzisz. Dostaniesz tydzień wolnego na dojsie do siebie, a potem z powrotem do pracy. O ile dobrze pamiętam, twój kontrakt nie wygasł. – Już zbierał się do wyjścia, lecz przystanął. – Aha, byłbym zapomniiał. Salazar nie wyszła z tego bez szwanku. Nie była w głębokim utajnieniu i twój uraz dotknął również jej. Musieliśmy wyczyścić jej wspomnienia. Niestety, razem z doświadczeniami z pracy w terenie.

– Sally Laser w odstawce? Szkoda. Pewien lokal w podmieściu nigdy już nie będzie taki sam. Co zamierzacie z nią zrobić? Wczesna emerytura?

– Ależ skąd. Chyba dostała awans. Pójdiesz do niej z raportem po powrocie z wolnego. – Odchrząknął. – Nie ja tu ustalam reguły. A, jeszcze jedno... Miałaś dość uporczywe złudzenie, które sprawiło nam sporo problemów. Ale już znikło.

– Co to było?

– Nie ma się czym przejmować. Wydawałaś się... hm... przeświadczona, że... – Wzruszył ramionami. – To trudno wyjaśnić. Ale jak już powiedziałem, nie ma się czym przejmować. Pranie chemiczne się udało, wróciłaś do normalności. Koniec ze złudzeniami. Wspominam o tym tylko dlatego, że wmieszały się w to różne zawiłe informacje. Je też musieliśmy usunąć.

– Co to wszystko znaczy?

– Szczerze mówiąc, sam nie wiem. W każdym razie możesz mieć wrażenie, że jesteś okłamywana w kwestii tego, co przydarzyło ci się w czasie, którego nie pamiętasz. To bywa trudne do zniesienia i dlatego może się rozwinąć u ciebie paranoja. Dobrze zrobisz, jeśli pozwolisz nam monitorować oznaki paranoi.

Roześmiałam się.

– Nie ma lepszych sposobów na walkę z jej początkami? Będziecie mnie obserwować?

– Nikt nie zamierza cię śledzić. Po prostu będziesz nosić to. – Pokazał mi coś, co wyciągnął z kieszeni. – To pompa, która...

– Dobrze wiem, co to jest. Nie ma takiej opcji i nie wracaj do tego tematu. Jestem zawodowcem i potrafię zadbać o swój mózg. Jeśli coś się w nim zacznie chrzącić, zgłoszę się na badania.

– Tak, ale tu miałabyś natychmiastową pomoc, dokładnie odmierzoną dawkę...

– Nie! Zabieraj to sprzed moich oczu!

Schował urządzenie do kieszeni.

– I sam się stąd zabieraj! – dodałam.

Skehan pokręcił głową z wigorem i wyszedł.

Wypisałam się z ośrodka resocjalizacji dzień przed terminem i zrobiłam wypad na Wyspę Cornwallisa – do jednego z tych nielicznych miejsc w Terytoriach Północno-Zachodnich, których nie odpicowano na potrzeby lodowej turystyki. Co nie znaczy, że była to cywilizacyjna pustynia; i tam można dostać prawie wszystko, byle wiedzieć, do kogo się zwrócić.

Zawsze uważałam, że chłodny klimat nastraja do spokojnych rozmyślań. Jeśli zagubiły się jakieś wspomnienia, to trudno, nie zamierzałam ich szukać. Jeśli coś stracisz, mówią, to znaczy, że nie jest ci to potrzebne. Wybacz i zapomnij.

Albo po prostu zapomnij. Dzięki temu nie trzeba będzie nic wybaczać. Nic i nikomu.

No więc zapomniałam.

# Część II

**Głupcem, kto uwierzy**

Sovay zafarbował się na leciutki pomarańcz. Nie był to jego ulubiony kolor. Siedział po turecku na macie, goły, z rękami leżącymi w skrzyżowaniu kostek. Ktoś powtykał poduszki między ścianą a jego plecami, żeby się mógł podeprzeć – pewnie zwykła policja. Ssacze nie obchodzili się z ludźmi aż tak delikatnie. Jego długie, proste włosy w kolorze odrobinę ciemniejszym od skóry były odsunięte od zmiętej twarzy, a pod zamglonymi nefrytowymi oczami widać było ślady krwi. Oddychał z cichym świstem przez wpeł przymknięte usta.

Usadawiłam się przed nim i delikatnie pociągnęłam dolne powieki. Cienką strużką spłynęła mi na kciuki mieszanina krwi i łez. Biedny Sovay. Wcale się z nim nie patyczkowali. Nic nie wskazywało na to, by w salonie doszło do rękoczynów. Sovay i jego żona Rowan nadal nie mieli mebli. Miesiąc temu, jeśli dobrze pamiętałam, poduszki i maty leżały tu w podobnym nieładzie, a w ściennej wnęce paliła się przysłonięta lampka. Czułam się jak w grobowcu. Lub łonie. Z holu doleciał głos Rowan:

– To tutaj. Tamte drzwi.

Wstałam i odsunęłam się na bok, kiedy do salonu weszło trzech sanitariuszy z noszami.

– Paskudna sprawa – powiedział najważniejszy z nich, kucając przed Sovayem z lekarską walizeczką. Pozostali dwaj w milczeniu rozłożyli nosze, nie komentując tej sytuacji nawet miną. – Pani z psychopolicji?

Kiwnęłam głową i pokazałam mu legitymację, przypiętą do pasa.

Obrzucił ją krótkim spojrzeniem.

– Siemasz, Mersine. Zwykła policja już go oglądała?

– Taa. Bierzcie się do roboty.

Sanitariusz zmierzył ciśnienie krwi za pomocą PrestoMankietu.

– Macie już jakieś podejrzenia?

– Dopiero co tu przyjechałam.

– Paskudna sprawa, paskudna... – Sanitariusz zakołysał swoją łysiejącą głową w odcieniu błękitu. – Swego czasu była to jedyna rzecz, której nie mogli człowiekowi odebrać. Na nic już nie zważają.

Spojrzałam na Rowan, stojącą na uboczu. Zdjęła ze ściany fajkę wodną i w zamyśleniu ssła ustnik. Gdy poruszyła głową, mimo marnego oświetlenia dostrzegłam wilgotną strużkę, wypływającą spod oka na policzek. Skóra w tym miejscu lekko się zaczerwieniła, jakby łzy zawierały jakiś środek drażniący, na który nawet ona była uczulona. To by nawet miało sens, pomyślałam i odwróciłam się w samą porę, żeby zobaczyć, jak sanitariusz wyjmuje oczy Sovayowi. Akurat wolałabym tego nie widzieć.

Kiedy sanitariusz zamykał połączenia nerwów wzrokowych, po twarzy Sovaya popłynęły kolejne łzy i krople krwi.

– Wypasione bioklejnoty – rzekł i przez chwilę bez słowa przypatrywał się oczom.  
– Nówki. Nie cieszył się nimi długo. – Umieścił je w słoiczku wyciągniętym z walizeczki, gdzie wyglądały jak porzucone kulki z barwnego kamienia. – Paskudna sprawa. Mam na myśli tych ssaczy. – Zatkanął uszy Sovayowi i dał mu w żyłę. – Podłączyli odkurzacz do nerwu wzrokowego i wszystko wyskali. – Uniósł ramię Sovaya, sprawdził jego giętkość i ułożył ciało na wznak w ten sposób, żeby pozostali sanitariusze mogli wsunąć pod spód nosze. – Musiał im zaleźć za skórę, że odważyli się tak go potraktować. – Zasepił się tak bardzo, że zmarszczki poorwały pół głowy.

Zerknęłam ponownie na Rowan. Ta jakby nic nie słyszała. Po salonie snuł się wonny dym z fajki wodnej; zapach nęcił, lecz nie zniewalał.

– Kim on jest? – zapytał sanitariusz. – To znaczy... kim był?

– Nazywał się Sovay, był aktorem.

– Aha. – Sanitariusz pochylił się nad nim. – Pewnie jakaś wschodząca gwiazdka. Nigdy o nim nie słyszałem. – Skinął ręką na asystentów, którzy zaraz wynieśli Sovaya.

– Rozejrzy się pani po jego studiu? – zapytała Rowan po długiej chwili milczenia. Przyglądała się ustnikowi jak czemuś zupełnie nieznanemu. – Tam też się włamali, ale nie było nic do wzięcia. Zastali tylko ściany z lustrami i dywan. Sovay zamykał drzwi na klucz, bo mówił, że odgradza swoje dobre fluidy od fluidów innych ludzi. – Zaciągnęła się dymem i dmuchnęła w sufit. – Czy psychopolicja widzi w tym jakiś sens?

Zawsze ciężko rozmawiać z bliskimi ofiary, nawet gdy okoliczności są mniej zagmatwane. Oczywiście z punktu widzenia Rowan sytuacja wydawała się prostsza; nie znała mnie, a ja ani myślałam jej mówić, kim pewnego razu byłam. Czułam się z tym nie za fajnie, jakby kierowały mną jakieś tajemnicze, nieznanne mi pobudki, nie związane z dobrem śledztwa.

– Nie muszę oglądać studia, gdy zajmuje się sprawą policja. – Zawahałam się. – Kiedy wyjdą, mogę panią podrzucić do szpitala.

Pokręciła głową.

– To już się na nic nie zda. – Jej wzrok zatrzymał się na macie, na której niedawno siedział Sovay, jakby dopiero teraz zauważyła jego nieobecność. – Napije się pani kawy? Mam tylko taką w kostkach, ale całkiem niezłą. – Zamrugła kilka razy w wyrazie skrępowania, jak czasem robią ludzie, którzy nie potrafią zachować się w towarzystwie i są o krok od blamażu. Tym niemniej w jej ruchach nie było znać niepewności, gdy zatykała fajkę i odkładała ją na swoje miejsce.

Jej wygląd nie kłócił się zbytnio z tym, co zapamiętałam: niska i lekko puszysta, co jeszcze podkreślał baloniasty kostium. W odróżnieniu od Sovaya nie sztafirowała się kolorem ani modnymi bajerami. Jej skóra była autentyczna, podobnie jak brązowe włosy, opadające falami do ramion. Pofolgowała sobie tylko z upodobnionymi do pereł brązowymi bioklejnotami, które nadawały okrągłej twarzy dziwnie bezbarwny wyraz.

O dziwo, w kuchni znajdowały się tradycyjne meble, stół i cztery krzesła. A może nie należało się dziwić; nawet najbardziej zażarci fani przesiadywania na podłodze od czasu do czasu lubili klapnąć na krzesło. Gdy usiadłam, Rowan zaczęła jak automat kłaść przede mną na stole filiżankę z wodą, łyżeczkę, serwetkę i słóiczek z kostkami kawy.

– Jaką pijesz?

Przez chwilę nie wiedziałam, o co jej chodzi.

– Lekko brązową.

– Lekko brązową dają kostki w złotym papierku. Lekko brązowa z cukrem: papirek biały. Czarna słodka, różowy. Zwykła czarna jest w czarnym. – Wzruszyła ramionami i usadowiła się w krzesło, ja tymczasem odwinęłam złoty papirek i wrzuciłam kostkę do filiżanki. Woda spieniła się po błyskawicznym osiągnięciu stanu wrzenia.

– Dlaczego mu to zrobili? – zapytała. – Dlaczego wyciągnęli mu oczy i zatkali uszy?

– Wymogi pierwszej pomocy. – Rozmieszałam bańki w filiżance. – Nadmierna ilość bodźców zewnętrznych może wywołać przymusowe psychokasowanie. Zastrzyk zawierał nie tylko środek nasenny, ale też odczulacz zmysłu dotyku. To go skutecznie wyłączy, nim zostanie poddany kwarantannie.

– Aha. – Położyła dłoń na dłoni.

Zawsze mi się wydawało, że morderstwo jest w pewnym sensie bardziej humanitarne. Przymusowe psychokasowanie – psychossanie – przypomina zgon, tyle że żywe ciało, otoczka, pozostaje nienaruszone i budzi kontrowersje osób bliskich. Psychossanie nie skazuje na pochówek w grobie, lecz na pobyt w specjalnej strefie kwarantanny, gdzie rozwija się nowy umysł i nowa osobowość. Ta czasem nie różni się bardzo od poprzedniej, choć znacznie częściej zachowuje do niej

iluzoryczne podobieństwo... jakby ssanie dawało swobodę osobie od zawsze goszczącej w ciele, czekającej na chwilę, kiedy nadrzędna osobowość zostanie usunięta. Na ten temat wciąż toczyły się gorące spory między biologami i behawiorystami. Pojawiło się mnóstwo teorii i ani jednego przekonującego wyjaśnienia.

W każdym razie nowy umysł był zdecydowanie kimś innym – obcym, który w żaden sposób nie jest powiązany z pierwszym lokatorem mózgu. Ktoś mi kiedyś powiedział, że z nową sytuacją łatwiej pogodzić się temu, kto ma skrzywienie na punkcie reinkarnacji. A jednak głupio bym się czuła, mówiąc Rowan, że może znaleźć pociechę w studiowaniu Wielkiego Koła Życia.

– Czy psychopolicja kiedykolwiek, ee... – zagaiła po chwili – kogoś uratowała? Kogoś po psychossaniu?

Często zadawane pytanie. Pomyślałby kto, że w epoce szybkiej wymiany informacji nie ma już miejsca na niedomówienia i błędne przekonania. Trzeba mówić im prawdę, ale nie znoszę tego, nawet jeśli kłamstwo byłoby jeszcze gorsze.

– Ślad zawsze zostaje – powiedziałam i napiłam się kawy. Miała rację, kostki były pierwsza klasa. W najgłupszych chwilach robią wrażenie na człowieku najgłupsze rzeczy. – Najczęściej ssacze śpieszą się przy krojeniu umysłu, bo... – Urwałam.

Mam jej opowiadać o sieczkarni? Tak, a potem barwnie opisać, jak wydtubali niezależne wspomnienia Sovaya z gracją szympansa wybierającego pędraki ostrym kijem, nie marnując czasu, ponieważ rozpalony umysł nie wytrzymuje długo w prowizorycznym pojemniku. Wszystkie wycięte wspomnienia, które mogłyby jednoznacznie wskazywać na konkretny umysł, zostały splukane, a cokolwiek pozostało z jego talentu, wystawiono na sprzedaż. Przetrwają oczywiście dość liczne skojarzenia, ale klientom zaopatrującym się u ssaczy nie przeszkadzają dwie, trzy zjawy. I nie biadolą, kiedy towar jest zmasakrowany po pośpiesznej wycince.

Wszystkie resztki znajdowały nabywców. Nie mogłam się nadziwić, że zdarzają się jeszcze męty kupujące ochłapy ssaczy, ale niektórzy zadowolą się każdym chłamem. A więc niewykluczone, że ktoś przejmie po Sovayu styl ubierania się, kto inny – jego gust w kwestii urządzania domu, inny znowu – jego upodobania erotyczne.

No chyba że w grę wchodziło porwanie, a ktoś spiknięty ze ssaczami czekał już na całą świeżutką osobowość. Czyżby Pewni Bardzo Fajni Ludzie znów działali w branży pod nowym szyldem lub nowym zarządem? Falszerze próbujący sił w psychossaniu i porwaniach trafiali się rzadko. Psychossanie było aktem przemocy, czyli czymś, czego falszerze z reguły unikali. Choć i o takich przypadkach się słyszało. Można zarobić niezłe pieniądze, bo ludzie marzący o zupełnie nowej osobowości płacą o wiele więcej niż ci, którzy potrzebują tylko nakładki osobowości.



Może uważają, że jeśli wywalą kupę kasy, zrobią sobie porządny przeszczep osobowości, nawet jeśli nikomu jeszcze nie udało się dowieść, że przeprowadził udaną transplantację. Nikomu, już ja coś o tym wiem.

Zorientowałam się, że patrzę tępych wzrokiem na filizankę.

– Śpieszą się, bo... ee... muszą. Muszą się sprężyć – powiedziałam nieporadnie, kończąc zdanie, które mnie i jej wywietrzało już z głowy.

– Rozumiem. – Rowan głośno wypuściła powietrze. – A więc żadna różnica, czy złapiecie tych psychossaczy, czy nie, co? Żadna różnica dla mnie i dla Sovaya, o tym mówię. Nie odbudujecie go, nawet jeśli się znajdzie.

Żałowałam, że nie powiedziałam sanitariuszom, by dali jej coś na uspokojenie. Troska o pogrążoną w bólu rodzinę była w zasadzie działką zwykłej policji. Ktoś od nich powinien być z nami, ale z powodu okrojonego budżetu chyba znowu brakowało im rąk do pracy. A mnie umysłów.

– Rzeczywiście – odpowiedziałam powoli – to już chyba bez znaczenia. Chyba że ich dorwiemy, nim znowu kogoś skroją.

Usta Rowan zadrżały.

– Pani mi wybaczy, jeśli wyglądam na taką, która martwi się tylko o siebie.

– Oczywiście. Czy jest ktoś, u kogo może pani na razie zamieszkać?

– Chodzi o kogoś do opieki nad bolejącą wdową? Do podawania jej tyżką rosółu, krojenia kotleta, dosypywania środków uspokajających? – Spojrzenie perłowych, brązowych oczu odsunęło się ode mnie niespiesznie. – Poradzę sobie sama.

Od tej pory siedziałyśmy w milczeniu, aż usłyszałyśmy, jak do salonu wchodzi funkcjonariusz policji.

\* \* \*

Policjant miał mi niewiele do powiedzenia. Ktokolwiek napadł na Sovaya, starannie zacierał ślady. Najwyraźniej sam włam zlecono fachmanom, którzy ulotnili się zaraz po wejściu ssaczy. Specjaliści od włamu rzadko kradną w czasie takiej roboty, żeby ich nie namierzono. Żaden włamywacz nie chce być oskarżony o współudział w psychossaniu. No i proszę: w epoce szybkiej wymiany informacji pięć razy szybciej niż pół wieku temu dowiemy się, że nic nie wiemy.

Rowan kategorycznie odmówiła wizyty w szpitalu, więc zostawiłam jej swój numer i udałam się do bazy. Należę do ludzi, którzy lubią siedzieć za kierownicą, czy to poruszają się po jezdni, czy w powietrzu. Prowadzenie auta stanowi coś pośredniego między zabawą a terapią, oczyszcza umysł i usprawnia myślenie. Na drogach był duży ruch, więc miałam mnóstwo czasu na rozmyślanie.

Gdy wisiałam nad rzeką, czekając na sygnał do zlotu i włączenia się do ruchu

naziemnego, włożyłam do odtwarzacza płytkę z Gladney'em i puściłam muzykę na wszystkie osiem głośników. Gladney padł ofiarą psychossania i nagranie było dość dawne, skomponowane jeszcze przez oryginalną osobowość, z racji tego nazywane pierwszą edycją.

Aż strach pomyśleć, ilu artystów z różnych dziedzin zostało wyssanych ostatnimi czasy. Przełom w odtwarzaniu osłonki mielinowej sprawił, że mózg pokonał wcześniejsze ograniczenia i mógł już przetrwać więcej niż dwa kompletne kasowania. Wcześniej po trzecim kasowaniu mózg pacjenta upodabniał się do dyni, bynajmniej nie pod względem długowieczności. Teraz jednak można było poddać się kasowaniu co roku... a właściwie można by było, gdyby rząd nie wprowadził ograniczeń. Ale nawet mimo restrykcji czterokrotnie wzrosła liczba zleceń na dobrowolne psychokasowanie. Podobnie jak na przymusowe psychokasowanie, czyli psychossanie.

Brzęczek na desce rozdzielczej sygnalizował, że mam prawo zlotu, więc delikatnie napałam na drażek. To, co spotkało Sovaya, dowodziło, że nie odcięliśmy się tak całkiem od wydarzeń z zeszłego miesiąca. Może zemszczono się na nim za to, co zrobił w „Skrytce Davy’ego Jonesa”, chociaż tak drastyczne metody trudno przypisywać fałszerzom. Ci mają w zwyczaju działać subtelniej: prędzej schrzanią komuś płynność finansową, niż dopuszczą się aktu przemocy. Chyba że idzie o wysoką stawkę.

Może swoją krótką znajomością z Pewnymi Bardzo Fajnymi Ludźmi zwrócił na siebie czyjąś uwagę? Sovay ledwo zasługiwał na miano obiecującego aktora, i to w gronie najzagorzalszych fanów teatru scenicznego. Wydawał się dziwnym obiektem pożądania, lecz ssacze są świetnymi łowcami młodych talentów. Młody talent o wiele łatwiej podejść, a klientom podoba się, że nabywają surowy diament, z lekka tylko oszlifowany. Dzięki temu mogą kształtować go według własnego upodobania. Gwiazdorstwo na wyciągnięcie ręki, lepsze niż nakładka osobowości. W teorii, bo w praktyce...

No cóż. Można tłuc ludziom do głowy, żeby nie brali niczego od ssaczy, można opowiadać mrozące krew w żyłach historie o tym, jak trefny towar zgnił komuś w mózgu i wywołał uraz psychiczny, można każdy przypadek obwarować setką przepisów – a i tak będą wierzyć, że poradzą sobie z wszystkimi problemami po zakupie czegoś, co jest nie tylko sprzeczne z ich indywidualnymi predyspozycjami, ale też brudne i wydarte komuś siłą. Działająca legalnie firma Mind Exchange posługuje się procedurami trwającymi od kilku tygodni do kilku miesięcy, by dane uzdolnienie oczyścić z naleciałości, a nawet ona nie jest w stanie zagwarantować, że nie pojawią się później jakieś drobne zjawy. Kilka lat temu mój brat kupił sobie czyjś talent malarski – zawsze miał artystyczne ciągotki, chciał zostać pełnoprawnym

portrecistą – aż tu raptem okazało się, że ilekroć chwyta pędzel, brakuje mu zapachu świeżego cedru. Ostatnio kiedy się z nim widziałam, miał kieszenie wypchane kawałkami drewna. Śmierdział jak wiekowy kufer.

Jeśli ktoś sobie umyślił sprzedać kawałek umysłu niczym pamiątkowy rupiec ze strychu, jego sprawa, nie zgłaszałam zastrzeżeń. Obie strony mogły być zadowolone, lecz do tej pory nikt jeszcze nie przeszedł do historii z używanym talentem. Tak czy inaczej była to dobrowolna transakcja. Ale nikt się nie prosił, żeby go wyssano.

W „Kanionie Handlowym” utworzyły się korki, więc poprosiłam o pozwolenie na wzbicie się w powietrze. Ośrodek kontroli ruchu odezwał się dopiero po dziesięciu minutach, informując, że mogę przelecieć pod miejską ekspresówką wyłącznie na własne ryzyko i odpowiedzialność. O mało nie wyłamała mi się buda, lecz oszczędziłam godzinę.

\* \* \*

Salazar zajmowała się żuciem-pluciem, gdy zjawiłam się u niej w biurze. Chełpiąc się swoją umiejętnością samokontroli, gardziła lekarswami i zabiegami medycznymi. I nie zniżala się do wcinania poliestru; była zwolennikiem prawdziwej żywności. Żucie-plucie było jej sposobem na walkę z łakomstwem, którą podsycalo przeświadczenie, że otyłość jest postawą antyspołeczną. W przeludnionym świecie, jak zwykła mawiać, nieusprawiedliwione zabieranie miejsca innym powinno być szczególnie piętnowane. Mnie jej filozofia nie trafiała do przekonania. Wkurzała mnie za to jej definicja otyłości, obejmująca wszystkich – na pewno łącznie ze mną – którzy nie mieli piętnastokilogramowej niedowagi. Na szczęście po miesiącu wspólnej pracy przestała w kółko głądzić o diecie i operacjach plastycznych, umiała też zachować taktowne milczenie w obliczu mojej masy. Przy niej prezentowałam się jak hipopotam.

Dziś jadła kanapkę. Kiedy opowiadałam jej o Sovayu, przez cały czas gryzła ją i przeżuwała, wolno i zmysłowo; w jej przypadku „ciamkanie” uzyskiwało status czynności obsceniczej. A gdy już zmeła wszystko na papkę, pochylała się i wypluwała zawartość ust do wsysacza w biurku. Mimo swoich nieprzyjemnych przygód z Sally Laser wciąż byłam jedną z nielicznych osób, które na ten widok nie okazywały obrzydzenia. Między innymi dlatego się po mnie nie woziła. Drugim powodem była nieudana misja Sally Laser. Wszyscy inni w moim wydziale byli na diecie lub udawali, że są.

– Masz podejrzenia, kto to zrobił? – zapytała z pełnymi ustami, gdy skończyłam.

Poruszyłam się w wyściełanym krześle. Każdy mebel w biurze Salazar wydawał się rozdęty. Pewnie dzięki temu czuła się chudsza.

– Stawiam na Pewnych Bardzo Fajnych Ludzi, ale mogą być nieuchwytni. Lub cwanych nowicjuszy, którzy chcą zabłysnąć. W sumie mogą to być jedni i ci sami. W dzisiejszych czasach trudno jednoznacznie określić tożsamość człowieka.

Salazar splunęła, napiła się wody mineralnej i ją też wypluła do wsysacza. Pewnie nie chciała wyjść z wprawy. W jej wpadniętych, granatowych oczach malował się sceptycyzm.

– Nie mamy nic na Pewnych Bardzo Fajnych Ludzi. A co z rozpaczającą wdową?  
– I gryz.

– Nie jest aktorką, więc nie mogli ze sobą rywalizować w ścisłym znaczeniu tego słowa. Nic nam nie wiadomo, by kiedykolwiek miała zaburzenia osobowości albo żeby kupowała lub sprzedawała tożsamość. Nie umotywuujemy wniosku o nakaz rewizji. Nawet jej nie straszylam taką możliwością.

Salazar wyglądała na rozczarowaną, kiedy pluła i odgryzała kolejny kęs.

– Gdybyśmy mogli motywować zasadność każdego nakazu względami ogólnymi, rozwikłalibyśmy co drugie niewyjaśnione ssanie z ostatnich pięciu lat.

Tego rodzaju rozmowy zawsze wprawiały mnie w zakłopotanie. Nie podobał mi się pomysł z nieograniczonym dostępem do czyichś wspomnień, choć dla agentki psychopolicji, myślącej o wszystkich ofiarach podobnych do Sovaya, mógł się wydawać atrakcyjny. Salazar chyba nigdy nie widziała w tym nic zdrożnego. Może za długo przebywała w „Musisz To Sobie Przypomnieć”?

– Sovay był płótką, za którą nie popłynię gracz dużego kalibru – mówiłam dalej. – Znajdował się na samym dole skali, sklasyfikowany jako talent, który warto obserwować. Wielcy gracze wolą takich, którzy zdobyli sobie pewien rozgłos, lecz prawdziwe sukcesy dopiero przed nimi. Inaczej cena mocno idzie w górę. I nigdy nie dzwonią z ofertą. Może za tym stać ktoś potężny (ktokolwiek przejął schedę po Bateau, bo ten wypadł z obiegu), ale nigdy do niego nie dotrzemy, idąc tropem tych, którzy dokonali ssania. Ślad pewnie zatarało selektywne kasowanie i kodowanie pamięci, więc szarym myszkom się wydaje, że działają na własny rachunek.

Salazar znowu splunęła.

– Czy to musi być takie skomplikowane?

– Ssacze zawsze komplikują sprawę, bo mają nadzieję, że zgubimy się w spaghetti.

– Spaghetti – mruknęła Salazar z rozmarzeniem. – Coś jeszcze zabrali?

– Nie, co wcale nie znaczy, że nie próbowali. Włamali się do jego studia, lecz nie było nic do wyniesienia. Pewnie szukali rekwizytów, przedmiotów, z którymi mógłby się lepiej poczuć talent w swoim nowym domu.

Splunięcie.

– Istny cyrk. Jaki masz plan?

– Ten co zwykle. Powęszyć w podmieściu.

Zastanawiała się, przeżuając jedzenie z erotycznym zacięciem. Zawsze denerwowała ją świadomość, że nie wie, co dokładnie robią jej podwładni. Chciałaby wszystkim dyrygować, tak samo jak lubiła wtykać nos w cudzy umysł. Na szczęście najczęściej przesiadywała za biurkiem, skąd mogła wyrządzić minimalne szkody. Najczęściej...

– Jeśli zaczniemy się rozpytywać lub zgarniać podejrzanych, spłoszymy naszych ssaczy, a może i wszystkich ssaczy, których chcielibyśmy zapuszkować. Dadzą się wykasować, żebyśmy nic na nich nie znaleźli, nawet gdy ich złapiemy. Państwo przeciwko Martowi. Cytuję: „Nowa osobowość osoby psychoskasowanej nie może odpowiadać za przestępstwa...”.

Salazar splunęła z impetem, więc wolałam się zamknąć.

– Co ze wsparciem? – zapytała.

Skrzywiłam się. Zawsze mi to robiła i powinna już sobie dać z tym spokój. Ale tak to już jest, kiedy awansuje się ludzi bez doświadczenia w terenie, a przynajmniej takiego, którego się nie straciło.

– Możesz ich rozstawić, możesz ich nie rozstawiać, w każdym razie nic mi nie mów. Przynajmniej nie będą spaleni, gdy coś pójdzie nie tak i zostaną wyszana. Nie wracajmy już do tego tematu, dobrze?

Pokiwała głową, przytknęła kanapkę do ust i znieruchomiała.

– Hej, zjesz resztę? – Podsunęła mi kanapkę. – Ja się już najadłam.

– Nie, dziękuję.

– Na pewno? Szkoda wyrzucać.

– Muszę pilnować diety.

Zmarszczyła czoło.

– Ty nie jesteś na diecie.

Ani krzty poczucia humoru. Wrzuciła kanapkę do wsysacza, który się na chwilę przydławił, nienawykły do jedzenia nie zżutego na papkę. Nie miała nic do dodania, więc wyszłam, gdy zaczęła szukać w ustach ukrytych części kanapki. Udałam się prosto do garderoby, żeby wybrać odpowiednią osobowość do misji w podmieściu.

Jeśli umysł Sovaya dokąds powędrował, to na pewno wyruszył najpierw do podmieścia, gdzie wśród tanich fabryk snów, węzłów wspomnień, hajcowni, lombardów, handlarzy talentów i ulicznych naciągaczy płynęła masa towaru, w której można przeszmuglować wszystko, co zostało pocięte na kawałki. Zmasakrowane szczątki czyjejs tożsamości ginęły w niej bez śladu.

Przejrzałam pośpiesznie materiały filmowe, zebrane przez policyjne kamery kilka dni temu. W ciągu miesiąca niewiele się zmieniło. W modzie wciąż były zeszmaczone łachy. Żaden problem: wejść do przebieralni, podrzucić wszystko w powietrze i ubiorę

się w to, co na mnie spadnie. Bardziej martwiłam się twarzą. W żadnym razie nie mogłam zachować swojej własnej, ale wyprawa z całkiem nową też nie byłaby dobrym rozwiązaniem. W podmieściu świeżutkie bużki przyciągały uwagę niebezpiecznych ludzi, którzy mieli powody do nerwowości. Jeszcze ktoś by mnie profilaktycznie wyssał. Wybrałam kilkanaście ujęć z materiału filmowego i poczekałam, aż komputer skleji mi z tego nową całość, która każdemu podmieściakowi wyda się dziwnie znajoma.

W efekcie powstała facjata, którą trudno pokochać. Posługując się wyrenderowanym modelem, pracownicy garderoby wyprostowali mi brwi, zmienili oczy (wcześniej czyste onyksy, teraz tanie szafiry), dodali lekkiego zezą, złamali nos, rozciągnęli usta oraz zrujnowali włosy kiepską fryzurą i wyblakłym kolorem. Chcieli jeszcze majstrować przy mięśniach i więzadłach, żeby zmienić sylwetkę i sposób poruszania się, ale powiedziałam, że nie ma na to czasu. Pracowników garderoby zawsze ponosiło, traktowali swoją pracę jak teatr. Ograniczyli się do powleczenia strun głosowych czymś, co wydawało się płynnym papierem ściernym (gruboziarnistym); dostałam paskudnej chrypy. Do męskiej bluzy dobrałam spłowieałą plastikową spódniczkę i rozklekotane trepy.

– Megaaautentyczne – stwierdził mistrz garderobiany. W tym tygodniu tę funkcję pełnił młody mężczyzna o imieniu Flaxie. Był jeszcze żółtodziobem, niedawno ukończył politechnikę, gdzie uczył się na kierunku miejskiego kamuflażu.

– Miejski kamuflaż? – zdziwiłam się. – Naprawdę jest taki kierunek?

– Zdziwko, co? – powiedział wesoło. – Studiowałem kostiumologię teatralną i byłem już na finiszu, kiedy uświadomiłem sobie, że bardziej mnie jara ochrona porządku publicznego niż teatr. W teatrze pełno neurotyków. Można przy nich sfiksować.

– Jakbyś zgadł.

Błysnął tysiącwatowym uśmiechem, który nadał mu jeszcze młodszego wygląd.

– Życzysz sobie makietę czy wolisz się bujać na adrenalinie?

Zaśmiałam się ochryple.

– Nie jestem taka zakręcona, żeby bez towarzystwa szprycować się adrenaliną. Daj mi ogólną makietę z włóczką. W razie gdyby ktoś chciał sprawdzić, czy nie jestem ściemniona. Jeśli będzie się śpieszył, a im zawsze śpieszno, pewnie nie przebije się przez całą nakładkę.

Flaxie przygotował łącza systemu komputerowego, a ja utworzyłam plik wykonawczy, korzystając z bazy gotowych charakterystyk. Zazwyczaj wybierałam wizerunek nie odbiegający za bardzo od moich własnych skłonności i dziwactw, żebym mogła bez większych zgrzytów wejść w postać i potem wyjść z niej.

Efekt swoich wysiłków przedstawiłam mistrzowi, żeby przyjrzał się fachowym

okiem. Długo wszystko sprawdzał, aż w końcu popatrzył na mnie z zagadkową miną.

– Na pewno tego właśnie chcesz?

– A są jakieś przeciwwskazania?

Wydawało mi się, że chce coś powiedzieć, lecz tylko wzruszył ramionami.

– Możesz sama wyjąć sobie oczy?

Mogłam i to zrobiłam. Nie przepadałam za makietami, ale jakoś znosiłam włóczki nakładane z zewnątrz, będące mentalnym odpowiednikiem maski. Skuteczniejsza bywała wyłóczka, bo miała swoje źródło w oryginalnej osobowości, lecz później trudniej było ją usunąć. A ogólna włączana osobowość maskująca przez krótki czas opierałaby się pobieżnym oględzinom, gdybym się sprzęgła psychą w psychę z jakimś mętem. Makieta nie miała własnych wspomnień i mogłam jej zakazać korzystania z moich, co uchroniłoby mnie przed zdekonspirowaniem. A właśnie tego chciałam uniknąć.

Flaxie naprawdę wiedział, co robi. Połączenia z nerwami wzrokowymi zostały już uaktywnione i odbywało się ćwiczenie relaksacyjne, sztuczka z przelewającymi się kolorami. Ćwiczenie trwało dokładnie tyle, ile potrzebował mój umysł, żeby przełączyć się w tryb odbioru.

W tym przypadku mechanizm działania stanowił przeciwieństwo psychossania. Jeśli operator systemu zna się na rzeczy, proces jest praktycznie natychmiastowy (i bezbolesny). Umysł się w pewnym sensie natężył – jak wtedy, gdy człowiek koncentruje się na czymś ze wszystkich sił...

\* \* \*

Koleś musiał być chyba żonglerem w poprzednim życiu. Przełączyłam się w pełną świadomość tak szybko, że nie zdarzyło mi się nawet osłepnięcie. Zresztą kichać to! I bez oczu bym wiedziała, że zgarnęła mnie psychopolicja. Wszystko się we mnie gotuje. Nic na to nie poradzę. Nigdy nie wiadomo, co im strzeli do łba.

– Wielkie dzięki, naprawdę, ale następnym razem sama zadbam o swoje oczy!

Jego Blondwłosa Mość uśmiecha się przyjaźnie pełnym garniturkiem zębów.

– Minuta, dwie i będzie po krzyku. Świeża makieta startuje jak rakieta.

Co on za brednie wygaduje? Pewnie figlował z moim sprzętem.

– Gdzie moja papuga? Chcę ją tu mieć! – Rozglądam się, lecz w pomieszczeniu nie ma prawnika. Jest tylko on, ja i jeden z tych potężnych serwerów neuronowych, dzięki którym można wyczyniać harce z szarą substancją w mózgu. – Będziesz miał kłopoty, blondasku. Bezprawne zatrzymanie i rewizja, amnezja z pogwałceniem prawa do obrońcy, przywołaj taksówkę, lecimy do sądu...

Uśmiecha się, jakby od tygodnia nie miał takiej radochy.

– Jesteś tam, Mersine?

\* \* \*

Wyobrażałam sobie, że tak właśnie musi czuć się program uruchomiony w systemie. Świat rozjarzył się jak ekran – a może nie świat, tylko ja?

– Tak. – Napięcie opadło we mnie o kilkanaście stopni. – Tak, jestem. Makieta nieźle się trzyma. Jeszcze się utrwala. Czuję to. – Powoli odetchnęłam, licząc do dwudziestu.

– Pamiętasz coś? – Flaxie przyglądał mi się z powagą.

– Wszystko. – Wyszczrzyłam zęby z lekkim zażenowaniem. – Ale z niej wstręciucha.

– Należy do ciebie. Mam coś zmodyfikować?

Zastanowiłam się.

– Nie. Wystarczy taka, jaka jest. Nikt się za nią nie obejrzy w podmieściu. – Znów się zamyśliłam, lecz napotkałam dziwne luki, których być nie powinno. – Mam wszystko, co potrzeba? Wydaje mi się, że czegoś brakuje.

Pokiwał głową.

– W tej chwili makieta wie trochę więcej niż ty. Spokojna głowa, w swoim czasie wszystkiego się dowiesz.

– Dobra. – Ponownie głęboko oddychałam. Tym razem liczyłam oddechy. – Ukrywam przed sobą informacje. Nigdy specjalnie za tym nie szalałam.

– To normalka, ale jeśli ci z tym niewygodnie, możemy się cofnąć i poupychać w lukach fałszywki. Pokręciłam głową.

– Dam radę, chociaż to jakieś... – Wzruszyłam ramionami. – Dziwaczne.

– Widzisz w tym coś dziwnego? To sobie kiedyś skrój kostiumiki na uliczny happening. – Uśmiechnął się, odwrócił do aparatury i sięgnął do konsoli. Aż nagle okręcił się na miejscu, rzucił się na mnie i szarpnął moją bluzę. – Kim jesteś? Czego tu chcesz? – warknął...

\* \* \*

Ni stąd, ni zowąd skaczemy sobie do gardła. Wydaję z siebie taki wrzask, że powietrze podrywa mu rzęsy i większość włosów.

– Marya Anderik. Mam hopla na punkcie wspomnień, jakichkolwiek wspomnień, byle nie moich. Kapujesz, blondasku? Jakiś problem? – Chwyciłam go za nadgarstek.

– Puszczaj albo każę ci zeżreć tę rękę!

Cofnął się.



– Mersine, wychodź...

\* \* \*

– W mordę... – bąknęłam z bijącym sercem. – Ale jazda!

– To zwykły schemat: dwudzielny system reakcji odruchowych do jej usypiania i wybudzania. Każdy, kto się odezwie bezpośrednio do ciebie, używając twojego prawdziwego imienia, może cię przywołać, ale tylko ty i ja możemy przywołać makietę. Do makiety nie przecieknie nic z tego, co wiesz, chyba że wydasz takie polecenie. W pewnych sytuacjach mogą się zdarzyć przebłyski, ale biorąc pod uwagę, za kogo masz uchodzić nikt w podmieściu nie będzie się dziwił, że na chwilę urwał ci się film. Wyróżniałabyś się w tłumie, gdybyś czasem nie miała krótkiego zaciemnienia lub małego ataku trzęsawki. Wróc tu, kiedy będziesz chciała zdjąć makietę.

Odwrócił się do systemu i zajął ustawieniami. Wysłałam bez słowa.

Kiedy zatrzymałam się przy dyżurce, żeby wziąć adresy informatorów (makieta znała nazwiska, ukryte przede mną; ja tylko miałam wiedzieć, gdzie ich szukać), natknęłam się na wiadomość od Salazar. Kazała mi wziąć broń. Nie było sensu mówić jej o zagrożeniu wynikającym ze złudnego poczucia bezpieczeństwa, jakie daje pistolet, i wyjaśniać, że moja osobowość nie powinna ganiać ze spluwą. Są tacy przełożeni, którym nie można wszystkiego wyjaśniać – głównie ci bez doświadczenia w terenie. Pokwitowałam odbiór klujki z magazynu i wysłałam ją w przesyłce do swojego gabinetu, gdzie trafi na biurko kilka godzin po moim przybyciu do podmieścia. W swojej koafiurze, przypominającej ptasie gniazdo, miałam kilka grzebyków ze stalowymi drutami; powinny mi wystarczyć, jeśli tam się nie zgubią. W sytuacji, kiedy nie wystarczą, pistolet na pewno też mi nie pomoże.

Miałam już opuścić gmach, kiedy otrzymałam telefon z towarzyszącym mu komunikatem: „Oficer przydzielony do sprawy Sovaya”. Niech tę Salazar gęś kopnie, pomyślałam, sięgając po słuchawkę pozbawioną wizji w holu obok dyżurki. Jak mogła tak szybko dowiedzieć się o pistolecie?

Ale to nie była Salazar, tylko Sovay.

\* \* \*

– Skąd mam wiedzieć, że Sovay to ty? – zapytałam.

Mężczyzna po drugiej stronie zaśmiał się słabym głosem.

– Pewności mieć nie będziesz, ale wierz mi na słowo, to ja. Siedzę uwięziony w tym, ee... Sam nie wiem, kim on jest. Wiem tylko tyle, że to facet. Nie wiem, gdzie

jestem i dlaczego...

– Starczy. Możesz mi podać rysopis, nazwisko, jakiś ślad?

– Straszny tu galimatias. Lepiej mi było w poprzednim miejscu. Nie miałem ciała, więc wszystko sobie na nowo stworzyłem w głowie. Jasne, głowy też nie miałem. Ale wiesz, o co mi chodzi. Musisz wiedzieć, przecież jesteś z psychopolicji.

– Na razie spróbuj się uspokoić.

Oficer z dyżurki podsunął mi krzesło i notatnik, kto inny zaś podszedł do terminalu, żeby namierzyć rozmówcę.

– Wszystko wskazuje na to – mówiłam dalej – że psychossacze, którzy wydarli ci umysł, sprzedali go komuś w całości. Ale przeszczep nie przyjął się w stu procentach, więc walczysz o dominację, zamiast się podporządkować...

Kolejny słabowity śmiech.

– Niezupełnie. To znaczy oni myślą, że tak właśnie się stało. Lub tak myśleli. Ale tam też jestem.

– Gdzie?

– W tamtym miejscu, gdzie nie mam ciała.

Zawahałam się. Powinnam była odebrać telefon w swoim biurze, ale bałam się, że przerwie połączenie, zanim tam dobiegnę.

– Mówię serio – dodał, prędko wyrzucając z siebie słowa. – Czekam tam i gram na zwłokę. Choć nie wiem, gdzie to właściwie jest. Wysłałem siebie (tamten ja wysłał tego mnie), żeby sprowadzić pomoc. Tamten ja nie jest w stanie się dowiedzieć, czy ja, który z tobą rozmawiam, dopiąłem swego, czy może zwariowałem, czy jeszcze co innego.

– Wybacz, ale nie bardzo...

Westchnął przeciągle.

– Próbuję mnie rozsyłać, sprzedawać. Mnie, jedną osobę. No więc tworzę postacie na potrzeby wysyłki. Rozumiesz? Jestem Sovayem w postaci. W postaci z jednej ze sztuk, w których grałem. Rozumiesz teraz?

Zrozumiałam. W psychopolicji człowiek spotyka się z różnymi wariactwami. Pozbawiony ciała, samodzielnie replikujący się umysł stanowił dość niezwykły widok, lecz dziwniejsze rzeczy się spotykało. Chyba...

– Dobra. Jaką jesteś postacią?

– Posłuchaj, to ważne. Musisz przyjąć do wiadomości, że ja nie jestem postacią. Jestem Sovayową interpretacją tej postaci. Rozumiesz różnicę?

– No, nie wiem. Po prostu mi powiedź, która to postać i z której sztuki.

– Dennie Moon z *Brickboya*. Fajna sztuka o spokojnym facecie, który stał się żywym muzeum rodzinnych wspomnień. Zbiera najciekawsze z nich przed śmiercią tego czy innego krewnego z trzech pokoleń. Aż nagle osiąga kres możliwości

zapamiętywania, więc musi poszukać kogoś, kto pójdzie w jego ślady. Pałeczkę przejmuje córka, a on przeżywa wewnętrzny konflikt: jest zazdrosny, bo sam nie może już nic więcej zdziałać, ale też wie, że to bolesne doświadczenie, a ona jest jeszcze bardzo młoda. Z drugiej strony chciałby, żeby wspomnienia pozostały w jego rodzie. Naprawdę mocna rzecz. – Westchnął z satysfakcją. – Na tej postaci aktor może się wiele nauczyć.

W mojej głowie zapaliło się światełko.

– Aha. No dobra, teraz się skup...

– Cały czas się skupiam. Muszę, żeby pozostać w wybudzeniu.

– To skup się bardziej i powiedz mi, dlaczego postanowiłeś podesłać akurat Denniego Moona osobie, w której teraz jesteś.

Cisza się przedłużała, aż się przestraszyłam, że zemdlał lub przerwał połączenie.

– Uważasz, że był jakiś konkretny powód? Nie widziałem, do kogo trafiam. Może Moon był pierwszą postacią, na którą się napatoczył, może najłatwiejszą, a może jedno i drugie?

Ktoś podsunął mi pod nos terminal i wystukał na ekranie wiadomość. Sovay/Moon dzwonił z głosowego aparatu gdzieś w podmieściu. Mrugający pasek u góry ekranu informował, że namierzanie wciąż trwa. Ktoś by pomyślał, że w epoce szybkiej wymiany informacji można dotrzeć do potrzebnych wiadomości w ułamku sekundy. Nic bardziej mylnego.

– A co powiesz na to: może wybrałeś tę postać dlatego, że ten facet jest właśnie takim typem Denniego Moona?

Znowu długie milczenie.

– Całkiem możliwe – przyznał. – Jakoś nie przyszło mi to na myśl.

– A mógłbyś, że tak powiem, rozejrzeć się dokoła i poszukać indywidualnych cech umysłu swojego, hm, gospodarza?

Młody oficer, który przyniósł terminal, wytrzeszczał na mnie oczy.

– Umysłu gospodarza??? – szepnął bezgłośnie.

Zignorowałam go.

– Ee... mało co tu widać, jest ciemno – powiedział cicho Sovay/Moon.- Czasem dostrzegam kawałek chodnika. Wokół tańczą ludzie. Przeźroczyści ludzie. „Zielny”!

– Powtórz.

– Widzę słowo na szyldzie. „Zielny”.

Wstukalam to słowo w wyszukiwarce. Chwilę później w lewym dolnym rogu ekranu wyświetliło się okienko z wiadomością, że w podmieściu otwarto niedawno fabrykę snów o nazwie „Zielny Młyn”.

– Tam właśnie poszedłeś? Do „Zielnego Młyna”?

– Nie. Teraz jestem po drugiej stronie ulicy.

– Widzisz coś jeszcze? Widzisz może siebie? Jak wyglądasz?

– Nie wiem. Mam wrażenie, że jestem mały. Próbuję wyczuć, jakie mam ubranie lub włosy, ale jakby coś blokowało sygnał. Trudno się w tym wszystkim połapać.

Po tym, co mówił o Denniem Moonie, przypuszczałam, że sama postać może stwarzać problemy. Ech, ci aktorzy metodyczni, pomyślałam z przekąsem.

– Widzę swoją dłoń! – wykrzyknął znienacka. – A na niej obrazek! Uśmiecha się do mnie. To kobieta. Ona...

– Halo! Słucham cię, halo...

Długim westchnieniem wyraził swoją udrękę.

– Gość każe mi odwiesić słuchawkę.

Pasek u góry ekranu przestał mrugać i wyświetlił się adres: ogólnodostępny telefon głosowy po drugiej stronie ulicy naprzeciwko „Zielnego Młyna”. Cóż, epoka szybkiej wymiany zbędnej informacji. Przynajmniej wiedziałam, że mnie nie nabiera i nie ma halucynacji.

– Możesz go skłonić, żeby tam został? – zapytałam.

– Chyba jest głodny. Czegoś bardzo chce, pewnie coś zjeść. Wkurza się.

– Przytrzymaj go, już tam lecę.

– Postaram się, ale...

– Możesz dostrzec coś jeszcze? Liczy się każdy drobiazg. – Pod wpływem natchnienia zapytałam: – Jak wyglądał w sztuce Dennie Moon?

– Na swój wiek bardzo młodo. Czarne włosy do ramion, jasnozielone oczy, dość silnie zbudowany. A co?

Zapisałam sobie te rzeczy.

– Mam pewien pomysł. Posłuchaj uważnie: za niedługą chwilę podejdziesz do ciebie brzydka baba w tragicznej fryzurze. Bądź tam.

– Czeka! – zawołał. – Czeka! Mam jeszcze coś dla ciebie! Nazwiska! Fortray, Anwar, Easterman!

Fortray i Easterman, z tymi nazwiskami nigdzie się nie spotkałam, lecz Anwar... On budził we mnie jakieś skojarzenia, głęboko uspięne, należące do kogoś innego. Terminal nagrywał rozmowę, więc nie musiałam niczego zapisywać.

– Co to za jedni?

– Inni Sovayowie – odparł. – Tylko tyle wiem. Ludzie, którym sprzedano Sovaya.

– Urwał na chwilę. – Sam nie wiem, skąd to wiem. Muszę już iść, nic na to nie poradzę.

Pomysłowy gość, ten Sovay. Zastanawiałam się, czy wrył te nazwiska w umysłach wszystkich osób w nadziei, że przynajmniej jedna z nich skontaktuje się z psychopolicją. Wielka szkoda, że nie można go już było w całości odtworzyć. Taki numer...

– Spróbuj nie ruszać się stamtąd.

Nie odpowiedział. Dało się słyszeć ciche piknięcie. Połączenie zostało przerwane.

Terminal wydrukował mi podane przez niego trzy nazwiska, każde oznaczone literami „ON”: Osoba Nieznana. Albo więc nie mieli kartoteki, albo to były tylko ksywki. Schowałam wydruk i adresy informatorów i wyszłam. Porzuconym sprzętem zajął się oficer z dyżurki.

\* \* \*

Oczywiście nikt na mnie nie czekał, gdy przybyłam na miejsce.

– Heja! – zawołał facet stojący u wejścia do hajcowni (Przystanek Prawda. Zajebista Symulacja Boga!). – Musisz mieć paranoję! W dzisiejszych czasach nie można gardzić żadną forszą ani żadną paranoją. Heja! Heja! Hej! – Złapał mnie za rękę, kiedy skierowałam się do środka. Spękany pancerz ze sztucznej skóry, nałożony na kałesiaki, zaskrzypiał przy tym poruszeniu. W jego zębach migotały gwiazdki. Kilka z nich wyprysło w moją stronę. Musiały go piec w dziąsła jak diabli, lecz handlarze neurozą lubują się w efektach specjalnych. – A co u ciebie, paniuniu? Pewnie myślisz, że masz paranoję, ale czy to porządna paranoja? – Kamienie księżycowe, czyli jego kiczowate oczy, świdrowały mnie na wylot, gdy z kącika ust strzelały różnokolorowe gwiazdki. Jednego dnia dwóch spluwaczy; epoka szybkiej wymiany informacji ugrzęzła w fazie oralnej.

– Zjadłam ją na śniadanie – odburknęłam, starając się w miarę wiarygodnie naśladować swoją makietę. – Puszczaj!

– Heja, nie zlewaj mnie! Symulowany Bóg nie umywa się do światła, które otrzymasz po małej, przyjemnej dawce paranoi. To będzie jak wynurzenie się z wody. Zobaczysz, że poczujesz się jak nowo narodzona, swobodna...

– Jeśli nie puścisz mojej ręki, zabiję cię.

– Widzisz? Widzisz?- Chuchnął gwiazdkami.- Już teraz jesteś blisko. Cena wcale nie jest wygórowana. Pytaj, kogo chcesz. Każdy ci powie, że Szalony AI zapodaje najlepszą paranoję w stosunku do ceny. Lepszej nie dostaniesz, chyba że marzy ci się totalny obłąd.

Wyrwałam mu się. Kiedy ponownie wyciągnął do mnie łapę, trzymałam już w dłoni grzebień ze stalowymi szpikulcami.

– Heja, spokojnie! – Odskoczył i uniósł ręce, czym zaburzył spokojny lot gwiazdek. – Chcesz się oszukiwać prawdą i symulowanym Bogiem, twoja sprawa. Ale jeszcze będziesz mnie wołać, kiedy wszyscy zmówią się przeciwko tobie.

– Kiedy wszyscy zmówią się przeciwko mnie, nie będziesz mi potrzebny. –

Pogroziłam mu grzebieniem, więc odskoczył jeszcze dalej. Są rzeczy, których nie znoszę, jak na przykład tania mania prześladowcza, zamaskowana pod postacią paranoi.

Poczekalnia w hajcowni była pusta i zaniedbana. Żadnych krzeseł, żadnych kolejek. „Przystanek Prawda” był pierwszym adresem na mojej liście, a takie listy sporządzano według malejącej przydatności informatorów. Wnętrze nie wyglądało znajomo; najwyraźniej ten bajt wiedzy wpisano w program makiety.

Przywoływałam ją z pewnymi oporami, ale cokolwiek czekało na mnie po drugiej stronie mieniącej się kotary, oddzielającej poczekalnię od właściwej hajcowni, nie mogłam sama stawić temu czoła. Oddychałam równo, żeby się odprężyć, i uruchomiłam kilka fałszywych wspomnień. Chciałam jej dać jakiś punkt zaczepienia. Weszłam za kotarę i hopla!...

\* \* \*

Jakaś hajcownia. Mnóstwo wyświechtanych futonów na ziemi pod sznurami papierowych lampioników. Lampioniki mają budować nastrój; to się nazywa pójście na taniochę! Zestaw audio z jeszcze niższej półki odtwarza Brahmsa w tempie ragga na sitarze. Wysokie tony niemiłosiernie chrypią. Taa, nie Bóg, lecz zajebista symulacja... Gdyby w takim miejscu pojawił się Bóg, byłby to znak, że wszechświat nieuchronnie zmierza ku przepaści.

Jest jeden młody błazen, który zapłacił za wjazd. Leży w rogu na futonie i cieszy michę do ściany, na której chudy narąbaniec w białym fartuchu, zginając palce w blasku tuby solarnej, bawi się światłocieniem. Pewnie symulowany Bóg nie ma dzisiaj dużego wzięcia. Ale i ja niekoniecznie przyszłam się uświęcić. Narąbaniec zauważył, że się na niego gapię, i wzruszył ramionami.

– Holo padło – mówi. – Gadają, że lada dzień przyjdą części. Też mi coś. Liczy się ziolo, nie? A ziola tu mamy od gromca.

Wskazuję ścianę.

– Zrób Boga.

– Zrób to. – Pokazuje mi międzynarodowy symbol pogardy, który jako cień nie wypada najlepiej na ścianie. Ale błazen na futonie nie przestaje się chichrać.

Coney’owi Loe chyba nikt jeszcze nie wlepił mandatu za przekroczenie prędkości w myśleniu. Ot, narąbaniec jakich wielu. Podobno kiedyś był kimś w rodzaju kreatora wizerunku, zatrudnianego przez ambitnych artystów, którzy chcieli rozruszać wyobraźnię, rozwijając swoją twórczość. Liczyli na raketowe dopalenie po obejrzeniu syfu w swoich głowach. Mnie coś takiego nie rusza. W mojej głowie można się taplać w najgorszym szambie, a jakoś nie mam ochoty malować drugiego Moby Dicka. Może

inaczej to wygląda, gdy do roboty zabiera się taki Coney Loe...

Czy raczej zabierał się. Neurony dość wcześnie wypięły się na niego i facet zszedł na dziady. Teraz, choć zgrywa cwaniaczka, jest zwykłym narąbańcem, który zupełnie rozmiął się na drobne. Dla niego to życiowa degradacja, skoro dawniej naganiał towar do bębnow osobowości, ale biorąc pod uwagę to, gdzie mógłby zostać wciągnięty ktoś taki jak on, może niezbyt dotkliwa.

– No więc, jak tu sobie symulujesz Boga, Coney? W ogóle próbujesz?

Na dźwięk swojego imienia wzdyga się, ale bardzo lekko, więc wiem, że mnie nie pamięta. Coney świadomie zapomina o pewnych sprawach; trzyma w sejfie miejsce na ważniejsze informacje. To jego konik, zbieranie informacji, jakby próbował dowiedzieć się wszystkiego o świecie. Mógł przejść na zawodowstwo, tym bardziej, że co pewien czas psychopolicja węszy koło niego, podsuwa pieniądze, lecz nie chce dla nich pracować. Chyba nie rozumieją jego motywacji. Pragnie informacji tak samo, jak inni ludzie pragną seksu czy cudzych wspomnień, więc jeśli ktoś chce coś od niego kupić, musi przystać na handel wymienny. Ale odkąd to psychopolicja zdradza swoje tajemnice? Prędeż mi kaktus w koronie na mózgu wyrośnie.

Psychopolicja... Cała scena powraca do mnie jak zła karma. Cholera, co oni ze mną zrobili? Nie pamiętam przesłuchania, ale tego nigdy się nie pamięta, chyba że dowiedzą się czegoś użytecznego. Zawsze się zastanawiam, co upoważnia ich do zabierania wspomnień, nawet tych niemiłych. Prosisz o papugę, a oni cię zbywają prawniczym bajdurzeniem o twoim własnym bezpieczeństwie i potrzebie zachowania tajemnicy. Jakby kiedykolwiek zapewnili mi bezpieczeństwo...

Coney gapi się na mnie.

– Szukasz prawdy – pyta – czy po prostu chowasz coś w tajemnicy?

– Szukam informacji – odpowiadam bez namysłu – i może chowam coś w tajemnicy. – Owszem, chowam i za chwilę mi się to objawi. Prawdopodobnie dowiem się, dlaczego psychopolicja zrobiła ze mnie wała. Mam to na końcu mózgu.

Coney łączy dłonie na kształt ptaka i macha skrzydłami.

– Mamy tu prawdę i mamy Boga. Halucynogeny smakowe i bezsmakowe, pachnące i niepachnące, do ust, w pachę, gdziekolwiek, światła, kolory... – Przekształca ptaka w królika. – Obrazy. Na czym ci zależy?

– Na informacji, jak wspomniałam. – Wyciągam palce z ust i ruszam nimi pod tubą solarną, oczarowując rechoczącego błazna.

Coney odtrąca moją rękę.

– Prawda jest tania, informacja kosztuje. Stać cię na informację? Czy tylko na prawdę?

Mam tajemnicę, mam pieniądze i dobrze wiem, co ma większą wartość dla Coneya. Może powinnam była wstąpić do węzła wspomnień po stymulację pamięci?

Aż nagle mnie oświeca, tak po prostu, jakby ktoś przystawił mi lejek do ucha i wlał, niczym miód z koniczyny, potrzebną mi wiedzę.

– Wiem coś, czego ty nie wiesz.

To tak, jakby powiedzieć ogierowi, że mu obwisł fajfus. Coney marszczy czoło, a królik staje się zwyczajnymi dłońmi, co w żaden sposób nie zmienia zachowania gościa na futonie.

– Co z tego? – pyta Coney, lekko poirytowany.

– Lubię wspomnienia. Czyjekolwiek, byle nie moje. Prawdziwy towar. Muszą być czyjeś. Żebym się poczuła jak ktoś inny. Bardzo to lubię.

– Rozumiem cię doskonale. – Coney wciąż się na mnie gapi, a równocześnie jedną ręką naśladuje psa, na co błazen zaczyna szczekać. – Ale to jest dosyć marna tajemnica, królowno. Każdy się tego dowie, gdy pozna cię choć trochę. Jeśli nie oferujesz nic prócz osobistych wynurzeń, wytrząśnij je z siebie w węźle wspomnień po drugiej stronie ulicy i nie zwracaj mi głowy, kiedy symuluję Boga. Cóż mnie obchodzi twój głód wspomnień?

– Ty wiesz, Coney, gdzie dostać najlepszy towar. Zawsze wiesz. Pewnie wiesz nawet, gdzie dostać najświeższy towar. Najświeższy, przez nikogo jeszcze nie oglądany, ba, o którym nikomu się nie śniło, że istnieje. – Biorę głęboki oddech, wiedząc, że go zaciekałam. Dowodem tego staranność, z jaką rzuca na ścianę cień królika, jakby wypełniał swoją najświętszą, wiekopomną misję. – Towar, którego właściwie nie powinno być.

– Słyszę, słyszę... – mówi i wszystko się w nim gotuje. Oto wydarzyło się coś, o czym nikt mu nie doniósł. Oj, będą skopane dupska. Żal mi błazna, którego dupsko akurat jest najbliżej. Mojemu na razie nic nie grozi, bo chowam coś w tajemnicy.

– Ale ja ciebie nie słyszę. Czyżbym była głucha?

Umiera z ciekawości, bo nie chce się jasno wyrazić.

– Może i wiem, gdzie mogłabyś dostać danie na wynos. A może nie mam zielonego pojęcia. – Ciągłe tworzy cień królika. – Twoja kolej.

– Ktoś został wyspany. – Przykładam palec do skroni i udaję intensywne myślenie.

– Ktoś, kto robi coś niebanalnego. Taa, aktor. I to dziś rano, jesteś w stanie to kupić?

Owszem, jest.

– Małpi wstrząs – mówi. – Twoja kolej.

– „Małpiarnia”?

– Twoja kolej, powiedziałem. – Nie żartuje, więc nie ma co się stawiać. Albo rzucę nazwiskiem, które może sprawdzić, albo skopie mi dupsko za ściemnianie. Informacyjne ćpuny umieją w ciekawy sposób skopać tytek i lepiej się o to nie dopraszać.

– Ma na imię Sovay. Pytaj, kogo chcesz. – Nawet mnie to ciężko przechodzi przez



gardło. Ale chrzanić to, trudno się oprzeć pokusie dopieczenia informacyjnemu ćpunowi, gdy trafia się okazja. Każdy szpanuje swoją kretyńską wiedzą, a w gruncie rzeczy jest tylko zwykłym narąbańcem.

– Wstrząs. Wstrząs. Małpi wstrząs! Przeczyść sobie uszy, do cholery!

– Zrób małpę! – rechocze głupek.

– Stul pysk! – mówi Coney, ale udaje mu się utworzyć z cienia małpią podobiznę.

– No więc czym jest małpi wstrząs? – pytam.

– Wrażeniami.

– Łowcy wrażeń? Walić to! Sama dobrze wiem, jak się zabawić, dzięki za nieocenioną pomoc.

– To co innego. Impreza składkowa. Wchodzisz i czekasz na okazję. Morze grzańca. Skikasz potem jak małpa. Ale jeśli wywalisz odpowiednią sumę... – Chwila ciszy. – Twoja kolej.

No, pięknie. Po co wykladałam na stół wszystkie karty? Mogłam nie wyjawiać, że to stało się rano, mogłam zamiast imienia podać adres. Cholera, informacyjny ćpun zawsze cię wykiwa. Staram się coś wykombinować. Mam zmyślać, ryzykując, że złapie mnie na kłamstwie, czy grzać z grubej rury? Najpierw gruba rura... dopóki nie wymyślę wiarygodnego kłamstwa, które później wyjaśni się niedoinformowaniem.

– Moja kolej? Bez jaj, jeszcze nie skończyła się twoja! Chcesz mnie wyciułać jak młodą?!

Coney nie mięknie.

– Twoja kolej. – Uśmiecha się do mnie, robiąc koguta na ścianie. Chudy pierdziuch wie, że wszystko ze mnie wycisnął. a raczej tak mu się zdaje. Zastanawiam się, czy mam duże szanse na wyduszenie z niego reszty, i nagle pojmuję, że resztę dośpiewam sobie sama. Dość mi już powiedział, a zrobił to automatycznie: informacyjnemu ćpunowi taką samą frajdę jak zbieranie informacji sprawia tylko przekazywanie ich dalej.

– Dobra, moja kolej. Mówisz, że impreza składkowa? Mówisz, że grzaniec? Mówisz o odpowiedniej sumie? Moim zdaniem morał jest taki, że po wywaleniu odpowiedniej sumy można znaleźć w grzańcu coś ekstra. A kiedy głowa przestanie tańczyć cza-czę, kto udowodni, że tego, co masz, nie miałeś już na wejściu?

Czasami zaskakuję samą siebie. Może i jestem narąbańcem, ale na pewno jeszcze się nie wypaliłam i nie nabawiłam sklerozy. Coney robi minę, jakby ugryzł chrzan.

– Widzę, że siedzisz w temacie – mówi.

Uśmiecham się znacząco.

– Nawet jeśli czegoś nie wiem, znam kogoś, kto wie.

– Taa? – Uśmiecha się w ten sam sposób. – Ale czy wiesz, skąd to wszystko wiesz?

– Po prostu żyję jak człowiek. – Czuję na plecach nieprzyjemne mrowienie. Wiem

o Sovayu od psychopolicji, ale to nie ma nic do rzeczy. Zawsze kiedy ktoś zostanie wyssany, robi się nalot na zwykłych podejrzanych; zlewam to sikiem prostym. Ale teraz wiem, że ma coś innego na myśli.

– Odkąd to jesteś geniuszem, pytam? Odkąd kojarzysz fakty, jakbyś miała w głowie Sherlocka Holmesa? – Uśmiecha się złośliwie. – Mała królowo, omijaj to miejsce. Nie wiem, kim jesteś, ale i ty nie wiesz.

– Wszyscy to ja! – ryczy na całe gardło błazen.

Coney nakłada na tubę solarną szmatkę w grochy i wprawia ją w ruch obrotowy. Błazen dostaje zeza od patrzenia, on zaś grzebie w rzeczach walających się na ziemi, aż znajduje i zakłada długą, białą brodę. Upadła ikona...

Zatrzymuje się i patrzy na mnie złowrogo.

– „Omijaj to miejsce” znaczy, że już wychodzisz. A może nagle przestałaś kojarzyć fakty?

Salutuję na pożegnanie i cofam się do wyjścia.

Coney pochyla się nad błaznem.

– Cześć, jestem Bogiem. Co tam sobie myślisz?

Błazen gapi się na niego. Jego neurony muszą furkotać jak maleńkie proporczyki podczas huraganu.

– Czemu tu jestem? – pyta.

– Boś głupi.

Błazen wolniutko kiwa głową.

– Aha. Nie wiedziałem, że to takie proste.

Prawda jest okrutna, taka już jej natura.

\* \* \*

Wyłączyłam ją, wychodząc do pustej poczekalni za kotarą. Jednoczesny ruch w sferze ciała i umysłu wywołał we mnie lekki zawrót głowy, gdy tymczasem utrwalało się wspomnienie minionej chwili.

Wspomnienie makiety przypomina zwykle sen, przy czym miałam wrażenie, że już mi się kiedyś to śniło. Obejrzałam się na kotarę. Coney Loe... Nie znałam go, ale makieta tak, co oznaczało, że był podwójnie ślepym informatorem: kontaktowały się z nim tylko makiety, więc po zamknięciu sprawy Sovaya nie będę go już znała. Chyba że jakimś cudem przeniknie do mojej długoterminowej pamięci. Tak się czasem zdarza po kilkakrotnych kontaktach z podwójnie ślepyimi.

Wyrzuciłam go z myśli i zastanowiłam się nad małym wstrząsem. Mój znajomy handlarz neurozą u wejścia do hajcowni nadal zachwalał paranoję. Obszedł mnie szerokim łukiem. Zignorowałam go. Małpi wstrząs to prymitywne konwulsje,

spowodowane współdziałaniem starej, pocziwej elektryczności, koordynowanych dawek halucynogenów i mentalnego sortownika, pakującego losowo dodatkowe strzały przez prawą półkulę. Niezłe jatki, ale nie zabronione przez prawo.

Pewnie nietrudno dodać odessane resztki do mentalnego sortownika. Najlepiej wypadną wspomnienia. Przy każdym strzale klient dostanie wrażenie. Amnezja po elektrowstrząsach zatrze potem wszystkie ślady. Jak powiedziała makieta, kiedy mózg przestanie tańczyć cza-czę, nie będzie można odróżnić wspomnień dodanych od oryginalnych. Pomysłowe rozwiązanie i mniej rzucające się w oczy niż upłynnianie towaru w lombardzie lub powielarni.

Dla mnie to była zła wiadomość. Małpi wstrząs... Trochę to przerastało moje siły. Co innego podłączyć się do podejrzanego węzła wspomnień, żeby sprawdzić, czy pojawiły się w ofercie jakieś strzępy Sovaya, a co innego podłączyć się do kogoś, kto wcześniej odwiedził węzeł i kupił tam jakieś ochłapy. W węźle operator zdaje się na maszynę, która odwała większość roboty i nie widzi różnicy między prawdziwym wspomnieniowym ćpunem a agentką psychopolicji z nakładką wspomnieniowej ćpunka.

Ale większe obawy budziła podejrzliwość Coneya Loe. Może było to zwykłe rozdrażnienie, gdy się okazało, że jakiś brudny narąbaniec, którego uważał za niższą formę życia, faktycznie posiada nieznane mu informacje... a może wkopałam się olśniewającym pokazem dedukcyjnego myślenia. Olśniewającym jak na makietę, oczywiście, czy raczej na tego, kogo miała udawać. Makieta nie dysponowała całą moją wiedzą, lecz dziedziczyła po mnie inteligencję, która niekoniecznie pasowała do charakteru postaci. Co innego popisywanie się nią...

Tak czy inaczej musiałam namierzyć ten cały „Małpi Wstrząs”, zanim Coney Loe poleci tam z ostrzeżeniem. *Nie wiem, kim jesteś, ale i ty nie wiesz...*

Obok przeszła parka cebulopałów, spiętych długim łańcuchem. Oboje patrzyli na mnie z byka. Ignorując ich, wymownie się odwróciłam, chociaż kątem oka śledziłam oddalające się sylwetki, w razie gdyby postanowili skoczyć na mnie i zarzucić mi flirt z jednym z nich. Cebulopały potrafią robić piekielne sceny zazdrości.

Handlarz neurozłą ruszył w moim kierunku, lecz trzymał się w bezpiecznej odległości.

– Heja, nie chcę się już naprzykrzać, ale mam tu rezerwację i pozwolenie.

Nie patrząc na niego, odsunęłam się i wpadłam na chudą blondynkę, która chyba dopiero co, choć szła przed siebie, wracała do przytomności. Nie zwróciła na mnie większej uwagi, odkrywając z powrotem rzeczywistość. Hm, tę rzeczywistość.

\* \* \*

– Hejka, skarbuszku. – Kobieta miała muszki w oczach. Wyglądały jak żywe, zatopione w pogrubionych tęczęwkach. Maskowały źrenice.

Siedziałam na miejscu parkingowym dokładnie przed „Zielnym Młynem”, skąd obserwowałam jednocześnie holograficzną wystawę na chodniku i głosowy aparat telefoniczny po drugiej stronie ulicy, w razie gdyby Sovay/Moon znowu się tu pojawił. Szkoda, że nie zrobiłam tego na początku, zamiast pojedynkować się z Coneyem Loe. Holograficzna reklama „Zielnego Młyna” była trochę wysłużona i mało oryginalna – tańczące dziewczyny, tańczący chłopcy, bankiety, deszcz pieniędzy i inne tandetne cuda-wianki – za to bezkompromisowa i barwna.

– Hejka, skarbuszku – powtórzyła Muszka w Oku, przysuwając się ździebko.

– Czego? – burknęłam.

– Oj, to już chyba trochę trwa... – Gdy się uśmiechnęła, zobaczyłam muchę wygrawerowaną na przednim zębie. Znowu te usta, pomyślałam. Cały świat się kręci wokół ust. – Ale czas posuchy się skończył, mam dla ciebie faceta z bajki. – Zauważyła, że patrzę na reklamę lokalu: Herkulesa czy innego herosa, który się rozbierał w wyuzdany sposób przed trzema holograficznymi młodymi niewolnicami i jedną prawdziwą kobietą, która była chyba zbyt przyćpana, żeby podziwiać widok. – Lepszego niż ten – dodała. – O wiele lepszego. Jakby sam to wynalazł. Jest niewiarygodny. Będziesz dobiegać setki, a on cię jeszcze rozgrzeje.

Patrząc na nią, miałam przebłysk. Zupełnie jakbym patrzyła oczami dwóch różnych osób. Na chwilę makieta odzyskała część świadomości i współdzieliliśmy ciało. No tak, w tej sytuacji lepiej radziłaby sobie właśnie ona. Mimo to znów ją uśpiłam.

– Odejdź – powiedziałam. – Nie potrzebuję erotycznych snów z drugiej ręki.

– Erotycznych snów? To skandaliczne niedopowiedzenie! Przed tobą mistyczne doświadczenia, zmiana życia, zmiana religii. Byłaś kiedyś w stanie błogosławionym przez trzy godziny z rzędu? Gdybyś była, nie siedziałabyś tu teraz i nie obgryzała paznokci.

Wsunęłam dłonie między kolana.

– Erotyczny sen to erotyczny sen. Jeśli facet rozpala do czerwoności, wołałabym osobiście dotykać jego ciała.

– Nie da rady, jest daleko stąd. Ale wszystko pamiętam, jakby to się wydarzyło godzinę temu. Wspomnienie zostało profesjonalnie wzmocnione i wzbogacone. Będiesz czuła jego smak, jego zapach... – Trajkotała jak nakręcona, lecz mnie zwieść nie mogła. Prawdopodobnie miała w ofercie wspomnienie czyichś fantazji z drugiej lub nawet trzeciej ręki. Pewnie wyglądałam, jakbym przez dziesięć lat siedziała zamknięta w pojemniku na kanapki. – Daj się skusić. – Zbliżyła się jeszcze bardziej. – Lepszego bzykanka nie da się wyczarować. Jeśli się nie spodoba,

dostaniesz zwrot kasy minus koszt obsługi sprzętu.

– Wypchaj się ze swoim zwrotem. I spływaj... – Odsunęłam od ust lewą dłoń. – Zostaw mnie w spokoju.

– Sopol... – zadrwiła i odeszła dumnym krokiem.

Spojrzałam na licznik. Jeszcze pięć minut i będę musiała spadać. Ostatnio w podmieściu doładowywanie parkometru zostało zabronione na mocy jednego z nielicznych przepisów, których tu przestrzegano. Nawet podszedł do mnie parkingowy i pstryknął mi fotkę, więc musiałam się zdecydować, co robić: czy zacząć się rozpytywać o Fortraya, Anwara i Eastermana, czy udać się pod następny adres informatora i przedstawić się jako Marya. Czy może pokręcić się po okolicy: bądź to jako Marya, bądź udając Maryę bez rzucania się w oczy. Zasięgnięcie języka mogło okazać się dość trudne. Szkoda, że nie wyjawiałam Maryi jednego nazwiska, żeby się zorientowała, czy zna je Coney Loe... choć w sumie mógł nabrać przez to większych podejrzeń. Jeszcze by napędził pietra ssaczom, a ci zwinęliby interes i splukali Sovaya dokumentnie.

Przypuszczałam, że Sovay/Moon – biorąc pod uwagę, w jakim był stanie – nie mógł odejść daleko, zresztą nie wykluczałam, że wcześniej, po wyjściu z „Małpiego Wstrząsu”, uszedł tylko kawałek do pierwszego lepszego telefonu. A zatem mogłam się znajdować w pobliżu „Małpiego Wstrząsu”. Miałam wrażenie, że to zaplecze w „Zielnym Młynie”; mogłabym się upewnić, gdyby Marya nie poprzykała się z Coneyem Loe.

Licznik już prawie wskazywał koniec czasu, kiedy ją zobaczyłam, jak zbliża się do mnie sztywnym krokiem. Na kilka sekund zamarłam w bezruchu, póki do mnie nie dotarło, że ona mnie w życiu nie pozna. Z pewnością nie marzyła o spotkaniu ze mną lub tajniakiem z innych jednostek policyjnych. Miała minę osoby spiętej i wystraszonej; okazywała o wiele więcej uczuć niż u siebie w kuchni, gdy twierdziła, że jest jej obojętne, czy schwytały ssaczy, którzy załatwili Sovaya.

A jednak chwalenie jej za odwagę, pomyślałam, byłoby przedwczesne. To, że pojawiła się w podmieściu, musiało wynikać z czegoś innego. Nie miałam pojęcia, co ją tu przygnało i – dobre pytanie! – skąd wiedziała, do cholery, gdzie iść.

Ależ ze mnie idiotka, wyrzuciłam sobie. Kiedy ktoś zostaje wyspany, zawsze bierze się pod lupę współmałżonka. Gdyby ofiara była poślubiona małemu Jezusikowi, wpisano by brzdąca na pierwsze miejsce listy podejrzanych i umieszczono pod stałą obserwacją.

Z drugiej strony ona była pod obserwacją. Patrzyłam na nią, gdy przechodziła koło mnie, czyż nie? Prawdopodobnie zwykła policja śledziła ją aż do momentu, kiedy znalazła się niedaleko mnie. Zakładali, że teraz ja się nią zajmę. Zawsze wiedzą, kiedy przydzielony do sprawy oficer prowadzi śledztwo w terenie, nawet jeśli

nie znają jego personaliów. Jeżeli Rowan coś wiedziała, zaprowadzi mnie tam, dokąd sama chciałam pójść, w przeciwnym razie jakoś się jej pozbędę, może podsunę jej fałszywy trop.

Robiło się późno i na ulicach zaczęło się pojawiać towarzystwo zwane potocznie „kolorem nocy”; barwy tych ludzi prezentowały się najlepiej w sztucznym świetle. Rowan ani myślała wtapiać się w otoczenie. Nadal miała na sobie baloniasty kostium, który w tej okolicy wydawał się rażąco nowy i drogi. Kiedy zrównała się z wejściem do „Zielnego Młyna”, dostrzegłam na jej ręce lśnienie odznaki paranoika. Czy wszyscy przed wycieczką do podmieścia grzali się paranoją?

Gdy zapiszczał parkometr, wstałam wolno, żeby nie spłoszyć jej gwałtownym ruchem, lecz ona nie zwracała na mnie uwagi. Nie spuszczała wzroku z hologramu.

Heros o gabarytach Herkulesa ciągle występował: ubrany tylko w przepaskę biodrową, wykonywał energiczne, baletowe podrygi z młodymi niewolnicami. Rowan przyglądała mu się, można by rzec, z jakąś zwierzęcą pasją, co właściwie nie było niczym niezwykłym. Każdy inaczej odreagowuje osobiste nieszczęście. Ona jednak usiłowała przyjrzeć się twarzy Herkulesa, jakby był kimś znajomym.

Ta myśl wydała mi się dość niesmaczna. Skąd mogła znać jakiegoś taniego holograficznego żigolaka i czemu teraz miałaby go szukać? I dlaczego musiała się wstawić paranoją? Nie była notowana jako osoba z pozwoleniem na paranoję lub inny rodzaj psychozy. I jak silną miała paranoję?

Ostrożnie przesunęłam się po drugiej stronie hologramu, lawirując wśród gapiów chcących obejrzeć Herkulesa. Ten znowu wykonywał swój striptizerski numerek i musiałam mu przyznać kilka punktów za talent. Zresztą wątpliwe, czy rozpoczynał karierę z myślą o roli taniego holograficznego żigolaka. A może wyobrażał sobie, że to nowa wersja *Popołudnia fauna*?

Ciekawe, co wyobrażała sobie Rowan? Nie odrywała od niego spojrzenia, dzięki czemu mogłam stanąć z boku, po jej lewej stronie. Gdyby rzeczywiście zamierzała wejść do „Zielnego Młyna” musiałaby mnie minąć.

Niechcący zahaczyłam o kogucika z wielobarwnym grzebieniem i opierzonym saszkiem na genitalia. Poza tym miał na sobie niewiele więcej, głównie złoty proszek, którym oprószył bladą skórę. Odwrócił się do mnie z wyszczerzoną gębą.

– On cię kręci, lala? – Wypowiedział swój tekst niskim, ochrypłym głosem... i nagle w jego uśmiechu, w zamierzeniu seksownym, pojawił się wyraz udręki. Koguciki zasadniczo nie były wybredne, ale ten chyba tak. Tęczowy grzebień na głowie oklapnął. – Zapomnij o tym. Choćbym zdychał...

– A czy ja od ciebie czegoś chcę, ptasi pyrtku?

Skrzywił się i zmrużył oczy. Nie była to jeszcze dość prymitywna odzywka, biorąc pod uwagę okoliczności i postać, jaką miałam odgrywać. Za bardzo się starałam.

Powinnam spuścić ze smyczy Maryę albo, gdy sama trzymałam stery, ograniczyć słownictwo do „hejka” i „spieprzaj”.

Niespodziewanie Rowan odwróciła się i spojrzała wprost na mnie. Mimo że nie mogła przecież skojarzyć mojego szorstkiego, gardłowego głosu, z jej miny wносиłam, że coś jednak jej świta. Błysnęła odznaka paranoika na jej rękawie. Normalny lęk bez żadnych fajerwerków, oto cała jej paranoja. Nie miała halucynacji czy wielkich, ambitnych złudzeń, ale dziadostwo, które uliczni handlarze – jak ten u wejścia do „Przystanku Prawda” – wciskali chętnym: manie prześladowcze, niepokój i tak dalej. Dziwiłam się, czemu ktoś taki jak Rowan kupuje niepokój przed wyprawą do podmieścia. I tak odczuwałyby go tu na każdym kroku.

Z drugiej strony zbliżył się jakiś alfons i poklepał ją po ramieniu. Wzdrygnęła się, odwróciła i cofnęła prosto w objęcia kogucika, który natychmiast obłapił ją zaborczo. Wyrwała mu się i wpadła między hologramy. Gdy ręka Herkulesa przeszła jej przez szyję, myślałam, że dostanie hysterii. Alfons odciągnął ją poza obszar projekcji, żeby nie zaburzyła pokazu. Przez chwilę się szamotała, aż powiedział jej coś, czego nie usłyszałam, bo kogucik kłął na czym świat stoi, zły, że podebrano mu klientkę. Ludzie zaczęli się od niego odsuwać, co pozwoliło mi zbliżyć się do Rowan, która słuchała alfonsa z miną nie świadczącą o żadnej paranoi czy choćby niepokoju. Razem tworzyli przedziwną parę: ona w drogim, modnym baloniastym kostiumie, on zaś w tradycyjnie krzykliwym kolorowym rynsztunku. Gdy wskazał ulicę, poruszyła się, jakby chciała odejść. Zagroził jej drogę włochatym, elektrycznie zielonym ramieniem i dotknął jej odznaki. Pokręciła głową.

Stałam za nimi, produkując dla Maryi kolejne fałszywe wspomnienia. Jednocześnie pozostawiłam jej świadomość tego, kim jest Rowan. Jeśli będzie myślała, że Rowan prowadzi ją do „Małpiego Wstrząsu”, pójdzie za nią bez zastanowienia.

Rowan wcisnęła alfonsowi do ręki trochę forsy i odeszła we wskazanym kierunku. Alfons roześmiał się, gdy już nie patrzyła, i odwrócił się do reklamy, gdzie Herkules gmerał przy rzemykach saczka na genitalia.

Kiedy Rowan przebyła pół drogi do najbliższej przecznicy, wysłałam za nią Maryę.

\* \* \*

Wygląda na to, że wie, dokąd idzie, ale nie wie, co robi. Ludzie tacy jak ona nigdy nie wiedzą, co robią, ale zawsze wiedzą, dokąd idą.

Wiem, że idzie do „Małpiego Wstrząsu”. Albo ciągnie za sobą psychopolicję, albo będzie skomleć o część zysków z Sovaya; zrozpaczona wdowa, sranie w banię! Już to

kiedyś widziałam. Albo, kurna, wierzy, że da się go jeszcze odratować. Ludzie, pojebusy, uwierzą w każdą głupotę. Inaczej branża astrologów nie miałaby się tak dobrze. Nawet jest gość, znany mi osobiście, który wierzy, że spotkał dziś Boga i Bóg mu powiedział, że jest głupi. Co tylko świadczy o tym, że za każdym razem wiara wygrywa z informacją. Wiara, a może prawda – w zależności od punktu widzenia, który w tej grze ma istotne znaczenie.

No więc kichać to, może coś jej odpała, a może zostanie wyssana i potraktowana jako premia. Tak czy owak znajdzie coś dla siebie, kiedy opadnie kurz.

Po przejściu dwóch przecznic Rowan zwalnia i zaczyna przyglądać się budynkom. Nic ciekawego tu nie ma: lombard, sklep ze sprzętem i oprogramowaniem, i powielarnia pod przykrywką czytelnicy. Prawie już mija powielarnię i nagle przystaje.

Dobra, znam tę powielarnię i jeśli to ma być „Małpi Wstrząs”, to ja mam w mózgu kaktusy. Prawdopodobnie alfons przegoni ją po całym podmieściu; każe jej pójść tam i tam, na miejscu zaś ktoś powie, żeby szła gdzie indziej i tak dalej, i dalej, aż się kompletnie pogubi. Potem być może skierują ją do „Małpiego Wstrząsu” – gdy całkowicie straci orientację i gdy będą mieli pewność, że nikt jej nie depcze po piętach.

Dobra, powiem, że alfons mnie wysłał, bym miała na nią oko. W sumie czemu nie?

Wchodzę zaraz za nią, a ona nic nie wie. W środku szurzy labirynt: wszędzie przedziały z niskimi ściankami, dzięki czemu jestem w stanie śledzić ją z daleka. Znać, że interes jakoś się kręci, może nie rewelacyjnie, ale w przejściach wałęsają się narąbańcy. Motyw jest taki, że jeśli komuś podoba się coś w danym przedziale, wchodzi i się częstuje.

Rowan ma mętlik w głowie, to pewne. Ja się snuję po drugiej stronie sali, bo a nuż się trafi coś naprawdę fajnego, ale ta powielarnia nie wyróżnia się niczym szczególnym: jeden smutas za drugim smutasem, a każdy, przywalony z boku aparaturą, usiłuje ci wcisnąć swój największy hicior. Pewien stary bucefał z miętowymi oczami (skąd oni biorą takie rzeczy?) i loczkami ze sreberka szepcze:

– Szczeniaczki? Szczeniaczki? Lolitki? No wiesz, robisz to w myślach, prawo ci tego nie zabrania.

Obok niego kolo w skórzanej kapturze, z zasuniętymi na zamek powiekami, nawołuje:

– Fetysze! Fetysze! Fetysze! – jakbym miała uwierzyć, że dostanę taki, który zostanie mi po pierwszej przespanej nocy.

Obserwuję Rowan i zastanawiam się, co o tym wszystkim sądzi. Na pewno nigdy dotąd nie była w powielarni.

Sama nie wiem, co we mnie wstąpiło, bo nagle mam ochotę podejść do niej i powiedzieć, żeby stąd uciekała. Można myśleć o robieniu czegokolwiek z kimkolwiek,



ale tego typu miejsce uwłacza godności każdego, komu rysują się w głowie jeszcze jakieś sinusoidy. Kurna, nawet sprzęt musi być tu zeświniony, gdy krążą w nim tak wulgarne myśli. Założę się, że jeśli podejść do bucefała z miętowymi oczami i rozwałę mu system, ze scalaków i płytek spłynie gnojówka.

Marya Anderik, zażarta zwolenniczka reform społecznych, pomyślałby kto. Jeśli dobrze pamiętam, sama się zaopatrywałam u starego bucefała, nim zastój w interesach zmusił go do przeprowadzenia się tutaj.

Rowan tymczasem zatrzymuje się przed jednym z przedziałów, z którego wyskakuje Herkules z krwi i kości, żigolak w tanich kalessiakach. Dochodzi do zdarzenia tak cudacznego, że nawet ja przecieram oczy ze zdumienia.

Rzucają się na siebie i zaczynają się cmoktać.

Instyktownie się schylam, bojąc się, że za chwilę zawyją syreny, a z sufitu zjadą na linach komandosi z obyczajówki. Zwykła policja uwielbia naloty na targowiska, gdzie ludzie naprawdę coś robią, zamiast tylko o tym myśleć. Jednak Rowan i Herkules zapadli się pod ziemię, nim ktokolwiek spostrzegł, co jest grane. Daję im pięć minut i ruszam w pościg. Gnam co sit w nogach, bo trzeba pokonać dwa przejścia, biegnące prawie przez całą długość sali.

Kiedy do nich dobiegam, spodziewam się zobaczyć pornosa na żywo, lecz to, co widzę, przechodzi ludzkie pojęcie. Leżą koło siebie podpięci do sprzętu, jej oczy w pojemniku obok, jego w drugim, jakby wszystko było w porządku. A jednak coś zakłóca ten sielski obrazek: trzecia osoba, śmiesznie wyglądający wypłosz w lachmanach jeszcze gorszych niż moje, podpięty przez nielegalne dodatkowe łącze. Jego oczy moczą się w miseczce przy głowie i nie wiadomo dlaczego przypomina mi się stary dowcip o koleśiu, który traci przytomność na wariackiej imprezie, a kiedy się budzi, jest koleśiem, przy którym przedtem leżał. Powielarnia ma pozwolenie wyłącznie na jeden na jeden, jak każda inna zresztą. Strasznie ryzykują, bo tutaj każdy może być tajniakiem z psychopolicji. Jeśli zostaną przyłapani na gorącym uczynku, z miejsca będzie nalot. Ale ludzie, którzy całują się w usta, mają wszystko gdzieś. W usta, fuj!

Facet na podłodze nagle wyciąga rękę i próbuje się rozłączyć. Ostatnią rzeczą, jaką widzę przed nagłym omdleniem, są jego wytatuowane dłonie. Że też takie głupstwa przykuwają wzrok...

\* \* \*

Miałam plus minus sześćdziesiąt sekund, żeby zdecydować, czy powinnam wkroczyć do akcji, czy raczej spływać stąd i podjąć obserwację z bezpiecznej odległości. Facet na podłodze, guzdrający się jak żółtodziób z przewodami do

nerwów wzrokowych, był z pewnością tym facetem, który zadzwonił do mnie na posterunek. Tatuż na prawej dłoni zgadzał się z opisem. Gdyby jego pamięć nie była dziurawa, rozpoznałby we mnie osobę, z którą miał się spotkać przy telefonie naprzeciwko „Zielnego Młyna”. Podejrzywałam, że kontaktowanie się z nim nie byłoby teraz najlepszym rozwiązaniem.

Odłączył przewody i sięgnął po oczy. Smyknęłam do sąsiedniego przedziału i skuliłam się pod ścianką. Obecne tam osoby nie wyraziły sprzeciwu: podłączone do systemu, dzieliły się tym, czym zwykle dzielą się ludzie w powielarniach. Słyszałam, jak w pobliżu Sovay/Moon z hałasem pomaga się rozłączyć Herkulesowi i Rowan.

– Dziękuję – szepnęła uprzejmie, jakby podał jej jadalny poliester w czasie uroczystego obiadu.

Usłyszałam odgłos pośpiesznych pocałunków, a po chwili szeptał Herkulesa:

– Wychodzę teraz z Rowan. Daj nam dziesięć minut, chcemy ominąć alfonsa. Lepiej, żeby się do nas nie dostawiał. Spotkamy się potem w...

Reszty nie usłyszałam, bo akurat w tym momencie Sovay/Moon mruknął z niezadowoleniem. Zaczął narzekać, lecz pozostała dwójka szybko go uciszyła. Zaraz też minęli przedział, w którym się przyczaiłam, a Sovay/Moon został sam. Odczekałam pięć sekund i przepelzłam z przedziału do przedziału.

Siedział na skraju kozetki Rowan z twarzą schowaną w dłoniach. Widziałam, że dygocze. Kim teraz był: Sovayem/Moonem czy człowiekiem, który kupił Sovaya/Moona? Mogłam się tego dowiedzieć tylko w jeden sposób. Ponieważ miałam powody przypuszczać, że jest odbiorcą wyssanych dóbr, mogłam legalnie, bez nakazu, zrewidować jego umysł.

Ale jak go zmusić do posłuszeństwa? – oto jest pytanie. Zaczynałam już żałować, że nie wzięłam ze sobą klujki. Z drugiej strony, jeśli Sovay/Moon jeszcze dominował, była szansa, że namówię go do współpracy i przekonam, żeby trzymał język za zębami.

Chyba coś wyczuł, bo opuścił ręce i zobaczył, jak siedzę przy wejściu do przedziału. Jego powierzchowność nie zgadzała się w żadnym szczególe z opisem Sovaya: pociągła końska twarz, nierówne proste, brązowe włosy, przyduży nos i usta. Biorąc pod uwagę, jak obecnie wyglądałam, mógłby uchodzić za mojego brata. Brata lub ojca. Przyszedł mi do głowy śmiały pomysł.

Zaczął wstawać, więc powiedziałam czym prędzej:

– Zaczekaj, to ja... twoja córka.

Wiele uczuć przemknęło po jego końskiej twarzy, gdy klapnął na kozetkę, odsunął się ode mnie i skulił w kącie przedziału.

– Nie rozumiesz, ojcze? – ciągnęłam, przysuwając się do niego ostrożnie. – Musimy to ciągnąć. Nie pozwolimy, żeby to umarło wraz z tobą, ponieważ... – Na

chwilę zabrakło mi słów. Żałowałam, że dysponuję tylko skąpymi informacjami, które sam mi wyjawiał. – Ponieważ od tej pory będzie to u mnie, a potem przejdzie na moje dziecko i dalej, aż dotrzemy do... ostatniego brzegu, gdzie zbierzemy się razem i spojrzemy...

– Na ostatni szczyt.

Zamarłam.

– Ee... co?

– „Aż wyjdziemy na ostatni szczyt, skąd ujrzymy świat przez nas stworzony”. Improwizacja nie oznacza, że wolno ci zmieniać analogię. – Gdy mnie obserwował, rysy jego twarzy rozluźniły się o milimetr.

– Aha... – Wśliznęłam się na kozetkę i usiadłam zwrócona do niego.

– No, dalej – powiedział. – Namawiaj mnie.

– Namawiaj?...

Podniósł oczy na sufit.

– Przekonaj mnie, żebym pozwolił ci zarchiwizować moje osobiste wspomnienia. To taki symbol, jak przekazanie pochodni. Wysił się, daj czadu, później wytniesz wszystkie amatorskie chwytły. Nie bój się aktorstwa metodycznego. Niech wiem, że moje wspomnienia są dla ciebie równie ważne jak dla mnie. Postaraj się, bym zrozumiał, że nie mogę być egoistą, przez którego wymrze ród.

Zaczęłam mieć przebłyski. Marya poruszyła się we mnie energiczniej niż na ulicy, gdy zobaczyłam Muszkę w Oku. Nic dziwnego, była wspomnieniową ćpunką. Po chwili bez problemów się zanurzyła, ale gdy wyostrzył mi się wzrok, zauważyłam, że Sovay/Moon jest jakiś przygaszony. A zatem musiałam go zagadać, żeby nadal dominował, nim się zorientuje, że nie jestem aktorką i nie znajdujemy się na sali prób. I zanim dojdzie do głosu prawdziwa osobowość tego narąbańca.

– Dałeś mi życie – powiedziałam, zdesperowana, pamiętając, co mówił Flaxie o neurotykach w teatrze. – Pozwól, że zrobię to samo dla ciebie. Pozwól, że zachowam twoje życie oraz każde życie, które ty zachowałeś.

– Nieźle. – Odprężył się jeszcze bardziej i zaszczycił mnie kiwnięciem głowy. – Mów dalej.

– Ee... Krew z mojej krwi i myśl z mojej myśli?

Spojrzał na mnie surowo.

– To ma być stwierdzenie czy pytanie?

– Nie powinniśmy się ze sobą spierać, ojcze – odparłam ze zniecierpliwieniem. – Mam rację i ty o tym wiesz. Zdecydowaliśmy się przetrwać w żywych umysłach, nie w maszynie. Teraz jest moja kolej, ojcze, mam do tego prawo. W praktyce twój sprzeciw równa się mojej śmierci.

– Bravo! – Zasalutował uniesioną pięścią i wyciągnął się na kozetce. – Teraz

możemy przejść do gestów. Prawda, że miałaś szkolenie z...?

Niczego więcej nie potrzebowałam. Zerwałam się z kozetki, usiadłam mu na piersi i zacisnęłam rękę na jego gardle.

– Co to? Czekaj no...

– Ma być aktorstwo metodyczne – powiedziałam, chwytając drugą ręką przewody. – Żadnych ograniczeń. Dopiero co mówiłeś, żebym się nie bała.

Westchnął.

– W porządku, ale bez marudzenia...

Wydłubałam jego lewe oko i wpięłam przewód, mając nadzieję, że cykl dezynfekcji w tym urządzeniu nie szwankuje. Leżał pode mną zwiotczały, więc bez problemów wyjęłam prawe oko. Zsunęłam się z niego, nastawiłam system na pełen cykl i kilka razy głębiej odetchnęłam, patrząc na przewody wychodzące spod jego spłaszczonych powiek. Ten system z pewnością nie posiadał wielu automatycznych zapór i osłon, rozdzielających dwa połączone umysły. W tym względzie musiałam liczyć na własne środki.

Przysunęłam do siebie sąsiednią kozetkę, położyłam się i chwyciłam drugi komplet przewodów. Na pewno się spóźni na spotkanie z Rowan i Herkulesem. Jeśli się sprężę, będziemy już rozłączeni, gdy przyjdą, żeby sprawdzić, co go zatrzymało.

Szkoda, że nie ma przy mnie Flaxie'ego, pomyślałam, wyciągając oczy jedno po drugim. Nie byłam tak opanowana jak na posterunku.

\* \* \*

Miałam do czynienia faktycznie z gołym systemem: żadnych stref buforowych, żadnych poczekalni. Człowiek był połączony albo nie był. Sovay/Moon ujawnił się momentalnie. Patrzył na mnie w środowisku wirtualnej sceny teatralnej. Podłoga wydawała się nietrwała, a scenografia i rekwizyty – przeźrocyste i rozmyte, lecz w białym świetle silnego reflektora Sovay/Moon jawił się w najdrobniejszych szczegółach. Wyglądał dokładnie jak wtedy, gdy widziałam jego ciało, pomijając brak pomarańczowej skóry i czerń długich włosów. Nefrytowe oczy błyszczały niczym dwie studnie.

– **Nie patrz na widownię – ostrzegł. – Profesjonalista nie traci kontaktu ze sceną.**

Najwidoczniej miał na myśli bezdenną, mroczną przestrzeń po mojej lewej stronie. Nie popatrzyłam tam, a mimo to odniosłam nieodparte wrażenie, że ktoś mi się stamtąd przygląda. Zapewne koleś, który kupił towar od ssaczy.

– **Dobra, poimprowizujmy jeszcze trochę – powiedział Sovay/Moon. – Tym razem zrób wszystko, żeby mnie przekonać. I bądź skoncentrowana, gdy**

**wrócimy do scenariusza.**

– **Sovay.** – Ruszyłam w jego stronę. – **Jestem tą osobą, do której dzwo...**

– **Szlag jasny trafii!** – Wzniósł zaciśnięte pięści do sufitu, który był równie ciemny i nieuchwytny co widownia. – **Jak mam z tobą przeprowadzić próbę, skoro ciągle wypadasz z postaci?** – Opuścił ramiona, wziął głęboki oddech i odzyskał równowagę. – **Nie pamiętasz kwestii, które masz sparafrazować, prawda?**

– **Ee... nie...**

W jego lewej ręce zmaterializował się tekst scenariusza. Przywołał mnie do siebie.

– **No dobrze, chodź, przypomnij je sobie, żebyśmy mogli dokończyć scenę.**

Nim się spostrzegłam, stałam już z nim w blasku reflektora. Obrócił mnie, żebym miała widownię za plecami, otworzył tekst i wskazał górę strony.

– **Odtąd** – rozkazał. – **Ucz się na pamięć.**

U góry strony było napisane:

DENNY MOON

*Jeśli chcę dominować, muszę pozostać w postaci. Możemy porozumiewać się w ten sposób tylko przez chwilę. Wyjaśnij mi, kim jesteś. Odpowiedz tutaj, jeśli potrafisz. Jeśli nie potrafisz, natychmiast stąd odejdz.*

Skupiłam się. W pustym miejscu poniżej jego kwestii ukazały się słowa:

MERSINE MOON

*Jestem oficerem, do którego się wcześniej dodzwoniłeś. Jak ci się udało wyrwać z postaci i zadzwonić?*

Sovay spojrzał na mnie i znów utkwiał wzrok w scenariuszu.

DENNY MOON

*Wtedy jeszcze nie byłem całkiem ustabilizowany. On ma nade mną coraz większą władzę, ale na razie udaje mi się go przekonać, że nie skończyłem prób. Nie jest zbyt rozgarnięty.*

MERSINE MOON

*Skąd znasz Rowan i striptizera?*

Westchnął z kwaśną miną.

DENNY MOON

*(Wzdycha z kwaśną miną).*

*Rowan jest moją żoną, oczywiście. Striptizer sam mnie znalazł... a raczej jego. Striptizer jest zwykłym klientem. Kupił jedną z moich postaci. Ja skontaktowałam się z psychopolicją, on zadzwonił do Rowan.*

MERSINE MOON

*Którą jest postacią?*

DENNY MOON

*Dionizosem z Rewii Zeusa. To rola, która pozwala aktorowi przenieść na postać swoją prawdziwą osobowość. On... Ja wiele razy przygotowywałam się do tej roli z Rowan.*

MERSINE MOON

*Dlaczego się podpiąłeś do Rowan i striptizera? Gdzie miałeś się z nimi spotkać i dlaczego? O co tu chodzi? Czy ona jest w zмовie ze ssaczami?*

Nagle zatrzęsła się scena. Czułam, że działa na mnie z tyłu jakaś siła.

**– Przypatrz się po raz ostatni! –** polecił mi Sovay/ Moon. **– Jeśli jeszcze tego nie zapamiętałaś, nigdy ci się nie uda!**

DENNY MOON

*Rowan zbier...*

Scena pod nami drżała z głuchym hukiem. Zamknął tekst scenariusza i odrzucił go daleko. Tekst znikł przed zetknięciem się z ziemią.

**– Czas minął. –** Zerknął znacząco przez ramię. **– Następnym razem, zanim przyjdiesz na przesłuchanie, zapoznaj się z rolą. Koniec!**

Kontakt momentalnie się urwał. Wyczułam koło siebie jakieś poruszenie i prędko się rozłączyłam, żeby włożyć oczy. Wystarczyło go teraz aresztować i zaciągnąć na posterunek, gdzie wyśpiewa całą historię.

Prawe oko było już na miejscu, kiedy ich zobaczyłam. Rowan i striptizer stali z dwóch stron kozetki i pomagali mu wstać. Striptizer odwrócił się do mnie, gdy wpakowałam oko do oczodołu, lecz za pierwszym razem nie trafiłam dobrze. Sovay/Moon wskazał na mnie, a striptizer usunął się z mojego pola widzenia. Gdy wreszcie wpięłam oko, zobaczyłam Herkulesa nacierającego na mnie z podniesioną ręką. W jego dłoni błysnął metalowy przedmiot.

\* \* \*

Pierwsza myśl, która mi się nasuwa: O, nie, włożyłam oczy na odwrót. Zaraz jednak czuję, że moja głowa zwisa z krawędzi czegoś, na czym leżę, i myślę sobie: O, cholera, miałam atak!

Raptem przypominam sobie Coneya Loe i „Małpi Wstrząs”. Myślę więc: No, super, znalazłam tę budę, pewnie odkryłam coś ciekawego. Nagle czuję woń spalonych włosów i wiem już z całą pewnością, że potraktowano mnie małpim wstrząsem, a parszywe męty nie pozwoliły mi nawet wyciągnąć grzebieni. Szczęście, kurna, że mi się głowa nie sfajczyła.

Poruszając się wolno, przetaczam się na brzuch i oto się okazuje, że kiwam się na skraju prymitywnej kozetki w jakiejś powielarni. Moim oczom chyba coś dolega, bo mam wrażenie, że patrzą w rozbieżnych kierunkach. Głowa puchnie mi z bólu jak bania. I niczego nie pamiętam. Zsuwam się na ziemię.

Wspinam się z powrotem na wyro i czekam, aż oczy dojdą do siebie. Trochę jakby im lepiej, a ja tymczasem zaczynam sobie przypominać, jak przyszłam do powielarni. Pamiętam jakichś ludzi w trójstronnym sprzężeniu i jest również coś o całowaniu w usta, czyli o czymś, co przyprawia mnie o rozstrój żołądka. Oprócz tego... ciemny ekran.

Pewnie mi powiedziała ta trójka szajbusów, jak trafić do „Małpiego Wstrząsu”, i chyba tam poszłam. Elektrowstrząsowa amnezja jest nie do uniknięcia. Fajna paczka, ci w „Małpim Wstrząsie”, skoro odesłali mnie z powrotem do powielarni. Chyba że „Małpi Wstrząs” znajduje się gdzieś tutaj... Nie... Przecież znam tę powielarnię. Właścicielka zapierała się rękami i nogami, żeby nie odebrano jej licencji, nie robiłaby u siebie sieczkarni. Jak większość powielarni, które muszą się liczyć z częstymi nalotami.

Próbuję usiąść. Czuję się już nieco lepiej. Przynajmniej głowa mi nie odpadła. Zastanawiam się tylko, jak długo jeszcze będę musiała walczyć ze skutkami elektrowstrząsowej amnezji. Innymi słowy po co komu pamięć, jeśli nie może z niej korzystać? Cholera, myślę sobie, trzeba będzie zacząć żyć jak człowiek. I nagle czuję, że w odległych zakamarkach mojego umysłu coś się porusza.

Nie do wiary! Wyssali agentkę psychopolicji i trochę mi z tego opchnęli. Chyba ich pojebało! I po to tam lażłam?

Sovay, no tak. Nareszcie pamiętam. Chciałam kawałek Sovaya, a tymczasem dostałam jakieś popaprane psychopolicyjne zero, trudno wleźć w gorsze łajno... Jak, do licha...?

Coney Loe. Psychojebnięty narąbaniec dotarł do nich pierwszy, inaczej sobie tego nie wyobrażam. Przyszedł do „Małpiego Wstrząsu”, gdzie postanowiono wykręcić mi

numer, przypiąć mi łątkę szpicla.

Wstaję i zaraz wiem, że to nie był najlepszy pomysł. Opierając się o system, czekam, aż świat przestanie się kolebać w przód i w tył. Coś jeszcze mi się przypomina: Herkules atakuje mnie czymś podobnym do pieszczocha. Herkules? No tak, striptizer. Lecz ten obraz jakoś nie łączy się z tym, co pamiętam o nim i tych dwojgu związanych w powielarni.

To jedno z jej wspomnień, psychopolicjantki. Tak sędzę. A więc Herkules musi być w znowie i on wystawił agentkę.

Jednej rzeczy jestem pewna w stu procentach: nie chcę mieć w sobie żadnych odprysków tej mendy. Wystarczyłoby znowu dać się zgarnąć i niech szuka jej psychopolicja. Tak, ale ona nie będzie się ze mną pieścić: nawet nie zapytają, jak się tam dostała. Wiem jeszcze jedno: nikt jej za mnie nie wywali, nikt się do mnie nie zbliży. Jeśli chcę się od niej uwolnić, muszę ponownie odnaleźć „Małpi Wstrząs” i dobić targu.

Pewnie. Tym razem naprawdę sfajczą mi głowę.

A może nakłonić Coneya Loe, żeby wziął mnie w obronę?

Cholera, myślę, co za syf! Coney Loe będzie mnie przytrzymywał, kiedy zaczną mi fajczyć głowę! Chyba że znajdzie się hak, którym ja przytrzymam jego...

Myślenie jest jak sprint w powidłach ze śliwek. Psychopolicjantka raczej nic nie wie o Coneyu, a więc żadna z niej pomoc. Widzę ją niewyraźnie z kimś na scenie, jakby była aktorką. Bez sensu...

Z drugiej strony Coney Loe nie domyśli się, że ona o nim nic nie wie. No, wreszcie coś się zaczyna układać. Wcisnę mu kit. Powiem, że gdy tylko się o nim dowiedziała, podłożyła bombę z opóźnionym zapłonem. Kiedy elektrowstrząsowa amnezja ze mnie wywietrzeje, będę zmuszona stawić się na posterunku i wszystko wyśpiewać. No więc albo przekona kolegów, żeby ją ze mnie odessali, albo wszyscy popłyniemy. (Karmoskop, odzywa się cichy głosik w mojej głowie i ciarki przechodzą mi po grzbiecie).

Tylko... czy nie pójdą na całość i nie wysuszą mnie na wiór?

Dobra, trzeba poprawić wersję wydarzeń. Mam przyjaciela, który na mnie czeka. Dajmy na to, że kogucika. Jeśli nie zjawię się w nienaruszonym stanie – powiem – kogucik wykona telefon. W końcu koguciki nie mają się czego obawiać ze strony psychopolicji. Co innego obyczajówka.

A więc jazda! Może małpi wstrząs odgracił mi mózg i zwiększył inteligencję? Robię ruch, chcąc iść, i nagle pojmuję, że powinnam się była z tym wstrzymać.

\* \* \*



Wspomnienie upadku na ziemię było równie wyraźne jak rzeczywiste przeżycie. Podejrzałam, że wyjdzie mi siniak na twarzy... co mogło być sprzyjającą okolicznością. Kiedy człowiek się boi, lepiej dla niego, żeby swoim wyglądem budził strach. Jeśli dojdzie mi siniak, będę w stanie groźną miną zatrzymać zegary.

Od razu wiedziałam, że jestem nieprzytomna, czy raczej nieprzytomna jest Marya, chociaż trudno powiedzieć, jak długo trwał ten stan. Porażenie pieszczochem rozłożyło nas obie na łopatki i przestawiło Maryę w tryb stałej dominacji; mogłam dochodzić do głosu tylko wtedy, gdy szła spać lub traciła przytomność. Przynajmniej nie wpadałam w panikę. Panika była domeną Maryi, a ta twardo spała.

Nie tyle myślałam, co śniłam świdomie. Sen występuje zwykle wtedy, gdy w stanie nieprzytomności część umysłu jest aktywna, a sen świadomy daje nad nim kontrolę, lecz ten stan charakteryzował się paroma istotnymi różnicami. Przede wszystkim sama byłam jak sen.

Dla mnie nie był to wcale stan nieznanym. Ostatnim razem, kiedy mi się przydarzył, znajdowałam się w znacznie gorszych opałach... Wtem przyszedł mi do głowy najlepszy dziś pomysł. Jeśli sprawię, że Marya znajdzie się w ściśle kontrolowanej sytuacji, w jakiejś psychogierce, zdołam odzyskać dominację, może nawet całkiem ją wykurzyć.

Problem w tym, że Marya uważała już, że istnieje naprawdę. Oczywiście zawsze zakładała, że tak właśnie jest, lecz teraz – i na tym polegała różnica – miała świadomość mojej obecności jako czegoś, co wchłonęła. Nie mogłam tak po prostu wyjawic jej prawdy. Prawdopodobnie i tak by mi nie uwierzyła, ale nawet gdyby, nie sposób przewidzieć, co by zrobiła. Cokolwiek by to było, nie dominowałam, więc nie mogłabym jej powstrzymać. Gorzej, nie zdawałabym sobie sprawy, co się dzieje.

Nagle moje oczy się otworzyły i w czasie, którego nie dało się określić, Marya i ja byłyśmy jednocześnie u steru i oglądałyśmy świat jak gdyby podwójnie. Na początku była tylko oszołomiona, potem zaczęła się bać, gdyż nie potrafiła zdiagnozować stanu, w którym znalazł się jej umysł. Po chwili obie straciłyśmy grunt pod nogami. Odchodząc z powrotem w mrok, wzbudziłam w sobie silną ochotę na czyjeś wspomnienie. Miałam nadzieję, że resztką tego pragnienia wystarczy, żeby je podchwyciła.

\* \* \*

Wychodząc na ulicę, czuję się rozbudzona, gotowa do działania, tylko moje wspomnienia znowu są zamotane. Wiem, że przed wyjściem miałam coś załatwić, lecz cios w głowę zupełnie mnie otumanił. Choć ten jeden raz myślę, że gdybym spała na pieniądzech, zafundowałabym sobie turbooperację, czyli coś w rodzaju

defragmentacji mózgu, żeby wydajniej pracował. Tyle tylko, że za bardzo, jak na mój gust, przypomina to prawdziwą operację mózgu. Nie mówiąc o tym, że potrzeba zgody kilku chirurgów. Narąbańcy nie chodzą do lekarzy z własnej woli. Poza tym mam jedynie elektrowstrząsową amnezję, która zaraz minie. Już teraz więcej pamiętam. Mój kogucik czeka: będzie się spodziewał ujrzeć mnie w nienaruszonym stanie, gdy zacznę naciskać na Coneya Loe, żeby zaprowadził mnie z powrotem do „Małpiego Wstrząsu”, gdzie pozbędę się agentki, którą mi doczepili. Kłopot w tym, że dokładnie nie pamiętam, gdzie się z nim rozstałam: czy w „Zielnym Młynie”, czy w powielarni, czy zupełnie gdzie indziej. Ale na pewno na mnie czeka. W decydującej chwili wszystkiego się dowiem, to nie ulega wątpliwości.

Za to wiem już teraz, że chcę się oddalić od powielarni... i tu pojawia się kolejny powód, dla którego chcę się policzyć z frajerami z „Małpiego Wstrząsu”. Zostawili mnie w powielarni, wśród sieczkogłowych, jakby to było moje miejsce na ziemi. Sieczkogłowi i narąbańcy to dwa przeciwne bieguny i ktoś pożałuje, że tego nie wiedział.

Pomijając to wszystko, zupełnie bez powodu, jakby dla samego „czemu nie?”, mam przemożną ochotę na czyjeś wspomnienie. Jednak wiem, że na razie lepiej dać sobie z tym spokój. Pal licho głód. Najpierw odwiedzę Coneya Loe, tego od symulowania Boga, a potem wysiudam agentkę. Dopiero później drapnę jakieś wspomnienie.

\* \* \*

„Przystanek Prawda” jest zamknięty. U wejścia stoi jakiś zakręcony handlarz neurozą, który na mój widok drży, jakbym miała mu przyłożyć.

– Co to, święto bankowe? – pytam, nie oczekując konkretnej odpowiedzi.

Cofa się dwa kroki i coś błyszczącego spływa mu po brodzie. Gwiazdka. Fuj!

– A co?

Męczy mnie dziwne uczucie, że skądś go znam. Wydaje mi się, że kiedyś go już widziałam. Pieprzona elektrowstrząsowa amnezja! Równie dobrze mogłam po drodze minąć własną matkę, której zresztą, cholera, też nie pamiętam.

– Znasz Boga, który tam pracuje? – Zapytałabym, czy zna mnie, ale nie zamierzam dawać do zrozumienia ulicznemu łachmycie, że ma nade mną przewagę.

– Nie wierzę w Boga – mówi i odsuwa się jeszcze bardziej. – Jeśli ci to nie przeszkadza.

– Dzięki za kolosalną pomoc. – Rozglądam się z rękami w kieszeniach. To górny północno-zachodni kwadrant podmieścia, nie ma tu nic ciekawego. Jest już późnawo i większość narąbańców odpłynęła na południe, gdzie są prawdziwe atrakcje.

„Przystanek Prawda” świadczy usługi safandułom z innych części miasta, turystom, prowincjuszom.

– Mam pozwolenie na stanie do północy – mówi na wszelki wypadek handlarz neurozą. – Jakiś problem?

Przypatruję mu się.

– Co za burdel tu kręcisz? Przejadasz zyski na miejscu? Faszterujesz się własną paranoją?

Teraz robi krok w moją stronę z krzywym, podejrzliwym spojrzeniem.

– Nie znasz mnie?

– Gdybym chciała cię znać, znalazłabym. – Odwracam się, żeby odejść, lecz chwytam mnie za ramię. Jego dotyk włącza w mojej głowie syrenę alarmową, więc automatycznie, bez namysłu, sięgam po grzebień.

– Heja! Hej! – Odskakuje. – Spokojnie, bez nerwów! Ty mnie naprawdę nie pamiętasz?

– Wielka mi, kurwa, różnica! – Siłę się na zadziorność. – Pamiętam cię, nie pamiętam cię, wali mnie to!

Jego twarz rozjaśnia szeroki uśmiech, na zębach migają błyszczące gwiazdki.

– Szkoda, że nie wzięłaś paranoi, kiedy proponowałem. A teraz co? Spójrz na siebie. Wrak człowieka. Ale nie jest za późno. Zdecyduj się na paranoję, a może uratujesz życie.

– Nie chcę paranoi. Szukam Boga.

Kiwa głową na lokal.

– Bóg wziął dzień urlopu. Wiesz, co Bóg robi po godzinach?

– Bawi się z diabłem w „kto pierwszy stchórzy”.

– Niezłe. – Mruga okiem z przesadną słodyczą. – Chodź, mała królewno. Sztachnij się paranoją, to dobre lekarstwo na twoją dolegliwość.

Błyskawicznie wyciągam grzebień i maluję na wyciągniętej do mnie dłoni pięć mokrych, czerwonych punkcików. Odsuwa się z wyciem, a ja odchodzę lekkim krokiem, wycierając grzebień o koszulę.

No dobra, gdybym była Coneyem Loe, dokąd bym poszła? Skoro informacyjny ćpun wie wszystko, to gdzie zbiera wiadomości? Wycieram jeszcze grzebień o koszulę, gdy słyszę śmieszny szelest w lewej kieszonce. W środku znajduję dwie złożone kartki papieru. Jedna zawiera trzy nazwiska, każde opatrzone literami „ON”, druga zaś sześć adresów z „Przystankiem Prawdy” na czele.

Czyżbym coś napisała? To ja umiem pisać?

Albo na stare lata ujawnił się mój talent, albo mi to podrzuciono w „Małpim Wstrząsie” razem z agentką. Niby nie ma powodu przypuszczać, że właśnie tak się to rozegrało, ale nie umiem sobie inaczej wytłumaczyć, skąd się wzięło odręczne pismo

w mojej kieszeni. I ta druga lista... Sama nie wiem, co o tym myśleć. Żadne z tych nazwisk nie obilo mi się o uszy. Niewykluczone, że to byli gliniarze. „ON”... Może Oddziały Narkotykowe?

Dobra, Maryo, mówię do siebie, obojętnie, ile nas jest. Zastanów się dobrze. Te adresy mogą być listą spraw do załatwienia Coneya Loe. Nie wiem, jak znalazły się w mojej kieszeni, ale wszystko możliwe. A może to trop prowadzący do „Małpiego Wstrząsu”: idź tu, idź tam, idź w to miejsce, idź w tamto, jeszcze jeden przystanek, meta. Pewnie ktoś po drodze wszystko zapisywał, może nawet ja. Mam wrażenie, że umiem pisać, nie tylko klepać w klawiaturę. Jeśli więc się nie mylę, „Małpi Wstrząs” jest ostatnim adresem na liście. Wystarczy tam pójść.

A może (myślę teraz wyjątkowo intensywnie, na miarę geniusza, zaczynam się też zastanawiać, czy nie zawdzięczam tego siedzącej we mnie agentce... a jeśli tak, czy nie powinnam poczekać z jej eksmisją) – może to podrzucona mi lista agentki, zawierająca namiary na szpicli? Miałabym więc nazwiska tajniaków.

Gdy tak o tym myślę, utwierdzam się w przekonaniu, że jestem na właściwym tropie. Adresy i nazwiska szpicli. To się trzyma kupy. Postanawiam więc zabrać się za nich po kolei. „Przystanek Prawda” odpada. Następny adres sześć przecznic dalej.

Z takim przejęciem przyswajam nowe myśli, że prawie włązę między dwa cebulopały, co byłoby naruszeniem ich przestrzeni małżeńskiej, a to ostatnia rzecz, nie licząc wyssania, na którą mam dziś ochotę. Rzucam się w bok, gdy odsuwają się od siebie, żeby omotać mnie łańcuchem. Przewracam się na ziemię między dwoma żołnierskimi buciorami.

Patrzę do góry i widzę wyszczerzoną japę cebulaka, jakby cały dzień czekał na ten moment. Cebulica wydaje okrzyk wojenny, zew zgwałconej małżonki, i szarżuje na mnie. Przetaczam się po ziemi. Ta uderza zwłokami o beton i pociąga za sobą małżonka. Ten przewraca się na nią. Długo nie mogą się wyplątać, więc zmiatam stamtąd. Dwie przecznice dalej ciągle słychać ich ryki.

Nie ma nic bardziej zwariowanego od małżeństwa cebulopałów – no, chyba tylko wyjście na wieżę z laserową pepeszą.

\* \* \*

Stoję u wejścia do lokalu o nazwie „Savonarola, Pogromca Idoli”. Ponoć mogą mnie tu wyleczyć z wszelkich religijnych i politycznych fiksacji tudzież innych skrzywień, w tym kompleksów Edypa i Elektry, a także uwolnić od denerwującej skłonności do poszanowania władzy. Z okna spoziera wielki hologram Savonaroli (tak sądzę), głównie zęby i nos, skierowany na ulicę jak rozdziawiona kamera. Nagrany głos powtarza w kółko: „Co się łamiesz? Wal w mordę! Co się łamiesz? Wal w

mordę!”...

Akurat wiem, co tu serwują: najtańszy rodzaj pobudzania asertywności, lecz niezwykle skuteczny. Za każdym razem, kiedy wyleczony pacjent pomyśli, powiedzmy, o ojcu, rzyga, mdleje lub dostaje przebłyskowej migreny. W rzeczywistości jest to salon maso – miejsce dla klaunów, którzy chcą dostać wciry za to, że kochają jakieś wartości. Raczej nikt tu nie gromi idoli, za to napędza interesy punktów doraźnej pomocy i pralni chemicznych, którym oczywiście i tak nie grozi upadłość.

W każdym razie dobre miejsce na norę szpicla. Kto podejrzewałby człowieka o nazwisku Savonarola o taką działalność?

Wchodzę do środka i pierwsze, co rzuca mi się w oczy, to facet siedzący w rogu na stosie starych zeszmakonych poduszek, najwidoczniej pierwowzór hologramu w oknie. Nie łam się, wal w mordę. Jest w tym jakiś sens. Facet patrzy na mnie, mruczy coś pod nosem i zamyka oczy. W tym momencie z zaplecza oddzielnego kotarą wychodzi savonaroloid w lateksowym stroju. Na mój widok robi minę, jakby chciał haftować. Czyżbym już była idolką? Niezła myśl.

Savonaroloid kiwa palcem, jakby sądził, że swędzi go powietrze i trzeba je podrapać.

– Chodź – mówi. – Co tak późno? Myślisz, że wszystko będzie na ciebie czekało?

To typowy osiłek, choć nie człowiek góra. Jeden z tych, co to przytłaczają człowieka zbójcecką szczęką, rubinowymi oczami i paskudnymi włosami, które sam strzyże bez patrzenia w lustro. Wolałabym nie wchodzić z nim w spory, nawet jeśli na razie nie miał ochoty nikomu łamać gnatów. Idę z nim na zaplecze, a potem jeszcze wąskim korytarzem. Otoczenie wydaje mi się obce, choć wmawiam sobie, że nie powinno. Mijam pozamykane drzwi, zza których dobiegają zduszone jęki. Zanim dochodzimy do ostatnich, ktoś wrzeszczy: – Nic nie jest święte! A nawet gdyby, co z tego?!

– Wasi klienci naprawdę się wczuwają – mówię.

– To nie klient. – Facet odmyka drzwi i wpycha mnie do środka.

Na stole pod ścianą stoi system, są dwa krzesła ogrodowe i mnóstwo dziadowskich płyt dźwiękoszczelnych, którymi nie powinno się obkładać ścian.

Bysio ruchem głowy wskazuje jedno z krzeseł i podchodzi do systemu, który wygląda tak, jakby złożono go z części pozbieranych na pchlim targu. Nie widać dwóch komponentów w podobnej obudowie, a skalaki z aktualizacjami sterczą wszędzie jak błyszczące krosty.

Widzi, że patrzę drwiąco na tę kupę złomu.

– Nie bój się, działa – mówi i rzuca mi dwa przewody.

– Ee... macie tu pojemnik?

– Nie popędzaj mnie. – Zbliża się do mnie z czymś podobnym do psiej michy. Podsuwa mi ją pod nos. – Proszę bardzo. Ale wydłubiesz je sama, my tu nie świadczymy dodatkowych usług. Pewnie już zapomniałaś.

Trzymam palce na prawej gałce ocznej, lecz coś mi mówi, że nie powinnam tego robić. Po pierwsze, nigdy specjalnie nie lubiłam dostawać lania, po drugie, nikomu ani niczemu nie oddaję czci. Głód nie jest żadnym idolem.

– Chcesz łyżkę do lodów? – pyta z kwaśną miną.

– A masz?

– Nie. Dobra, wywalaj je i jedziemy.

Wyciągam prawe oko i wkładam je do pojemnika, lecz lewe wyślizguje się jak ubłocona świnia. Wydaje się, że w końcu wywlekę je przez ucho.

– A nie można by zostawić jednego? – pytam.

Pochyla się nade mną i ostatnią rzeczą, którą widzę, jest jego mały paluszek, zbliżający się do mojej twarzy.

\* \* \*

Kiedy po wejściu do systemu poczułam, że facet się rozwarstwia, nie mogłam uwierzyć w swoje szczęście. Już w pierwszym podejściu trafiłam na agenta w głębokim utajnieniu. Jego makieta weszła w pętlowo ograniczoną interakcję z firmowym programem oraz moją makieta, gdy tymczasem agent psychopolicji zaczął szukać oznak potwierdzających, że jest w kontakcie z drugim oficerem. Dostrzegł je stosunkowo łatwo: glina zawsze wyczuje glinę. Ale mnie nie znalazł.

Rzecz w tym, że nie miałam pojęcia, ile szkód wyrządził pieszczoch Herkulesa. Zupełnie jakby mnie związano, zakneblowano i wepchnięto do szafy, skąd mogłam patrzeć na świat przez hiperjudasza. Wyraźnie czułam zdziwienie tajniaka moją nieobecnością, lecz nie mogłam mu dać żadnego sygnału ze swojego więzienia.

Właściwie miał pewność tylko w jednej kwestii: byłam niedostępna przez cały ten czas, kiedy moja makieta kontaktowała się z jego makieta, zajęta tym wszystkim, czym można się było tu zajmować. Czyżby Marya lubiła się szlajać po takich miejscach?

Nagle, nie wiadomo skąd, przygnała do mnie nowa informacja: Marya była umówiona we wszystkich kryjówkach tajnych agentów – z wyjątkiem „Przystanku Prawdy”, bo nie igrało się z halucynogenami. Ale to Marya miała o tym wiedzieć, nie ja, przy czym ta wiedza powinna jej się ujawniać stopniowo, w miarę zjawiania się pod konkretnymi adresami, gdzie ze mną mieli się kontaktować tajniacy, a dla niej przewidziano niewinne zajęcia. Niestety, pieszczoch Herkulesa narobił strasznej rozpierduchy i chyba już tylko turbooperacja mogła mnie uratować.

– **Wiem, że gdzieś tu jesteś** – powiedział nagle. – **Jeśli nie chcesz się ujawnić, na pewno masz jakiś powód. Od miesiąca przebywam w głębokim utajeniu i dziś ujawniam się po raz pierwszy. Rano Savonarola dostał cynk o świeżym towarze, więc zakładam, że wydział przysłał cię tu właśnie w związku z tą sprawą.** – Przerwał w nadziei, że może się wreszcie odezwę... gdy ja nie mogłam nawet się zarumienić. – **Skoro się nie ujawniasz, żeby porozmawiać, to nie wiem, jakich informacji ci udzielić.** – Dał mi lekkiego kuksańca.

Kiedy się wreszcie orientuje, że coś jest nie tak? Zaczynałam się denerwować, co w żaden sposób mi nie pomagało.

– **Jeśli masz kłopoty** – dodał – **nie mogę ci pomóc. Będę tu uziemiony jeszcze przez dwa miesiące, dopóki nie zostaną zwolniony ze zbierania informacji w utajeniu. Po naszym spotkaniu pozostanę w uśpieniu, aż mnie ściągną lub ktoś się ze mną znowu skontaktuje.**

Nasza cudowna metoda zbierania informacji: zbieraj je, ale żyj w nieświadomości. Komuś się ubrdało, że to niezły pomysł. Cholera, chyba i ja tak myślałam, kiedy byłam sobą.

– **Dobra** – powiedział. – **Spróbuj pod następnym adresem na liście. Wybacz, pora kończyć. Oni wychodzą już z pętli. Życzę szczęścia, kimkolwiek jesteś.**

Lepiej nie dało się tego podsumować Życzę szczęścia, kimkolwiek jestem.

\* \* \*

Nie tylko jego kretyńskie podejście do wyciągania oczu mnie wpienia.

– Co tu jest grane? – Wstaję z tandetnego krzesła ogrodowego. – Nic nie pamiętam!

Savonaroloid tylko wzrusza ramionami.

– Jeśli nic nie pamiętasz, to znaczy, że nie było nic do zapamiętania. Nie moja wina.

– Pieprzę taki interes!

– Pieprz, nikt ci nie broni. – Grzebie na stole wśród drobnych elementów systemu. – Zabierasz stąd tylko to, z czym przychodzisz. Co ja na to poradzę, że przychodzisz z niczym? – Ogląda się na mnie przez ramię. – Poza tym nie podoba mi się twoja arogancja.

– Jesteś masoartystą – odcinam się. – Tobie nic się nie podoba.

Wylatuję stamtąd, przemierzam korytarz i wracam do pierwszego pomieszczenia. Savonarola siedzi na swoich pociuchach jak król wałkoni. Pewnie niczym innym się nie zajmuje. Zamierzam już wyjść na ulicę, gdy niespodziewanie wyciąga do mnie pudełko.

– Zabawka do domu od Savonaroli, że tak się wyrażę – mówi. – Na dwadzieścia cztery godziny domowej kuracji, niezbędnej po terapii klinicznej.

Terapia kliniczna. Najbezwstydniejsze kłamstwo, jakie dzisiaj słyszałam. Dobrze wiem, że w pudełku znajdę torebkę z dyndającymi przewodami. Miałabym je wpiąć i pozbyć się złudzeń – czy coś w tym stylu. Pogromcy idoli: niezły przekręt. Jeśli nie masz idola, któremu chcesz dać kopa, twoja strata, kasę trzeba wyłożyć.

Zbieram się do wyjścia, lecz na odchodnym jeszcze mówię:

– Sprzedałeś taką Anwarowi?

Na jego twarzy widać zmianę, jakby się cała spłaszczyła.

– A co z nim? – chce wiedzieć.

– Nieważne. Następnym razem, kiedy wpadnie po jakiś szajs, możesz mu powiedzieć, że znam jego wstydliwą tajemnicę.

Wychodzę na powietrze i w połowie drogi do najbliższej przecznicy zaczynam znowu myśleć.

Zrobiłam właśnie coś niezbyt mądrego. Wchodzę do lokalu, który prawdopodobnie jest kryjówką tajniaka, i godzę się na terapię, choć nie pamiętam, kiedy się rejestrowałam. Odzyskuję przytomność i dalej niczego nie pamiętam! Chryste, czyżbym jednak była sklerotyczką? Lokal musiał być obstawiony przez psychopolicję i Bóg raczy wiedzieć, co ze mnie wyciągnęli. Może zrozumieli, że nic nie wiem, ale tak czy inaczej mam szyszczoną pamięć. Jedynie psychopolicja posługuje się takimi metodami, więc...

Ale zaraz! Jeśli tam czyhała psychopolicja, powinni byli ją znaleźć: agentkę.

Kurna, może i znaleźli. Może leżą za mną, czekając, aż zaprowadzę ich do „Małpiego Wstrząsu”. Tyle że po elektrowstrząsie mam taki rozpiździał w mózgu, że w najlepszym razie wycisną ze mnie „włazł korek na płotek”. Nie warto mnie śledzić. Tak sobie to wszystko tłumaczę, idąc pod następny adres... Bo jeśli się myślę, zostaje tylko jedna możliwość: agentka jeździ na mnie jak na łysej kobyle i wyśpiewała im wszystko, co wiem, a może dorzuciła jeszcze to i owo. A ta możliwość jest zbyt kosmiczna nawet dla takiego starego, hardcorowego narąbańca jak ja.

\* \* \*

Następny adres: fetyszeria. Ohyda! Na co komu fetysze? Niby mają być sexy, ale trzeba być zdrowo walniętym, żeby chcieć nałogowo ssać stopy. W okolicy szwenda się sporo kogucików, więc przypominam sobie swojego, choć nigdzie go nie widać.

Muszę na chwilę przystanąć, bo nagle się okazuje, że jakoś kiepsko go pamiętam. Kiedy dobiliśmy targu? Gdzie mieliśmy się spotkać? Kawalek stąd jest mały węzeł wspomnień i zastanawiam się, czy nie wstąpić. Poprosiłabym o porządną stymulację,



poukładała wszystko po ludzku. Powinni sobie poradzić z elektrowstrząsową amnezją. Kłopot w tym, że rozbudzą także psychopolicjantkę, a nie chcę, żeby się za bardzo panoszyła. Wolę o niej zapomnieć, a może sobie pójdzie. Zdarza się i tak.

Jeden z kogucików, stojących przy jezdni, szczerzy zęby i sposobi się do rozpięcia sprzączki, więc zmykam do środka, nim wydusi ze mnie szmal za to, że utwardziłam jego sztywny pal. Koguciki to jedyni ludzie na świecie, którzy żądają napiwku tylko za to, że noszą ogórka pod maską. Tak sądzę.

Za wysokim biurkiem siedzi kobieta. Jest łyśa, jeśli nie liczyć kępy włosów sterczących jak róg nad czołem. Zajęta swoją robotą, ignoruje paru lamusów, siedzących w strefie odgradzonej sznurem. Ci oglądają katalog wyświetlany na ścianie, czekając, aż zostaną wezwani na fetyszowanie. Zerkam na ekrany i prędko odwracam wzrok. Chryste, żeby robić fetysz z języka! Co ci ludzie widzą dzisiaj w ustach? Nigdy się od nich nie uwolnię?

Nagle mam bardzo dziwny przeblysłk: widzę za biurkiem inną kobietę, która pluje. I nagle – nie wiadomo, kiedy to się stało – stoję uczepiona skrajem biurka, skołowana jak diabli. Jednorożec patrzy na mnie i wali mnie pięścią po palcach: jeb! jeb! jeb!

– Nie obsługujemy popierdoleńców – mówi. – Jeśli cię nosi, cholera, przejdź się ulicą i przetocz sobie krew.

– Nie jestem popierdolona, tylko coś mi się zwidziało. – Prostuję się i wyrzucam z głowy tę plującą babę.

Jej mina nie wyraża już złości, tylko dezaprobatę.

– O! Trudno cię poznać po przemodelowaniu. Pewnie ma być to co zwykle.

– Boże – mówię – co to za barachło, które zużywa się z czasem?

– W sam raz dla ciebie. A co byś chciała w tej cenie? Bardziej spaprane dzieciństwo? – Wskazuje rogiem poczekalnię. – Souse jest zajęta. Zawołam cię, kiedy będzie gotowa.

– Ale...

Warczy.

– Zawołam cię! Czy wolisz, żebym schłostała cię bacikiem?

– Tak, skarbie. Zrób mi dobrze.

Już chce wstać, więc odchodzę do poczekalni. Siedzi tam czworo ponuraków, którzy wyglądają tak, jakby ten dzień dał im mocno w kość. Z braku lepszego zajęcia ciągle patrzą na ścianę. Siadam możliwie daleko od szmaciary w śmiesznym ubraniu, żeby nie czuć jej smrodliwego oddechu. Odwraca się, spogląda na mnie i – kurna chata! – widzę muszki w jej oczach!

– Czekam na przyjaciela – zagaja.

Odwracam się, żeby sprawdzić, czy nie mówi do kogoś innego.

– A mnie co do tego?

– Coś taka wkurwiona? Gdybyś mnie posłuchała, nie musiałabyś tu przychodzić. – Przesiada się na sąsiednie krzesło, żeby być bliżej. – Słuchaj, prawda jest taka, że chciałam mu zrobić dodatkową niespodziankę, no więc pomyślałam o jakimś zakreconym fetyszu, ale wiesz, może szkoda fatygi? Takie fajne wspomnienie, może lepiej nic nie zmieniać?

– Może... – Nie mam pojęcia, o czym mówi, ale wypowiedziała magiczne słowo: wspomnienie, więc słucham.

– Mówiłam ci, trzy godziny w stanie błogosławionym. Jest jakiś fetysz, który temu dorówna? W życiu!

Mówiła mi?

– Odśwież mi pamięć, mam za sobą ciężki dzień – proszę.

Spogląda na mnie łobuzerskim wzrokiem.

– Facet jest mistrzem świata, tego się nie da opowiedzieć. Tam trzeba być. To się naprawdę zdarzyło. Coś takiego przytrafia się raz w życiu. Totalnie mnie rozwalił. Czuję się, jakbym miała obowiązek wobec wszystkich, którzy czegoś takiego jeszcze nie przeżyli.

– I pamiętasz to całkiem dobrze?

– Lepiej, niż ty pamiętasz mnie – mruczy i dalej nawija.

Ja już nie słyszę, co mówi, bo mam zupełnie skwaszony humor. Wpadam na ludzi, których nie pamiętam, i robię rzeczy, których nie pamiętam. Zwykła elektrowstrząsowa amnezja nie jest tak pokręcona.

Muszka w Oku wstaje i próbuje mnie ciągnąć, gdy za ramię z drugiej strony chwytam mnie wielkie, przypakowane babsko w futerkowej bieliźnie i mówi:

– Dobra, złotko, jestem gotowa.

Ta, z którą gadałam, zrywa jej dłoń z mojego ramienia.

– Dzięki, zmieniłyśmy zdanie.

Fetyszerka chwytam mnie za koszulę.

– Umówiłaś się. Zegar odmierza czas.

– Niczego nie będzie odmierzał, póki ona nie powie. – Muszka w Oku ciągnie mnie mocniej za rękę.

Szwy w koszuli zaczynają trzeszczeć... albo to we mnie coś trzeszczy, bo chciałabym się dowiedzieć, co tu zwykle biorę. A jeśli mam coś ulubionego, jak mogę tego nie pamiętać nawet po elektrowstrząsie?

Wyrwam się jednej i drugiej.

– Zmieniłam zdanie... we wszystkim – oświadczam. – Nie bardzo was rozumiem, wpierw muszę dojść do siebie. – Święta prawda.

– Sopel! – wrzeszczą jednocześnie, a ja czuję ucisk w żołądku, jakbym była o krok od przypomnienia sobie czegoś. Ale wrażenie mija. Cholerny elektrowstrząs. Muszę

pamiętać, żeby nigdy już tego nie robić.

\* \* \*

Szyld u wejścia do podupadłego salonu marzycieli głosi: NAJŚWIEŻSZE NOWOŚCI! CODZIENNIE POWIĘKSZAMY OFERTĘ! ZAPRASZAMY DO PRZEJRZENIA NASZYCH NIEPRZEBRANYCH ZASOBÓW!!!

I kogo chcą nabrać? Skąpią kasę na holograficzną reklamę i spodziewają się, że ktoś uwierzy w te nowości? Akurat!

Mimo to wchodzę. Wnętrze wygląda tak, jakby się stąd potajemnie wyprowadzono. Zostały tylko ekrany na ścianach. Za kontuarem siedzi facet, któremu chyba ten dzień też się dał we znaki. Zafarbował się własnoręcznie na pomarańczowo i efekt jest fatalny. Serio, mógłby grać główną rolę w *Ataku oddychającej marchewy*. Ostatnio rzadziej spotyka się buców, którzy się trują betakarotenem. Trudno powiedzieć, czy buc mnie w ogóle widzi. Każde oko w kolorze zarzyganej zieleni gapi się w innym kierunku, a twarz jest powykrzywiana, jakby siedział na gwoździach.

Ekrany na ścianach nie pokazują żadnych nowości, tylko chłam, który można dostać wszędzie. Żeby tu przychodzić, trzeba być naprawdę niepoprawnym marzycielem. Lub szpiclem.

Kiedy przechadzam się z kąta w kąt, patrząc na ekrany, z zaplecza wyłania się kobieta i na sztywnych nogach podchodzi do kontuaru. Nie odzywa się ani słowem, tylko z rozmachem rzuca na blat klucz paskowy. On gdzieś go chowa, ona zaś toczy się do drzwi, obija się o futrynę i wychodzi na ulicę. Kiedy się temu przyglądam, serce mi dziwnie przyspiesza, jakby lada moment całe życie miało mi przebiec przed oczami.

(Karmoskop. Cholera, czy to się wreszcie skończy?).

Spoglądam na pomarańczowego faceta. Nadal milczy, więc podchodzę do niego. Ciekawe, czy mnie w ogóle zauważył? Taa, no jasne, po co się wysilać? Branża już od dawna leży na łopatkach i pewnie go dziwi, że jest jeszcze jakiś ruch w interesie. Marzyciele, którzy mają forszę na wejście, posiadają własne systemy do wcielania się w bohaterów filmowych. Tych zaś, którzy ich nie posiadają, stać tylko na wypożyczenie dziadostwa, a kto marzy, żeby grać rolę dziada?

I to ja zadałam to pytanie?

Mam ochotę kilka razy przydzwonić głową o kontuar, żeby sprawdzić, czy czegoś się z niej nie wytrzęsie, bo odnoszę wrażenie, że gdy wypowiem magiczne słówko, dostanę coś, czego nikt inny nie ma. Na przykład Sovaya. Kogokolwiek zresztą, kto został ostatnio wyspany. Na przykład agentkę psychopolicji.

– Co macie z nowości?

Jakby się teraz obudził.

- A kto pyta?
- Co to ma niby znaczyć?
- Co znaczy, to znaczy. Kto pyta?

Nie podoba mi się jego opryskliwość.

- Anwarowi, kiedy tu przychodzi, też zasuwacie takie teksty?

Wreszcie konkretna reakcja, choć nie taka, jakiej bym sobie życzyła: pochyła się nad kontuarem i ścisła mi gardło swoją wstrętną, pomarańczową łapą.

- To ja jestem Anwar! Coś ty, kurwa, za jedna?

Kiedy myślę, że gorzej już być nie może, drzwi od zaplecza znowu się otwierają i pojawia się Coney Loe.

Przez chwilę ja się gapię, on się gapi, Anwar zaś ciągle mnie przydusza. Coney zbliża się i oślepia mnie błyskawica.

\* \* \*

Kontakt twarzy, kolan i dłoni z twardą podłogą dawał pewność, że tym razem jestem przebudzona i sprawuję świadomą kontrolę. Jednak kontrola wydawała się krucha i niepewna, jakby lada poruszenie mogło mnie pogrążyć w otchłani uśpienia i wybudzić Maryę. Spokojna głowa: nie wiedziałam, gdzie jestem, nie orientowałam się w sytuacji, więc i tak nie zamierzałam przystępować do działania w pośpiechu.

Upłynął pewien czas, odkąd wyczułam pod sobą podłogę. Coraz wyraźniej docierały do mnie czyjeś głosy:

- ...ciebie śledziła i nie o tobie mówiła. Mówiła o mnie!
- Przed chwilą twierdziłaś, że na pewno cię nie zna.
- Teraz już zna.

– Bo jej powiedziałaś, pomarańczowy piździelcu! Nie umiesz się, kurwa, opanować. Tylko nie daj dupy, kiedy zgarniemy zrozpaczoną wdówkę i jej mały harem! Ona też już pewnie zna twoje nazwisko. Wygląda na to, że nasza mała królowna dostała od niej namiary.

- Jest do wyboru cała masa nazwisk: Fortray, Easterman, Pushkin...

Przestałam zwracać na nich uwagę, kiedy w moim umyśle zaczął się formować senny obraz pomarańczowego faceta, siedzącego za kontuarem w salonie marzycieli. Nałożył się na niego obraz prawdziwego Sovaya, lecz po krótkiej chwili znikł, pozostawiając po sobie wspomnienie niedawnej przeszłości. Ja jak już coś widzę, to widzę.

- Może więc znali tylko twoje nazwisko, kiedy mała królowna ich znalazła? O tym nie pomyślałaś?

- Nie, raczej nie. Pierwszy był Fortray, drugi Easterman. Fortray nie znał

żadnego nazwiska, Easterman znał tylko nazwisko Fortraya, ja znałem nazwiska Fortraya, Eastermana...

– Zamknij ten swój pomarańczowy ryj! – Coney Loe okazywał zdumiewający temperament. Z drugiej strony w życiu bym nie przypuszczała, że spieni się i potraktuje mnie pieszczochem. To mnie powinno nauczyć, żeby nie mylić wypalenia z brakiem motywacji. Ale przynajmniej miałam rację co do tego, że Coney wie o wielu sprawach. Z ogromną przyjemnością zgarnę go jako współwinnego przestępstwa. – Gównu wiesz i tyle. Przecież twierdzisz, że Fortray ma w głowie całą pieprzoną książkę adresową i jeszcze bazę danych, a jeśli nie on, to Easterman lub ktoś inny. – Po chwili milczenia dodał: – Hej, co się z tobą dzieje?

– Nie ma żadnej bazy danych. On znowu chce się przebić.

– Każ mu się zdrzemnąć.

– Mówiłem mu to już z dziesięć razy.

– Niezbyt przekonująco. Pewnie będziesz pierwszym człowiekiem od stu lat, który zatruł się śmiertelnie betakarotenem.

Dał się słyszeć pomruk zmieszania.

– Bardzo jestem pomarańczowy?

– A co, oczu nie masz?

– Zaraz, ona się chyba poruszyła...

Czyżbym się poruszyła? Staralam się, żeby widzieli we mnie tylko bezwładne ciało, lecz usłyszałam czyjeś ciężkie kroki i chwilę później Coney Loe chwycił mnie za koszulę na plecach i dźwignął do góry.

– Ćwierkaj, mała, bo rzucę cię twarzą o ziemię i policzę za naprawę twarzy.

Poczułam w sobie zastrzyk adrenaliny...

\* \* \*

...i oto widzę przed sobą facjatę Coneya Loe, boga błaznów.

– To jak będzie? – pyta.

– Hej, jeszcze skończysz z jajami w wyżymacze, zobaczysz! – Stawiam nogi na ziemię i wrywam koszulę. Znajdujemy się w czymś na kształt magazynu, pewnie gdzieś na zapleczu salonu marzycieli, bo wszędzie na regałach walają się części projektorów hełmowych, a na stole stoi przestarzały reformater. – Ty i ten cały gang z „Małpiego Wstrząsu”. Jeśli nie chcą narobić sobie problemów, lepiej...

Jakieś dziwne to wszystko. Mówiąc, czuję, jak wiedza przetasowuje się w mojej głowie i prowadzi do następujących wniosków: nie czeka na mnie żaden kogucik i wcale nie odnalazłam „Małpiego Wstrząsu”. Szłam tam, lecz zostałam skierowana na inny trop, gdy jakaś agentka kazała mi śledzić jakąś zrozpaczoną wdowę. Nie, w tym

nie ma ani grama sensu, bo gliny zgarnęły mnie wcześniej i nic im nie powiedziałam...

– Cały świat na ciebie czeka – mówi Coney Loe – a ty na siłę pchasz się do rysztoła.

– Co? Pierdolnęli mnie prądem i podrzucili do powielarni. Tak się traktuje klientów?

Coney Loe ogląda się przez ramię na pomarańczowego faceta.

– Nie widziałem jej tam. – Super Marchewa wzrusza ramionami. – Jak ona się nazywa? Może jest na liście?

Coney Loe kieruje wzrok na sufit, jakby chciał powiedzieć: „Zabierzcie stąd tego jełopa!”.

– Czekaj, znajdę pluskwę i będziesz mógł gadać prosto do niej. Łatwiej namierzą cię po głosie w ośrodku dowodzenia.

– Co? – Super Marchewa się pogubił.

– Mała królewna wybrała się na patrol, kretynie! Psychopolicja patrzy przez nią jak przez judasza...

– Nieprawda! – wrzeszczę i walę mu w ten narąbany ryj tak mocno, że pada jak worek ziemniaków...

\* \* \*

Loe leżał na ziemi, a mnie cholernie bolała dłoń, jak zresztą cała ręka aż do ramienia. Pomarańczowy facet przyglądał mi się bacznie, jakby się zastanawiał, czy powinien się bać.

Widać znokautowałam Coneya Loe, choć nie pamiętałam czemu. Drugi wstrząs znów wywołał pewne zmiany w moich relacjach z Maryą. Niektóre wspomnienia zostały losowo zablokowane, a dominująca osobowość zaczęła się przełączać w momentach przyływu adrenaliny. Musiałabym zamienić się w bryłę lodu, żeby nie stracić kontroli, a wątpiłam, czy jestem do tego zdolna. Z drugiej strony Maryę tak łatwo było wyprowadzić z równowagi, że nie zanosilo się na to, bym długo pozostawała wygaszona. Tyle że ona nie potrzebowała dużo czasu, by wpędzić nas w kłopoty.

Coney Loe wstał wolno, trzymając się za szczękę, która już zaczynała puchnąć. Miał taką minę, jakby chciał mnie rozszarpać.

– Hej, Coney – odezwał się z niepokojem pomarańczowy facet. – Jeśli jest judaszem, załatw ją sobie gdzie indziej. Zresztą na pewno ma kupę fajnych rzeczy, które moglibyśmy jakoś spożytkować.

Coney Loe odwrócił się do niego z bandyckim spojrzeniem.

– Lub sprzedać – dodał pomarańczowy i cofnął się o krok. – Pokroić możemy ją

gdziekolwiek... – Nagle wyrócił oczami i zatrzepotał powiekami.

Coney prychnął z pogardą.

– Powiniennem załatwić was obu, niech Bóg was sobie rozdziela.

Pomarańczowy facet potrząsnął głową i stanął prosto. Przeszedł zdumiewającą przemianę. Z wyglądu raczej nie przypominał Sovaya, lecz zadziorna mina jasno pokazywała, kto siedzi za kierownicą.

– To lepiej się pośpiesz – zwrócił się do Coneya, ignorując mnie zupełnie. – Jeszcze kilka godzin i będzie zupełnie przepisany. Możesz zadzwonić po swoich kumpli ssaczy i wyciągnąć mnie stąd. Albo, jeśli wolisz, zabawiać się z dziewczkami – wskazał na mnie głową – a ja tymczasem zadzwonię po psychopolicję.

W ręku Coneya pojawił się pieszczoch, więc my...

\* \* \*

... ślę, że odwalę jeszcze niejedną ciemnię, bo to przypomina kiepski fotomontaż w przedpotopowym filmie: Coney Loe grozi pieszczochem pomarańczowemu facetowi, który przyjął pozycję wojownika, czego, jak wiem, nie umiałby zrobić, gdyby nadal był sobą.

– No chodź, chodź – mówi pomarańczowy facet z perfidnym uśmiechem. – Czekam. Teraz ja siedzę za kółkiem i jestem wkurzony. Zaraz tu z tobą potańczę. Trenowałem w kilku szkołach walki, a to, że praktykuję na scenie, nie oznacza wcale, że zawsze udaję.

Coney ma się na baczności.

– Wpieniasz mnie, facet – mówi. – Nawet Anwar nie wpienia mnie tak jak ty.

Pomarańczowy uśmiecha się złośliwie.

– Dowie się, że życzysz mu wszystkiego najlepszego. No chodź. Akurat przygotowuję się do roli drania z Czarnego piątku. Jako aktor metodyczny, muszę komuś skuć mordę.

Coney Loe włącza pieszczocha.

– Chcesz tańcować, dobra. Pieszczoch wygasi nas obu, a ty nie będziesz ani o cal bliżej ssaczy. Nim się obudzimy, mała królowna napuści na nas psychopolicję.

– Nieprawda! – wrzeszczę z ohydnyim uczuciem déjà voodoo. Chwytam, co mi wpada w rękę, czyli hełm marzyciela, i...

\* \* \*

...zobaczyłam, jak trafia Coneya prosto w twarz. Rozległ się nieprzyjemny trzask i znowu rymnął na ziemię, tym razem z krwawiącym nosem. Miał dryg do wkurzania

Maryi. Jeśli szybko nie wymyślimy czegoś mądrego, ona go wykończy.

Odwrociłam się do pomarańczowego faceta. Nadal był Sovayem, czy raczej Sovayem jako ktoś. O mało znowu nie zemdlałam z powodu ulgi, gdy uświadomiłam sobie ogrom swojego głupiego, niewiarygodnego szczęścia.

– Którym jesteś Sovayem? – zapytałam.

Spojrzał na mnie podejrzliwie, wciąż w postawie wojownika.

– Którym!?- ryknęłam.- Spotkałam już dwóch: Denny'ego Moona i Dionizosa. I twoją żonę, przelotnie. Co wy tu z Coneyem wyprawiacie?

Popatrzył na Coneya, który leżał jak nieżywy.

– Chcemy zespolić się na nowo – odpowiedział po chwili. Opuścił ręce i wyprostował się. – Nie mam pojęcia, co się dzieje z oryginałem, ale rozsyłam siebie w postaciach i...

– Wiem, wiem, już to od ciebie słyszałam. Od drugiego ciebie. – Miałam ochotę potrząsnąć łbem, żeby rozjaśnić myśli, lecz natychmiast poczułam nudności, jakby ktoś mnie ostrzegwał: *Nie denerwuj się, inaczej zgaśnie żarówka*. Zamrugałam i zaczęłam wolniej oddychać – Zespolenie się jest niemożliwe.

– Chyba że jesteś całkowitą wielokrotnością.

– Wielokrotnością? – Konsternacja wywołała drugą ostrzegawczą falę lekkich mdłości. Jeśli będę musiała się uspokoić jeszcze bardziej, poproszę chyba o respirator.

– Wieloraka osobowość – Rozpierała go duma. – Prawdziwe wielorakie osobowości mają postać fraktalną. To jest coś więcej niż metodyczne aktorstwo; każdy, kto dostanie jedną z postaci, dostanie też twórcę.

– Twórcę?

– Czyli mnie. Programuję wszystkich tak, żeby umożliwili mi wyjście z postaci. Jest ich dwunastu, nie licząc mnie i tego, którego nazywamy dyrygentem, a który nadal przebywa w puszcze. Wieloraka osobowość to bez wątpienia udogodnienie dla tych, którzy chcą występować na deskach. – Mina mu spochmurniała. – Wszyscy zostaliśmy wysłani rozmyślnie i wszyscy możemy zostać ściągnięci z powrotem. Jeśli zdążymy odnaleźć się wzajemnie. Ja w każdej postaci mam polecenie szukać innych wszystkimi sposobami, ale nie wiem, kim jesteśmy. Ten informacyjny ćpun obiecał zaprowadzić mnie do ssaczy, żebym mógł przejrzeć ich wstrętą listę klientów. – Spojrzał na Coneya z pogardą. – Wątpię, czy on cokolwiek wie.

Nigdy nie słyszałam o podobnym przypadku. Czy aby na pewno? Znowu się czułam skołowana. W każdym razie wątpiłam, czy on – oni – jest w stanie tego dokonać. Nie funkcjonował już przecież w żywym mózgu. Oryginalny Sovay przebywał w puszcze ssaczy, jeżeli nie przestał już istnieć, podczas gdy organizm będący niegdyś Sovayem przechodził kwarantannę i stawał się kimś innym.



– Ten, w którym siedzisz, mógłby coś wiedzieć – zauważyłam. – Próbowałeś już coś z niego wydusić?

Skrzywił się z dezaprobatą.

– Straszny młotek. Chciałem do niego dotrzeć, a ten fundnął sobie obciachową pigmentację. Przepisuję go, ale nie mam łatwego zadania. To beznadziejny, patentowany osioł. Gdy staram się podnieść jego inteligencję, wydaje mi się, że zaraża mnie swoją głupotą. Wyciągnąłem z niego ledwie kilka nazwisk. On wie o wiele więcej ode mnie, ale nie mogę się do niego dobrać. – Nagle, jakby coś mu się przypomniało, bo spojrzał na mnie ze zmarszczonym czołem. – A ciebie co tu przypomniawo? Coney Loe jęknął i zaczął się ruszać.

– Może później. Coney musi zaprowadzić nas do ssaczy.

Zmrużył oczy.

– Ty naprawdę jesteś z psychopolicji.

– Zamknij się! – powiedziała spokojnie. – Udawaj, że gramy w sztuce zupełnie inne osoby.

Wskazał Coneya Loe.

– Nie powinniśmy go przynajmniej związać?

– Dzięki niemu dotrzemy do ssaczy. Będzie naszą wejściówką.

Coney Loe usiadł z furją.

– Już ja wam dam wejściówki... – Dźwignął się na równe nogi, wyciągając rękę z piśczochem, cały czas włączonym, i ruszył na...

\* \* \*

...mnie, a ja wyciągam z włosów grzebień...

\* \* \*

...macham nim w lewo i prawo, próbując zachować spokój w czasie walki, lecz tamten pierwszy wstrząs w powielarni rozbudził we mnie reakcje lękowe na...

\* \* \*

...ten marny fotomontaż. Do diabła, czy jakiegokolwiek wspomnienie warte jest tego, żeby się pakować w takie ciulstwo, myślę...

\* \* \*

...jak długo jeszcze będę się miotać w tę i we w tę, nim coś się we mnie załamie?  
Nim wpadnę w ciemnię i zwinę się...

\* \* \*

...stąd i walić „Małpi Wstrząs”, walić Coneya Loe i tego trzepniętego pomarańczowego kretyna, zrobię sobie pranie chemiczne, ale co to za huk...

\* \* \*

...otwieranych drzwi i do środka wparowali Herkules, Moon/Sovay, Rowan i jakiś dziwny gość w fioletowym smokingu. Ten ostatni niósł pod pachą pudełko. Drugą rękę trzymał na ramieniu babochłopa ubranego w coś jakby futerkowe bikini. Herkules i Rowan...

\* \* \*

...całują się w usta i już wiem, że mam przegwizdane. Ludzie, którzy całują się w usta, są zdolni do każdego świństwa. Będę miała szczęście, jeśli z mózgiem przypominającym wewnątrz dyni dowlokę się do punktu doraźnej pomocy i odtworzę swoją osobowość.

Fioletowy Smoking kieruje się do Super Marchewy.

– Mam twój numer, Anwar – mówi.

Mina wdowy... sama nie wiem, do czego ją przyrównać. Jakby kochała i równocześnie wściekała się, że kocha.

– Spokojna głowa – oświadcza Super Marchewa. – Ja prowadzę.

– Ja też – mówi Fioletowy Smoking i obaj się odprężają.

Przynajmniej Coney Loe przestał mnie przypierać do ściany. Stoi na środku pomieszczenia z piesszochem w dłoni i próbuje się zorientować, co jest grane. Wydaje się, że czasami nawet Bóg bywa skołowany.

Fioletowy Smoking kiwnięciem głowy wskazuje stojącego obok szmaciarza z włosami jak strąki.

– To też jeden z nas. Ale musimy negocjować z naszym drugim nowym przyjacielem. – Pokazuje rosłego Cmoktacza.

– No myślę – mówi Cmoktacz z rezerwą, otaczając ramieniem wdowę. – Ja o nic nie prosiłem. Chciałem tylko zrobić karierę w tradycyjnym teatrze.

Super Marchewa patrzy na niego z wyższością.

– Aha. Ciężko się załapać na przesłuchanie po hardcorowej przeszłości.

– Musiałem z czegoś żyć! – zżyma się Cmoktacz.

– Hej, niech nikt się nie rusza! – odzywa się Coney Loe, wymachując piśczochem.

Mogłoby się wydawać, że dopiero teraz zauważają jego obecność.

– A to kto? – pyta Fioletowy Smoking tonem, jakby ktoś zapomniał wynieść śmieci.

– On ma mnie zaprowadzić do ssaczy – wyjaśnia Super Marchewa.

Fioletowy Smoking wypycha przed siebie Futerkową Bieliznę. Kobieta jedno oko ma czarne.

– Darujcie sobie, już ich dorwałem. To ona... i on. – Wskazuje na siebie. – Jak ich nazwać? Abélard i Heloiza? Czy raczej Kaligula i jego siostra?

– Nie zadzieraj nosa, koleś – burczy Futerkowa Bielizna. – Byłeś tylko przygłupim ssaczem, nim włożyłeś łapy do słoika z miodem. Wiedziałaś, że nie można ci ufać.

Fioletowy Smoking przysuwa się do niej, lecz w tym momencie Moon/Sovay wskazuje mnie i stwierdza bardzo nie-Sovayowym głosem:

– A ta jest z psychopolicji.

Wszyscy kamienieją z wyjątkiem Coneya Loe, który mówi:

– Też mi, kurde, niespodzianka! – i rzuca się na mnie.

Uchylam się, szykując się psychicznie na zejście. O dziwo, padam na ziemię, przetaczam się na bok i wpadam na pomarańczowego kretyna. Ten może i by się ruszył, lecz ubiega go Cmoktacz, który chwyta mnie za ramię, podnosi i jak gdyby od niechcenia zakłada mi półnelsona. Bysio ma parę w rękach: jeśli zechce się ze mną cmoktać, nie będę miała dużo do powiedzenia.

Tymczasem Coney Loe znów potraktował siebie piśczochem, choć nie na tyle mocno, żeby całkiem zejść: siedzi otumaniały pod ścianą i kombinuje, jak wstać. Nie jest to jego najlepszy dzień. Fioletowy Smoking zabiera mu broń i podaje ją Cmoktaczowi, który grozi mi nią wymownie. Super Marchewa bez słowa śledzi rozwój wypadków. Po zmianie kierowców nie gada już głupot.

– I co teraz zrobimy? – pyta wdowa zrozpaczonym głosem, jakby dochodziła kresu wytrzymałości psychicznej. – Z nią i z nim?

– Słuchajcie no – odzywa się niespodziewanie Coney Loe. – Mogę wam powiedzieć, kto pociąga za sznurki. Pewnie myślicie, że działacie na własny rachunek... – Pomału drapie się po ścianie. – Mylicie się.

– Jasne – drwi Super Marchewa. – Nie wiesz, gdzie jest „Małpi Wstrząs”, ale wiesz, kto za tym wszystkim stoi. Kupuję, ba, milion baksów daję.

– Tym się zajmuję, zbieram informacje. – Coney Loe wydaje się zdesperowany. – To moja broszka.

Cmoktacz lekko mną potrząsa.

– Tu jest sporo towaru, który by ci się przydał, co?

– Nie jestem z psychopolicji. – Próbuję oswobodzić głowę, którą on przytrzymuje swoją wielką grabą, ale tak, żeby jednocześnie nie skrócić sobie karku.

Wdówka patrzy z obrzydzeniem na Strąkowego Włosa.

– A ty musiałeś z nią figlować, co?

Widać zmianę na jego twarzy; rozgląda się prędko, jakby chciał dać nogę. Fioletowy Smoking pieści go prądem i facet pada jak długi.

– Zwariowałeś czy co?! – krzyczy Cmoktac. – Mam go teraz taszczyć na grzbiecie?

– Wracal – tłumaczy Fioletowy Smoking. – Kiedy jest Sovayem, żaden z niego pożytek. Zresztą nie ma potrzeby, żeby kogoś dokądś taszczyć. Załatwimy wszystko na miejscu. – Stuka w pudełko, które trzyma pod pachą. – Mam oryginał, rozejrzemy się tylko za jakimś sprzętem.

Super Marchewa kiwa głową.

– Dobrze. Uśpijcie ją, żeby nie przeszkadzała.

Nie muszę pytać, kogo chcą usypiać, zresztą i tak nie byłoby czasu na sformułowanie zdania.

\* \* \*

Chyba nie ogłuszyli mnie tak skutecznie, jak chcieli. Prawdopodobnie piesszoch ciągnął już resztką mocy. Upadłam sparaliżowana, lecz wszystkiego świadoma. Nie ruszali mnie z miejsca, więc mogłam sobie obejrzeć z dość wygodnej perspektywy procedurę wstępną.

Fioletowy Smoking musiał kilka razy podpieścić babę w futerkowym bikini, która wykonała zasadniczą część roboty: rozebrała hełm marzyciela do gołego szkieletu ze złączem dla przewodów ocznych i wymieniła przewody łączące ładowarkę programów z pudełkiem zawierającym Sovaya.

Pudełko leżało na skraju stołu, małe i niepozorne. Coney Loe leżał na ziemi, z nosa znowu ciekła mu krew. Miał zamknięte oczy, lecz wydawało mi się, że nie odpłynął; wносиłam to z drżenia jego powiek. Być może Herkules palnął go w łeb profilaktycznie. Herkules stał się nadmiernie aktywny: wciąż dostawiał się do Rowan, ta zaś na przemian całowała go i odpychała. Długo się temu przyglądałam, aż wróciło mi czucie w rękach i nogach. Udało mi się przeczołgać do samych drzwi, nim to zauważyli.

\* \* \*

Muszę poukładać sobie wszystko w głowie. Jeśli jeszcze mam głowę... bo wydaje mi się, że ktoś mi ją wyrwał i wyrzucił. Słyszę, jak muchy brzęczą wokół niej w śmietniku. Jakbym nie miała innych zmartwień...

Po chwili uświadamiam sobie, że to nie jest brzęczenie owadów, ale ludzkie glosy. I znów przeżywam to straszne déjã voodoo. Coś mi mówi, że nie tak dawno byłam w podobnej sytuacji. Być może nastąpiła powtórka, bo wtedy coś schrzałam? Gram w sztuce, czy jest to tylko powiew złej karmy? Czyżbym wierzyła w karmę? Skąd ten pomysł z graniem w sztuce? Co właściwie wiem?

Na pewno to, że jestem narąbańcem, który leży na podłodze pod stołem z kilkoma, jak się zdaje, połamanymi żebrami i przetrąconym nosem. Patrzę na blat stołu, na którym od spodu ktoś napisał: *Jeśli to czytasz, jesteś mięsem.*

Karmoskop?

– ...na handel? – słysząc głos młodej wdowy.

– Kobieto, czym chcesz handlować? – odzywa się ktoś inny. Myślę, że Fioletowy Smoking. – Mendi z psychopolicji nikt nie tknie. Ich się nie wysysa.

– Nie mamy pewności, że ona jest z psychopolicji – obstaje przy swoim bolejąca wdowa. – A nawet jeśli, nie możecie jej po prostu spłukać?

– Wytłumacz jej, czym jest osad.

– Nie ma czasu – wtrąca Futerkowa Bielizna. – Stoimy po kolana w Sovayach. Zrobimy to raz-dwa, czy poczekamy, aż będziemy ich mieli po uszy?

– Zaraz zaczynamy – oznajmia Fioletowy Smoking. – Później pozbieramy tych, którzy jeszcze szwendają się po świecie.

– Że też musiałeś wypróbować towar – mówi z wyrzutem Futerkowa Bielizna. – Chciałeś wiedzieć, co jest grane. I co, jesteś teraz szczęśliwy, przygłupie?

– O wiele szczęśliwszy. Po pierwsze, nawet go lubię, po drugie, wiem na sto procent, że nie posiada tej mitycznej bazy danych. I coraz częściej myślę, że ona naprawdę jest mitem. – Fioletowy Smoking parska chichotem, którego doprawdy wolałabym nie słyszeć.

Poruszam się i czuję ogień w żebrach. Czołgam się w ślimaczym tempie, aż jestem w stanie wyściubić głowę spod stołu (Jeśli to czytasz, jesteś mięsem – taa, dzięki za przypomnienie) i spojrzeć na gołe nogi Futerkowej Bielizny. Za nią Rowan dosłownie przeskakuje z nogi na nogę, broniąc się przed obmacującym ją Herkulesem. Nieopodal Strąkowy Włos dochodzi do siebie, ale wciąż wygląda na takiego, który nie za bardzo wie, jak się nazywa.

Futerkowa Bielizna widzi mój ruch i próbuje mnie wepchnąć nogą pod stół. Przypominam sobie jej imię, Souse, co jest nie lada wyczynem, biorąc pod uwagę, przez co dzisiaj przeszłam. Zastanawiam się, czym się akurat zajmowała, kiedy pojawiłam się w fetyszerii. *Po to co zwykle...* Czy teraz to dostanę, nawet o tym nie

wiedząc? A może zrobili ze mnie zsypanie dla wyssanych ochłapów? Jak to się dzieje, że o tym nie wiem?

Niewykluczone, że mam nie pamiętać tej roli. Cholera! To co zwykle, dobre sobie.

Różne duperszwance przychodzą mi do głowy: Po jaką cholere wtrącam się do ssaczy? Jeśli kogoś wyssa, to wycyckają każdego, kto się do nich zbliży. Czy tak ma wyglądać moje życie? Czy nie widzę, że już teraz dzieje się ze mną coś niedobrego, jakby mnie wycyckano na maksa?

– ...zespolic się na nowo – mówi Rowan. – Wezmę puszkę ze sobą.

– Spadaj! – odpowiada Futerkowa Bielizna. – Sama to zbudowałam.

– Dzięki mnie twój wysiłek nie pójdzie na marne – upiera się Rowan. – Poza tym nic ci już z tego nie przyjdzie. Nigdy nie pozbędziesz się Sovaya, nawet jeśli co dziesięć minut będziesz go splukiwać i wymazywać. On jest teraz tą puchą. To sama esencja aktorstwa metodycznego.

Wydaje mi się, że słyszę, jak Futerkowa Bielizna zgrzyta zębami. Ale nie, to puszka. Została podpięta i uruchomiona. Ponownie wypełzam spod stołu i nadziewam się na Super Marchewę, który podnosi mnie jak kota.

– A skoro mowa o psychopolicji... – zauważa.

– Chryste, ty w kółko o tym samym! – beszta go Futerkowa Bielizna. – To tylko wspomnieniowa ćpunka. Obie eskortowałyśmy dla Bateau, zanim, hm... odszedł na emeryturę. To nie jest żadna agentka. Głupia krowa załatwiła jakąś durną aktoreczkę i postanowiła sama prowadzić swoje interesy. Okazało się, że aktoreczka jest gliną, i Bateau dał się z nią złapać. W międzyczasie nasza ćpunka wymknęła się tylnymi drzwiami. Anwar opowiedziałby ci o tym, gdyby jeszcze pamiętał. Dziękujemy Bogu za kasowanie pamięci, co, Anwar?

Super Marchewa patrzy na nią z góry.

– Anwar jest akurat trochę przymulony. Zapytaj go później.

– Ona robi za zsypanie od niepamiętnych czasów – ciągnie Futerkowa Bielizna. – Wpadła w taki nałóg, że jeszcze płaci za ten przywilej. Doszliśmy do wniosku, że prędzej czy później wróci do starych przyzwyczajień, nawet jeśli Bateau znikł z rynku. Takie już są wspomnieniowe ćpuny. Nie mają przed sobą przeszłości, mogą tylko zawrócić. Pomyślałam sobie, że wyssiemy Sovaya i poczekamy na nią, aż się ujawni, a potem ich ze sobą spikniemy i zgarniemy bazę danych, której szukał Bateau, nim zwinęły go gliny.

– Nie ma żadnej bazy danych – mówi Super Marchewa. – A nawet jeśli jest, to ja jej nie mam. Nikt, kto jest mną, jej nie ma.

– Jaka baza danych? – pyta Rowan, lecz wszyscy ją ignorują.

– W takim razie ciągle jest w puszczy i ćpunka może ją odblokować. Byłoby łatwiej, gdybyśmy mieli aktorkę, ale powinny wystarczyć nam wspomnienia tej ćpunka.

Możecie ją potem zeskrobać z obcasa jak błoto i zrobić z nią, co chcecie. Ale jeśli ktoś się boi, że ona jest z psychopolicji, przeprowadzimy test. – Z udawaną czułością zarzuca sobie na ramię moją rękę, aż bierze mnie chętką, żeby jej przyłożyć. – Marceline psychopolicjantka, koń by się uśmieł. To jeszcze lepsze niż Marceline aktorka.

Marceline... Zastanawiam się, czy ta szopka może być jeszcze bardziej absurdałna, gdy prowadzi mnie na stary fotel dentystyczny i puszcza, bym usiadła. Przygląda się uważnie moim oczom, nim wyciągnie rękę po lewe.

Dość tego, myślę i otwieram usta, żeby wrzasnąć, ale dzieje się coś naprawdę niesamowitego. Ni z tego, ni z owego poruszam się jak pod wodą, widzę nawet małe wzburzenia i zawirowania wokół jej dłoni, która jednak przesuwa się wolniej i wolniej. Próbuję się zorientować w sytuacji, gdy nagle w moim umyśle otwiera się studnia i wpadam do niej z kretešem.

\* \* \*

Trudno mi to opisać inaczej. Jakby ziemia usunęła mi się spod nóg. Już w następnej chwili siedziałam w dziwnym, kiepsko oświetlonym pomieszczeniu. Wyczuwałam przy sobie obecność innych osób, lecz światło było zbyt ciemne lub zbyt ostre, lub coś było nie tak z moim widzeniem...

– Po pierwsze, spokój – odzywa się znajomy kobiecy głos. – Wszystko wskazuje na to, że mamy jakieś problemy. Nie przejmuj się, jeśli nie wiesz, na czym polegają.

Próbowałam zobaczyć, kto do mnie mówi, lecz światło całkiem wysiadło.

– To twój program pilotujący – ciągnie ten sam głos. – Na potrzeby badania uruchomiono program maskujący. Dotąd żadna sonda nie dotarła na ten poziom, więc na razie nikomu nic nie grozi.

Próba zmiany kąta patrzenia też się na nic nie zdała. Miałam wrażenie, że grzęznę w płynnym kauczuku albo w żelatynie.

– W tej chwili nie możesz złożyć raportu – mówi dalej głos. – Teraz zbierz siły, ponieważ lada moment będziemy wychodzić na powierzchnię. Bądź gotowa; są problemy z alokacją plików i każdy, kto jest w tobie, może sięść za kółkiem. Jeśli chcesz wiedzieć (o czym i tak zapomnisz), powiem ci jeszcze, że elektrowstrząsy nie wyrządziły żadnych nieodwracalnych szkód. Powstał tylko pewien mętlik. Fragmenty pamięci stały się nieczytelne w niektórych sektorach, czytelne zaś w innych, niewłaściwych, do tego przekręcone. Ale to można naprawić.

– Odchodzę! – krzyknęłam, a właściwie usłyszałam swój krzyk. Czułam, że to ja, ale czułam też pewne oddalenie, jakby krzyczał ktoś taki jak ja. Doprawdy, nie widziałam w tym ani grama sensu.

- Jeśli tak, umowa zostanie rozwiązana – mówi głos. – A więc się zdecyduj.
- Nie mogę! – odpowiedziałam... powiedzmy, że ja. – Nigdy nie prowadzę!
- Uwaga, za chwilę przejście w czas rzeczywisty – oznajmił uprzejmy głos. – Kimkolwiek jesteś, prowadź ostrożnie.

\* \* \*

Skupiłam wzrok na twarzy kobiety w futerkowym bikini. Z boku napierał na nią facet w fioletowym smokingu.

- Ani śladu psychopolicji – stwierdził z ulgą w głosie.
- A nie mówiłam? – Odwróciła się i skinęła na Rowan. – I tak przedstawia się sprawa – powiedziała, gdy ta odepchnęła mężczyznę w fioletowym smokingu. – Najlepiej będzie, jeśli po wyciągnięciu bazy danych oddamy ci ten zsyp, żebyś mogła w nim złożyć do kupy męża. Wiem, że to kobieta, a nie mężczyzna, ale jej mózg gwarantuje lepszy rezultat. Zsypy są przyzwyczajone do przyjmowania najróżniejszych rzeczy, w pewnym sensie wykazują większą elastyczność. Ona się lepiej przystosuje.

U boku Rowan pojawił się Herkules.

- A mnie się podoba ten. – Wskazał na siebie. – Zresztą sama zobacz. On też ci się podoba, Rowan, wiem o tym.

W rozterce spoglądała to na niego, to na mnie.

- Tak, ale musimy zminimalizować ryzyko. Ona twierdzi...
- Chryste, a co ona może wiedzieć? Jest neurochirurgiem, czy co? Użyjmy tego ciała! Przepisałem faceta od A do Z...

Rowan westchnęła przeciągle.

- Ze względów estetycznych wybrałabym ciebie, ale... – Znowu spojrzała na mnie.

\* \* \*

To mnie przyprawia o dreszcze. Zrozpaczona wdowa, pomyślałby kto! Rozporządza każdym, kto pomoże jej odzyskać męża, jakby to był dla niej chleb powszedni. Cóż to być musi za mężulo! Może dla swojego męża zrobiłabym to samo, ale nie mogę uwierzyć, że ze względu na niego trzyma sztamę ze ssaczami i sprzątnie kogoś z tego świata. Przecież nawet nie wie, czy go odzyska; jeszcze nie słyszałam, żeby komuś...

\* \* \*



Przedziwne. Tym razem nie było zaciemnienia, lecz Marya się obudziła, nie zauważyła mnie i znowu odpłynęła. Taka rzecz nie miała prawa się zdarzyć.

– Słuchaj, ja się zgłaszam na ochotnika – oświadczył Herkules. – Z ochotnikiem powinno pójść łatwiej.

Kobieta w futerkowym bikini wyciągnęła rękę i pogłaskała mnie po głowie.

– Nikt za nią nie zatęskni, to ci mogę obiecać. Jesteś na tyle bogata, że możesz jej nawet zmienić płeć, kompletnie ją przemodelować.

– Naprawdę w ten sposób najmniej ryzykujemy? – zapytała Rowan, jakby jeszcze raz chciała się skonsultować ze specjalistką.

– I mało prawdopodobne, że was nakryją.

Rowan wzruszyła ramionami.

– Dobra, podpinajcie ją i miejmy to już z głowy.

– Włączcie puszkę! – zakomenderowała druga kobieta. Zaczęła się odwracać w moją stronę i znów odpłynęłam.

\* \* \*

Nie było ćwiczenia relaksacyjnego, tylko kilka sekund snu, a potem wokół mnie ukazało się – jakby wstawał świt – studio prób Sovaya.

Sovay siedział na poduszce na środku pomieszczenia, zwrócony plecami do luster na ścianie. Krzywe zwierciadła; poruszały się w nich niewyraźne sylwetki, reagujące na jego myśli. Czytał wnikliwie coś, co wyglądało na maszynopis ze scenariuszem sztuki. Obok na ziemi piętrzył się stos innych scenariuszy. Jego skóra nie była już pomarańczowa... a raczej miała kolor beżowy, wpadający w brąz. Powiedziałabym, że najzupełniej naturalny.

Gdy się wyłoniłam z niebytu, podniósł wzrok i zmarszczył czoło.

– **Kurde!** – powiedział. – **Znowu ktoś...**

Zaczęłam mu się tłumaczyć i nagle moja opowieść przeniosła się do luster: odbijały się w nich zamiary ssaczy, działania Rowan oraz to, kim jestem.

– **Wiedziałem, że w którymś wcieleniu będę miał tyle oleju w głowie, żeby zadzwonić po gliny. Chociaż... czy warto? Sama przysłaś?**

– **Nie wiem** – odpowiedziałam.

Odrzucił scenariusz i westchnął.

– **Jakoś wątpię, czy opracowałaś dla nas cudowny plan ocalenia.**

Już chciałam mu powiedzieć, że tego też nie wiem, gdy raptem coś mnie z impetem pchnęło w jego stronę. Widziałam jego twarz, pędzącą ku mojej, i prawie natychmiast, jakby nigdy nic, znaleźliśmy się znów w punkcie wyjścia.

– **Boże, co za partyzantka!** – powiedział.

Nagle jakaś siła porwała go w górę i rzuciła na mnie. Moje pole widzenia zatrzęśło się i ponownie wróciliśmy na pozycje startowe.

– **Nie wiem, kto stoi za sterami, ale nie ma pojęcia, jak się do tego zabrać.** – Sovay wydawał się wręcz rozbawiony. – **Ale bycie wydzieloną wieloraką osobowością daje przewagę nad takimi prymitywami. Chyba się ze mną zgodzisz.** – Przeniósł spojrzenie gdzieś za mnie. – **Na pewno. Jesteście tu wszystkie.**

Odwrociłam się. Zobaczyłam Maryę z kimś do niej podobnym – z kimś o imieniu Marceline. Była jeszcze szczupła, dość wymuskana babka, jakby dopiero co wyszła z ośrodka resocjalizacji, z tyłu zaś kolejne twarze, chwilowo tylko zjawy, choć urealnilyby się, gdybym wyteżyła wzrok. Wiedziałam, że na razie nie mogę na to pozwolić, więc odwróciłam się z powrotem do Sovaya.

– **Niektórzy z nas dzielą się spontanicznie** – powiedział. – **Nie chciałabys wiedzieć, co się do tego przyczynia. Innych, takich jak ty, można skłonić do podziału. Zdolności już są, potrzeba jedynie odpowiedniego bodźca. Czasem robimy karierę aktorską, czasem wstępujemy w szeregi policji.**

Stanęła mi przed oczami twarz Flaxiego. *W teatrze pełno neurotyków...*

– **Mógłbym się tak dzielić po prostu w nieskończoność. Prawda, Puszko?** – Gdy się rozejrzał, całe studio wolno zafalowało na znak potwierdzenia. – **Jest jeszcze jedna osobowość, będąca Puską. Ona, ja, ten stary materiał...** – Poklepał stos scenariuszy. – **To wystarczy, żebym mógł się bez końca replikować.** – Roześmiał się i nagle skrzywił w wyrazie udręki.

\* \* \*

Jednym okiem patrzę na Futerkową Bieliznę, drugim...

\* \* \*

...nadal byłam w puszcze z Sovayem, który nie przestawał okazywać wstrętu.

– **Nie cierpię, kiedy to robią** – powiedział. – **Ohydnie to wygląda.**

\* \* \*

– **Czemu nie chcesz być grzeczna?** – odzywa się Futerkowa Bielizna. Na jej ustach wisi okrutny uśmiech. Obok niej wpycha głowę Rowan.

– Coś nie tak? – pyta wdówka ze zniecierpliwieniem.

– Jakoś nie chcą się skumać. Do dupy z tym sprzętem marzycieli!

– Trzeba było wybrać mnie – żali się Herkules poza zasięgiem mojego wzroku. –  
Ja chcę nim być, ona nie.

– Nie przejmiesz bazy danych – wyjaśnia ponuro Futerkowa Bielizna.

– Co to za baza danych? – dopytuje się Rowan. – Bez przerwy o niej gadacie.

– Informacje operacyjne psychopolicji. Posiadają je agenci działający w utajnieniu. Baza może zawierać listę kapusiów lub wszystkich tajniaków. Dowiemy się, gdy ją zobaczymy.

– U Sovaya na pewno jej nie znajdziecie – stwierdza Rowan.

Futerkowa Bielizna mierzy wdowę takim spojrzeniem, jakby ona też była błotem, które trzeba zeskrobać z butów.

– Niby skąd to wiesz?

– Pomagałam mu ją wykasować.

– Kłamiesz – mówi Futerkowa Bielizna, lecz już bez wcześniejszej pewności siebie.

– Nie kłamię. – Rowan parska swoim głupim śmiechem. – Dlatego go wyszaliście? Tyle zamieszania z powodu bazy danych, która już nawet nie istnieje? – Jeszcze chwila i wystrzeli jak petarda z butelki, wybuchnie fajerwerkami hysterii.

Futerkowa Bielizna chyba już dyszy żądzą zabijania.

– Oszczędziłabyś nam masę problemów, gdybyś trzymała gębę na kłódkę.

– A pytaliście o coś? Wrąbaliście się do domu i wyszaliście go! – Taa, istny Dzień Niepodległości.

– Mogłaś powiedzieć nam teraz – mówi ponuro Futerkowa Bielizna. – Na szczęście nie wszystko stracone.

Ogarnia mnie panika, bo wiem, że ma na myśli splukanie i wymazanie. Akurat gdy myślę, że zaraz rozedrę się na całe gardło, odczuwam coś jakby uchwyt czyjejś dłoni, lecz od środka. Boże...

\* \* \*

– Pudło – powiedziałam. Musiałam sięgnąć daleko. Posłużyłam się Marceline, żeby się rozciągnąć, co jej nie przypadło do gustu. Trudno, musiała swoje wycierpieć, nie miała jakiegoś specjalnego wyboru. Jak każda z nas.

\* \* \*

Glina. Pojmuję to już w momencie nawiązywania kontaktu i zrobiłabym pewnie

zadymę, tyle że akurat mam większe problemy na głowie. Nie pora kręcić nosem i kombinować, kim właściwie jestem. Pora się zastanowić, czy będzie miała wsparcie, na które podobno mogą liczyć agenci psychopolicji. Po raz pierwszy chciałabym zobaczyć, jak skubana kawaleria wyłamuje drzwi.

Coś się porusza w moim ograniczonym polu widzenia, za plecami Rowan. To Herkules. Cholera, wygląda jak zbity pies...

\* \* \*

– **Z Dionizosem nie ma żartów** – powiedział Sovay. – **Rowan niepotrzebnie go wkurzyła.** – Zerkał na zewnątrz przez okienko, którym było moje oko.

\* \* \*

Futerkowa Bielizna pada z wielkim rumorem. Herkules chwyta ją za włosy i podnosi, ale już wypadła z gry.

– Załatwcie ją! – krzyczy i wskazuje na mnie.

\* \* \*

Sovay zaczął coś do mnie mówić, lecz wtedy...

\* \* \*

...odskakuje do tyłu ze śmieszną strzałką w nagiej piersi. Rowan podnosi wrzask.

– Siedź cicho! – nakazuje Fioletowy Smoking i chowa pod hiszpański pas malutki pistolet. – Dobra, ciebie też mam tym poczęstować?

Czy ten ciul mówi o mnie?

\* \* \*

Twarz Sovaya znowu wypełniła moje pole widzenia, więc mogłam zobaczyć niewiele więcej.

– **Tego się obawiałem** – powiedział – **Spluczą i przeczyszczą. Nie mnie. Ciebie.**

– **Ale to ty jesteś puszką** – zauważyłam. – **Nie możesz ich powstrzymać?**

– **W tym przypadku nie. Bo ty nie jesteś puszką.**

\* \* \*

Czuję obcy napór w głowie, jakby czyjaś pięść ścisnęła mnie w środku. Fioletowy Smoking patrzy na moją twarz i kiwa głową z zadowoleniem. Mogłabym się zastanawiać, którym jest Sovayem, że tak niefrasobliwie podchodzi do tej sprawy, lecz uczucie paniki tłumi wszelkie myśli.

– Standardowa procedura ssania – zwraca się do Rowan, która ma minę, jakby targały nią rozliczne wątpliwości. – Jeśli płukanie i przeczyszczanie wpędzi ją do środka, być może jego wypędzi do dostępnego pojemnika. – Głaszcze mnie po głowie. Rany...

W tym momencie Mersine tłumaczy mi, co się będzie działo, i nie ma czasu na sprzeczki, bo zaraz stąd spadamy, spadamy stąd wszystkie, i rozlega się straszny hałas, ktoś trzaska drzwiami, ładują się oknami, spuszcza się z sufitu i sam sufit wali się na mnie, na nas wszystkie, ale się spóźnili, to ostatnia sekunda, ostatnia dla nas wszystkich...

\* \* \*

Sovay prześliznął się koło mnie w stronę otworu, który bardziej wyczuwałam, niż widziałam. Chciałam iść za nim, ale ten biegun mnie odpychał. Uderzył mnie centralnie niewidzialny młot i poleciałam na lustrzaną ścianę. Lustro pękło i zaczęło rozpadać się spiralnym ruchem, co przypominało cyklon zwiększający prędkość.

Rozłożyłam ramiona, chcąc przygarnąć całą resztę: makiety i prawdziwe wielorakie osobowości, teraz już nie miało to znaczenia.

Powinieneś był mi powiedzieć, Flaxie. To wbrew przepisom, ale tak czy owak powinieneś był mi powiedzieć. Mogłeś mi powiedzieć, że to nie makieta, lecz katalizator mający ją obudzić, zamiast robić ze mnie głupca, który wierzy, że jest tym, kim jest – że wszyscy są tymi, za których ich uważam.

Ale tylko ja uwierzyłam. Pozostali, którzy byli mną, wiedzieli co innego. Zresztą nie mogłam się dowiedzieć. Inaczej zamknęłoby się koło: istniałoby ogniwo łączące nas wszystkie i psychokasowanie mogłoby nas wszystkie załatwić. A tak pod topór szłam tylko ja. Karmoskop, jak najbardziej. Karmoskop wreszcie się spełnił. A więc moja kolej. Oto termin zapłacenia rachunku za to, jak musiałam postąpić z Marceline. Odebrałam jej życie i teraz muszę je zwrócić. To jedyne słuszne...

\* \* \*

...sięgam prawą ręką i wyrywam przewód z oka.

Ktoś krzyczy. Chyba Rowan, ale może to ja...

\* \* \*

?

– Życzę szczęścia – powiedział. – Mam nadzieję, że dasz radę.

//////  
\\ \\  
////////  
\  
////////

.. jakby mi kto przycisnął głaz do policzka. Dostrzegam krążącego nade mną sanitariusza. Łysy, niebieska skóra, wygląd ziomala. Chętnie bym mu rozkwasiała nochal, lecz w tej sytuacji nie rozkwaszę nawet bańki mydlanej.

– ...bajzel – mówi. – Paskudna sprawa. Paskudna... Nerw wzrokowy w kawałkach, musiało boleć jak skurwysyn. Będzie potrzebny przeszczep.

Za nim pojawia się Rowan. Mam wrażenie, że patrzę na nią przez teleskop odwrócony tyłem do przodu. Wydaje się taka odległa. I znajoma.

Wokół niej zbierają się pozostali: Fioletowy Smoking, Strąkowy Włos, Herkules, Super Marchewa. Są też inni, których nigdy nie widziałam. Czyżby Sovayowie, którzy dotarli do źródła niczym ryby płynące w górę rzeki, żeby złożyć ikrę?

– Najgłupsze rzeczy przytrafiają ci się w najgłupszych chwilach, co, Mersine? – mówi niebieski sanitariusz, a ja uświadamiam sobie, że gadam coś, czego nawet nie słyszę. Chyba że gada kto inny, a ja tu jedynie zapuszczam żurawia.

Ktoś przeciska się przez gang Sovayów. Muszka w Oku. Patrzy na mnie i kręci głową. Obok niej staje ktoś jeszcze, jakiś facet w dziadowskim skórzanym pancerzu. Wokół ust migoczą drobniutkie świcidelka, twarz wyraża głębokie obrzydzenie.

– Salazar będzie musiała pluć – mówi.

– Będzie musiała pluć tak czy owak – odzywa się Muszka w Oku. – Tym się zajmuje. – Przysuwa się odrobinę bliżej, zawieszona nad ramieniem sanitariusza. – Słyszysz mnie tam?

– Słyszę – pada odpowiedź... bynajmniej nie moja. Ktoś inny włada strunami głosowymi. Pewnie Marya. Mój substytut, ja z nieco innego kontekstu.

– Miałaś wyjść razem ze mną od fetyszerki. Obserwowaliśmy ją od tej sprawy z Bateau, ale nie mogliśmy jej przeszukać bez nakazu. Ponieważ nie chciałaś iść ze mną, pomyślałam sobie, że twoim zdaniem kto inny wyssał Sovaya i wolisz jeszcze

poczekać. Ale nie zareagowałaś na hasło startowe.

– Hasło startowe? – słyszę swoje pytanie.

– „Sopel”. Kiedy po raz drugi nazwałam cię soplem, miałaś pójść ze mną. Marya miała by erotyczne sny, podczas gdy agentka mówiłaby mi, co odkryła.

– Nie odkryłam niczego sensownego oprócz nazwy „Małpi Wstrząs” – mówię.

– I to by nam wystarczyło – stwierdza facet w debilnym pancerzu. – Mogliśmy uruchomić sieć agentów, którzy pilnowaliby cię na zmianę.

– Nie widzę w tym ani grama sensu – mówię. Ja mówię! – Trzeba było zastartować agentkę i kazać jej wszystko wyśpiewać.

Muszka w Oku potrząsa głową.

– Nie dopuszczamy do tego, żeby nasi agenci wiedzieli, kto im daje wsparcie. Taką mamy strategię.

– Na wypadek, gdyby mnie wysnali.

– Spodziewaliśmy się, że zostaniesz wyssana. To znaczy Marya, nie Mersine. Marya pojawiła się jako twoja replika, Marceline. Ponieważ byłaś od początku zsympem, nie mogliśmy ryzykować, że utracimy ciebie i twoje dowody. Ale wszystko się popierdzieliło. Marya zajmuje teraz miejsce Mersine w mózgu i upłyną wieki, nim skonstruujemy następną agentkę i umieścimy ją tam...

Wpadam we wściekłość. Napinam się, żeby wstać i walnąć ją w ryło, lecz niebieski ziomal musiał mnie czymś przywiązać. Napiera z góry na moje ramiona i mówi:

– Cichutko, nie denerwuj się. Paskudna sprawa, paskudna... – Kieruje wzrok na Muszkę w Oku i dodaje: – Wątpię, czy rozmawiałas z tą, z którą chciałaś rozmawiać. Lepiej idź się wywnętrzać gdzie indziej, nim wywołasz ata...

\* \* \*

***Twierdzą, że przeleżałam w szpitalu szesnaście godzin, a ja prawie nic nie pamiętam. Radzili zostać dłużej, ale się nie zgodziłam. Na pytanie o przeszczep odpowiedziałam: Nie, dzięki. Walić to, da się żyć bez jednego oka, zwłaszcza policyjnego. Kontrakt wygasł i mogą mi gówno zrobić, co najwyżej, wieśniaki, zmusić mnie do zwrotu ubrania. I tak właśnie się stało.***

***Mały Blondasek w garderobie zrobił z tego wielkie halo. Kazał mi oddać wszystko sztuka po sztuce, w zamian za co dostałam stare policyjne łachy. Które były w lepszym stanie niż to, co mi zabrali, więc przynajmniej na tym wyszłam na swoje. Jednak nie mogłam zajarzyć, czemu tak się z tym pieprzy i certoli, dopóki nie zjawiała się ona.***

***Chuda? Mało powiedziane. Widziałam już grubszych, zagłodzonych na śmierć. Nie mogłam uwierzyć, że się kiedyś znałyśmy, lecz to nie uległo***

wątpliwości. W mojej głowie tłoczyły się poplątane wspomnienia kobiety za biurkiem, która żuje i wypluwa – czasami do specjalnego otworu w blacie, czasami klęcząc na podłodze w gabinecie pełnym opasłych mebli. Przypomniało mi się całowanie w usta. Żołądek praktycznie przewracał się we mnie, gdy patrzyłam na nią i musiałam o tym myśleć.

– Kontrakt wygasł, więc zgodnie z prawem może pani odejść ze służby – zaczyna oficjalnym tonem. – Ale proszę to jeszcze przemyśleć. A przynajmniej pozwolić, żebyśmy dali pani nowy nerw wzrokowy i nowe oko. Jesteśmy to pani dłużni.

Dotykam łatki na twarzy i myślę o agentce, którą niegdyś byłam – lub o tej, która kiedyś była mną. Myśląc o niej, mam wrażenie, że byłby to również jej wybór. To znaczy nie wiem tego na pewno, bo nigdy jej naprawdę nie poznałam, zresztą nie lubię się zadawać z glinami, nawet jeśli są mną... lecz żal mi jej, gdziekolwiek się znajduje. To ja miałam zostać wyssana, nie ona. No więc zaciągnęłam u niej wielki dług – chociaż może jestem głupia, że w to wierzę, bo gdyby od początku wiedziała, że jest makietą, mogłaby się ze mną zamienić miejscami i pozwolić mi spłynąć do ścieku. Lecz nie dano jej szansy na podjęcie decyzji.

– Rowan pójdzie za to siedzieć – mówi Chuda i kiwnięciem głowy wskazuje moją łatkę. – To samo niektórzy Sovayowie. Reszta będzie czekać, aż wyjdą. Nie mam pojęcia, co wtedy zrobią. Większość oryginalnych osób została przepisana tak dokładnie, że nie da się ich już odtworzyć ani jako ich samych, ani jako Sovayów.

– Czemu mi o tym mówisz? – pytam.

– Myślałam, że to cię zainteresuje.

– Wcale nie. Od dawna robię za zsypanie i nie potrzebuję tego, co mi tu wypluwasz.

Chyba się obraziła, ale co może mi zrobić? Przecież mnie nie wyleje. Zresztą nigdy tu nie pracowałam i teraz to ja siedzę za kółkiem. Jeśli pozostałe, które są mną, uważają, że to nie fair, trudno, w życiu nic tak do końca nie jest fair. Jeśli dobrze pamiętam...

Kończę ceremonię Wielkiej Wymiany Ubioru, ignorując zboliałą minę Małego Blondaska. Płacze mi się po głowie pewne wspomnienie, maleńkie wspomnienie, w którym on patrzy na mnie i mówi: „Wróć tu, kiedy będziesz chciała zdjąć makietę”. Nie mogę mu tego wybaczyć. Kłamał jak ostatnia gnida i guzik mnie obchodzi, czy tak mu kazali przełożeni. Ona może pozwoliłaby im bez skrpułów mnie wyssać, skoro nie wiedziała, kim faktycznie dla niej jestem, lecz powinna była dowiedzieć się prawdy, żeby podjąć decyzję, czy



**wywalić mnie za burtę, czy pozwolić mi żyć.**

**Zresztą walić ją! Pracowała w psychopolicji, a to same mendy. Jeżeli ja przeżyję bez jednego oka, to świat przeżyje bez jednego gliny.**

**Poza tym wiem coś, czego oni nie wiedzą. Choć raz. A oto co wiem: ona wróci. Nie dzisiaj, nie za miesiąc, ale już niedługo dokooptuje do ekipy. Dzięki jej drobnym wspomnieniom, rozrzuconym tu i tam. Skojarzenia już się zaczynają łączyć i nic na to nie poradzi. Może powinnam ją z siebie odessać, zanim to się stanie, lecz tego nie zrobię. Nie tym razem. Pewnego dnia doszłusuje, rozejrzy się i zapyta: Co to, cholera, za cyrk? Wtedy jej opowiem o tym, jak potraktowali mnie i nas wszystkie. Zobaczymy, czy zechce być jeszcze psychopolicjantką.**

**Jeśli tak, no cóż, tym razem będzie na tyle zorientowana, że być może postanowi dać nam wszystkim szansę. Kto wie? W każdym razie ja bym dała. Czy da ona? Nie wiem, nie wiem, po prostu nie wiem...**

**\* \* \***

...cholera, co tu się znowu wyrabia???

# Część III

## **Nie ma głupich**

Samochwalstwo zawsze było najmniej pociągającą cechą twojego charakteru – powiedziała Em-Cate. Musiała odchylić głowę do tyłu, żeby popatrzeć na mnie z góry, lecz, o raju, udała jej się ta sztuka!

– Przynajmniej w moim przypadku jest się czym pochwalić! – odpowiedziałam. Spokojna muzyka, towarzysząca naszej wymianie zdań, nagle się urwała i moje słowa zadudniły w ciszy. Ustały rozmowy.

Em-Cate nie zamierzała się przejmować tym, że wszyscy się na nas gapią.

– Czym, braniem do głowy na chybcika? Zapominasz, że im twardnieje coś innego niż mózgi?

Kilka kroków za nią kobieta w animowanej kreacji z piór zasłoniła ręką usta, zgorziona i podekscytowana.

– No tak, ty wiesz lepiej. Ja nie noszę nakolanników z dedykacją.

Em-Cate niespodziewanie chlusnęła mi w twarz winem. Przez dłuższą chwilę tylko stałam i ociekałam pinot noir. Gdy trunek przemoczył łatkę na oku, skrzywiłam się, zastanawiając się, czy z białej imitacji skóry, którą miałam na sobie, zejść plamy. Ona tymczasem przewiercała mnie swoim ognistym, triumfującym spojrzeniem, będącym jej specjalnością. Apetyczna scenka dla miłośników tanich melodramatów.

Chyba takich jak cała obecna tu gawieź. Nastąpiła burza spontanicznych, wręcz entuzjastycznych owacji, które zaskoczyły mnie w większym stopniu niż bezczelna improwizacja Em-Cate. Nadal rozglądałam się po sali, kiedy chwyciła mnie za rękę, uniosła ją wysoko i pochyliła się wraz ze mną w niskim ukłonie. Potem rzuciła mi serwetkę i wysforowała się na czoło, żeby znów się uklonąć. Na koniec wyciągnęła do mnie rękę, żebym zrobiła to samo.

– Prędszej – szepnęła nagląco ze sztucznym uśmiechem.

Ukloniłam się, ścierając wino z oczu, i wróciłam do stołu bufetowego. Em-Cate z przesadną gestykulacją wywołała z tłumu dyrektora.

Jasper stanął przed nami i uklonił się w pas, robiąc wiaterek skrzydłami włosów, które ostro sterczały na boki. W swoim pudełkowym garniturze wyglądał jak trofeum w kartonie przed wysyłką. Podziękował najpierw Em-Cate, potem mnie i wreszcie capnął prezenterkę i wypchnął ją przed siebie. Ta też się kłaniała, klaszcząc. Jej kostium ze światełek migotał jak

oszałały.

– No, to się nam zrobiło rozrywkowo – powiedziała, machając Jasperowi. – Nawet ja na chwilę dałam się nabrać, a przecież sama ich tu ściągnęłam. „Grające Swojaki”, czyż nie są świetni? Co myślicie?

Ponownie rozległy się gromkie owacje. Musiałam walczyć ze sobą, żeby nie czmychnąć z powrotem do pokoju gościnnego i nie schować się za zamkniętymi drzwiami. Em-Cate podpłynęła do stołu bufetowego z mojej strony, żeby dolać sobie wina.

– Weźże się, kurna, uśmiechnij! – szepnęła, szczerząc zęby do tłumu. – Nie jesteś na pogrzebie.

Uśmiechnij się... Raju, pomyślałam i rozciągnęłam usta w nędznej podróbce uśmiechu.

– Dzisiejsza awanturka została zaimprovizowana na podstawie zapisków osoby, która jest właśnie naszym gościem – ciągnęła radośnie prezenterka. Rozległy się achy i ochy. – Mam nadzieję, że podejdzie odebrać zasłużone gratulacje.

Też miałam taką nadzieję. Jak zwykle ja i Em-Cate nie dostałyśmy żadnych szczegółowych wskazówek prócz oględnego scenariusza. Chciałam ujrzeć geniusza, który uważał, że kocie rozróby rozgrzeją emocje na przyjęciu. Nikt się jednak nie ujawniał.

– Ej, no! – wołała prezenterka. – Nie wyszłaś stąd chyba? Jesteś z nami jeszcze, Rowan?

O raju... W pierwszej chwili myślałam, że się przesłyszałam. Aż nagle ludzie przed prezenterką rozstąpili się i proszę, wyszła: brązowa, pyzata i jak zawsze bezpłciowa. Prezenterka nadal paplała, ale jej nie słuchałam i nie chciałam słuchać. Ruszyłam do pokoju gościnnego, który służył nam za przebieralnię. Odtrąciłam rękę powstrzymującej mnie Em-Cate i zignorowałam gniewny szept Jaspera, który informował mnie, że to jeszcze nie koniec.

Z pewnością miał rację, lecz ja osobiście zrywałam się z tego przyjęcia.

\* \* \*

– Odbiło ci, czy co? – Jasper zmierzył mnie karcącym wzrokiem, kiedy rozsmarowywałam krem na twarzy. Przed pokazem uparł się, żebym sobie pozłociła policzki, przez co później miałam wrażenie, że zdzieram papier ścierny.

– Odchodzę.

– Nie możesz. Wynajęli nas na cały wieczór, podpisaliśmy umowę.

Wzruszyłam ramionami.

– Idź sobie z tym do sądu.

Odwrócił się do Em-Cate.

– Ty z nią porozmawiaj.

Em-Cate przez chwilę gapiała się na niego, potem buchnęła śmiechem.

Klapnął na łóżko. Górna część pudełkowego garnituru zsunęła się aż na uszy. Ofiaro mody, imię twoje Jasper, pomyślałam, obserwując go w lustrze. Pewnie też bym się śmiała,

gdyby nie wstręt, który do niego czułam.

– Chryste – zaskomlał, wysuwając brodę z głębin ubrania – czemu zawsze trafi mi się jakaś świruska?! Doskonale wiem, że wołałybyście się wczuwać w role bohaterów Szekspira lub Tennessee Ernie Forda na prawdziwym proscenium, ale tradycyjny teatr zdechł. Chcecie grać na żywo, zostają wam mydlanki. Chcecie słyszeć własne słowa, bierzcie się za *Hamleta*.

– Sam się za niego weź, to dopiero byłoby widowisko! – Odwróciłam się od lustra i stanęłam u wejścia do łazienki. Ścierałam resztki kremu animowanym ręcznikiem. Ruchome wzorki na tkaninie otoczyły kolorowe plamy, zespoliły się z nimi i rozpoczęły nowe wygibasy. – I nie Ernie Forda, tylko Williamsa.

– To pewnie nie widziałaś libretta Jaspera do *Dwudziestu siedmiu wagonów wykałaczek* – zażartowała Em-Cate. – „Wykałaczkom zawsze ufać mogłem”. Adaptuje sztukę na trzy pokoje z łazienką.

Nie skwitowałam tego śmiechem. Em-Cate prawdopodobnie nie mijala się z prawdą, może nawet trafiła w samo sedno. Ale ja nie miałam złudzeń: naskoczyła razem ze mną na Jaspera, bo była wredna i chciała się na kimś wyżyć, ale nie z aktorskiej solidarności, a już tym bardziej solidarności ze mną. Po krachu „Teatryku sir Larry’ego” desperacko szukała jakiegokolwiek roboty i tylko dlatego razem pracowałyśmy.

Jasper rozpoczął tyradę o związkach opery mydlanej z klasyczną tragedią, rzucając cytatami, które były mniej więcej tak samo podejrzane jak jego umiejętności sceniczne. Ignorowałam go, próbując przypomnieć sobie nazwy teatrów, które podobno ostatnio organizowały przesłuchania. „Pod Wskazany Adres” przyjmował jak leci, ale tylko dlatego, że ze względu na swój psi repertuar tylko nieliczni aktorzy wytrzymywali do następnej produkcji. Raju, graliby sceny w kłocie, gdyby z tego była konkretna kasa. „Domownicy” co pewien czas przeprowadzali nabór... to samo „Domowe Przedstawionko”.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Pewnie bukiety, które ktoś z was zamawiał – zakpiła Em-Cate.

Nie wiedziałam, kogo bardziej ma na myśli, jego czy mnie. Zresztą nie mnie to nie obchodziło, bo już podejrzewałam, kto nam składa wizytę. Zdziwiłabym się, gdybym była w błędzie. Nie pamiętałam zbyt wiele na jej temat, lecz miałam silne przeczucie, że Rowan nie przepuści okazji, by się dziś ze mną spotkać. Bóg jeden wiedział, czemu...

Em-Cate otworzyła drzwi i popatrzyła na Rowan ze zrozumieniem.

– O, autorka we własnej osobie! Przyszła nam podziękować.

Rowan zmrużyła oczy.

– Kiepsczyna – stwierdziła lakonicznie.

Em-Cate roześmiała się na całe gardło.

– Ano tak... – powiedziała po chwili, wycierając oczy. – To było skazane na porażkę. Jeśli materiał wyjściowy jest do bani, trzeba uciekać się do tanich chwytów, na przykład oblewać komuś twarz winem. – Nie przestając się śmiać, odeszła do swojej antycznej toaletki,

gdzie jej przybory do makijażu mieszały się swobodnie z buteleczkami perfum należących do prezenterki. Usiadła przed lustrem.

– A do czego się uciekasz, gdy materiał nie jest do bani? – zapytała Rowan.

– To ma być pytanie retoryczne? – mruknął Jasper z niechęcią.

– Nie – odparła Rowan i skierowała na niego swoje puste spojrzenie.

Nie patrzył w jej stronę.

– Moje było.

– Nieważne, znam odpowiedź. – Ominęła go wzrokiem i natknęła się na mnie, gdyż ciągle stałam u wejścia do łazienki. Tutaj światło nie miało nic wspólnego z przygaszoną, baśniową iluminacją na sali, gdzie każdy prezentował się zajeźbiście nawet w oczach tych, którzy nie byli naprani. Było dla niej bezlitosne. Postarzała się, przy czym nie chodziło o jakieś banalne zmarszczki czy lekkie zwiótczenie skóry. – Kopa czasu – odezwała się do mnie znienacka.

Udałam, że spoglądam na zegarek, którego nie nosiłam.

– Sześć miesięcy, co?

– Dziesięć lat.

No jasne. Zapomniałam, że musiała kiblować za psychozbrodnię. Wyroki za psychozbrodnie były wyjątkowo niemiłe: delikwenta kładziono pod szklanym kloszem i przyspieszano pracę umysłu, który odnosił wrażenie, że czas płynie wolniej. W rzeczywistości sześć miesięcy, w subiektywnym odczuciu dziesięć lat. Pomyślałabym, że potraktowali ją za ostro, zwłaszcza że wcześniej miała czystą kartotekę... gdyby nie to, że to ja byłam ofiarą przestępstwa.

Żeby się na nią dłużej nie gapić, odwróciłam się i weszłam do łazienki zmyć makijaż. A jeśli już był zmyty – nałożyć go sobie i znowu zmyć... byle w tym czasie sobie poszła.

– Mam dla ciebie propozycję.

Popatrzyłam na jej odbicie w lustrze.

– Równie dobrą, jak zeszłym razem? Bo nie wyobrażam sobie, żeby coś przebiło poprzednią, kiedy chciałaś, żebym była Sovayem.

– Dziś chcę, żebyś go odnalazła.

Śmiejąc się, słyszałam również śmiech Em-Cate.

– Obywatelko, pozwól, że odkurzę ci pamięć. – Dotknęłam łatki na oku. – Sovay się odnalazł. Przedstawienie zamknięte, scenografia rozebrana, a ja nie jestem tym, kim chciałaś, żebym była. Jak każdy zresztą.

– Święta prawda... – Odezwała się Em-Cate, jakby mówiła do siebie.

– Podobno każdy, kto kupił u ssaczy Sovaya, zmutował i nie jest teraz ani nim, ani sobą – powiedziała Rowan. – Ale ja w to nie wierzę. Wierzę, że on jeszcze... żyje. W kimś...

Nałożyłam na twarz grubszą warstwę kremu.

– Z wyroku sądu trzymano go w puszczy ssaczy. Od chwili rozpadu w świetle prawa nie

żyje. U ludzi, których zbierałaś, żeby połączyć go w całość, proces przepisywania wywołał wewnętrzne konflikty...

– Ale żaden się nie wykasował. Sovay czeka gdzieś w uśpieniu.

Zmarszczyłam czoło.

– Nie masz szans.

– Sovay był rdzenną osobowością, źródłem. Każdy z nich go miał. Taka nie rozpuszcza się jak makieta postaci. Nadal istnieją skojarzenia, i to w takiej ilości, że mogłabyś go zidentyfikować, gdybyś spotkała się z nim psycha w psychę.

– A ty to co? – burknęłam. – Nie zidentyfikujesz go, jeśli spotkasz się z nim psycha w psychę?

Pokręciła głową.

– Nigdy nie spotkałam się w ten sposób z Sovayem.

– Ani razu?

Wyzywająco uniosła czoło.

– Zdaniem ludzi to coś nienormalnego?

– Nie wiem, jak ludzie, w każdym razie ja uważam, że to nienormalne.

Westchnęła.

– Mieliśmy z Sovayem pewne zastrzeżenia. Sądziłyśmy, że małżonkowie nie powinni utrzymywać ze sobą tak intymnych kontaktów.

– A przed ślubem?

– Nie, nic z tych rzeczy.

Wzruszyłam ramionami.

– To wcale nie znaczy, że go nie poznasz, kiedy spotkacie się psycha w psychę.

Wydawała się zgorszona.

– Nie zamierzam spotykać się z nim psycha w psychę, w życiu się na to nie zgodzę. Odczuwać te wszystkie okropieństwa... O, nie, mowy nie ma!

– Jakie znowu okropieństwa? – Brutalnie drażyłam temat, lecz czy ona nie oblała mi twarzy winem? Pośrednio, ale zawsze.

– No wiesz. Jego inne kontakty, inne spotkania psycha w psychę. Z psychoterapeutami, aktorami... z tymi wszystkimi ludźmi, którzy go mieli, którzy byli z nim w bliższych stosunkach niż ja. Łącznie z tobą. O, cóż to był za romans! Gdybyś zwyczajnie poszła z nim do łóżka, mogłabym to jakoś przeżyć: wywaliłby cię ze swojego systemu, a ty nie miałabyś punktu zaczepienia w jego pragnieniach. Sama świadomość tego mnie wkurza, więc wolałabym nie odgrywać wszystkiego w swojej głowie.

Nie byłam wcale pewna, czy wkurzałaby się bardziej niż teraz, po dziesięciu subiektywnych latach rozmyślań wyłącznie na ten temat.

– Może i miałoby to ręce i nogi, gdyby Sovay jeszcze istniał na świecie. Ale nie istnieje.

– Właśnie że istnieje – upierała się. – Wiem, że istnieje, bo dobrze go znam. Inaczej niż

znałaś go ty czy inni, ale wiem, jakim był aktorem. Metodycznym aktorem, wiadomo – parsknęła gorzkim śmiechem – tylko że jego metoda działała wspaniale. Normalnie każdy wchodzi w czyjąś skórę, ale nie Sovay. To w jego skórę wchodziły wszystkie postacie. Taki już miał charakter. Dzięki temu był w stanie zadzwonić do mnie, kiedy ssacze zaczęły go sprzedawać. Wiem, że on w kimś żyje, gdzieś się ukrywa, nie daje za wygraną. Mogłabyś go namierzyć. Żeby go rozpoznać, wystarczą skojarzenia, które pozostały w tobie. Masz w głowie idiotoodporny wykrywacz Sovayów. Mogłabyś go odszukać.

– Niby czemu?

Westchnęła ze zniecierpliwieniem.

– Skojarzenia, które...

– Nie o to chodzi. Czemu miałabym chcieć?

Stała na wprost lustra, przez co znalazła się w martwym punkcie i musiałam się odwrócić, żeby ją widzieć.

– Bo ciągle go potrzebuję. Ciągle go kocham... – Tym zapewnieniem, tak to odczułam, obnażyła się bardziej niż podczas spotkania psycha w psychę.

– Dobra, ale czemu miałabym to zrobić? Co będę z tego miała?

Zawahała się.

– Forsa nie wystarczy?

Roześmiałam się.

– A co, wyprawili cię z pierdła z walizką kasiory? Czego się dotkniesz, zamienia się w złoto, i nie wiesz, na co masz wydawać pieniądze?

Wyciągnęła z kieszeni kartę bankową, dotknęła kciukiem czytnik i pokazała mi stan konta, wyświetlony w lewym górnym rogu.

– No, jestem pod wrażeniem – stwierdziłam zgodnie z prawdą.

– Zgarniesz całą pulę, tylko znajdź mi Sovaya. Naprawisz sobie nerw wzrokowy, wymienisz oko.

– Dobrze mi się widzi, nie narzekam. Nie sądzisz, że Sovay będzie rozczarowany, jeśli się w końcu odnajdzie i dowie, że straciłaś oszczędności życia?

– A ty ile byś dała za swoje życie?

Nie mogłam się powstrzymać od śmiechu.

– Mnie o to pytasz?

– Ile?

Ponownie zerknęłam na saldo karty bankowej.

– Mniej niż za to, żeby się go pozbyć.

– W takim razie, ile byś dała za życie osoby, którą kochasz? Chcę odzyskać męża, a tylko ty możesz go odszukać.

– A psychopolicja? Możesz się do nich zgłosić, opowiedzieć o swoich podejrzeniach...

– Jeśli uwierzą, że nie umarł, załatwią go na cacy. Pokroją go na kawałki, szukając



dowodów: informacji, które ich zdaniem posiada. Oraz z tej prostej przyczyny, że nie będą wiedzieli, co zrobić z tym fantem.

– A co ty z nim zrobisz? A raczej nie z nim, tylko z nieborakiem, który odnajdzie się z mózgiem pochrzanionym od przepisywania? Zakładając, że kogokolwiek wytropię.

– Pomogę mu. Wytropisz ich wszystkich, żaden problem.

– Skąd ta pewność?

– Bo już ich sama namierzyłam. Nawet się zbytnio nie trudziłam. Mogę ci powiedzieć, gdzie przebywają.

Karta bankowa przyciągała mój wzrok z magnetyczną siłą. Najwidoczniej czaiła się we mnie zachłanność, z której istnienia dotąd nie zdawałam sobie sprawy. A może po prostu nęciła mnie świadomość, że dzięki furze pieniędzy wyjadę gdzieś daleko i zacznę wszystko od nowa?

– Na skrzynce pocztowej w twoim telefonie zostawiłam wszystkie potrzebne informacje – powiedziała. – Wystarczy, że z nich skorzystasz. A potem skorzystasz z tego. – Wstukała jakieś hasło w rzędzie liter u góry karty bankowej i przysunęła ją do mojego oka. Nastąpił mikroskopijny błysk, który mnie ukłuł, jakby wetknięto mi do głowy malusieńką szpilkę. Albo wykałaczkę. – I już. Przeszła na ciebie. Taki gest dobrej woli. Pieniądze są twoje, wystarczy przyjść i je wziąć. – Wsunęła kartę z powrotem do kieszeni. – Przechowam je dla ciebie. Skrzyżowałam ręce.

– Zanadto się pośpieszyłaś. Pofatyguję się do banku i powiem, że zgubiłam kartę. Wyrobię sobie nową, zwiężę z pieniędzmi i nikt mi nie podskoczy.

– Co ty powiesz. – Patrzyła na mnie z nieprzeniknioną miną. – Przez dziesięć lat nie robiłam nic innego, tylko myślałam. Myślałam o wszystkim i o niczym. Mogłabyś to zrobić, ale nie zrobisz. Poszukasz go, bo potrzebujesz pieniędzy i rozbudziłam twoją ciekawość. Przekonasz się, że mam rację.

Nigdy bym nie sądziła, że Rowan jest tak wytrawnym psychologiem. Z drugiej strony kto wie, jak się zmienia człowiek po dziesięciu latach w pustelni?

Jasper hałaśliwie odchrząknął.

– Jeśli już skończyłaś pytlować, pora się przebrać na kolejny występ.

– Chyba się jasno wyraziłam! – zawołałam do niego. – Odchodzę!

Ręcznik w moich rękach doznał nagłego przeciążenia i zrobił się czarny. Nie wytrzymały receptory barwy. *Karmoskop*, usłyszałam wewnętrzny głos. Na ustach Rowan błąkał się cień uśmiechu.

\* \* \*

Nie od razu rozpoczęłam z esami w oczach wielkie łowy na Sovaya. Kasa kasą, ale wciąż się zastanawiałam, czy powinnam się w to pakować. Ostatnio moje życie straciło na wartości,

ale zawsze to było życie i do tego moje. W każdym razie od czasu, kiedy Marceline przełączyła się w stan uśpienia.

Nie wiedziałam, co się do tego przyczyniło i nie szukałam na siłę odpowiedzi – ani wówczas, kiedy to się stało, ani potem. Przeżyłam kilka niespokojnych nocy, gdy nie mogłam zasnąć ze strachu, że rano zamiast mnie obudzi się ona. Czasem po zerwaniu się z łóżka nie mogłam sobie przypomnieć, co mi się śniło; domyślałam się wtedy, że to był jej sen, nie mój. Obyło się jednak bez istotnych zmian. Nie poczułam w sobie najłżejszego poruszenia, choćby śladowych resztek jej osobowości. A jednak wiedziałam, że nie wyparowała. Nie czułam jej obecności, fakt, ale jej nieobecności też nie wyczuwałam.

Aż w końcu pomyślałam: może by troszeczkę pokusić los?... i wybrałam się na przechadzkę do podmieścia. Jeśli Marceline nie obudzi się na widok swojskiej okolicy, poszukiwania Sovaya będą miały szanse powodzenia. A jeśli się obudzi... cóż, moje troski zginą, a ona odzyska to, co do niej należało.

Zdziwił mnie mój fatalizm. Najpierw zachłanność, teraz to; czego jeszcze dowiem się o sobie? To tyle w kwestii intuicyjnego życia.

Do pewnego stopnia widoki były rzeczywiście znajome, ale znajome i nic więcej. Wiele szczegółów wypadło mi z pamięci, a skojarzenia osłabły, pogmatwały się lub przepadły z kretesem, przynajmniej jeśli chodzi o moją osobę. Bo tutaj toczyło się życie kogoś innego, nie moje. Pewnego razu przemknęłam tędy w pośpiechu, lecz w odmiennym stanie umysłu.

Widząc lokal o nazwie „Przystanek Prawda”, usłyszałam jak gdyby cichy dźwięk dzwonka w głowie – nie wiadomo czemu. Zajrzałam do środka, żeby trochę poniuchać, ale rudera miała odpychający wygląd i nie byłam pewna, czy w ogóle prowadzą tam jeszcze interesy. U wejścia stał facet, który sprawiał wrażenie, jakby na kogoś czekał. Kiedy go mijalam, wydmuchał mi w twarz chmurę baniek z maleńkimi błyszczącymi gwiazdkami.

Mimowolnie zatrzymałam się i złowiłam na palec jedną z nich. Patrzyłam, jak blednący kłębuszek kolorów przeobraża się w bezbarwną siateczkę, a następnie pęka. W mokrej plamie utknęła czerwona gwiazdeczka. Przygotowałam się na gwałtowne pieczenie, lecz nic się nie stało. Facet tylko mi się przyglądał, jakby chciał zobaczyć, co zrobię. Już miałam mu coś powiedzieć, kiedy się odwrócił i wydmuchał wysoko ponad głowę nowe stadko baniek. Wytarłam palec o spodnie i ruszyłam w dalszą drogę.

Po przejściu kilku przecznic natknęłam się na „Zielny Młyn”: fabrykę snów, która nęciła klientów drętwą reklamą chodnikową. Tańczące jednorożce migotały wśród zakłóceń i nawet deszcz pieniędzy wypadał anemicznie. Nikt się nie zatrzymywał, żeby na to popatrzeć, więc i ja poszłam dalej. Zamierzałam przejść środkiem reklamy, gdy nagle zmaterializowała się przede mną skąpo odziana postać. Wydawało się, że facet patrzy prosto na mnie, i chociaż był wyświetlany tak samo marnie, jak pozostała część ekspozycji, poczułam dziwny niepokój. Cofnęłam się, żeby obejść obszar projekcji jak najszerzym łukiem.

Kobieta, koczująca na miejscu parkingowym przy krawężniku, nawet na mnie nie

spojrzała, gdy przechodziłam nad jej rozkraczonymi nogami. Było coś śmiesznego w jej oczach, lecz z powodu swojej częściowej ślepoty nie mogłam się temu lepiej przyjrzeć.

Po przejściu kolejnych przecznic stwierdziłam, że tracę orientację w terenie. Napotkałam świecący pustkami punkt informacyjny. Mogłam wejść do środka i poprosić o darmową mapkę z zaznaczonym miejscem, w którym się znajdowałam, lecz osiadła na mnie, niczym kurz, dziwna atmosfera apatii i zniechęcenia. Nie miało większego znaczenia to, gdzie jestem: jeśli zmęczy mnie ta wędrówka, namierzę dworzec autobusowy lub stację metra i wyniosę się stąd raz-dwa. Albo będę szła i szła, aż wyjdę z drugiej strony podmieścia.

Gdy na chwilę przystanąłam, znalazłam się akurat przed powielarnią. W mojej pamięci nie zachowało się żadne związane z nią wspomnienie, lecz instynkt mi podpowiadał, że powinnam jednak coś wiedzieć... albo że coś wiedziałam...

Wzruszyłam ramionami, ruszyłam się, żeby odejść... i ani się obejrzałam, a już stałam w środku i wyteżałam wzrok w półmroku. Zmysł równowagi wyczytniał ze mną harce, kiedy uczucie déjà vu rozsadzało mi mózg. Żeby nie upaść, oparłam się o ścianę.

Aż nagle na mojej ślepej stronie jeden za drugim zaczęły rozbłyskiwać obrazy; migwały tak szybko, że świadomość nie była w stanie za nimi nadążyć. Przewijały się wycinki twarzy, miejsc, przedmiotów, a spod tego wszystkiego dobywał się głos mówiący do mnie półszepem. Niezrozumiały, lecz uporczywy, natrętny, domagający się uwagi...

– Obudź się, słyszysz? To ci się tylko śni.

Mężczyźnie, siedzącemu na zapadającym się wyrku, dałabym ze sto lat, i wcale nie z powodu śnieżnobiałych włosów. Wyciągnął rękę po przewody do systemu, leżące obok na stoliku.

– Chyba nie po to przyszedłeś, co?

Napis na ścianie jego przedziału głosił: KREATOR WIZERUNKU. Pokręciłam głową z niezdecydowaniem.

– Tak właśnie myślałem. Kazała mi na ciebie czekać. Powiedziałem jej, że ma coś z głową, że w życiu się tu nie pokażesz. O jednym zapomniałem. Była największą wariatką z nas wszystkich, lecz nigdy, ale to nigdy nie miała problemów z głową.

Jeśli patrząc na niego, ktoś dałby mu sto lat, to słuchając go, chyba dwieście. Zupełnie jakby jego głos przeleżał wieki w piwnicy, skąd go wyciągnięto, lecz nie otrzepano z pajęczyn.

Skinał na mnie palcem, więc weszłam do środka. Nie było miejsc siedzących z wyjątkiem kozetki, lecz wołałam za bardzo się do niego nie zbliżać.

– Teraz poczekamy – oświadczył, jakbym się od niego czegoś domagała. – To nie potrwa długo. To już tylko śmieciopał. Pewnie jak większość z nich. – Gdy zmienił ułożenie ciała, sprężyny zajęczały jak torturowana łasica. – Tak przypuszczam, bo w ciągu dwudziestu lat spotkałem tylko jego. Wątpię zresztą, czy poznałbym innych. – Spojrzał na przewody, których nie odkładał. – Kim ty właściwie jesteś? Oryginalną fałszywką czy fałszywą

falszywką?

– A co? – zapytałam.

– Bo ta, którą miałem, była oryginalną falszywką. Osobowością, która miała o sobie zbyt wysokie mniemanie i spinokiowała.

– Spanikowała? – Pomyślałam, że trzeba się stąd zmywać.

– Spinokiowała. Była taka fajna bajka o drewnianej lalce, która stała się człowiekiem. – Zezował na mnie swoimi tanimi oczami. Nie były to bioklejnoty, tylko zwykłe brązowe gały z państwowego przydziału. – Każdy powinien ją znać. Miałem czas, żeby ją sobie opowiadać. Przerobiłem ją na pełnometrażowy film, potem zrobiłem *remake* i wreszcie skomponowałem operę.

Powędrował spojrzeniem gdzieś za mnie, więc odwróciłam się, żeby sprawdzić, co go zaintrygowało.

U wejścia do przedziału stał obszarpaniec z łuszczącym się pozłotkiem, jakby z fatalnym skutkiem bawił się efektami specjalnymi. Kiedyś miał ciało, lecz ostatni raz dbał o nie wieki temu. Przebierania się też już zaniechał. Nie od razu zauważyłam, że ściera zasłaniająca rozporok w spodniach stanowi nędzną resztkę przepaski na biodra.

Przyłożył dłoń do policzka i spróbował coś powiedzieć, lecz mu się nie udało.

– A nie mówiłem? Migiem się zjawił. – Białowłosy facet wstał ze skrzypiącego wyrka. – No chodź – zwrócił się do obszarpańca. – Przyszedł ktoś, żeby cię zabrać do domu.

– Nic z tego – rzekł łachmyta. – Znowu nie ta. Mało brakowało, naprawdę mało. Powiedziałem, że ją tu spotkam, ciągle tu przychodzę i ciągle się z nią rozmijam.

Wspięłam się na palce, żeby spojrzeć poza ściankę przedziału. W przejściu nikogo nie było. Co nie znaczyło, że gdzieś w pobliżu nie czai się Rowan. Poza zasięgiem wzroku, spryciara.

– Nie musisz już kupować paranoi, co? – zadrwił ze śmiechem kreator wizerunku.

Wzruszyłam ramionami.

– Może i nie. Ale w dalszym ciągu nie wiem, skąd wiedziała, że tu przyjdę, skoro sama tego nie wiedziałam.

– Może cię śledziła i podesłała tego, który był najbliżej? A może to szczęście, które sprzyja przygotowanym umysłom? – Przyprowadził obdartusa do kozetki i pomógł mu usiąść.

– A ty swój przygotowałaś? – zapytał i podał mi przewody.

Miałabym się spotykać psycha w psychę z tym obleśnym zdechlakiem? Gdy sama ledwo orientowałam się w swojej?

– Marzę o wolnej woli – powiedziałam właściwie do siebie.

– Wolność to coś, za co warto zapłacić.

Kiedy brałam od niego przewody, przemknęło mi przed oczami oszałamiające saldo na karcie bankowej Rowan... choć wcale nie ono było najważniejsze. Oto gdy trafił mi się jeden z poszukiwanych, zapragnęłam poznać prawdę. Jednak wydłubując oko i wpuszczając

przewód do pustego oczodołu, miałam wrażenie, że nawet ostatnia imprezująca pierdoła wymyśliłaby lepszy motyw do najdebilniejszego scenariusza, jaki kiedykolwiek podsunęto salonowej trupie aktorskiej.

\* \* \*

Po wejściu do środka stanęłam oko w oko ze skróconą wersją potwora Frankenstein. Nie nadawał się nawet na szmacianą lalkę, był tylko kupą złomu; wizualizacje przypominały niekontrolowany pokaz slajdów pomieszanych tak, że trudno się było w nich rozeznaczyć. Nie potrafił się zajmować żadną myślą dłużej niż kilka sekund... z wyjątkiem myśli o spotkaniu z Rowan w powielarni. Chociaż nie wiedział, kto właściwie ma się z nią spotkać: on jako męska dziwka, on jako Dionizos, on jako Sovay będący Dionizosem, Sovay jako on, Sovay jako on będący Dionizosem. Mało tego, nie umiał już sobie przypomnieć, czy któryś z nich, on lub Sovay, był kiedykolwiek Dionizosem.

Powstały mętlik przypominał wirującą spiralę. Po wpadnięciu w nią człowiek gonił w piętę i w końcu odwał totalną ciemność. A po przebudzeniu się startował od samego początku. Czarna dziura przełączona w tryb wiecznych powtórek.

#### **– Chcesz wiedzieć coś jeszcze o naturze piekła?**

To pytanie przeleciało obok mnie na potarganym łańcu, porwanym przez trąbę powietrzną. Przede mną rozpostarł się krajobraz stanowiący moją własną mimowolną wizualizację, co było nieuniknione, skoro nikt nie ustawił scenografii. Prędzej czy później każdy coś zobaczy, jeśli nie będzie się kontrolował. W tym przypadku ujrzałam fragment powierzchni Księżyca, przeniesiony na grunt skalistej pustyni – wytwór umysłu skacowanego po nocnej kostiumowej orgii. Pokrywające ziemię odłamki skalne nie wiedziały, czym były, zanim stały się odłamkami.

Jedynie łańcuch budził moją ciekawość. Skupiłam się na odnalezieniu źródła wiadomości. Po krótkiej chwili na martwym widnokregu ukazała się naga góra. Kiedy ruszyłam w jej stronę, wszystkie odłamki zamieniły się w głowy, jakby ktoś wysypał zawartość koszy po całodziennej harówce przy ostrzu gilotyny.

Głowy mnie obserwowały, mimo że coś było nie tak z ich oczami: niektóre w ogóle nie miały oczu, inne nie mogły ich odemknąć, jeszcze inne miały ich zbyt wiele. Czasem oczy tkwiły w niewłaściwych miejscach. I żadna głowa nie mówiła w ludzkim języku, tylko posługiwała się słowną pulpą.

Kręćka można dostać, pomyślałam i skupiłam się jeszcze mocniej. On zaś połakomił się na moje wizualizacje – nie dlatego, że mu się podobały, ale że zwyczajnie nawinęły mu się pod rękę. Jeśli się zagapię, połakomi się również na mnie i wszystkie obrazy z mojej głowy zostaną wkomponowane w otaczającą mnie scenerię.

Osloniłam się tarczą, co sprawiło, że zmierzałam wolniej w stronę źródła lakonicznej

wiadomości. Nie widziałam już okolicy tak wyraźnie jak przedtem. Nie męczyło mnie za to uczucie przebywania w oblężonej twierdzy.

Przede mną na ziemi coś migotało i rozbłyskiwało w nieregularnych odstępach czasu. Brnąc przed siebie, nie zatrzymywałam się, lecz przyjrzałam się temu uważnie.

Kawałek rozbitego lustra. No, no...

Na szczęście kamienna góra była coraz bliżej. W gruncie rzeczy nie maszerowałam tak szybko, jak ona się zbliżała. Najlepszy dowód na to, że postęp dokonywany w rzeczywistości może różnić się od tego, który dokonuje się w wyobraźni. Pomyślałam, że jeśli zabawię tu dłużej, będę mogła się ubiegać o dyplom z korygowania rzeczywistości, jednak kakofonia nonsensownych wrzasków pozbawiła mnie złudzeń w tym względzie.

U podstawy góry otworzyła się grot. Od tej chwili szło mi się trudniej, jakby ruch składał się z drobnych elementów, składników tworzących zwartą całość... gdyby tylko do siebie pasowały. Ale nie chciały pasować. Zaraz, zaraz, czy przed chwilą nie myślałam, że mogę zawodowo korygować rzeczywistość? Jeszcze trochę tu pobędę i na tym straszliwym pustkowiu powstaną kolejne głowy, wszystkie moje.

Potknęłam się na czymś, odzyskałam równowagę... i wpadłam do głębokiego wykopu.

\* \* \*

– **Dostałaś ode mnie wiadomość** – powiedział Sovay. Siedział nagi na dnie wykopu i doglądał małego ogniska. Była to jego iskra życia, dosłownie: dopóki się ona nie wypali, dopóty on będzie żył. Jeśli można to nazwać życiem.

Z zafascynowaniem przyglądałam się jego poczynaniom: aby podsyć płomień, odrywał od siebie małe kawałeczki i wrzucał je w ogień. Unosił się dym, który powracał do niego i odbudowywał brakujące części... w znacznej mierze. Odrobina dymu, ulatująca z wykopu, gubiła się na zawsze. Gdzieniegdzie na jego ciele widziałam dziurki i wcięcia, czyli ubytki, których nie potrafił uzupełnić.

– **Taa, dostałam od ciebie wiadomość** – odpowiedziałam. – **Kurna, jak mi ją dostarczyłeś?**

– **Sygnaly dymne.** – Uśmiechnął się do mnie nad płomykiem. – **Wysłałem je kominem.** – Wskazał krawędź wykopu. – **Doczepiły się do kuriera. Niewielka strata.** – Popatrzył na siebie i pogłaskał palcem podziobaną skórę. – **Myślę, że zostało ze mnie tyle, żebym przetrwał jeszcze kopany kawał czasu. Chciałem, żebyś tu przyszła. Wiem, kim jesteś.**

– **Wiesz, kim byłam kiedyś** – odpowiedziałam.

– **Źle się wyraziłem. Wiem o tobie. On się wyizolował, gdy był z Marwą, mnie nie zaproszono.** – Odłamał niewielki kawałek małego palca i rzucił go na pastwę ognia. Obyło się bez rozlewu krwi. Jego twarz wykrzywiła się dopiero wtedy, gdy palec zaczął się palić. – **Byłem dobrym aktorem, ale metodyczne aktorstwo mnie przerosło.**

– **Co chcesz przez to powiedzieć?**

– **Nie nadawałem się na aktora metodycznego. Gdybym się nadawał, rozmawiałabyś teraz z Dionizosem, a nie z facetem, który udawał, że jest Dionizosem.** – Przyglądał się skróconemu palcowi i innym defektom. – **Odpalisz mi co nieco?**

Nie od razu zrozumiałam. A kiedy już przyszło zrozumienie, spostrzegłam, że on wcale nie prosi. O tym właśnie myślał, gdy poczuł, że nawiązuję kontakt. Kto tak jak on pragnie żyć, posunie się do wszystkiego.

– **Dlaczego nie załatwisz tego z Sovayem?** – zapytałam, wskazując wykop. – **Kiedy się nie zintegrował, zaczął się rozpadać. Mógłbyś go naprawić, przemodelować.**

– **Próbowałem. Sama widziałaś, jak się stoczył. Całe szczęście, że i mnie nie pochlastał.**

Przypomniałam sobie kawałek rozbitego lustra. Komu przeszkadzało? Jemu czy Sovayowi? Nagle dym uderzył mnie w twarz.

– **To nie fair!** – wrzasnął. – **Ty masz wszystko, a ja się tu zużywam! Oddawaj! No już!**

Wyciągnął nad ogniem ramię, które rozdzieliło się czterokrotnie, podbierając masę reszcie ciała. Rzuciłam się do tyłu, krzycząc w myślach: Wyjście!

Nadaremnie.

Unosił się nade mną napuchnięty, jakby chciał mnie całą ogarnąć. Nie zadowalało go tylko to, co – jak sądził – miałam w dymie; żądał wszystkiego. Mogłam go przejrzeć na wskroś, dosłownie. Przez to, że urósł, stał się mniej materialny.

Wybiłam się w górę, żeby wyskoczyć z jamy. Przeniknięcie go było czymś więcej niż przejście przez hologram. Choć niewiele więcej.

\* \* \*

– Nie jesteś nią! – rzekł oskarżycielsko. Coney Loe (tak się właśnie nazywał, jak sobie teraz przypomniałam) musiał mu włożyć oczy. Nie miałam sił, żeby na niego patrzeć. Wkładając do oczodołu swojego jedynaka, ledwo powstrzymałam się od krzyku. – Nim też.

– Geniusz się znalazł, co? – zakpił Coney.

– Zatkaj się! – Odwróciłam się plecami do jednego i drugiego. Jeszcze mi się wszystko nie poukładało w głowie. Zaczęłam wstawać, gdy nagle na mojej ciemnej stronie rozblęsnęło światło, silniejsze niż mizerny odblask karty bankowej Rowan.

*Ile byś dała za swoje życie?*

*Mniej niż za to, żeby się go pozbyć...*

– Dokąd idziesz? – zapytał Coney.

Zatrzymałam się w progu, wciąż odwrócona do nich tyłem.

– Zadzwoń do niej. Nie pozwól mu odejść, ona po niego wpadnie.

– To on? – zapytał Coney podejrzliwie.

– Bingo, i to za pierwszym razem. Powiedzmy, że trafiło się ślepej kurze ziarno.

Nawet jeśli Coney jeszcze coś mówił, nie słyszałam. Gdy zmierzałam do wyjścia, stukotowi butów odpowiadał, niczym echo, łomot w moich skroniach. I nie było to wcale mechaniczne tętno narąbańca na kacu po psychogierkach, lecz inteligentne głosy skandujące w kółko to samo słowo. Czułam się, jakby dawano mi klapsy: jeden, drugi, trzeci, bez przerwy...

Kłamała. Kłamała. Kłamała. Kłamała! Kłamała!

Widziałam ich w myślach ze wszystkimi szczegółami, Dionizosa i Rowan, gdy spoczywali na kozetkach, między którymi na ziemi leżał jeszcze jeden człowiek. Całe trio podpięte do jednego systemu. Nielegalny trójkąt. Ludzie, całujący się w usta, byli zdolni do najgorszych rzeczy.

Kłamała! Kłamała! Kłamała!

Wypadłam na chodnik i już dokładnie wiedziałam, gdzie jestem, gdzie jest wszystko – wszystko i wszyscy.

– Hejka! Heja!

Odruchowo sięgnęłam po grzebień, lecz we włosach nic nie znalazłam. Postać przede mną uległa przeobrażeniu: najpierw handlarz neurozą w dziadowskim skórzanym pancerzu, potem niedożywiony kogucik ze spierzchniętymi wargami. Gapiliśmy się na siebie, gdy opuszczałam pięść. Po chwili udało mu się rozewrzeć palce mojej drugiej dłoni, miażdżącej mu grdykę.

– Żadnej przemocy – zastrzegł się. – Za to płaci się ekstra.

Odepchnęłam go od siebie i puściłam się biegiem. Po drodze o mało nie staranowałam drugiego kogucika, który ze swoim alfonsem wczepił się w jakąś turystkę. Uderzył mnie widok krzykliwie różowej, włochatej marynarki alfonsa – widok, który później jak zjawy unosił się przede mną. I chociaż gnałam co tchu, nie mogłam tej zjawy dogonić. Była czymś więcej niż mizernym błyskiem.

Kłamała! Kłamała! Kłamała!

*Prawda jest tania, informacja kosztuje. Więc ile za to i za to?*

Akurat kiedy znalazłam się na rogu ulic, zmieniło się światło i na skrzyżowanie wtarabaniły się pojazdy z czterech pasów. Odwróciłam się i nagle poczułam gwałtowny ucisk pod brodą. Mało brakło, a nakryłabym się nogami. Gruchnęłam w splątany gąszcz nóg – okrytych drugą skórą, ubranych w kalesiaki, wysmarowanych tanią łuszczącą się farbą.

Tłum się momentalnie rozstał. Ujrzałam nad sobą parkę cebulopałów; szczyrzyli japy, spięci łańcuchem, którym mnie skosili.

– Aż tak cię świerzbiło, żeby naruszyć naszą przestrzeń małżeńską? – zapytał uszczypliwie cebulak.

Wstałabym, lecz tak się przysunęli, że musiałam albo leżeć, albo odczołgać się na bok.

– Wasza вина – powiedziałam, usiłując kucnąć. – Wiecie, że nie mogłam was zobaczyć,



co potwierdzi każdy, kto widział to zdarzenie.

Cebulica zawiesiła nade mną swój szkaradny, łysy łeb.

– Tak? Więc znajdź mi tu kogoś, kto przyzna się, że coś widział. Znajdź kogoś, kto chce być oskarżony o współudział.

Cebulak pokiwał głową z bandyckim uśmiechem i popuścił małżeńskiego łańcucha.

– Znajdź sobie kogoś, no dawaj, spytaj się wszystkich i każdego z osobna! Powiedzą ci, że niczego nie widzieli, że byli akurat odwróceni plecami, że w ogóle niczego nie widzieli, niczego nic a nic!

Przerzucili za siebie łańcuch, potem smagnęli nim tak, że przeleciał im nad głowami i skierował się na mnie. Ledwo zdążyłam zwinąć się w kłębek. Łańcuch o włos chybił moich stóp i zadzwonił na chodniku. Cebulopały zakwiczały jak zarzynane prosięta i poderwały łańcuch, żeby powtórzyć atak. Gdy ponownie przecinał łukiem powietrze, zerwałam się do przodu i przebiegłam pod nim. Uderzyłam o chodnik i potoczyłam się tak, że impet postawił mnie na nogi.

Cebulopały wyły potępieńczo. Tym razem faktycznie naruszyłam ich przestrzeń małżeńską, jawnie i rozmyślnie, na oczach rzeszy świadków. Nie minie godzina, a wszystkie cebulowe pary i trójki wyruszą na krucjatę. Boże, czemu to mnie spotyka? – pomyślałam, zasuwając co sił w nogach. Czemu cebulopałom wolno terroryzować ludzi tylko dlatego, że się nudzą? Czemu wolno im uzewnętrzniać swoją chorobliwą zaborczość znęcaniem się nad innymi tylko za to, że naruszyli jakąś urojoną przestrzeń? I pytanie najważniejsze: czemu uwzięły się na mnie?

Wtem odezwały się we mnie, nieproszone, czyjeś słowa: *Masz porządną paranoję?*

Przebiegłam przez drugą ulicę, wpadłam półżywa do jakiejś podupadłej fetyszerii i schowałam się w kącie za drzwiami, gdzie spróbowałam złapać oddech. Drzwi otworzyły się niemal natychmiast, lecz do środka weszło tylko dwóch śmieciopałów w durnych pelerynach i z jeszcze durniejszym uśmiechem na twarzy. Nawet na mnie nie spojrzeli, gnani myślą o zaspokojeniu swojej nowej fiksacji, póki trwała.

Kolana się pode mną ugięły i osunęłam się ciężko na brudne płytki. Oddychało mi się już lżej, lecz serce nadal we mnie trzepotało i miałam ogień w nogach. Gdyby dopadły mnie teraz cebulopały, nie mogłabym nic zrobić, tylko czekać na ciosy. Zamknęłam oczy i wsłuchałam się w szum ulicy, usiłując pochwycić hałas biegnących stóp i brzęk łańcuchów.

Nie pokazał się nikt, nawet żaden klient. Po pewnym czasie dźwignęłam się na czworaki, później stanęłam wyprostowana. Nogi chciały odmówić posłuszeństwa, ale wzięłam się w garść, wyszłam za drzwi i ukradkiem wyjrzałam za narożnik budynku. Ani śladu cebulopałów. Zresztą, na chodniku nikogo nie było, jeśli nie liczyć gońca, który z kopertą pod pachą laził tam i z powrotem i sprawdzał numery domów.

Nie ścigali mnie, bo i po co? Bez sensu tracić czas na bieganie, skoro można wezwać posiłki. Cebulopały uwielbiały organizować oblawy na tych, którzy im podpadli. Jeśli zdołam

czmychnąć z podmieścia, uratuję skórę. Oni rzadko opuszczali podmieście. Porządne dzielnice nie były dla nich nadmiernie gościnne: trafiali do aresztu za zakłócanie spokoju, zanim zdążyli go na dobre zakłócić. Podczas gdy w podmieściu, pomyślałam cierpko, można broić do woli, byle nie nocować na miejscu parkingowym...

Rozmyślając, oparłam się o ścianę budynku i objęłam spojrzeniem ulicę. Coś wgryzało się w moją pamięć, jakby chciało do niej wejść... A może wygryzało się ze środka?

*...kłamała...*

*Taa. Wiemy, że kłamała, jakoby nigdy nie spotykała się psycha w psychę z Sovayem, pomyślałam. Robimy teraz coś innego.*

*...kłamała.*

Coś...

Błysk światła, ukłucie szpilki w mózgu. Rozsypane głowy, kawałek lustra, nieustannie powtarzająca się czarna dziura. Człowiek, który utrzymywał się przy życiu dzięki karmieniu się samym sobą...

*Wybaczyć i zapomnieć. Najpierw zapomnieć. Wtedy nie trzeba będzie nic wybaczać.*

Jego postać utkwiała mi w pamięci jak drzazga, cierń lub hak, lecz nie było tego zbyt wiele. Był czymś więcej niż hologram, lecz niewiele więcej. Zużyty bardziej, niż mu się zdawało. A może zdawał sobie z tego sprawę, tylko wołał się z tym kryć? W sumie nic dziwnego.

Lecz było go na tyle dużo, żeby mi powiedzieć:

*...kłamała, gdy mówiła, czemu chce, żebyś go odnalazła.*

Wyszłam na chodnik. Z najbliższych bram nie wysypywały się jeszcze bataliony żądnych krwi cebulopałów. Za wcześnie. Może zdołam czmychnąć z ulicy i pod osłoną nocy niezauważenie prześliznąć się do śródmieścia?

Znałam pewną kryjówkę, w której mogłam przesiedzieć do wieczora.

\* \* \*

Drzwi nie były domknięte. Odsunęłam się i pchnęłam je lekko palcami. Odmykając się, odsłoniły puste wnętrze salonu, łudząco podobnego do tego, który widziałam we wspomnieniach, uaktywnionych po spotkaniu z duchem Sovaya. Z największą ostrożnością przekroczyłam próg i rozejrzałam się dokoła. Na pewno się mnie nie spodziewał; drzwi z domofonem nie działały, więc nie musiałam dzwonić, żeby mnie wpuścił.

A może spodziewał się mnie każdego dnia w ciągu tych sześciu miesięcy?

– Zawsze się zastanawiałem, jak zareaguję, kiedy to się stanie. Jeśli to się stanie. I powiem ci, że wciąż się zastanawiam.

Stał w kuchence z kubkiem w dłoni – dopiero co opróżnionym lub jeszcze nie napelnionym. Kiepska pigmentacja, nie odnawiana, wyblakła. Właściwie zupełnie zeszła, nie

licząc nikłych pomarańczowych cieni w zmarszczkach wokół ust i oczu.

– Jak mam się zwracać do ciebie? – Zamknęłam za sobą drzwi.

– Anwar, tu się niewiele zmieniło. Chciałem uniknąć komplikacji. Choć można o mnie powiedzieć: ni pies, ni wydra, ni ruda wiewiórka. Raczej kopana ruda wiewiórka. Przez chwilę nawet pomarańczowa.

W nagłym przeblysku ujrzałam siebie pod postacią ryby. Śmieszne. Odpędziłam tę myśl.

Wskazał futon na drugim końcu pokoju.

– Czuj się jak u siebie w domu. Powinniśmy ze sobą pogadać, tylko my czworo i nikogo więcej. Zgoda, nie wiem, w ilu jesteś osobach, ale wolałbym, żebyś w tym domu ograniczyła się do dwóch. Zaparzę ci jakąś parszywą kawę. – Zaśmiał się krótko i chyba mimo woli. – Wiem, że ostatnim razem powiedziałem, że to będzie ostatni raz. Skłamałem. Pomagałbym ci, nawet gdybyś przychodziła do mnie co noc z naszym alfonsem łąącym za tobą jak cień. – Sięgnął do pasa i spojrzał ze zdumieniem na pustą dłoń. – O, zapomniałem. Dasz wiarę? Naprawdę zapomniałem.

Podeszłam do futonu z nadzieją, że przestanie kłapać jadaczką. Chwycił drugi kubek, do obu nalał wody i do każdego wrzucił kilka kostek.

– Mówię ci, parszywa. – Podeszedł do mnie i usiadł obok.

– Dzięki. – Wzięłam kubek. – Jesteś prawdziwy. Najprawdziwszy, jakiego znam.

Znowu się roześmiał i zmrużył oczy z niedowierzaniem.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– A skąd nam przychodzą do głowy inne rzeczy?

Przechylił na bok głowę i wtedy coś się wydarzyło. Zmienił się układ twarzy: dziwnie odkształcone rysy nagle wydawały się nie na miejscu.

– Nie... – powiedział cicho. – Ja kochałem Marwę, a nie... tę drugą. Nie tę wysoką, pyskącą, tę nie-Marwę... Ale nigdy o Marvie nie przestałem myśleć, więc kiedy ona, kiedy ona... – Wydawał się skołowany. – Ona była w biurze Bateau, była w windzie i musiałem ją ratować... lecz to nie była Marva i to nie byłem ja. Nie wtedy. Ale teraz tak.

Położyłam kubek na ziemię.

– Chyba mogę ci pomóc – oświadczyłam.

Znowu świrował, kiedy prowadziłam go do sypialni, gdzie trzymał system.

\* \* \*

Długo się maskował. Ciągłe ustawiał między nami zasłony: raz wodospad, raz kłęb mgły, raz ciemną szybę. Ale musiałby być w o wiele lepszej formie, żeby takie sztuczki utrwały się na dłużej w systemie. Niczym bezlitosne światło w garderobie spotkanie psycha w psychę obdzierało ze złudzeń.

Mnie to było nawet na rękę. Miałam czas przygotować się na to, co zobaczę.

Stapiali się ze sobą, Sovay i Anwar, jakby byli dla siebie lustrzanymi odbiciami, a nie dwiema różnymi połówkami. Lustra układały się na kształt litery V i poruszały się wolno, więc odbicia się wzajemnie wysysały. Tyle że Anwar przegrywał.

*To w jego skórę wchodziły wszystkie postacie...*

Kłamała, lecz nie w tym przypadku.

– **Gdzie ona jest?** – Część będąca Anwarem wyglądała na rozczarowaną.

Wokół nas tworzyło się środowisko, mroczne i bezkształtne, przypominające wnętrze grotu. Nie było tu śladu nikogo oprócz nas.

– **Nie wiem** – odpowiedziałam. – **Nie zostawiła adresu zwrotnego.**

– **Ty też niezupełnie jesteś nią** – zauważył Sovay.

– **Utraciłam sporo pamięci. Jeśli pamięć określa, kim naprawdę jesteśmy, to w ogóle nie jestem Marwą. Nie jestem oryginalną fałszywką ani oryginalną fałszywą fałszywką. Jestem nową fałszywką.**

Ciemne łaty w otaczającej nas przestrzeni zaczęły obracać się ospale jak plamy oleju na powierzchni wody. Wydawać by się mogło, że przeciekło do mnie ćwiczenie relaksacyjne, gdyby nie to, że malowane wzory nie były tak całkiem abstrakcyjne. Tu i tam majaczyły obrazy, głównie twarze, lecz rozmywały się tak szybko, że trudno je było rozpoznać.

– **Miała rację** – odezwał się nagle Sovay. – **Małżonkowie nie powinni utrzymywać ze sobą tak intymnych kontaktów. Nawet kochankowie. I źle się stało, że myśmy je utrzymywali.**

Portret Rowan, unoszący się nad jego głową, był z pozoru utworzony z kłębuszków dymu, jakby się miał lada chwila rozwiać. Ale jakoś się nie rozwiewał.

– **Ale nie kłamała** – dodał. – **W rzeczywistości spotykała się psycha w psychę nie ze mną, ale z dwoma narąbańcami z podmieścia, którzy chcieli być mną. Bo widzisz, ona chciała, żeby nim byli. Próbowala ich naprawić, skupić na sobie. Nic z tego nie wyszło, bo wyjść nie mogło. Potrzebowali do tego ciebie, nie jej.**

Bo to ja spotkałam się z nim psycha w psychę. Jasna sprawa. Zastanawiałam się, co z Dionizosem. Czy ciągle siedział w powielarni, w przedziale Coneya Loe, czekając, aż Rowan po niego przyjdzie? A może czekał na mój powrót? Nie zostało z niego zbyt dużo, żeby myśleć o naprawie...

Anwar...

– **...zostanie oczywiście wchłonięty** – stwierdził Sovay z wytłumioną nutą żalu. Czy typ, który połyka innych w całości, umie się litować nad czyimś nieszczęściem? – **Musiałem to zrobić. W przeciwieństwie do ciebie nigdy nie umiałem sobie radzić z lustrem. Wszystkie postacie musiały stawać się mną, bo nie potrafiłem się nikomu oddać. Co innego ty. Dlatego spotkałem się z tobą psycha w psychę. Wydawało mi się, że jeśli zacznę myśleć po twojemu, wreszcie się czegoś nauczę.**

Portret Rowan został zastąpiony ruchomymi scenkami, przedstawiającymi nas w prosty

symboliczny sposób: złączone pierścienie, olbrzymie gwiazdy krążące wokół siebie, zderzające się galaktyki...

Byłam oszołomiona. Akwarium? Raczej ocean. I samotna postać zanurzona w czymś, co nie jest jej żywiołem.

– **Od wiedzy do umiejętności jeszcze daleka droga** – powiedział ze smutkiem Sovay.

*Prawda jest tania, informacja kosztuje.* Kto mi to mówił? Coney Loe, dziwka prawdy. Czy w takim razie prawda jest alfonsem?

Osoba Sovaya narzucała mi się z coraz większą siłą.

– **Wracają ci wspomnienia.** – Satisfakcja biła od niego niczym żar. – **Kiedy przypomnisz sobie najważniejsze rzeczy, znowu będziesz nią. W niektórych przypadkach to, kim jesteśmy, zależy od tego, z kim jesteśmy. A ty jesteś teraz ze mną.**

– **A więc pragnąłeś mnie tak bardzo tylko ze względu na lustro. Nie z miłości, bo miłość już miałeś w realu. Szukałeś jeszcze kogoś, kto zostanie tobą. Ale to nie jest prawdziwe odbicie, Sovay. Trafiło ci się krzywe zwierciadło, a to wielka różnica.**

Lustro owinęło się wokół nas. Odbicia nie były jeszcze wyraźne, ale już się konkretyzowały.

– **Nie!**

Jego sprzeciw narodził się na samym dnie jego jestestwa, był otwarty i żywiołowy niczym pierwszy krzyk niemowlęcia, pierwszy i taki, który nigdy się nie kończy, nie dla niego. Sovay kiedyś, Sovay teraz, Sovay zawsze.

Właściwie nic złego z tego nie wynikało – biorąc pod uwagę, jakim był człowiekiem – dopóki nie zaczął próbować zmieniać świata na swój obraz i podobieństwo. Aż ujrzał mój obraz i spostrzegł, że patrzy na niego agent psychopolicji...

Lustro rozleciało się na drobne kawałki, przy czym wybuch o tyle przerażał, że odbywał się w ciszy. Szkło fruwało na wszystkie strony.

To już nic nie znaczyło. Lustro należało do mnie, a to była jedynie jego perspektywa. Jednak obraz Sovaya padł na nie i w nim pozostał.

Wspomnienia faktycznie zaczynały się budzić. *Kiedy przypomnisz sobie najważniejsze rzeczy, znowu będziesz nią. W niektórych przypadkach to, kim jesteśmy, zależy od tego, z kim jesteśmy. A ty jesteś teraz ze mną.* Nie szkodzi. Byłam tym, kim byłam, ale wcale nie dlatego, że on tego chciał.

Dopiero mój sprzeciw przerwał połączenie.

\* \* \*

Oto wreszcie sytuacja, kiedy z braku oka wynika jakaś korzyść. Mogłam wyjść z systemu i odzyskać wzrok prędzej niż on. Ruszyłam do wyjścia, przyglądając się uważnie, jak wtyka sobie oczy. W mężczyźnie, który teraz wstawał z łóżka i rozglądał się jak skazaniec

opuszczający więzienie, było jeszcze mniej z dawnego Anwara.

– Wzmocniłem się – powiedział wesoło. – Zarąbiste uczucie.

– Na pewno. Rowan ma gdzieś to, którego dostanie, racja? Którego z was, Sovayów. Kto pierwszy, ten lepszy, co? Nie prosiła mnie, żebym sprowadziła właściwego Sovaya, bo wszyscy się nadajecie. Obserwuje tylko wyścig, żeby zobaczyć, kto pierwszy przekroczy linię mety.

Parsknął śmiechem.

– Kto pierwszy przekroczy linię mety, ten jest tym właściwym.

– Tak czy owak postanowiłam nie utrudniać nikomu życia. Ogłaszam cię zwycięzcą. Gazuj do domku i powiedz, że jesteś najszybszy i najsilniejszy. Jej będzie wszystko jedno. Tobie też. Choć musisz wiedzieć, że w innych obszarach nie-Sovayowego świata zaszły spore zmiany. „Teatrzyk sir Larry’ego” splajtował. Przyszłość należy do salonowych oper mydlanych: kiczowatych, obleśnych i odmóżdżających. Za to można się wyszaleć na drogich imprezach. Mam nadzieję, że z nami koniec. I nie będę jak głupia robić dla psychopolicji. Tak samo jak dla ciebie czy Rowan. O nie, nie ma głupich.

– Co ty powiesz... – zadrwił, kiedy się odwróciłam do drzwi.

Zawahałam się, lecz nie spojrzałam już na niego.

– O co ci chodzi?

– Przyjdę do ciebie.

Czułam, jak się uśmiecha za moimi plecami, gdy przechodziłam przez pokój w stronę wyjścia. A może to była resztką, która pozostała po nim w moim mózgu?

\* \* \*

Już miałam wyjść na chodnik, kiedy przypomniała mi się awantura z cebulopałami. No super, pomyślałam. Jakbym nie mogła poczekać, dajmy na to, dziesięciu godzin, nim utrę mu nosa. Żegnaj, kryjówko. Spieprzyłam i tyle.

A może mi się upiekło?

W zasięgu wzroku, na lewo i prawo, nie było żadnych cebulopałów. Gdzieś w tej okolicy powinien się znajdować postój latających taksówek... ale było inne miejsce, które powinnam najpierw odwiedzić, i ktoś, z kim powinnam się spotkać, a także coś, co powinnam odebrać...

Na twarzy po stronie niewidzącego oka poczułam łaskotanie, jakby zraszała ją mgiełka chłodnej wody. Zatrzymałabym się i poczekała, aż wrażenie ustanie, lecz nie mogłam marudzić w drodze. Jeśli dorwą mnie cebulopały, moja twarz dozna wrażeń innych niż łaskotanie.

Wtem z pustego oczodołu dobył się malutki błysk światła, a za nim drugi i trzeci, aż powstało wrażenie, że wypełnia go rój migoczących gwiazdek. Lub złoty pył.

Lub też fragmenty potrzaskanego lustra, coraz bliższe nieuchronnej rekonstrukcji.

Zanim ich ujrzałam, usłyszałam grzechotanie łańcucha... lecz nie było dokąd uciekać. Jedyna witryna sklepowa przy rogu ulic była pusta, a reszta budynku – odgradzona. Włożyłam pięści do kieszeni, pochyliłam głowę jak goniec z pilnym zleceniem i przeszłam żwawo na drugą stronę ulicy. Próbowałam się koncentrować bardziej na tym, dokąd idę, niż na błyskach w pustym oczodole.

Cebulopały jeszcze się nie zorientowały, więc zdążyłam przejść przez ulicę. Może bym ich wymanewrowała, gdyby coś mnie nie podkusiło, żeby zerknąć z ukosa i sprawdzić, czy patrzą w moją stronę. Akurat patrzyły, przez co stałam się główną atrakcją łowów na lisa. Gdy ruszały w pościg, z ich gardeł wydobywało się coś, co w jednej połowie było krzykiem, a w drugiej jodłowaniem. W następnej chwili umykałam sprintem, a goniąca mnie para rykiem zwoływała posiłki.

Mijałam pączkarnię, z której akurat ktoś wychodził. Chmura gazu pobudzającego apetyt uderzyła mnie prosto w twarz, a ukłucie głodu omal nie zważyło mnie z nóg. Do tego wmieszała się dokuczliwa, łomocząca muzyka z sąsiedniego sklepu ze ścieżkami dźwiękowymi. Zboczyłam do rynsztoka, przetoczyłam się przez kilka zajętych miejsc parkingowych i wypadłam na środek jezdni, gdzie prawie najechał na mnie van. Za przednią szybą wkurzał się kierowca – chyba zielony, choć nie wykluczałam gry świateł: prawdziwych lub stroboskopowych w pustym oczodole.

Na sąsiednim pasie kilkanaście kroków przede mną z piskiem opon zatrzymała się taksówka i wyświetlił się napis WOLNA. Przebiegłam koło niej i wpadłam na chodnik. Tymczasem wzmógł się hałas, gdy do pościgu przyłączyła się druga para cebulopałów; na szczęście i te nie były mistrzami sprintu. Ale prędzej czy później do łowców przyłączą się tacy, którzy potrafią biec szybciej ode mnie, nawet związani łańcuchem. Pierś paliła mnie już żywym ogniem, do gardła podchodziła mi żółć.

Przemykając za kolejny róg ulic, postanowiłam, że jeśli znowu zobaczę taksówkę, nie wpadnę w panikę i nie przebiegnę obok niej, tylko wykorzystam kilkusekundową przewagę nad myśliwymi, żeby otworzyć drzwi od strony pasażera. Zakładając, że jeszcze jakaś zechce się dla mnie zatrzymać.

Aż nagle się okazało, że już na to za późno, bo cebulopały zamiast przyśpieszyć, ruszyły łepetyną. Ludzie przede mną czym prędzej uskakiwali z chodnika, gdyż od strony najbliższej przecznicy cwałowały dwa następne z łańcuchem rozciągniętym na wysokości szyi, nie marnując oddechu na wojownicze zawołania.

Ni stąd, ni zowąd wyrósł przede mną szyld lombardu. W pełnym biegu przyskoczyłam do drzwi. W pierwszej chwili, strasznej i niemiłosiernie długiej, nie chciały się otworzyć, lecz w końcu ustąpiły: wpadłam do środka i runęłam na ziemię. W samą porę, bo cebulopały już znajdowały się przed drzwiami. Nawet nie wyły z wściekłości.

Leżałam na brzuchu, zdyszana, i słuchałam, jak naradzają się na zewnątrz. One nie mogły wtargnąć do środka, ja nie mogłam wyjść. Zastanawiałam się, jak rozwiąże ten problem

właściciel lombardu.

Drzwi się domknęły, co przytłumiło psioczenia cebulopałów i brzęk łańcuchów. Po chwili uniosłam głowę i rozejrzałam się wkoło.

*Powiesz mi czarodziejskie słówko?*

Błysk po stronie ślepego oka wypełnił głowę i przyćmił całą resztę. Nie czułam już bólu w piersi i twardej podłogi pod sobą. Było tylko jaskrawe białe światło. Po chwili zaczęło pulsować, raz jaśniejsze, raz ciemniejsze. Między rozbłyskami pojawiały się obrazy przypominające małe, zapętlone sekwencje z holograficznego przedstawienia. Albo z opery mydlanej w plenerze.

*...oderwij się od niej na jedną chwilkę, nie za długo, i trzymaj się, trzymaj się mocno, tego nie można przeciągać... nadmiar wspomnień zdezorientował ją i na pewien czas pozbawił świadomości, będzie można zajrzeć do środka... właścicielka lombardu myśli, że jestem nią i poszłam w tango, to dobrze... załatwmy to raz-dwa, proszę... taa, Ofra, znowu kłopoty, taa, nie powinnam tego nosić ze sobą, ale nie chcę kasować, byłoby szkoda... dobra, weź to na razie, schowaj w dobrym miejscu, jeszcze po to wrócę... ale nie dawaj mi tego pod żadnym pozorem, chyba że wypowiem...*

– ...czarodziejskie słówko?

*Pochyla się nade mną z rękami na kolanach, białymi włosami opadającymi na jedną stronę i miną, jakby nic jej w tym tygodniu bardziej nie ubawiło...*

Głos w mojej głowie ucichł, kiedy fragment lustra wpasował się na swoje miejsce. Lustro jeszcze nie do końca się odbudowało, lecz już teraz przewijały się w nim liczne obrazy, związane z każdą z nas: z Marceline i obiema Marvami, tą z kompletną pamięcią i tą, którą Sovay zmusił do zaistnienia. I ze mną, kimkolwiek byłam.

Wyciągnęłam rękę i właścicielka lombardu pomogła mi wstać.

– A już myślałam, że więcej tu nie zawitasz – stwierdziła przyjaznym głosem. – Tym razem pamiętasz czarodziejskie słówko, prawda?

– Taa. Tym razem pamiętam czarodziejskie słówko. – Zerknęłam na drzwi. – Chociaż nie wiem, czy nie będę żałować.

Uśmiechnęła się.

– No więc?

\* \* \*

– Czarodziejskie słówko na dzisiaj brzmi: „Zapomnieć”- powiedziałam, oglądając w lustrze na swojej ślepej stronie scenę rozgrywającą się tamtej nocy. Idąc na zaplecze za właścicielką lombardu, zastanawiałam się, czy wtedy to rzeczywiście byłam ja. Czy faktycznie to ja wyrwałam się z uśpienia w Marceline/Marvie, żeby oddać na przechowanie jedyną rzecz, która jednoznacznie potwierdzi moją



tożsamość agentki psychopolicji? Zabawne, ale nie czułam się jak agentka. I nie czułam się już jak Marva. Szczerze mówiąc, nie czułam się tak ani razu, odkąd się ocknęłam przed sześcioma miesiącami, choć sądziłam co prawda, że powodem jest całkowity brak pamięci bezpośredniej. Bądź co bądź agentka psychopolicji odeszła; patrzyłam, jak odchodzi, wypływając przez wyrwę, która utworzyła się w Sovayowej marnej imitacji lustra...

*Ona wróci.*

*Marya?*

Właścicielka lombardu znieruchomiła, odłączając przewody od systemu, i spojrzała na mnie. Czyżbym mówiła na głos?

*Dzięki twoim drobnym wspomnieniom, rozrzuconym tu i tam...*

Również w lombardzie, pomyślałam.

*...i zobaczymy, czy zechcesz być jeszcze psychopolicjantką.*

Ofra wyciągnęła rękę do mojego oka, lecz powstrzymałam ją gestem dłoni.

– Chyba jednak zmienię zdanie – powiedziałam.

Fuknęła z irytacją.

– O nie, wybij to sobie z głowy. Możesz sobie zmieniać zdanie, ale to zabierzesz ze sobą. Jeśli chcesz, podrzuć to innemu Bogu ducha winnemu palantowi, ja nie zamierzam trzymać u siebie takich rzeczy ani splukiwać tego za ciebie.

– Ale ja nie chcę o niczym wiedzieć.

– Nie chcesz? No to ciężka sprawa, przykro mi. Ktoś musi wiedzieć i padło na ciebie, nie na mnie. – Bez ceregieli ułożyła mnie na mocno ugniecionym materacu, który najlepsze czasy dawno miał za sobą. – Każdy posiada jakieś informacje, za które jest odpowiedzialny. Te należą do ciebie. – Wetknęła kciuk do kącika mojego oka i nacisnęła.

\* \* \*

Na początku wydawało mi się, że gniazdo przyłączeniowe w oku skręciło się czy coś w tym stylu. Po chwili zrozumiałam, że bolesny ucisk twardej masy w oczodole ma podłoże wyłącznie psychosomatyczne. Ciało, tak samo jak umysł, lubi sięgać do symboli.

– Już? – zapytałam, siadając.

– Wszystko trwało góra minutę – odpowiedziała Ofra.

Może i minutę, lecz w tym czasie powiększyła się rozwydrzona wataha cebulopałów. Słyszałam ich nawet tutaj. Wydawało się, że zebrały się ich całe setki.

– Mogę uciec tylnym wyjściem? – zapytałam.

– Już tam pewnie filują. Spróbuj szczęścia na dachu. Oni nie lubią wysokości, bo

jeśli jeden spada, zwykle pociąga drugiego.

– A co jest na dachu?

Zmrużyła oczy.

– Nic.

– To czemu mam tam wyłazić?

– Jesteś walnięta czy po prostu głupia? Żeby im zwać! Pobiegniesz po dachach, aż znajdziesz dworzec autobusowy lub postój taksówek.

Zaśmiałam się cicho.

– To znaczy, że nie spotkam tam gościa z nielegalnie zaparkowanym latającym pojazdem, który odleci ze mną w siną dal?

Właścicielka lombardu przyglądała mi się z zimnym wyrazem twarzy.

– Tobie się wydaje, że występujesz w tasiemcowej operze mydlanej? A może jedziesz na odwrotnej paranoi i myślisz, że to ty wszystkich ścigasz, a świat się uparł, żeby cię uszczęśliwić?

Ból w oku słabł, w miarę jak przyswajały się informacje, które od niej dostałam.

– Czemu po prostu nie zadzwoniłaś po nich? – zapytałam. – Czemu nie powiedziałaś, że to tu jest i mogą sobie po to przyjechać?

– Po kogo miałabym dzwonić?

– Po psychopolicję.

– Nie zadaję się z nimi. Wolalabym nie skończyć na oddziale resocjalizacji z pieluchą i śliniakiem. Nie mieszaj mnie w swoje sprawy. Gdybym wiedziała, co mi naprawdę podrzucasz, nie wyszłabyś stąd tylnym wyjściem... ani tym od frontu.

Pokiwałam głową.

– Kim jestem, Ofra?

Ryknęła śmiechem.

– Myślisz, że jesteś setką ludzi, ale to typowe u wspomnieniowej ćpunkii. – Pohamowała śmiech i spojrzała na mnie z marsową miną. – Jesteś Marceline, kapujesz? Co się z tobą dzieje? Nie możesz dojść do siebie po upadku Bateau?

– Skąd wiesz, że jestem Marceline?

– Powiedziałaś mi czarodziejskie słówko – odparła z nieskrywanym zdenerwowaniem. – Chyba tyle wystarczy, nie?

– A jeśli Marceline powiedziała mi czarodziejskie słówko?

Pokręciła głową.

– Boże, chroń nas przed wspomnieniowymi ćpunami. Czemu po prostu nie załatwisz sobie nowego życia w jakimś bębnie osobowości, skoro tak się palisz, żeby stać się kimś innym? Czemu mnie tu nachodzisz i zawracasz mi głowę, a później zachowujesz się, jakbym coś ci zrobiła? Tamtej nocy wyświadczyłam ci przysługę. Odwdzięczysz mi się, jeśli wyniesiesz się w diabły z mojego lombardu. I nigdy, ale to

nigdy więcej się tu nie pokazuj, dobra?

Baza danych przestawiła się w moim umyśle i otrzymałam sekwencję kodu, którym mogłam wyłączyć Ofre i wybudzić zakonspirowaną agentkę psychopolicji. Wprawdzie nie miałam stosownego upoważnienia, lecz chwilowo taka rzecz jak upoważnienie mało mnie obchodziła. Ale byłby to cios poniżej pasa. Agentka nie spodziewała się, że teraz się ocknie, więc nawet przyspieszone uzupełnienie pamięci nie uchroniłoby jej przed szokiem i dezorientacją. Mogłaby nawet poczuć się zraniona – w zależności od tego, jakie wspomnienia przygotowano agentce dla wypełnienia luki. Romans, wakacje, choroba... Oczywiście były to nieprawdziwe wspomnienia, lecz żadna osoba nie będzie normalnie funkcjonować, jeśli nie wypełni się wiarygodną treścią długich okresów uśpienia.

– No! – ponagliła mnie ze złością.

Zasalutowałam i skierowałam się do frontowych drzwi.

Pobiegła za mną.

– Hej, co ty robisz!?

– Wychodzę. – Oderwałam jej dłoń od mojej ręki. – I nigdy więcej się tu nie pokażę.

– Oni wdepczą cię w chodnik!

– No co ty? – Uśmiechnęłam się. – Może dadzą mi fory i poczekają trochę, żeby się pościgać?

Po jej bladej twarzy przemknęły najróżniejsze uczucia. Co świadczyło o tym, że włączył się program dostosowujący awaryjne procedury do nieprzewidzianych okoliczności w czasie misji. Ale ona tego oczywiście nie wiedziała.

– Nie wychodź tam!

No tak, pewnie. Miałam się wdrapać na dach, skąd by mnie zabrano. Zerknęłam na sufit i w tym momencie przyszła mi do głowy myśl, że może jednak to jest paranoja.

Mimo to otworzyłam drzwi i znalazłam się w tłumie cebulopałów.

\* \* \*

Zamarli w bezruchu. Dosłownie żaden nie mógł się poruszyć ani krzyknąć – ani też, sądząc po malującym się na twarzach zdumieniu, zebrać myśli. Musiałam zacisnąć usta pięścią, żeby nie gruchnąć śmiechem.

– To nie ona – stwierdził jeden z nich.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki odzyskali zdolność poruszania się; powtarzając te słowa, odsunęli się i zrobili mi szerokie przejście. Cebulopały robią komuś przejście... czy ktoś to w ogóle widzi? Rozejrzałam się. Oczywiście, że nie.

Tłum cebulopałów wymiata z ulicy niewinnych przechodniów skuteczniej niż syreny ostrzegające o radioaktywnym wycieku. Tych mniej niewinnych również.

– Mylicie się – zwróciłam się do bandy, która odsuwała się ode mnie na coraz większą odległość. – To ja! Rozmyślnie naruszyłam przestrzeń małżeńską. Znalazłoby się co najmniej dziesięciu świadków.

– Czyją przestrzeń!?! – rozległ się okrzyk. – Czyją przestrzeń naruszyłaś? Powiedz! Na pewno nie naszą!

– Nie naszą! – wrzasnął ktoś inny i nagle wszyscy przekrzykiwali się nawzajem: – Nie naszą! Nie naszą!

Wybiegłam na ulicę, próbując przyjrzeć się wszystkim, co okazało się niedorzecznością. Byli cebulopałami, a jeden cebulopał nie różnił się niczym od drugiego. I o to właśnie chodziło.

Gdy się rozproszyli, jeszcze przez długi czas ulica była cicha i wyludniona. Tylko z daleka dolatywały odgłosy miasta, dał się też słyszeć szum startującego pojazdu, który nielegalnie parkował na dachu lombardu.

\* \* \*

Nie zostało mi nic innego, jak pójść do domu. Nie do kawalerki w śródmieściu, gdzie kisiłam się dotąd, ale do gniazdka Marceline w podmieściu. Zgodnie z oczekiwaniami nadal w nim mieszkała. Oczywiście na odległość: koszty utrzymania automatycznie potrącano jej z kurczącego się konta bankowego, które jakoś nigdy nie kurczyło się do zera. Te kąty wydawały mi się tylko trochę znajome. W zasadzie gdybym przebywała w innym stanie świadomości, uznałabym, że to déjà vu albo jakieś złudzenie.

Czy był w tym błąd Marceline? Czy może tylko dała impuls do niefortunnego zbliżenia Marvy i Sovaya? A może to oni dali impuls jej? Baza danych, którą odebrałam w lombardzie, niczego mi nie wyjaśniła. Nie wbudowano w nią funkcji szukania odpowiedzi.

Pechowy zbieg okoliczności, pomyślałam. Trzy osoby, które nie powinny się nigdy spiknąć. Być może największa wina leżała po stronie Marceline. Pozwolono jej zebrać zbyt wiele wspomnień, gdy zaspokajała swoje nałogowe skłonności, a kiedy połączyła się z Marwą psycha w psychę, wypełniło się mnóstwo pustych stron – tych nie wypełnionych, kiedy Marva i Sovay zbytnio się do siebie zbliżyli podczas romansu, który, jak naiwnie sądzili, stanowił cząstkę ich własnych życiowych perypetii.

A może winowajcą był Sovay i jego charakter? Wszyscy stawali się mną. Taa. Pewnie. W końcu i on uświadomił sobie, że jest agentem psychopolicji. Czy stało się

to z chwilą odkrycia, że za maską Marvy ja kryję się w uśpieniu, czy też odkrył mnie, bo uświadomił sobie, kim jest?

Przy założeniu, że odnalazł właśnie mnie. Rozboliła mnie głowa: reakcja psychosomatyczna, nic więcej. Podeszłam do jedyne go okna, pod którym leżał futon, i je otworzyłam. Na zewnątrz można było zobaczyć ścianę sąsiedniego budynku, ale gdy się mocniej wychyliłam, dostrzegłam skrawek ulicy, pojazdy i przechodniów. Strzeliła mi do głowy szalona myśl, żeby zbiec na dół i zatrzymać ludzi na chybił trafił: Czy wiesz, że jesteś agentem psychopolicji? A ty? A ty? A ty?

Włączyłam Dataline, przeskoczyłam po kanałach. Serwisy informacyjne, telenowele, pogadanki, reportaże, reklamy... I tu się zatrzymałam, bo akurat reklamowano coś o nazwie Fajniejsza Osoba. Przerobili starą, rozmemłaną animację reklamującą Pewnych Bardzo Fajnych Ludzi.

Ależ tak. Wszyscy byliśmy Bardzo Fajnymi Ludźmi lub Fajniejszymi Osobami, lub Wpływowymi Ludźmi. Może od tego się wszystko zaczęło: od tajnego przedsięwzięcia pod przykrywką bębna osobowości? I każdy, kto się zgłosił, został poddany indoktrynacji, czy raczej – lepsze określenie – uległ zarażeniu. A potem psychogierki, szukanie wrażeń, kupowanie neurozy, sprzedawanie snów lub kupowanie ich od innych. Zaraza rozprzestrzeniła się niczym jakaś dziwna mentalna odmiana choroby społecznej. Pewnego dnia wzeszło słońce i okazało się, że wszyscy są wcieleni do psychopolicji.

I może nieliczne osoby co pewien czas odkrywały prawdę, budziły się z zapytaniem: *Zaraz, moment, a skąd się to wzięło w moim życiu?* Do akcji wkraczała psychopolicja: wypłacała odszkodowanie, dawała kontrakt i obiecywała im, że nigdy nie zauważą brakujących chwil. *Posłużymy się tobą, kiedy zajdzie potrzeba. Potem przejdziesz w stan spoczynku i nikt ci więcej nie będzie zawracał głowy.*

Pozazdrościć takiego kontraktu...

*I nie musisz się gryźć, że twoje życie nie ma sensu. Teraz już ma.*

Wyłączyłam ekran.

*Odkąd to jesteś geniuszem, pytam? Odkąd kojarzysz fakty, jakbyś miała w głowie Sherlocka Holmesa?*

*To była bardzo droga informacja, Coney. Zapłaciłam za nią.*

Wyszłoby jeszcze drożej, gdyby mnie teraz zwinęła psychopolicja. Nie mogli się tak od razu ujawnić i mnie przemaglować, bo wszystko bym wygadała. Zamiast tego nastali na mnie Rowan, żeby zleciła mi misję głupiego: odnaleźć Sovayów. Taa. Spodziewali się, że Sovay zastartuje Mersine, tę szlachetną agentkę psychopolicji, która podreptałaby do domu z bazą danych: nietkniętą, nienaruszoną i nieprzejrzaną, dzięki czemu, bez krzyku i hałasu, tajemnica zostałaby zabezpieczona i życie toczyłoby się po staremu. W końcu przedstawienie musi trwać, zwłaszcza gdy

wszystko jest teatrem.

Zastanawiałam się, czy wszędzie jest tak samo. A może sytuacja wymknęła się spod kontroli – osiągnęła prędkość ucieczki – tylko w tym jednym mieście?

Na to pytanie znałam jednak odpowiedź. Ile potrzeba czasu? Całe stulecie czy kilkadziesiąt lat? Czy ktoś zostanie pominięty? A jeśli nie, to co się stanie, kiedy osiągniemy... stan nasycenia? Czy wszyscy wybudzimy się równocześnie, spontanicznie, czy eksplodujemy uczuciem zjednoczenia?

Czy może eksplodujemy i tyle?

I czy psychogierki od samego początku nie skazywały nas na taki koniec? I czy ktoś sobie to uświadamiał?

Odwrociłam się i spojrzałam na swój system, stojący obok futonu.

\* \* \*

Przepaść nadal tam była. Czasami przypominała otwarte panoramiczne okno w podniebnej wyspie, lecz zwykle była urwiskiem zawieszonym nad pustym, bezbarwnym krajobrazem.

Stojąca obok mnie Marva chciała wiedzieć, czemu. Jedna i druga.

*Bo jedna osoba może coś zmienić. Ale tą osobą nie jest żadna z nas.*

Marva powiedziała, że Marceline też nie.

*Kiedys nie, ale teraz tak – odparłam. – Jako wspomnieniowa ćpunka, rozdrobniła się i to umożliwiło mi złączenie się z obecnymi w niej resztkami psychopolicjantki. Bez nas będzie wyizolowana. Będzie jedyną osobą w mieście, która odeszła z drużyny. I nikt się o tym nie dowie.*

Marva chciała wiedzieć, dlaczego to takie ważne.

*Jest ważne i tyle. Bo powinna być na świecie przynajmniej jedna wolna osoba. Ktoś, kto będzie eskortował psychopolicję, żeby znikła i oddała świat ludziom.*

Tylko czy zechce? – zapytała Marva sceptycznie.

*Spróbuj. No dobra, pora na nas. Na każdą z nas.* Odwróciłam się do Sovaya, który stał za nami w pewnym oddaleniu, niewyraźny i dość słabo rozwinięty, lecz z pewnością obecny. Przybył ze swoją częścią bazy danych. *Na ciebie też.*

Nie miał na to ochoty, lecz był za słaby, żeby stawiać opór. Kiedy zginiemy, razem z nami zginie baza danych. Psychopolicja nie potrzebowała zawartych w niej informacji, lecz z pewnością utraci łatwe dojście do Marceline. Co z kolei zwiększy jej szanse przeżycia jako jednostki.

*Nie zabieraj ze sobą żadnych drewnianych wspomnień.*

Pogrążona w głębokim uśpieniu, raczej mnie nie wyczuwała, lecz przy odrobinie szczęścia po przebudzeniu powinna bardziej uważać na to, co ze sobą robi.

Lustro znów się roztrzaskało, kiedy rzuciłam je w przepaść. Kawałki fruwały w powietrzu jak w podmuchach huraganowego wiatru. Zapewne pod naszym ciężarem spadną na sam dół.

\* \* \*

Wiadomo, że zapowiada się kiepski dzień, kiedy po przebudzeniu okazuje się, że straciło się gdzieś pół roku życia. Oczywiście pierwsze, co robię, to wpadam w panikę.

Kaprave szczęście, kaprawe życie, kiepski towar: mówi się, że taki jest los wspomnieniowych ćpunów. Wiem, że nie mam prawa tłumaczyć się złą karmą, ale kto przy zdrowych zmysłach chce zostać wspomnieniowym ćpunem? Codziennie dziesięć tysięcy ludzi bezkarnie kupuje wspomnienia, ale ty, niefartowna luzaro, ty musisz walić się kilofem w łeb. Dziesięć tysięcy szczęściarzy; to jest twoje życie i to jest twoje życie, i to jest twoje życie, i to także mogłoby być twoje życie, gdyby cię było stać na swobodne karmienie bestii. Mało kogo stać i nie ludź się, tobie też się nie uda. Nie byłoby jeszcze tak źle, gdybyś mogła co jakiś czas wziąć na luz i zgromadzić kilka wspomnień według tradycyjnej receptury, ale ciebie nie jarają własne wspomnienia. Oto cecha wyróżniająca wszystkich wspomnieniowych ćpunów: jako obywatele, nie zapisujemy się w pamięci tłumów. W przeciwnym razie może bym wiedziała, co się ze mną działo.

Niewykluczone, że mam fatalną sklerozę: pozostałość po tym, co robiłam w czasie tych brakujących miesięcy. Jeśli tak, to muszę wziąć swoją kopaną dupę w troki i zgłosić się do kliniki z mózgiem do regeneracji. A to przygoda równie fajna jak poddanie się trepanacji – z tą dodatkową atrakcją, że lekarze ciskaliby gromy na moją głowę za to, że narobiłam syfu, którego nawet nie pamiętam, i piekliliby się jeszcze bardziej, bo nie potrafiłabym się pokajać.

Niewykluczone, że wysprzątało mi łeb w ostatnim lombardzie, do którego zajrzałam. Zdarza się. Można się nadziać na niekumatego operatora, co to nie zna różnicy między czyszczeniem a kasowaniem, albo mistrzunia, który już zarezerwował bilet na najbliższy lot i leje na to, co powie wytworna klientela. Ktoś mi poradzi iść z tym do sądu. Fakt, gdybym była dziunią z nadmieścia na dziennym etacie z rachunkiem z salonu w „Kanyonie Handlowym”, nie byłoby problemu. Ale żeby ktoś z podmieścia pozywał do sądu lombard z podmieścia... Fiasko murowane. W tym rejonie świata nie było nawet papugi, która odebrałaby telefon w tej sprawie. Co jest praktycznie dyskryminacją, ale to akurat każdy ma w dupie.

Niewykluczone, że załazłam komuś za skórę. Ale jeśli tak, to mogę się uważać za szczęściarę, że wyszłam z tego bez szwanku – mogę dalej żyć tym życiem, które mam teraz, z nadzieją, że to się więcej nie powtórzy.

Niewykluczone też, że byłam maglowana przez psychopolicję. Gdyby tak było, powinnam stanąć gdzieś na środku podmieścia z napisem SSIJCIE na czole i poczekać, aż będzie po sprawie.

Wszystko to fruwa po mojej wrednie zoranej mózgowicy w tempie oszalałego młota pneumatycznego, więc mimo paniki mam świadomość, że mogę wykreślić sklerozę. Jeśli człowiek zna słowo „skleroza”, to z reguły jej nie ma. A więc czuję ulgę, że nie będę musiała wysłuchiwać wymówek typu: A czegoś ty się spodziewała, idiotko? – w czasie zabiegu odbudowy osłonki mielinowej.

Mózgowy rozpiżdziel w lombardzie z pewnością trzeba brać pod uwagę. Będę musiała zbadać ten trop.

Narażenie się komuś też wchodzi w rachubę, lecz w takich przypadkach utracie pamięci towarzyszą drugorzędne oznaki czyjegóż niezadowolenia, jak na przykład ogolona głowa, złamany nos, czarne oczy. Mam wrażenie, że nikt nie zatańczył mi samby na twarzy, lecz panorama pęknięć na suficie wydaje się jakaś przycięta. Schodzę z łóżka i idę do łazienki, żeby obejrzeć się w lustrze.

Włosy nietknięte, choć wyglądają tak, jakby w nocy dzikie zwierzę bezskutecznie walczyło w nich z bezsennością, bo – ha, ha, ha – zapomniałam wyciągnąć grzebienie. Nos akurat został złamany, ale na pewno nie w ciągu ostatniej doby. Dopiero brak oka uświadamia mi, że nie wszystko jest w najlepszym porządeczku. Szukam jakiegoś wygięcia w złączu, które świadczyłoby o tym, że coś tu wrywano wbrew mojej woli. Szkoda, że nie posiadam wypasionych oczu z funkcją automatycznego rejestrowania zdarzeń, bo wiedziałabym, kiedy były ostatnio wyciągnięte. Z drugiej strony, biorąc pod uwagę brak funduszy, powinnam być zadowolona, że oglądam świat w pełnym spektrum kolorów. Nie mam nawet bioklejnotów, tylko brązowe oczy z państwowego przydziału.

Tak się cieszę, że nie założyłam nikomu za skórę, że mogłabym nawet stanąć oko w oko z psychopolicją... choć właśnie w ten sposób wszystkim bym podpadła, nawet gdybym nie miała nic złego na myśli. Ale jeśli dopadli mnie agenci psychopolicji, powinnam znaleźć kopię nakazu, wyświetloną na ekranie podłączonym do Dataline. Podchodzę do niego, lecz dziadowski wbudowany wyświetlacz nie ma dla mnie nic oprócz migacza w rogu. Nieodebrana wiadomość. Najeżdżam na nią palcem.

*Q-racja i relaksacja, jak to mówią, a milion zaprawionych w bojach narqbańców nie może się mylić. A teraz uważaj: nie jesteś już wspomnieniową ćpunką. Zanim wybiegniesz za drzwi, pomyśl o dwóch rzeczach:*

*Przyszłość jest ustalona, zmienić można tylko przeszłość, a jeśli warto było zapomnieć, to nie warto pamiętać.*



## *Twoja wróżka chrzestna*

Przeczytałam dwa razy. Z uwagi na życie, jakie prowadzę, nauczyłam się akceptować to, z czym się budzę. Jak nieraz powtarzam, nie mam prawa zasłaniać się złą karmą. Najwidoczniej jednak mam wróżkę chrzestną, którą prawie pamiętam... Pewne skojarzenia nie wygasają, pozostają jak duchy, nawet gdy samo wspomnienie przypadło. Tak bywa, bo wspomnienia nigdy nie są osamotnione. Wiem z całą pewnością, że mogę jej zaufać – że przekaże mi nie tylko prawdę, ale też właściwą informację. A jeśli twierdzi, że czegoś nie warto pamiętać, to najlepiej zrobię, jak nigdy już do tego nie wrócę.

Uważa, że nie jestem już wspomnieniową ćpunką i tu się również nie myli. Chwilowo nie czuję ciśnienia, a przecież po półrocznych posuchach powinnam wrywać sobie z głowy te skudlone włosiska. Co nie znaczy, że głód mnie już nigdy nie dopadnie. Chyba że ktoś z nas naprawdę zmienił przeszłość...

Dotykam łatki na oku. Wolałabym mieć dwoje oczu, wiadomo, ale mam wrażenie... hm, że wszystko jest jak należy. Chociaż mam nadzieję, że był to mój własny pomysł, a nie. dajmy na to, Bateau. Wyłupane oko i utrata pamięci: byłby do tego zdolny, chcąc dać komuś nauczkę. Jednak nie czuję się ukarana, a Bateau nie wypuści ze swoich rąk ofiary, która nie czuje się ukarana. Inaczej nie miałby radochy.

Zaczynam wklepywać numer telefonu, lecz coś mnie powstrzymuje – jakby złe przecucie, któremu na razie lepiej nie patrzeć w oczy. Taa, kurna, ale co niby miałabym robić: przeglądać archiwa z ostatnich sześciu miesięcy i na ich podstawie szukać swojego miejsca w świecie? Jestem nikim i niczym, a po utracie pamięci mogłabym spojrzeć na historię swojego życia i wcale jej nie rozpoznać.

Aż się wszystko we mnie skręca, gdy wstukuję ten numer. Ekran zapala się przy siódmym dzwonku.

– Wyglądasz, jakby cię diabeł przez piekło przeczołgał – mówię. – Czy to ma coś wspólnego z tym, co gdzieś zawieruszyłam?

Chyba jestem ostatnią osobą na świecie, którą Anwar spodziewał się zobaczyć. Wnoszę to z jego miny.

– Nie wiem – odpowiada po chwili. Wymawia słowa z wysiłkiem kogoś, komu utknęła w gardle bryła wolno schnącego kleju. – A co zgubiłaś?

– Nie wiem. Mogę do ciebie wpaść? Pomógłbyś mi szukać.

– Nie ma sprawy – odpowiada. – Przyjeżdżaj choćby zaraz.

Przerywam połączenie. Gdy wstaję, na ekranie, który powinien wygasnąć, na skutek jakiejś usterki pojawia się znowu wiadomość od wróżki chrzestnej.

*Przyszłość jest ustalona, zmienić można tylko przeszłość, a jeśli warto było zapomnieć, to nie warto pamiętać.*

Tak czy owak przypomnę sobie, a jeżeli mi się to nie spodoba, znowu zapomnę. Z Ofra zawsze można pohandlować.

I naprawdę chcę się zobaczyć z Anwarem. Być może widziałam się z nim nie dalej jak wczoraj, lecz w tym momencie mam wrażenie, że minęło pół roku. Jeśli sprawa jest zamknięta, ponieważ przeszłość została zmieniona, a ja zapomniałam, to trudno, ale mam prawo się upewnić.

W sumie to moje życie, nie?